

**HARKNESS DEBORAH**

**KSIĘGA WSZYSTKICH DUSZ**

**Wędrownka**

*Przeszłości nie da się uleczyć.*

## Elżbieta I, królowa Anglii

### CZEŚĆ I

#### OLD LODGE

#### ROZDZIAŁ 1

Wylądowaliśmy w postaci żalostnej plątaniny czarownicy i wampira.

Matthew leżał pode mną, a jego długie ręce i nogi ułożyły się w dziwaczną figurę. Między nas wpadła książka, a siła uderzenia wytrąciła mi z ręki srebrną figurkę, która poturlała się po podłodze.

- Dotarliśmy tam, gdzie trzeba? - Zaciskałam powieki w obawie, że nadal jesteśmy w starej stodole Sarah, w stanie Nowy Jork w XXI wieku, a nie w XVI-wiecznym Oxfordshire.

A jednak nieznanne zapachy powiedziały mi, że to nie moje miejsce ani czasy. Czułam coś trawiastego i słodkiego oraz woskowy zapach, który przypominał mi lato. Była też nutka dymu drzewnego i dobiegło mnie trzaskanie ognia.

- Diano, otwórz oczy i sama zobacz. - Chłodne usta Matthew musnęły mój policzek i usłyszałam cichy śmiech. Oczy barwy wzburzonego morza spojrzały na mnie z twarzy tak bladej, że mogła być tylko twarzą wampira. Dłonie Matthew powędrowały od mojej szyi do ramion. - Jak się czujesz?

Po podróży w tak odległą przeszłość mojego męża miałam wrażenie, że moje ciało rozpadnie się pod najbliższym dotknięciem. Nie czułam nic takiego po naszych krótkich wędrówkach w czasie, na które wyprawialiśmy się z domu moich ciotek.

- Dobrze, a ty? - Skupiałam się na Matthew, bo nie miałam odwagi rozejrzeć się wokół.

- Co za ulga być w domu. - Głowa Matthew opadła z lekkim stukiem na drewniane deski podłogi, uwalniając kolejną falę letniego zapachu z rozsypanych wszędzie gałązek i kwiatów lawendy. Nawet w 1590 roku Old Lodge nie była mu obca.

Moje oczy przyzwyczyły się do bladego światła. Ujrzałam wielkie łoże, stolik, wąskie ławy i krzesło. Za rzeźbionymi słupkami baldachimu łóżka dostrzegłam drzwi do następnego pokoju. Płynące stamtąd światło padało na kapę i pokój, tworząc niekształtny złoty prostokąt. Ściany pokoju obite były tą samą tkaniną, którą pamiętałam z moich nielicznych odwiedzin we współczesnym domu Matthew w Woodstock. Odchyliłam głowę i spojrzałam na sufit - pokryty grubą warstwą tynku, podzielony na kasetony, z czerwono-białą różą Tudorów na złożonym tle w każdym z nich.

- Róże musiały być, gdy budowano dom - mruknął Matthew. - Nie znoszę ich. Przy najbliższej okazji przemaalujemy je na białe.

Złotoniebieskie płomyki świec zadrżały w nagłym przeciągu, oświetlając róg bogato zdobionego gobelinu i ciemne, błyszczące kontury liści i owoców na jasnej kapie. Współczesne materiały nie mają takiego połysku.

Uśmiechnęłam się w nagłym olśnieniu.

- Udało mi się! Nic nie pomyliłam ani nie wysłałam nas gdzieś indziej, do Monticello czy...

- Nie - odpowiedział z uśmiechem. - Doskonale się spisałaś. Witaj w elżbietańskiej Anglii.

Po raz pierwszy w życiu byłam wręcz zachwycona, że jestem czarownicą. Jako historyk badałam przeszłość. A jako czarownica mogłam się nawet w niej znaleźć! Przenieśliśmy się do roku 1590, bym nauczyła się utraconej sztuki magii, ale mogłam przecież dowiedzieć się tutaj znacznie więcej. Odchyliłam głowę, spodziewając się zwycięskiego pocałunku, usłyszałam jednak tylko odgłos otwieranych drzwi.

Matthew położył palec na moich ustach. Odwrócił lekko głowę i zmarszczył brwi. Uspokoił się, gdy rozpoznał tego kogoś w drugim pokoju. Dobiegł stamtąd szelest kartek. Matthew jednocześnie podniósł książkę i mnie. Wziął mnie za rękę i poprowadził do drzwi.

W pokoju obok nad zawalonym listami stołem stał mężczyzna - potargane brązowe włosy, średniego wzrostu, smukły, w bogatym, dobrze dopasowanym stroju. Nucił nieznaną mi melodię, co jakiś czas wtrącając słowa, których nie zdołałam dosłyszeć.

Na twarzy Matthew odmalowało się zaskoczenie, szybko jednak czule się uśmiechnął.

- Gdzież teraz jesteś, mój drogi Matthew? - Mężczyzna uniósł kartkę do światła.

Matthew zmarszczył brwi, nagle rozgniewany.

- Szukasz czegoś, Kit? - Słyszając głos Matthew, młody człowiek rzucił kartkę na stół i odwrócił się do nas; twarz pojaśniała mu z radości.

Widziałam już kiedyś tę twarz, na moim egzemplarzu *Żyda z Malty* Christophera Marlowe'a.

- Matt! Pierre powiedział, że jesteś w Chester i możesz nie dotrzeć do domu na czas. Ale ja wiedziałem, że nie opuścisz naszego corocznego zebrania. - Słowa brzmiały znajomo, lecz dziwna intonacja sprawiała, że musiałam się bardzo skupić, by je zrozumieć. Angielski czasów elżbietańskich właściwie nie różnił się od współczesnego, jak mnie uczono, nie był wszakże tak łatwy do zrozumienia, jak się spodziewałam, licząc na moją znajomość sztuk Szekspira.

- A cóż się stało z twoją brodą? Czyżbyś chorował? - Oczy Marlowe'a błysnęły, gdy mnie spostrzegł, a natarczywy wzrok przeszył mnie dreszczem świadczącym o tym, że Marlowe jest demonem.

Choć bardzo chciałam uściskać dłoń jednemu z najwspanialszych dramatopisarzy Anglii i zasypać go pytaniami, powstrzymałam się. Na jego widok cała moja skromna wiedza o Marlowie wyparowała. Czy jakaś jego sztuka była wystawiana w roku 1590? He miał lat? Na pewno mniej niż Matthew i ja. Nawet nie trzydzieści. Uśmiechnęłam się do niego ciepło.

- Gdzieś to znalazł? - Marlowe wskazał coś pogardliwie palcem.

Rzuciłam okiem przez ramię, spodziewając się ujrzeć jakieś paskudne dzieło sztuki. Nic z tego: mówił o mnie. Mój uśmiech zbladł.

- Ostrożnie, Kit - powiedział rozgniewany Matthew. Marlowe tylko wzruszył ramionami.

- Nieważne. Jak musisz, to się nią zabaw. George jest tu od jakiegoś czasu, oczywiście zjada twoje jedzenie i czyta twoje książki. Wciąż nie ma mecenasa i grosza przy duszy.

- Kit, George może korzystać ze wszystkich moich dóbr. - Matthew nie odrywał wzroku od młodego mężczyzny. Jego twarz nie wyrażała nic, gdy przyłożył do ust nasze splecione dłonie. - Diano, to mój drogi przyjaciel, Christopher Marlowe.

Te słowa pozwoliły Marlowe'owi przyjrzeć mi się bardziej otwarcie.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Jego twarz zdradzała pogardę, a zazdrość starał się ukryć. Rzeczywiście był zakochany w moim mężu.

Tak podejrzewałam jeszcze w Madison, gdy przesunęłam palcami po jego dedykacji w należącym do Matthew *Doktorze Faustusie*.

- Nie wiedziałem, że w Woodstock jest zamtuż specjalizujący się w wyjątkowo wysokich kobietach. Większość twoich dziwek jest delikatniejszej budowy i bardziej urodziwych, Matthew. Ta tutaj to wręcz Amazonka. - Kit pociągnął nosem i rzucił okiem na zasłany kartkami stół. - Według ostatnich wieści od starego Foksa to interesy, a nie żądze pognały cię na północ. Jak znalazłeś czas, by ją sobie przygruchać?

- Zdziwiający, Kit, jak łatwo trwonisz sympatię - wycedził Matthew, a w jego głosie brzmiała groźba.

Marlowe, jakby nie zdając sobie sprawy ze znaczenia tych słów, uśmiechnął się tylko złośliwie.

- Diana to jej prawdziwe imię, czy przybrała je, by zwabiać klientów?

Może powinna odsłonić prawą pierś albo nosić łuk i strzały - zasugerował, podnosząc kartkę papieru. - Pamiętajsz, jak Bess z Blackfriars zażyczyła sobie, byśmy zwali ją Afrodytą, nim

pozwoliła nam...

- Diana jest moją żoną. - Matthew nie stał już przy mnie, a dłoń, która przed chwilą trzymała moją, teraz zaciskała się na kołnierzu Marlowe'a.

- Nie. - Kit spojrzał na niego zszokowany.

- Tak. A to znaczy, że jest panią tego domu, nosi moje nazwisko, a ja ją chronię. Biorąc to wszystko pod uwagę, i oczywiście naszą długoletnią przyjaźń, mam nadzieję, że żadna krytyka ani słowa podające w wątpliwość jej cnotę nie padną już nigdy z twoich ust.

Poruszyłam palcami, żeby odzyskać w nich czucie. Siłą, z jaką rozszoszczony Matthew je ścisnął, wbiła w ciało diamentowy pierścień na serdecznym palcu mojej lewej dłoni, pozostawiając czerwony ślad.

Diament, choć niefasetowany, odbijał ciepłe światło ognia. Pierścień był niespodziewanym prezentem od matki Matthew, Ysabeau. Przed kilkoma godzinami... kilkoma stuleciami? Za kilka stuleci? Matthew wypowiedział słowa starej przysięgi małżeńskiej i wsunął mi pierścień na palec.

Dwa wampiry weszły do pokoju, podzwaniając naczyniami. Pierwszy był szczupłym mężczyzną o wyrazistej, ogorzalej twarzy koloru orzecha, czarnych oczach i włosach. Trzymał dzban wina i puchar o nóżce w kształcie delfina, z czarą na ogonie. Drugi - chuda kobieta - niósł półmisek z chlebem i serem.

- Jest pan w domu, milordzie - odezwał się wyraźnie zaskoczony mężczyzna. Dziwne, jego francuski akcent sprawiał, że łatwiej było mi go zrozumieć. - Posłaniec powiedział w czwartek, że...

- Zmieniłem plany, Pierre. - Matthew odwrócił się do kobiety. - Moja żona straciła w podróży cały dobytek, Françoise, a jej ubrania były tak brudne, że je spaliłem.

Kłamał bez mrugnięcia okiem, ale ani wampiry, ani Kit nie wyglądali na przekonanych.

- Pańska żona? - powtórzyła Françoise, również z francuskim akcentem. - Ależ ona jest cza...

- Ciepłokrwista - dokończył Matthew, sięgając po puchar. - Powiedz Charlesowi, że przybyła jeszcze jedna osoba do wyżywienia. Diana nie czuła się ostatnio najlepiej i doktor zalecił jej świeże mięso i ryby. Ktoś musi iść na targ, Pierre.

Pierre zamrugnął.

- Tak, panie.

- Potrzebuje też ubrania - zauważyła Françoise, przyglądając mi się bacznie.

Gdy Matthew skinął głową, wyszła. Pierre podążył za nią.

- Co się stało z twoimi włosami? - Matthew ujął blond lok.

- O nie - jęknęłam.

Uniosłam ręce. Zamiast sięgających ramion włosów koloru słomy, chwyciłam za zaskakująco sprężyste, rudo-złote pukle sięgające talii.

Poprzednim razem, gdy moje włosy zaczęły robić, co im się podoba, byłam w college'u i grałam Ofelię w *Hamlecie*. Zarówno wtedy, jak i teraz, urosły nienaturalnie szybko, co, wraz ze zmianą odcienia, nie wróżyło nic dobrego. Kryjąca się we mnie czarownica musiała się zbudzić podczas podróży w przeszłość. Nie miałam pojęcia, jaka jeszcze magia się uwolniła.

Wampiry mogły wyczuć adrenalinę i nagły niepokój, wywołany tym odkryciem, albo usłyszeć muzykę mojej krwi. Ale demony, jak Kit, wyczuwały przyływ mojej magicznej energii.

- Na grób Chrystusa. - Marlowe uśmiechnął się złośliwie. -

Przyprowadziłeś do domu czarownicę. Jakiej zbrodni się dopuściła?

- Daruj sobie, Kit, nie twoja sprawa. - Ton Matthew znów był rozkazujący, ale jego dłoń nadal spoczywała delikatnie na moich włosach. - Nie martw się, *mon coeur*. Jestem pewien, że to tylko zmęczenie.

Mój szósty zmysł się zbuntował. Tej ostatniej zmiany nie można było wytłumaczyć zwykłym zmęczeniem. Chociaż wywodziłam się z czarownic, wciąż nie znałam pełnych możliwości odziedziczonych przeze mnie mocy. Nawet moja ciotka Sarah i jej partnerka, Emily Mather - czarownice - nie potrafiły dokładnie określić, jakie mam moce i jak nad nimi zapanować. Naukowe testy Matthew wykazały obecność markerów genetycznych potencjału magicznego w mojej krwi, ale kiedy i czy w ogóle ten potencjał zostanie wykorzystany?

Nim zdążyłam się zacząć martwić, powróciła Françoise z czymś, co wyglądało jak igła do cerowania. W ustach trzymała mnóstwo szpilek.

Towarzyszyła jej chodząca sterta aksamitu, dzianiny i płótna. Wystające spod niej szczupłe brązowe nogi sugerowały, że gdzieś tam kryje się Pierre.

- A to po co? - zapytałam podejrzliwie, wskazując szpilki.

- No przecież, żeby ubrać madame w to. - Françoise porwała z wierzchu sterty coś, co przypominało brązowy worek na kartofle. Nie sądziłam, aby to był strój idealny, ale mając niewielkie pojęcie o modzie czasów elżbietańskich, byłam zdana na jej łaskę.

- Kit, idź na dół, gdzie twoje miejsce - Matthew zwrócił się do przyjaciela. - Niedługo do ciebie dołączymy. I trzymaj język za zębami.

To moja opowieść, nie twoja.

- Jak sobie życzysz, Matthew. - Marlowe obciągnął kaftan w kolorze śliwkowym,

nonszalancji tego gestu zaprzeczało drżenie jego rąk, i lekko skinął głową. Ten nieznaczny ruch zarazem potwierdzał i podważał rozkaz Matthew.

Gdy demon wyszedł, Françoise rzuciła worek na stojącą nieopodal ławę i obeszła mnie, przyglądając się mojej figurze, żeby ustalić najlepszą linię ataku. Westchnęła ciężko i zaczęła mnie ubierać. Matthew podszedł do stołu i skupił się na rozrzuconych po blacie papierach. Otworzył starannie zawiniętą prostokątną paczuszkę zaklejoną kroplą różowa-wego wosku. Przebiegi wzrokiem po drobniutkim piśmie.

- *Mon Dieu*, zapomniałem o tym. Pierre!

- Milordzie? - odezwał się zduszony głos spod sterty materiałów.

- Zrzuć to i opowiedz o kolejnej skardze lady Cromwell.

Matthew traktował Pierre'a i Françoise poufale, lecz i z wyższością.

Jeśli tak należało traktować służbę, to wyglądało na to, że minie trochę czasu, nim ja się tego nauczę.

Tamta dwójka szeptała przy kominku, podczas gdy Françoise upinała, układała i podwiązywała na mnie stroje tak, bym wyglądała odpowiednio.

Z dezaprobatą przyjęła to, że mam tylko jeden kolczyk z poplątanych złotych drucików ozdobionych drogimi kamieniami, który kiedyś należał do Ysabeau. To właśnie on, wraz z *Doktorem Faustusem* Matthew i niewielką srebrną figurką Diany, był jednym z trzech przedmiotów, które pozwoliły nam wrócić do tej właśnie chwili w przeszłości. Françoise pogrzebała w stojącej obok skrzyni i szybko odnalazła drugi. Gdy już poradziła sobie z biżuterią, ubrała mnie w sięgające za kolana grube pończochy i obwiązała szkarłatnymi wstążkami.

- Chyba jestem gotowa - odezwałam się, pragnąc jak najszybciej zejść na dół i rozpocząć moją wizytę w XVI wieku. Czytanie książek o przeszłości to nie to samo, co przebywanie w niej, jak pokazały spotkanie z Françoise i ekspresowa lekcja historii stroju.

Matthew przyjrzał mi się.

- Musi wystarczyć... na razie.

- Ten strój jest więcej niż wystarczający, wygląda przecież skromnie i nie rzuca się w oczy - odparła Françoise. - A właśnie tak powinna w tym domu wyglądać czarownica.

Matthew zignorował Françoise i odwrócił się do mnie.

- Nim zejdziemy na dół, Diano, pamiętaj, by uważać na słowa. Kit to demon, a George wie, że jestem wampirem, ale nawet najbardziej otwarte umysły są nieufne wobec obcych i innych od nich.

Gdy zeszlismy na dół, życzyłam George'owi, niemają-cemu pensa przy duszy ani mecenasa, przyjacielowi Matthew, dobrego wieczoru, w jak sądziłam, odpowiednio

elżbietańskim stylu.

- Czy ta kobieta mówi po angielsku? - jęknął George, unosząc okrągłe okulary, które niesamowicie powiększały jego niebieskie oczy. Druga ręka spoczywała na biodrze, w pozie, którą ostatnio widziałam na jednej z miniatur w muzeum Wiktorii i Alberta.

- Mieszkała w Chester - odpowiedział szybko Matthew. George nie wyglądał na przekonanego, nawet dzikie ostępy północnej Anglii nie mogły wyjaśnić mojego dziwnego sposobu mówienia. Akcent Matthew zaczynał przypominać coś, co zdecydowanie lepiej pasowało do intonacji i kolorytu tych czasów, ale mój pozostał współczesny i amerykański.

- To czarownica - uściślił Kit, pociągając łyk wina.

- Doprawdy? - George przyjrzał mi się znów z zainteresowaniem.

Nie czułam żadnych drgań sugerujących, że to demon, żadnego mrowienia, jak w przypadku czarownic, ani chłodu spojrzenia wampira.

George był po prostu zwykłym, ciepłokrwistym człowiekiem - na oko w średnim wieku i zmęczonym, jakby życie już go znużyło.

- Matthew, ty przecież nie lubisz czarownic tak bardzo jak Kit.

Zawsze zniechęcałeś mnie do tego tematu. Kiedy zacząłem pisać wiersz o Hekate, powiedziałeś...

- Tę lubię. I to tak, że się z nią ożeniłem - przerwał mu Matthew, przypieczętowując to oświadczenie pocałunkiem, żeby go przekonać.

- Ożeniłeś! - George spojrzał na Kita. Odchrząknął. -W takim razie mamy dwa niespodziewane powody do świętowania: nie dość, że mimo obiekcji Pierre'a interesy nie powstrzymały cię przed przybyciem tu, to jeszcze powróciłeś z żoną. Winszuję.

Jego podniosły ton przypominał przemówienie na rozdaniu dyplomów; omal nie zachichotałam. W odpowiedzi George uśmiechnął się do mnie ciepło:

- Jestem George Chapman, pani Roydon - uklonił się. Jego nazwisko brzmiało znajomo. Zaczęłam przeglądać nieposegregowaną zawartość mojego mózgu historyka. Chapman nie był alchemikiem - w tym się specjalizowałam, ale jego nazwiska nie znalazłam w miejscu poświęconym temu tajemnemu tematowi. Był kolejnym pisarzem, jak Marlowe, nie mogłam sobie jednak przypomnieć żadnych tytułów jego autorstwa.

Gdy prezentacje zostały zakończone, Matthew zgodził się na chwilę usiąść z gośćmi przy kominku. Dyskutowali o polityce, a George starał się włączyć mnie w tę dyskusję, pytając o stan dróg i pogodę.

Próbowałam mówić jak najmniej i zapamiętać gesty i słowa, które pomogłyby mi uchodzić za kogoś z czasów elżbietańskich. George był tym zachwycony i odwdzieczył się



długim przemówieniem o swoich najnowszych próbach pisarskich. Kit, który nie lubił grać drugich skrzypiec, zakończył wykład George'a, proponując, że poczyta nam *Doktora Faustusa*.

- Niech to będzie próba dla przyjaciół - powiedział demon z błyskiem w oku. - Przed prawdziwym występem.

- Nie teraz, Kit. Jest już dobrze po północy, a Dianę zmęczyła podróż - odparł Matthew, podrywając mnie na nogi.

Kit świdrował nas spojrzeniem, gdy opuszczaliśmy pokój. Wiedział, że coś ukrywamy. Podskakiwał na każde dziwnie wypowiedziane słowo, kiedy włączałam się do rozmowy, i zamyślił się, gdy Matthew nie mógł sobie przypomnieć, gdzie trzyma lutnię.

Nim opuściliśmy Madison, Matthew ostrzegł mnie, że Kit jest niezwykle spostrzegawczy, nawet jak na demona. Zastanawiałam się, jak szybko Marlowe odkryje, co ukrywamy. Odpowiedź otrzymałam ledwie kilka godzin później.

Następnego ranka rozmawialiśmy w zaciszu naszej alkowy, podczas gdy dom budził się do życia.

Na początku Matthew chętnie odpowiadał na pytania dotyczące Kita - jak się okazało, syna szewca - i George'a -ku mojemu zaskoczeniu niewiele starszemu od Marlowe'a. Ale gdy przesłam do kwestii praktycznych, jak zarządzanie domem i zachowanie kobiet, szybko się znudził.

- A co z moimi ubraniami? - zapytałam, próbując skupić jego uwagę na tej niepokojącej kwestii.

- Nie sądziłem, że mężatki śpiąją w czymś takim - odparł, przyciągając mnie za delikatną płócienną nocną koszulę. Odwiązał koronkowy kołnierzyk i właśnie miał pocałować mnie pod uchem, by przekonać do swojego punktu widzenia, gdy ktoś gwałtownie rozsunął zasłony wokół łoża. Poraziło mnie światło.

- No i? - zawołał Marlowe.

Znad ramienia Marlowe'a wyrzwał drugi, śniady demon. Przypominał mi energicznego, kruchego chochlika o spiczastym podbródku i równie spiczastej kasztanowej bródce. Jego włosy chyba od miesięcy nie widziały grzebienia. Złapałam przód nocnej koszuli, świadoma, że jest przezroczysta i tego, że nie mam na sobie bielizny.

- Widziałeś rysunki mistrza White'a z Roanoke, Kit. Ta czarownica nie przypomina ani trochę tubylców z Wirginii - odezwał się obcy mi demon, najwyraźniej rozzarowany. Dopiero po chwili zauważył Matthew, który piorunował go wzrokiem. - Och, witaj, Matthew. Mogę pożyczyć twój kompas geometryczny? Obiecuję, że tym razem nie wezmę go nad rzekę.

Matthew oparł czoło o moje ramię, zamknął oczy i jęknął.

- Musi być z Nowego Świata. Albo z Afryki - upierał się Marlowe, nie racząc nazywać

mnie po imieniu. - Nie jest z Chester ani ze Szkocji, Irlandii, Walii, Francji czy Imperium. Nie wierzę też, żeby była z Niderlandów lub Hiszpanii.

- Witaj, Tom. Czy jest jakiś powód, dla którego ty i Kit musicie właśnie w tej chwili mówić o miejscu urodzenia Diany, i to w mojej sypialni? - Matthew zaciągnął mocniej tasiemki mojego kołnierzyka.

- Zbyt pięknie jest leżeć w łóżku, nawet jeśli choroba odebrała ci rozum. Kit mówi, że musiałeś ożenić się z czarownicą pod wpływem gorączki. Inaczej nie można wyjaśnić twojej lekkomyślności.

Tom perorował dalej, jak na demona przystało, nie próbując nawet odpowiedzieć na pytanie Matthew.

- Drogi były suche i przybyliśmy całe godziny temu.

- A nie ma już wina - jęknął Marlowe.

„My?” Było ich więcej? Old Lodge już teraz zdawała się pękać w szwach.

- Wychodź! Madame musi się wykąpać, nim przywita Jego Lordowską Mość. - Françoise weszła do pokoju z miednicą gorącej wody.

Pierre, jak zwykle, podążał tuż za nią.

- Stało się coś ważnego? - zapytał zza zasłony George. Wszedł niezauważony, prawie niwecząc próby Françoise pozbycia się mężczyzn z pokoju. - Lord Northumberland został sam w dużej sali. Gdyby to on był moim mecenasem, nie traktowałbym go w ten sposób!

- Hal czyta traktat o strukturze równowagi, który przesłał mi matematyk z Pizy. Jest całkiem zadowolony - odpowiedział rozdrażniony Tom, siadając na brzegu łóżka.

On musi mówić o Galileuszu, uświadomiłam sobie podekscytowana.

W 1590 roku Galileusz był nauczycielem młodszych roczników na uniwersytecie w Pizie. Jego praca o równowadze nie była opublikowana - jeszcze.

Tom. Lord Northumberland. Ktoś, kto korespondował z Galileuszem.

Otworzyłam usta ze zdziwienia. Demon, który siedział na pikowanej narzucie, musiał być Thomasem Harriotem.

- Françoise ma rację. Wynocha. Wszyscy - odezwał się Matthew równie rozdrażniony.

- Co mamy powiedzieć Halowi? - zapytał Kit, patrząc na mnie znacząco.

- Że niedługo przyjdę - odparł Matthew. Obrócił się na drugi bok i przytulił mnie mocno.

Zaczekałam, aż przyjaciele Matthew wyjdą z pokoju, po czym zaczęłam okładać męża

pięciami.

- A to za co? - skrzywił się, udając, że go boli, ale to ja posiniaczyłam sobie rękę.

- Za to, że nie powiedziałeś mi, kim są twoi przyjaciele! - Oparłam się na łokciu i zmierzyłam go wzrokiem. - Wielki dramaturg Christopher Marlowe. George Chapman, poeta i uczony. Matematyk i astronom Thomas Harriot, jeśli się nie mylę. A Hrabia Czarownik czeka na dole!

- Nie pamiętam, kiedy Henry'emu nadano ten przydomek, ale na razie nikt go tak nie nazywa. - Matthew wyglądał na rozbawionego, co jeszcze bardziej mnie rozżłościło.

- Brakuje tylko sir Waltera Raleigha, a mielibyśmy w domu całą Szkołę Nocy.

Matthew wyjrzał przez okno, gdy wspomniałam o legendarnej grupie radykałów, filozofów i wolnomyślicieli. Thomas Harriot. Christopher Marlowe. George Chapman. Walter Raleigh. I...

- Właściwie kim ty jesteś, Matthew? - Nie przyszło mi do głowy, by zapytać go o to przed wyruszeniem na tę wyprawę.

- Matthew Roydon - odparł, pochylając głowę, zupełnie jakbyśmy się właśnie poznali. - Przyjaciel poetów.

- Historycy prawie nic o tobie nie wiedzą - zauważyłam poruszona.

Matthew Roydon był najbardziej tajemniczą postacią związaną z tajemną Szkołą Nocy.

- Nie jesteś chyba zaskoczona, skoro już wiesz, kim w rzeczywistości jest Matthew Roydon? - Uniósł czarną brew.

- Jestem tak zaskoczona, że wystarczy mi na całe życie. Mogłeś mnie ostrzec, nim wrzuciłeś mnie w sam środek tego wszystkiego.

- I co byś zrobiła? Przed wyruszeniem w podróż ledwie starczyło nam czasu na przebranie się, a co dopiero mówić o przeprowadzeniu badań. - Usiadł i spuścił nogi na podłogę. Czasu dla siebie mieliśmy żałośnie mało. - Nie masz powodów do niepokoju. To przecież zwykli ludzie, Diano.

Bez względu na to, co mówił Matthew, nie było w nich nic zwykłego.

Szkoła Nocy prezentowała opinie heretyków, szydziła ze skorumpowanego dworu królowej Elżbiety i kpiła z intelektualnych roszczeń Kościoła i uniwersytetu.

Stwierdzenie „szaleni, źli i niebezpieczni dla otoczenia” idealnie ich opisywało. Nie przybyliśmy na miłe spotkanie przyjaciół w noc Halloween. Wpadliśmy prosto w gniazdo os elżbietzańskich intryg.

- Pomijając to, jak zuchwali bywają twoi przyjaciele, chyba nie możesz się dziwić, że nie

traktuję obojętnie ludzi, których prace studiowałam całe życie - oзнакомиłam. - Thomas Harriot to jeden z czołowych astronomów tych czasów. Twój przyjaciel Henry Percy jest alchemikiem.

Pierre, świadom tego, jak wygląda zdesperowana kobieta, szybko rzucił mojemu mężowi czarne bryczesy, by ten nie musiał bez spodni stawiać czoło mojemu gniewowi.

- Tak samo jak Walter i Tom. - Matthew zignorował go i podrapał się po podbródku. - Kit też próbuje, ale marnie mu idzie. Staraj się nie myśleć o tym, co o nich wiesz. Pewnie i tak się mylisz. I powinnaś uważać z tymi nowoczesnymi historycznymi etykietkami - mówił dalej, sięgając po bryczesy i wciągając je na nogi. - Will wymyśli Szkołę Nocy, żeby podrażnić Kita, ale to dopiero za kilka lat.

- Nie obchodzi mnie, co zrobił, robi albo będzie robił w przyszłości William Szekspir, o ile tylko nie jest w tej chwili w dużej sali z hrabią Northumberland! - krzyknęłam, zsuwając się z wysokiego łóża.

- Oczywiście, że go tam nie ma. - Matthew machnął od niechcienia ręką. - Walter nie pochwała jego opanowania metrum, a Kit uważa, że jest zwykłym gryziopiórkiem i złodziejem.

- Co za ulga. To co, zamierzasz im o mnie powiedzieć? Marlowe wie, że coś ukrywamy.

Matthew spojrzał na mnie tymi swoimi szarzielonymi oczami.

- Chyba prawdę. - Pierre podał mu kaftan: czarny, o skomplikowanym wyszywanym wzorze, i wpatrzył się w jakiś punkt nad moim ramieniem, ot, idealny model dobrego służącego. - Że możesz przemieszczać się w czasie i jesteś czarownicą z Nowego Świata.

- Prawdę - powtórzyłam cicho.

Pierre słyszał każde nasze słowo, ale nic po sobie nie dał poznać, a Matthew ignorował go tak, jakby był niewidzialny. Zaczęłam się zastanawiać, czy spędzę tu dość czasu, aby także nie zauważać jego obecności.

- Czemu nie? Tom spíše wszystko, co mówisz, i porówna to ze swoimi notatkami na temat narzecza Algonkinów. A poza nim nikt nie zwróci na to większej uwagi. - Matthew zdawał się bardziej przejmować swoim strojem niż reakcją przyjaciół.

Françoise wróciła z dwiema ciepłokrwistymi młodymi kobietami; niosły mnóstwo czystych ubrań. Wskazała moją nocną koszulę, więc schowałam się za baldachim, żeby się rozebrać. Wdzięczna, że czas spędzony w szatniach sportowych niemal zwalczył nieśmiałość, jeśli chodzi o przebieranie się przy obcych, podciągnęłam koszulę na wysokość ramion.

- Kit owszem. Szuka powodu, żeby mnie nie lubić, a ten da mu ich kilka.

- Kit to żaden problem - zapewnił Matthew.

- Czy Marlowe to twój przyjaciel, czy zabawka? - Wciąż walczyłam z koszulą, próbując uwolnić głowę, gdy rozległ się jęk przerażenia i ciche: *Mon Dieu*.

Zamarłam. Françoise zobaczyła moje plecy i bliznę w kształcie półksiężyca - ciągnęła się od lewej strony klatki piersiowej po prawą - a także gwiazdę między moimi łopatkami.

- Ja ubiorę madame - Françoise zwróciła się stanowczo do służących. -

Zostawcie przyodziewek i wracajcie do pracy.

Służące, wyraźnie mało zainteresowane, dygnęły i odeszły. Nie widziały śladów. Potem wszyscy zaczęli mówić naraz.

Zszokowany głos Françoise: „Kto to zrobił?“, rozległ się w tym samym momencie, co: „Nikt nie może o tym wiedzieć“, Matthew i moim obrońnym: „To tylko blizna“.

- Ktoś nazначzył cię herbem rodziny de Clermont - drażyła Françoise, potrząsając głową - którego używa milord.

- Złamaliśmy przymierze. - Pohamowałam mdłości; zawsze dostawałam ich na myśl o nocy, kiedy to inna czarownica nazначzyła mnie jako zdrajczynię. - To była kara Kongregacji.

- Więc dlatego jesteście tu oboje - prychnęła Françoise. - To przymierze od początku było głupim pomysłem. Philippe de Clermont nie powinien był się na nie godzić.

- Ale pozwoliło nam chronić się przed ludźmi. - Nie przepadałam za tym porozumieniem ani za dziewięcioosobową Kongregacją, która je narzuciła, ale trwały sukces w ukrywaniu nieludzkich stworzeń przed niechcianym zainteresowaniem był nie do podważenia. Starodawne umowy zawarte przez demony, wampiry i czarownice zakazywały mieszania się w politykę i religię ludzi, zakazywały też indywidualnych sojuszy między trzema gatunkami. Czarownice miały trzymać same ze sobą, tak jak wampiry i demony. Nie wolno im było się zakochiwać i ze sobą pobierać.

- Chronić się? Nie licz na to, że będziesz tu bezpieczna, madame.

Żadne z nas nie jest. Anglicy to przesądny naród, na każdym cmentarzu wypatrują duchów i czarownic przy kotle. Tylko Kongregacja stoi między nami i zniszczeniem. Mimo to słusznie uczyniłaś, szukając tu schronienia. Chodźmy, musisz się ubrać i przyłączyć do pozostałych. -

Françoise pomogła mi wyplątać się z nocnej koszuli, podała mokry ręcznik i naczynie z jakimś paskudztwem pachnącym rozmarynem i pomarańczami. Dziwnie się czułam traktowana jak dziecko, ale wiedziałam, że zwyczajowo ludzie rangi Matthew byli myci, ubierani i karmieni jak lalki. Pierre podał Matthew puchar czegoś zbyt ciemnego jak na wino. - Ona jest nie tylko czarownicą, ale też *fileuse de temps*? -

Françoise zapytała cicho Matthew.

Nieznane mi określenie „przędka czasu“ przywołało obrazy wielu różnokolorowych nici, za którymi podążaliśmy, by dotrzeć do tego momentu w przeszłości.

- Owszem. - Matthew skinął głową, popijając z pucharu i skupiając uwagę na mnie.

- Ale jeśli ona przybyła z innych czasów, to oznacza... - zaczęła Françoise, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

Potem zamyśliła się. Matthew musi wyrażać się i zachowywać inaczej.

Ona podejrzewa, że to nie ten sam Matthew, uświadomiłam sobie z niepokojem.

- Wiemy, że jest pod ochroną milorda, to wystarczy - odezwał się nagle Pierre, a w jego głosie brzmiała groźba. Podał Matthew sztylet. -

Nieważne, co to znaczy.

- To znaczy, że ją kocham, a ona mnie. - Matthew przyjrzał się uważnie swojemu słudze.  
- Bez względu na to, co będę mówił innym, taka jest prawda. Jasne?

- Tak - odparł Pierre, choć jego ton sugerował coś wręcz przeciwnego.

Matthew spojrzał pytająco na Françoise; zacisnęła usta i z niechęcią skinęła głową.

Po chwili skupiła się na dalszych zabiegach - owinęła mnie w gruby płócienny ręcznik. Musiała zauważyć inne znaki na moim ciele, te, które otrzymałam podczas tego niekończącego się dnia z czarownicą Satu, a także inne, późniejsze blizny. Nie zadawała jednak więcej pytań, tylko posadziła mnie na krześle przy kominku i zabrała się do czesania moich włosów.

- A czy obraza nastąpiła po tym, jak milord wyznał miłość czarownicy? - Françoise przerwała milczenie.

- Tak. - Matthew przypassał sztylet.

- W takim razie to nie *manjasang* ją nazaczył - wyszeptał Pierre.

Użył starego prowansalskiego określenia na wampira: „pożeracz krwi”.

- Nikt nie ryzykowałby gniewu de Clermontów.

- Nie, to zrobiła inna czarownica. - Mimo że nie było mi zimno, to stwierdzenie przyprawiło mnie o dreszcz.

- A dwóch manjasangów stało obok i pozwoliło na to. I za to zapłacą - oświadczył ponuro Matthew.

- Co się stało, to się nie odstanie - nie chciałam wszczynać wojny wśród wampirów. I tak musieliśmy sprostać wielu wyzwaniom.

- Jeśli milord uznał cię za żonę, gdy zabrała cię czarownica, to sprawa nie jest zakończona. - Sprawne palce Françoise zaplotły mi włosy w ścisłe warkocze, po czym owinęła je wokół mojej głowy i upięła. - Może i w tym zapomnianym przez Boga kraju, gdzie da się mówić

o lojalności, nazywasz się Roydon, ale nie zapomnimy, że jesteś de Clermont.

Matka Matthew ostrzegała mnie, że de Clermontowie stanowią zwartą grupę. W XXI wieku krzywiłam się na obowiązki i ograniczenia z tym związane. Ale w 1590 moja magia była nieprzewidywalna, wiedza o czarownikach prawie nie istniała, a najstarszy znany przodek jeszcze się nie narodził. Tutaj nie mogłam polegać na niczym poza swoim rozumem i Matthew.

- Wtedy intencje nas dwojga były jasne. A teraz nie chcę żadnych kłopotów. - Spojrzałam na pierścień Ysabeau i przesunęłam kciukiem po obrączce. Nadzieja, że zdołamy się bez trudu włączyć w przeszłość, była równie nikła, jak naiwna. Rozejrzałam się wokół. - A to...

- Jesteśmy tu tylko z dwóch powodów, Diano: żeby znaleźć ci nauczyciela i jeśli zdołamy, odszukać manuskrypt o alchemii.

Matthew mówił o tajemniczym manuskrypcie zwanym *Ashmole 782*, który zapoczątkował naszą znajomość. W XXI wieku był bezpiecznie schowany pośród milionów książek w oksfordzkiej Bibliotece Bodlejańskiej. Gdy wypełniałam rewers, nie miałam pojęcia, że tak prosta czynność uwolni powikłany czar, który wiąże manuskrypt z półkami, ani też że czar ten powróci, gdy oddam tom. Nie wiedziałam też o wielu tajemnicach dotyczących czarownic, wampirów i demonów, ukrytych na stronach manuskryptu. Matthew uznał, że mądrzej będzie odnaleźć *Ashmole 782* w przeszłości, niż próbować znów uwolnić czar we współczesnym świecie.

- Aż do naszego powrotu to będzie twój dom - mówił dalej, starając się podtrzymać mnie na duchu.

Ciężkie meble w pokoju znane mi były z muzeów i ka-talo gów domów aukcyjnych, ale Old Lodge nigdy nie mogła być jak dom.

Dotknęłam sztywnego płótna, z którego zrobiono mój ręcznik - jakże innego niż wyblakłe ręczniki frotte Sarah i Em, przetarte od zbyt wielu prań. Głosy z pokoju obok brzmiały śpiewnie i miały rytm, jakiego nikt ze współczesnych, czy to historyk, czy nie, nie znał. Ale pomoc nam mogła jedynie przeszłość. Inne wampiry dały nam to jasno do zrozumienia podczas ostatnich dni w Madison, gdy ścigały nas i prawie zabiły Matthew. Jeśli reszta naszego planu miała się powieść, musiałam przede wszystkim nauczyć się, jak być prawdziwą kobietą czasów elżbietańskich.

- „O brave new world”. - Cytowanie *Burzy* Szekspira na dwadzieścia lat przed jej powstaniem to poważne historyczne wykroczenie, ale to był naprawdę trudny ranek.

- „Tis new to thee” - odparł Matthew. - Jesteś gotowa stawić czoło wyzwaniom?

- Oczywiście. Niech tylko będę ubrana. - Skrzyżowałam ramiona na piersi i wstałam z krzesła. - Jak mówi się „cześć” hrabiemu?

## ROZDZIAŁ 2

Moje obawy o maniery okazały się płonne. Tytuły i zwroty grzecznościowe nie były ważne, gdy rzeczonym hrabią był łagodny olbrzym zwany Henrym Percym.

Françoise, dla której przyzwoitość miała olbrzymie znaczenie, robiła mnóstwo hałasu, ubierając mnie w zdobyte gdzieś stroje - czyjeś halki, pikowany gorset, mający ukryć moją zbyt kręłą figurę i nadać jej bardziej kobiecy kształt, wyszywaną bluzkę z wysokim, marszczonym kołnierzem, pachnącą lawendą i drewnem cedrowym, czarną aksamitną spódnicę dzwon i najlepszy surdut Pierre'a, jedyną część garderoby, która jako tako na mnie pasowała. Ale mimo najszczęśliwszych starań Françoise nie zdołała zapiąć mi go na biuście. Wstrzymywałam oddech, wciągałam brzuch i liczyłam na cud, gdy ściągała sznurówki gorsetu, ale chyba tylko boska interwencja mogłaby nadać mi figurę sylfidy.

Podczas tych skomplikowanych zabiegów zadawałam Françoise mnóstwo pytań. Portrety z tego okresu sugerowały, że będę musiała włożyć sztywną klatkę zwaną krynoliną, która sprawi, że moje suknie nie będą przylegały do bioder, ale Françoise wyjaśniła mi, że jest to strój na bardziej oficjalne okazje, i zamiast tego obwiązała mi talię grubym wálkiem, a dopiero na wierzch narzuciła spódnicę. Dzięki temu warstwy materiału nie plątały mi się pod nogami, pozwalając swobodnie chodzić, o ile oczywiście na drodze nie było żadnych mebli, a cel na wprost.

Françoise nauczyła mnie też, jak dygać, tłumacząc przy okazji kwestię tytułów Henry'ego Percy'ego, należało go tytułować „lordem Northumberland”, mimo że nazywał się Percy i był hrabią.

Ale nie miałam okazji wykorzystać świeżo zdobytej wiedzy. Gdy tylko weszliśmy z Matthew do salonu, poderwał się, by nas przywitać, szczerzył, młody mężczyzna w ubłoconym stroju podróżnym z delikatnej brązowej skóry. Miał szeroką twarz, bystre oczy, popielate brwi i spore zakola.

- Hal. - Matthew uśmiechnął się z pobłażliwą poufalością starszego brata.

Ale hrabia zlekceważył starego przyjaciela i podszedł do mnie.

- P-p-pani Roydon. - Głęboki bas był bezbarwny, z ledwo zauważalnym akcentem.

Nim zeszedliśmy na dół, Matthew wyjaśnił mi, że Henry niedosłyszy i od dziecka się jąka, ale doskonale czyta z ruchu warg. Wreszcie był ktoś, z kim mogłam bez skrępowania porozmawiać.

- Widzę, że Kit znów mnie uprzedził - stwierdził Matthew ze smutnym uśmiechem. - Sam



chciałem cię o tym poinformować.

- Cóż to za różnica, kto jest posłańcem tak dobrych wieści? - Lord Northumberland się uklonił. - Dziękuję za twoją gościnność, pani, i przepraszam, że witam cię w takim stanie. Jakże miło, że o tak wczesnej porze toleruje pani obecność przyjaciół męża. Powinniśmy byli odjechać natychmiast, gdy dowiedzieliśmy się o pani przybyciu. I udać się do gospody.

- Milordzie, jest pan tu mile widziany. - Nadszedł czas na dygnięcie, ale niełatwo było zebrać ciężkie czarne suknie, a gorset miałam tak mocno zasznurowany, że nie mogłam się pochylić. Ustawiłam nogi w odpowiedniej pozycji, ale zachwiałam się, zginając kolana. Podtrzymała mnie duża dłoń o krótkich, grubych palcach.

- Wystarczy Henry, pani. Wszyscy nazywają mnie Hal, więc moje imię można uznać za odpowiednio oficjalną formę. - Jak wielu niedosłyszających hrabia starał się nie podnosić głosu. Puścił mnie i zwrócił się do Matthew. - Co się stało z twoją brodą, Matt? Czyżbyś chorował?

- Trochę gorączkowałem, nic poważnego. Małżeństwo mnie uzdrowiło. A gdzie pozostali? - Matthew rozejrzał się za Kitem, George'em i Tomem.

Duża sala Old Lodge wyglądała zupełnie inaczej w świetle dnia.

Dotychczas widziałam ją tylko w nocy, ale tego ranka odkryłam, że boazeria kasetonowa to w rzeczywistości okiennice, otwarte teraz na oścież. Dzięki temu wewnątrz wydawało się przestronne, mimo potężnego kominka przy przeciwległej ścianie, zdobionego fragmentami średniowiecznej kamieniarki, zapewne uratowanej przez Matthew z gruzów dawnego opactwa - udręczona twarz świętego, jakiś herb, gotycka rozeta.

- Diano? - wyrwał mnie z zamyślenia rozbawiony głos Matthew. - Hal mówi, że pozostali są w salonie, czytają i grają w karty. Nie przyłączył się do nich, gdyż uważał, że bez zaproszenia pani domu nie wypada.

- Oczywiście hrabia musi z nami zostać i możemy natychmiast dołączyć do twoich przyjaciół.

Zaburczało mi w brzuchu.

- Albo dać ci coś do jedzenia - zaproponował z błyskiem w oku.

Po tym, jak udało mi się swobodnie przywitać z Henrym Percym, Matthew trochę się rozluźnił.

- Czy ktoś zaproponował ci coś do jedzenia, Hal?

- Pierre i Françoise byli usłużni, jak zawsze - zapewnił. - Oczywiście, jeśli pani Roydon zechce się do mnie przyłączyć... - Zamilkł, a jego żołądek zaburczał do wtóru mojemu. Hrabia był wysoki jak żyrafa. Na pewno potrzebował mnóstwo jedzenia.

- Ja także gustuję w dużych śniadaniach, panie - odezwałam się ze śmiechem.

- Henry - poprawił mnie cicho, a dołeczek w podbródku wyraźnie zarysował się w uśmiechu.

- W takim razie proszę, mów mi Diana. Nie mogę zwracać się do hrabiego Northumberland po imieniu, jeśli nazywa mnie wciąż „panią Roydon”.

Françoise bardzo nalegała, by odpowiednio honorować hrabiego.

- Dobrze, Diana - powiedział Henry, podając mi ramię. Poprowadził mnie pełnym przeciągów korytarzem do przyjemnego pokoju o niskim suficie. Był on przytulny i ciepły, okna wychodziły na południe. Choć niewielki, zdołano tam zmieścić trzy stoły, a także stołki i ławy. Ciche szuranie, przerywane pobrzękiwaniem garnków i patelni, sugerowało, że jesteśmy blisko kuchni. Ktoś przyczepił do ściany stronę z almanachu, a na głównym stole leżała mapa, z jednej strony przyciśnięta świecznikiem, a z drugiej płytką cynową paterą z owocami. Całość, z tą dbałością o detal, przypominała holenderską martwą naturę. Zatrzymałam się gwałtownie, otumaniona zapachem.

- Pigwa. - Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć owoców. Wyglądały dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, gdy Matthew opisywał mi Old Lodge.

Henry zdawał się zaskoczony moją reakcją na zwykłą paterę z owocami, ale był zbyt dobrze wychowany, by coś powiedzieć.

Usiedliśmy przy stole, a służący dodał do tej martwej natury świeży chleb, półmisek winogron i talerz jabłek. Miło było zobaczyć znane jedzenie. Henry zaczął się częstować, a ja poszłam za jego przykładem, uważnie obserwując, co i ile wybiera. To zawsze drobne różnice zdradzają obcych, a ja chciałam sprawiać wrażenie jak najzwyklejszej.

Gdy nałożyliśmy jedzenie na talerze, Matthew nalał sobie wina do kielicha.

Podczas posiłku Henry zachowywał się bardzo uprzejmie. Nie pytał mnie o nic osobistego, nie wtrącał się w sprawy Matthew, w zamian bawił nas opowieściami o swoich psach, posiadłościach i surowej matce, zapewniając przy tym stały dopływ grzanek pieczonych nad ogniem.

Zaczynał właśnie opowiadać nam o tym, jak przeniósł się do Londynu, gdy na dziedzińcu wybuchło zamieszanie. Hrabia, odwrócony do drzwi plecami, nic nie zauważył.

- Ona jest niemożliwa! Ostrzegaliście mnie wszyscy, ale nie wierzyłem, że ktoś może być tak niewdzięczny. A dzięki mnie tyle złota spłynęło do jej szkatuł, mogła przynajmniej... och. - Potężne bary naszego nowego gościa wypełniły odrzwia, z ramienia spływał mu płaszcz tak ciemny, jak wysypujące się spod wspaniałego kapelusza z piórem loki. - Matthew, jesteś chory? Henry odwrócił się zaskoczony.

- Witaj, Walterze. Czemu nie jesteś na królewskim dworze?

Próbowałam przełknąć kęs grzanki. Nowo przybyły był najprawdopodobniej brakującym członkiem Szkoły Nocy Matthew - sir Walterem Raleighem.

- Wygnano mnie z raju z braku innej możliwości, Hal. A to kto? - Przeszył mnie spojrzeniem błękitnych oczu, a w ciemnej brodzie błysnęły zęby. - Henry Percy, ty sprytny satyrze. Kit mówił, że zamierzasz uwieść piękną Arabellę. Gdybym wiedział, że zainteresuje cię ktoś starszy niż piętnastolatka, już dawno postarałbym się o jakąś krzepką wdowę dla ciebie.

Starszy? Wdowę? Ledwie skończyłam trzydzieści trzy lata.

- Jej urok sprawił, że zamiast klęczeć w niedzielę w kościele, siedzisz w domu. Musimy podziękować damie za to, że podniosła cię z klęczek i posadziła na konia, gdzie twoje miejsce - mówił dalej z naciskiem Raleigh.

Hrabia Northumberland oparł długi widelec do opiekania o palenisko i przyjrzał się przyjacielowi. Pokręcił głową i znów zajął się pieczeniem.

- Wyjdź, wróć i zapytaj Matta o wieści. I to ze skruszoną miną.

- Nie. - Walter wpatrzył się w Matthew z otwartymi ustami. - Jest twoja?

- I na dowód ma obrączkę. - Matthew jednym ruchem obutej nogi wykopał spod stołu taboret. - Siadaj, Walterze, i naley sobie piwa.

- Przysięgałeś, że nigdy się nie ożenisz - mruknął wyraźnie zszokowany Walter.

- Nie obyło się bez przekonywania.

- Nie dziwię się. - Znów spoczęło na mnie oceniające spojrzenie Waltera Raleigha. - Jaka szkoda, że zostało zmarnowane na tak zimnokrwistą istotę. Ja nie wahałbym się ani chwili.

- Diana zna mnie i nie przeszkadza jej ta „zimnokrwistość”, jak to określasz. Poza tym to ją trzeba było przekonywać. Ja zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia - oświadczył Matthew.

Walter tylko prychnął.

- Nie bądź tak cyniczny, drogi przyjacielu. Kupidyn wciąż jeszcze może cię dopaść. - Szare oczy Matthew zalśniły psotnie, gdyż doskonale wiedział, jaka przyszłość czeka Raleigha.

- Kupidyn będzie musiał wstrzymać się ze strzelaniem do mnie. Na razie jestem zaabsorbowany unikaniem przykrych dla mnie awansów królowej i jej admirała.

Walter rzucił kapelusz na stół obok, potracił przy tym lśniąca planszę do tryktraka i rozsypał pionki. Jęknął i usiadł obok Henry'ego.

- Zdaje się, że wszyscy chcą mi się dobrać do skóry, a nikt nie chce choćby odrobinę mnie wspomóc w kwestiach kolonii, które nade mną wiszą. To ja wpadłem na pomysł obchodów przypadającej teraz rocznicy, ale ta kobieta wyznaczyła Cumberlanda, żeby zajął się przygotowaniem ceremonii.

Znów się rozzłościł.

- Nadal żadnych wieści z Roanoke? - zapytał cicho Henry, podając Walterowi kufel gęstego, brązowego piwa.

Żołądek mi się skręcił na wspomnienie skazanej na niepowodzenie wyprawy Raleigha do Nowego Świata. Po raz pierwszy ktoś się zastanawiał, jakie będą jej efekty, ale na pewno nie po raz ostatni.

- W zeszłym tygodniu White powrócił z Plymouth, przygnany przez złą pogodę. Musiał zrezygnować z poszukiwania córki i wnuczki. - Walter pociągnął długi łyk i wpatrzył się w przestrzeń. - Bóg jeden wie, co się z nimi wszystkimi stało.

- Gdy nadejdzie wiosna, udasz się tam i ich odnajdziesz - oświadczył z przekonaniem Henry, ale Matthew i ja wiedzieliśmy, że zaginieni koloniści z Roanoke nigdy nie zostaną odnalezieni, a Raleigh nie postawi już stopy na ziemi Karoliny Północnej.

- Daj Bóg, żebyś miał rację, Hal. Ale dość o moich problemach. Z jakiej części kraju pochodzi twój ród, pani Roydon?

- Z Cambridge - odparłam cicho, starając się odpowiadać jak najzwyczajniej i najszczerzej. Co prawda moje rodzinne miasto leżało w Massachusetts, a nie w Anglii, ale jeśli teraz zaczęłabym zmyślać, to od razu bym się w tym pogubiła.

- A więc jesteś córką uczonego. A może twój ojciec był teologiem?

Matt chętnie znalazłby kogoś, z kim mógłby omawiać kwestie wiary. Z wyjątkiem Hala jego przyjaciele nie mają pojęcia o doktrynie. - Walter sączył piwo i czekał na odpowiedź.

- Ojciec Diany zmarł, gdy była jeszcze bardzo młoda. -Matthew ujął mnie za rękę.

- Współczuję, Dianko. Strat-t-ta ojca to okropny cios -wyszeptał Henry.

- A czy twój pierwszy mąż zostawił po sobie córki i synów, by mogli ukoić twój żal? - zapytał Walter, a w jego głosie pojawiła się nutka sympatii.

W owych czasach kobieta w moim wieku byłaby już wcześniej zamężna i miałaby pewnie trójkę czy czwórkę dzieci. Pokręciłam głową.

- Nie.

Walter zmarszczył brwi, ale nim zadał kolejne pytanie, pojawił się Kit, a wraz z nim George i Tom.

- Nareszcie. Przemów mu do rozsądku, Walterze. Matthew nie może dalej odgrywać Odyseusza dla swojej Kirke. - Kit chwycił stojący przed Harrym kufel. - Witaj, Hal.

- Komu przemówić do rozsądku? - zareagował ostro Walter.

- Ależ Mattowi. Ta kobieta to czarownica. I coś z nią nie tak. - Kit zmrużył oczy. - Coś ukrywa.

- Czarownica - powtórzył ostrożnie Walter. Służąca, z naręczem drewna, zamarła w progu.

- Właśnie. - Kit podkreślił swoje słowa skinieniem głowy. - Tom i ja od razu rozpoznaliśmy oznaki.

- Jak na dramaturga, Kit, masz wyjątkowe wyczucie czasu i miejsca. -

Walter spojrzął na Matthew. - Idziemy gdzie indziej, żeby omówić tę kwestię, czy też jest to tylko jeden z głupich pomysłów Kita? Jeśli tak, to wolałbym zostać tu, gdzie jest ciepło, i dopić piwo.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Gdy mina Matthew pozostała obojętna, Walter przeklął pod nosem. Jakby na zawołanie pojawił się Pierre.

- W salonie rozpalono ogień, milordzie - zwrócił się do Matthew wampir. - I podano jedzenie i wino dla pańskich gości. Nikt wam nie będzie przeszkadzał.

Salon nie był ani tak przytulny jak pokój, w którym jedliśmy śniadanie, ani tak imponujący jak duża sala. Liczba rzeźbionych foteli, pięknych gobelinów i obrazów w zdobionych ramach sugerowała, że pokój ten służył głównie zabawianiu najważniejszych gości. Nad kominkiem wisiał wspaniały obraz pędzla Holbeina przedstawiający świętego Hieronima i jego lwa. Nie znałam tego dzieła, podobnie jak tego samego autorstwa portretu Henryka VIII o świńskich oczkach: trzymał księgę i okulary, stał nad stołem zastawionym drogocennymi przedmiotami i przyglądał się w zadumie zwiedzającym. Córka Henryka, pierwsza i obecna królowa Elżbieta, wpatrywała się w niego wyniośle z drugiej strony pokoju. Gdy się rozsiadaliśmy, ich sztywne pozy nie mogły rozluźnić panującej tu atmosfery. Matthew oparł się o ścianę przy kominku, splótł ręce na piersi i przybrał równie dumną postawę, jak Tudorowie na ścianach.

- Powiesz im prawdę? - szepnęłam.

- Zwykle tak jest łatwiej, pani - odezwał się ostro Raleigh. - Nie mówiąc już o tym, że to bardziej wskazane wśród przyjaciół.

- Zapominasz się, Walterze - warknął groźnie Matthew.

- Zapominam! I to mówi ktoś, kto związał się z czarownicą? - Walter, irytując się, bez trudu dotrzymywał w tym tempa Matthew, ale w jego głosie pobrzmiewała też nutka strachu.

- To moja żona - odparował Matthew. Przeszedł dłonią włosy. - A co do tego, że jest czarownicą, to każdy z nas jest o coś oskarżany, słusznie lub nie.

- Ale żeby się z nią żenić... co ci przyszło do głowy? - zapytał głucho Walter.

- Kocham ją - odparł Matthew.

Kit przewrócił oczami i ze srebrnego dzbanka nalał sobie wina do kielicha. Wizja tego, jak siadam z nim przy wesoło trzaskającym ogniu i dyskutuję o magii i literaturze, rozplynęła się w

ostrym światłem tego listopadowego poranka. Przebywałam w 1590 roku niecałą dobę, a już miałam szczerze dość Marlowe'a.

Słowom Matthew odpowiedziała cisza, podczas gdy mierzyli się z Walterem wzrokiem. W stosunku do Kita Matthew był pobłażliwy ale i trochę poirytowany. George-owi i Tomowi okazywał cierpliwość, a Henry'emu braterską miłość. Ale Raleigh dorównywał Matthew inteligencją, władzą, a może nawet bezwzględnością, a to oznaczało, że tylko jego opinia się liczy.

Darzyli się ostrożnym szacunkiem, jak dwa wilki, co to mają zdecydować, który z nich poprowadzi watahę.

- A więc to tak - odezwał się wolno Walter, poddając się Matthew.

- Tak. - Matthew stanął na szeroko rozstawionych nogach.

- Masz zbyt wiele sekretów i zbyt wielu wrogów, żeby się żenić. A mimo to tak uczyniłeś.  
- Walter był zdumiony. - Wielu twierdziło, że zbyt ufasz swojej intuicji, ale nigdy się z nimi nie zgadzałem. Dobrze, Matthew. Skoro jesteś tak sprytny, powiedz nam, co mówić, gdy pojawią się pytania.

Kit uderzył pucharem w stół, rozlewając czerwone wino.

- Nie możesz po nas oczekiwać, że...

- Cicho! - Walter posłał Marlowe'owi wściekłe spojrzenie. - Biorąc pod uwagę kłamstwa, które rozgłaszamy dla twojego dobra, dziwię się, że masz chęć protestować. Mów, Matthew.

- Dziękuję, Walterze. Jesteście jedyną piątką ludzi w królestwie, którzy mogą wysłuchać mojej opowieści i nie uznać mnie za szaleńca. -

Matthew znów przeczesał palcami włosy. - Pamiętajcie, jak ostatnio rozmawialiśmy o tezie Giordana Bruna o nieskończonej liczbie światów, nieograniczonej czasem i przestrzenią?

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Nie jestem pewien - odezwał się ostrożnie Henry - czy rozumiemy, co chcesz powiedzieć.

- Diana jest z Nowego Świata. - Matthew zamilkł, co pozwoliło Marlowe'owi obrzucić zebranych triumfalnym wzrokiem. - Z Nowego Świata, który dopiero nastanie.

Zapadła cisza i wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

- Powiedziała, że jest z Cambridge - odezwał się osłupiały Walter.

- Nie z tego Cambridge. Moje Cambridge leży w Massachusetts. -

Głos drżał mi ze zdenerwowania, no i dlatego, że tak długo się nie odzywałam.

Odchrząknęłam. - Kolonia powstanie na północ od Roanoke za jakiś czterdzieści lat.

Rozległy się okrzyki i ze wszystkich stron posypały się pytania.

Harriot wyciągnął rękę i delikatnie dotknął mojego ramienia. Gdy poczuł żywe ciało, zdziwiony cofnął rękę.

- Słyszałem o stworzeniach, które potrafią rządzić czasem wedle ich woli. Toż to wspaniały dzień, prawda, Kit? Myślałeś kiedy, że poznasz prządkę czasu? Oczywiście musimy mieć się przy niej na baczności, bo inaczej zapłaczymy się w jej sieć i zgubimy drogę. - Mina Harriota wyrażała tęsknotę, zupełnie jakby chciał znaleźć się w innym świecie.

- A co sprowadziło cię tutaj, pani Roydon? - Przez zgiełk przebił się głęboki głos Waltera.

- Ojciec Diany był uczonym - odpowiedział za mnie Matthew.

Rozległy się pomruki zainteresowania; ucichły, gdy Walter uniósł dłoń. - Jej matka także. Czarownik i czarownica. Oboje zginęli w tajemniczych okolicznościach.

- A więc coś nas łączy, D-D-Diano - wyjąkał Henry. Nim zdążyłam zapytać, co miał na myśli, Walter gestem poprosił, żeby Matthew kontynuował.

- W związku z tym jej nauka magii została... pominięta - ciągnął Matthew.

- Taką czarownicę łatwo wykorzystać. - Tom zmarszczył brwi. - Czemu, w tym przyszyłem Nowym Świecie, nie poświęcono temu stworzeniu większej uwagi?

- Moja magia i związana z nią długa historia mojej rodziny nic dla mnie nie znaczą. Musicie zrozumieć, jak to jest chcieć wyjść poza granice, jakie stwarza urodzenie. - Spojrzałam na Kita, syna szewca, licząc na to, że przynajmniej zgodzi się ze mną, nawet jeśli bez sympatii, ale on tylko się odwrócił.

- Ignorancja to niewybaczalny grzech. - Kit zaczął się bawić kawałkiem czerwonego jedwabiu, który wystawał z jednego z wielu postrzępionych nacięć w jego czarnym kaftanie.

- Tak jak nielojalność - odezwał się Walter. - Mów dalej, Matthew.

- Diana może i nie była szkolona w rzemiośle czarownicy, ale na pewno nie jest ignorantką. To także uczona - oświadczył dumnie Matthew. - I pasjonuje się alchemią.

- Kobiety parające się alchemią to tylko kuchenne filo-zofki - sarknął Kit - bardziej zainteresowane upiększaniem swojej cery niż zrozumieniem sekretów natury.

- Studiuję alchemię w bibliotece, nie w kuchni - warknęłam, zapominając o odpowiednim modulowaniu głosu i akcencie.

Kit spojrział na mnie zaskoczony.

- A potem wykładam o tym studentom na uniwersytecie.

- Pozwolą kobietom uczyć na uniwersytecie?! - zawołał George w równym stopniu zgorszony, co zafascynowany.

- A także studiować - wyszeptał Matthew, zażenowany, ciągnąc się za nos. - Diana uczyła się w Oksfordzie.

- To na pewno poprawiło frekwencję na wykładach - odezwał się sucho Walter. - Gdyby kobiety dopuszczono na Oriol, nawet zastanowiłbym się nad rozpoczęciem drugiego fakultetu. A czy uczone w tej przyszłej kolonii gdzieś na północ od Roanoke są atakowane? - Był to rozsądny wniosek z opowiedzianej dotąd historii Matthew.

- Nie wszystkie. Ale Diana odnalazła na uniwersytecie zaginioną księgę. - Członkowie Szkoły Nocy nachylili się w stronę Matthew.

Zaginione księgi były dla nich znacznie bardziej interesujące niż jakieś niewykształcone czarownice i uczone. - Księga ta zawierała tajemne informacje o świecie stworzeń.

- Księga Tajemnic, która ma opowiadać o naszym pochodzeniu? - zdziwił się Kit. - Nigdy wcześniej nie interesowały cię bajki, Matthew.

Prawdę powiedziawszy, odrzucałeś je, uznawałeś za przesad.

- Teraz w nie wierzę, Kit. Odkrycie Diany sprowadziło do jej drzwi wrogów.

- A ty byłeś tam z nią. Więc jej wrogowie unieśli zasuwkę i weszli. - Walter pokręcił głową.

- Czemu zainteresowanie Matthew miało spowodować tak poważne konsekwencje? - zapytał George. Sięgnął po czarną taśmę z rypsu, która mocowała jego okulary w zapięciu kaftana, modnie wybrzuszona, a to, czym był wypchany, przy każdym ruchu szeleściło jak worek z owsem.

George uniósł do oczu okrągłe ramki i przyjrzał mi się, jakbym była jakimś nowym ciekawym eksponatem do badań.

- Ponieważ czarownice i wampierze nie mają prawa się pobierać - odparł szybko Kit.

Nigdy wcześniej nie słyszałam słowa „wampierz”, z archaiczną głóską „am” i ostrym „erz” na końcu.

- Podobnie jak demony i wampierze. - Walter ostrzegawczo złapał Kita za ramię.

- Naprawdę? - George spojrział na Matthew, a potem na mnie. - Czy to królowa zakazała takich związków?

- To starodawna umowa między stworzeniami, której nikt nie śmie złamać. - Głos Toma drżał ze strachu. - Ci, którzy się tego dopuszczają, zostają wezwani przed oblicze Kongregacji i



ukarani.

Tylko wampiry tak stare jak Matthew mogły pamiętać czasy sprzed przymierza, ustalającego, jak mamy się do siebie odnosić i zachowywać wobec otaczających nas ludzi. „Żadnego bratania się między nieziemskimi stworzeniami” - tak stanowiła najważniejsza zasada, a Kongregacja strzegła ustalonych granic. Naszych umiejętności - inwencja twórcza, siła, nadnaturalne zdolności - nie dało się ignorować, gdy byliśmy w mieszanych grupach. Zupełnie jakby moce czarownicy podkreślały twórczą energię demonów, a geniusz demonów sprawiał, że piękno wampirów jeszcze bardziej porażało. Co do naszych związków z ludźmi, to mieliśmy zachowywać dystans, nie mieszać do polityki ani religii.

Tego ranka Matthew dowodził mi, że w XVI wieku Kongregacja miała zbyt wiele innych problemów - wojny religijne, palenie heretyków na stosach i głód dziwactw i wybryków natury potęgowanych nowo wynalezioną technologią druku - by jej członkowie przejmowali się czymś tak banalnym jak miłość czarownicy i wampira. Ale biorąc pod uwagę zadziwiające, groźne wydarzenia, które rozegrały się, od kiedy poznałam Matthew pod koniec września, trudno mi było uwierzyć w jego słowa.

- Jaka Kongregacja? - zapytał zaciekawiony George. - Czyżby kolejna sekta?

Walter puścił mimo uszu pytanie przyjaciela i przeszył Matthew wzrokiem. A potem zwrócił się do mnie:

- Nadal masz tę księgę?

- Nikt jej nie ma. Wróciła do biblioteki. Czarownice oczekują, że znów ją dla nich przywołam.

- A więc ścigają cię z dwóch powodów. Część chce cię utrzymać z dala od wampierza, inni pragną wykorzystać jako środek do celu. - Walter ścisnął grzbiet nosa i spojrzał zmęczonym wzrokiem na Matthew. -

Przyjacielu, jeśli chodzi o kłopoty, to prawdziwy z ciebie magnes. I nie mogło się to zdarzyć w bardziej niestosownym momencie. Obchody jubileuszu królowej już za niecałe trzy tygodnie. I jesteś oczekiwany na dworze.

- Co tam jubileusz królowej! Mając wśród nas prądkę czasu, nie jesteśmy bezpieczni. Czarownica może namącić w naszej przyszłości, przyniesie nieszczęście... a nawet przyspieszy śmierć! - Kit poderwał się z krzesła i stanął naprzeciw Matthew. - Na wszystko, co święte, jak mogłeś tak postąpić?

- Wygląda na to, że twój osławiony ateizm cię zawiódł, Kit - odparł spokojnie Matthew. - Czyżbyś obawiał się, że jednak będziesz musiał odpokutować za swoje grzechy?

- Nie muszę wierzyć we wspańałowmyślne, wszechmocne bóstwo, jak ty, Matthew, ale na tym świecie istnieje coś więcej niż tylko to, co opisują twoje filozoficzne książki. A ta kobieta, ta czarownica, nie może mieszać w naszych sprawach. Może i jesteś pod jej urokiem, ale ja nie zamierzam oddawać mojej przyszłości w jej ręce! - warknął Kit.

- Chwileczkę. - Na twarzy George'a odmalowało się jeszcze większe zaskoczenie. - Przybyłeś do nas z Chester, Matthew, czy...

- Nie! Nie odpowiesz na to pytanie, Matt - zawołał w przypiływie olśnienia Tom. - Janus pojawił się wśród nas w jakimś celu i nie możemy w tym przeszkodzić.

- Tom, mów po ludzku, jeśli możesz - zadrwił Kit.

- Jedną twarzą Matthew i Diana patrzą w przeszłość. A drugą rozważają przyszłość - odparł niezrażony Tom.

- Ale jeśli Matt nie jest... - George zamilkł.

- Tom ma rację - odezwał się szorstko Walter. - Matthew jest naszym przyjacielem i poprosił nas o pomoc. I z tego, co pamiętam, zdarzyło się to po raz pierwszy. Nic więcej nie musimy wiedzieć.

- Prosi o zbyt wiele - buntował się Kit.

- Zbyt wiele? Mało i późno, moim zdaniem. Matthew zapłacił za jeden z moich statków, uratował włości Henry'ego i od dawna pozwala George'owi i Tomowi tkwić z nosami w książkach i marzeniach. A co do ciebie... - Walter zmierzył Marlowe'a wzrokiem. - Wszystko w tobie i na tobie, począwszy od twoich pomysłów, poprzez ostatni kielich wina, który wypiełeś, i kapelusz na twojej głowie, zawdzięczasz dobroci Matthew Roydona. W porównaniu z tym zapewnienie bezpieczeństwa jego żonie podczas tej nawałnicy to naprawdę drobiazg.

- Dziękuję, Walterze. - Matthew odetchnął z ulgą, ale spojrzał na mnie z niepewnym uśmiechem. Przekonać jego przyjaciół, a w szczególności Waltera, nie było tak łatwo, jak oczekiwał.

- Musimy wymyślić przekonującą historię, która wyjaśni, jak przybyła tu twoja żona. - Walter zastanawiał się na głos. - Coś, co odwróci uwagę od tego, że jest dziwna.

- Diana potrzebuje też nauczyciela - dodał Matthew.

- Na pewno należy nauczyć ją manier - burknął Kit.

- Nie, jej nauczycielem musi być inna czarownica - sprecyzował Matthew.

Walter roześmiał się cicho.

- Nie sądzę, aby można było znaleźć choć jedną w promieniu dwudziestu mil od Woodstock. Biorąc pod uwagę, że ty tu mieszkasz.

- A co z tą książką, pani Roydon? - Z zakamarków szerokich pludrów George wyciągnął zaostrzony szary patyk owinięty sznurkiem. Polizał czubek i uniósł ołówek w oczekiwaniu. - Możesz mi opisać jej wielkość i zawartość? Poszukam jej w Oksfordzie.

- Książka może zaczekać - odparłam. - Najpierw potrzebuję porządnego ubrań. Nie mogę

wyść z domu w surducie Pierre'a i sukni, którą siostra Matthew miała na sobie podczas pogrzebu Jane Seymour.

- Wyjść z domu? - prychnął Kit. - Toż to czyste szaleństwo.

- Kit ma rację - przyznał przepaszającym tonem George i zanotował coś w swoim zeszytce. - Sposób, w jaki mówisz, pani, jasno pokazuje, że nie pochodzisz z Anglii. Chętnie podejmę się funkcji nauczyciela dykcji, pani Roydon.

Pomyśl, by George Chapman bawił się w Henry'ego Higginsa, podczas gdy mnie przypadłaby rola Elizy Doolittle, sprawił, że tęsknie spojrzałam na drzwi.

- W ogóle nie powinna mieć prawa się odzywać, Matt. Musisz nakazać jej milczenie - upierał się Kit.

- Potrzebujemy kobiety, kogoś, kto będzie Dianie doradzał. Czemu pośród waszej piątki nie ma córki, żony czy nawet kochanki? - wybuchnął Matthew.

Zapadła cisza.

- Walter? - Zapytał wesoło Kit, wywołując u reszty mężczyzn atak śmiechu, i rozładował napięcie, zupełnie jakby przez pokój przeszła letnia burza.

Nawet Matthew się roześmiał.

Pierre wszedł w chwili, gdy ucichły śmiechy, roztrzając gałązki rozmarynu i kwiaty lawendy rozsypane po podłodze - miały pochłaniać wilgoć. W tym samym momencie dzwony zaczęły wybijać dwunastą.

Podobnie jak widok pigw, ta kombinacja dźwięków i zapachów przeniosła mnie wprost do Madison.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość spotkały się. Ale zamiast powoli się toczyć, nastąpiła chwila bezruchu, zupełnie jakby czas się zatrzymał. Oddech uwiązł mi w gardle.

- Diano? - Matthew ujął mnie za łokcie.

Moją uwagę przykuło coś niebieskiego i bursztynowego, splot koloru i światła w kącie pokoju, w miejscu, gdzie zmieściłyby się tylko pajęczyny i kurz. Zafascynowana próbowałam tam podejść.

- Czy z nią wszystko w porządku? - zapytał Henry; jego twarz pojawiła się nad ramieniem Matthew.

Dzwony przestały bić, a lawenda pachniała mniej intensywnie. Błękit i bursztyn zbladły do szarości i bieli, po czym zniknęły.

- Przepraszam. Wydawało mi się, że dostrzegłam coś w kącie.

Musiało mi się przywidzieć. - Przycisnęłam dłoń do policzka.

- Może to zmęczenie po podróży w czasie, *mon coeur* - szepnął

Matthew. - Obiecałem ci spacer po parku. Wyjdiesz ze mną odetchnąć świeżym powietrzem?

Może to rzeczywiście był efekt naszej podróży w czasie i spacer dobrze by mi zrobił. Ale dopiero przybyliśmy, a Matthew nie widział tych mężczyzn od ponad czterech wieków.

- Powinieneś zostać z przyjaciółmi - odparłam stanowczo, choć wyjrzałam przez okno.

- Nadal będą tu popijać moje wino, gdy wrócimy - uśmiechnął się Matthew i zwrócił do Waltera: - Pokażę Dianie jej dom i upewnię się, że nie zgubi się w ogrodach.

- Będziemy musieli jeszcze porozmawiać - odparł zdecydowanie Walter. - Mamy poważne sprawy do omówienia.

Matthew skinął głową i objął mnie w talii.

- To może poczekać.

Zostawiliśmy Szkołę Nocy w ciepłym salonie i wyszliśmy na zewnątrz. Tom przestał się już przejmować kwestią wampira i czarownicy i skupił się na lekturze. Zamyślony George notował coś w swoim zeszycie. Kit był czujny, Walter nieufny, a spojrzenie Henry'ego wyrażało współczucie. Przypomniało mi to słowa, które już wkrótce miał o tej niezwyklej grupie wypowiedzieć Szekspir.

- Jak to się zaczynało? - wyszeptałam. - „Czarne jest znamię piekła?”

Matthew spojrzał na mnie smutno.

- „Barwa lochów i szkoła nocy”.

- Bardziej pasowałaby barwa przyjaźni - stwierdziłam. Widziałam, jak Matthew radził sobie z czytelnikami w Bibliotece Bodlejańskiej, ale mimo wszystko nie spodziewałam się, że miał też wielki wpływ na ludzi takich jak Walter Raleigh i Kit Marlowe.

- Czy jest coś, czego by dla ciebie nie zrobili?

- Módl się, byśmy nigdy tego nie odkryli - odparł ponuro.

## ROZDZIAŁ 3

W poniedziałkowy rano siedziałam w gabinecie Matthew.

Znajdował się między pokojami Pierre'a i mniejszym gabinetem, gdzie załatwiane były sprawy związane z prowadzeniem majątku. Ponadto miałam stąd widok na stróżówkę i drogę do Woodstock.

Większość chłopaków - teraz, gdy poznałam ich lepiej, to określenie dużo lepiej do nich pasowało niż górnolotna „Szkoła Nocy” - zbierała się w tym, co Matthew nazywał pokojem śniadaniowym; pili piwo i wino i popuszczając wodze wyobraźni, tworzyli moją historię. Walter zapewnił mnie, że gdy ją dokończą, bez problemu wyjaśni moje nagłe pojawienie się w Woodstock, a także odpowie na wszelkie pytania dotyczące mojego dziwnego akcentu i zachowania. To, co wymyślili do tej pory, było niesamowicie melodrama-tyczne. Trudno się dziwić, jeśli wziąć pod uwagę, że trzon opowieści stworzyło naszych dwóch dramatopisarzy -

Kit i George. Pojawiły się w niej postaci zmarłych rodziców, Francuzów, chciwy arystokrata żerujący na bezradnej sierocie (mnie) i podstarzali rozpustnicy, którzy pragnęli mnie zhańbić. Opowieść nabierała tempa, gdy po duchowych przejściach decyduję się przejść z katolicyzmu na kalwinizm. Skutek? Dobrowolna ucieczka na protestanckie ziemie angielskie, lata skrajnej nędzy i szczęśliwy ratunek zawdzięczany Matthew, który natychmiast się we mnie zakochuje.

George - rzeczywiście miał w sobie coś z belfra - obiecał, że wpoi mi wszystkie szczegóły, gdy już je dopracują.

Cieszyłam się z ciszy; rzadka to przyjemność w pełnym ludzi elżbietańskim domu. Kit, zupełnie jak rozwydrzone dziecko, bezbłędnie wybierał najgorsze momenty, by dostarczyć pocztę, poinformować o posiłku czy poprosić Matthew o pomoc. A Matthew oczywiście chciał jak najwięcej czasu spędzić z przyjaciółmi, których nie spodziewał się więcej zobaczyć.

Właśnie był z Walterem, a ja skupiłam się na małej książeczce w oczekiwaniu na jego powrót. Stół pod oknem zawalony był zaostrzonymi piórami i kałamarzami pełnymi atramentu. Były tam też laska wosku do pieczętowania korespondencji, wąski nóż do otwierania listów, świeczka i srebrna solniczka, wypełniona jednak nie solą, a piaskiem, co udowodniły podane na śniadanie zgrzytające w zębach jajka.

Na moim stole stała podobna solniczka - dzięki niej można było osuszyć atrament na papierze i go nie rozmaść -poza tym kałamarz z czarnym atramentem i pozostałości trzech piór. Właśnie niszczyłam czwarte, próbując nauczyć się trudnych zawijasów elżbietańskiego pisma ręcznego. Spisanie listy rzeczy do zrobienia powinno być banalnie proste.

Jako historyk całe lata czytałam stare manuskrypty i doskonale wiedziałam, jak powinny wyglądać litery, jakie słowa występowały najczęściej i jakie błędy mogłam od czasu do czasu popełniać, biorąc pod uwagę nieliczne słowniki i zasady gramatyczne tych czasów.

Okazało się, że wyzwaniem była nie wiedza, jak to zrobić, ale jej wykorzystanie. Po tym, jak latami szkoliłam się, by zostać ekspertem, znów stałam się uczniem. Tyle że tym razem moim zadaniem było nie zrozumienie przeszłości, ale życie w niej. Na razie było to upokarzające doświadczenie - „udało” mi się zniszczyć pierwszą stronę kieszonkowego notesu w twardej oprawie - wyglądał jak książka - podarowanego mi tego ranka przez Matthew.

- To elżbietański odpowiednik laptopa - wyjaśnił, podając mi tomik. -

Jesteś kobietą piśmienną, a w tym możesz pisać.

Zgięłam grzbiet książeczki, uwalniając świeży zapach papieru.

Większość pobożnych kobiet używała takich książeczek, by zapisywać modlitwy.

*Diana*

Tam, gdzie na początku zbyt mocno przycisnęłam pióro przy D, zrobił się kleks, a gdy dotarłam do ostatniego A, skończył mi się atrament.

Mimo to moje starania dały całkiem przyzwoity przykład kursywy z tego okresu. Moja ręka poruszała się wolniej niż ręka Matthew, kiedy pisał listy, używając skomplikowanej minuskuły. Takim pismem posługiwali się prawnicy, lekarze, uczeni, ale dla mnie było ono zbyt trudne.

*Bishop*

Tu poszło nawet lepiej. Ale radość szybko zgasła i skreśliłam nazwisko. Byłam teraz mężatką. Umoczyłam pióro w kałamarzu.

*de Clermont*

Diana de Clermont. Brzmiało jak nazwisko hrabiny, a nie historyka.

Kropla atramentu kapnęła na papier. Omal nie zakląłam. Na szczęście nie zatarło się moje nazwisko. Ale tak też się nie nazywałam. Rozmazałam kleks po „de Clermont”. Wciąż, chociaż z trudem, dało się je odczytać.

Skupiłam się i starannie wpisałam odpowiednie litery.

*Roydon*

To teraz moje nazwisko. Diana Roydon, żona najbardziej tajemniczej osoby związanej ze Szkołą Nocy. Przyjrzałam się krytycznie stronie.

Moje pismo było okropne. Ani trochę nie przypominało zgrabnego, zaokrąglonego kroju

liter aptekarza Roberta Boyle'a, jak również pisma jego genialnej siostry, Katherine. Miałam nadzieję, że odręczne pismo kobiet z 1590 było znacznie mniej staranne niż to z 1690 roku. Jeszcze kilka pociągnięć piórem, ostatni zawijas i gotowe.

### *Jej księga*

Na zewnątrz rozległy się głosy mężczyzn. Zmarszczyłam brwi, odłożyłam pióro i podeszłam do okna.

Ujrzałam Matthew i Waltera. Szklane płytki tłumiły ich głosy, ale nie rozmawiali chyba o niczym przyjemnym, sądząc po skwaszonej minie Matthew i zmarszczonych brwiach Raleigha. Gdy Matthew machnął ręką i próbował odejść, Walter go powstrzymał.

Coś stało się z Matthew po tym, jak tego ranka dotarła do niego pierwsza paczka listów. Zamarł i trzymał ją, nie otwierając. Chociaż powiedział, że listy dotyczą zarządzania majątkiem, na pewno było w nich coś więcej niż tylko żądania opłaty podatków i rachunków.

Przycisnęłam ciepłą dłoń do zimnej szyby, zupełnie jakby od Matthew dzieliło mnie tylko szkło. Różnica temperatur przypomniła mi o różnicach między ciepłokrwistą czarownicą a zimnokrwistym wampirem.

Wróciłam do stołu i sięgnęłam po pióro.

- A jednak zdecydowałaś się zostawić po sobie ślad w XVI wieku. - Matthew nagle pojawił się przy mnie.

Kącik ust mu drgał - rozbawienie? Ale też i napięcie.

- Wciąż nie jestem pewna, czy tworzenie trwałej pamiątki z mojego pobytu tutaj to dobry pomysł - oświadczyłam. - Kiedyś jakiś uczony może się zorientować, że coś z tym jest nie tak.

Podobnie jak Kit wiedział, że coś jest nie tak ze mną.

- Bez obaw, ten tomik zostanie w domu. - Matthew sięgnął po stertę poczty.

- Nie możesz być tego pewien - zaprotestowałam.

- Pozwól, by historia toczyła się własnym torem, Diano - powiedział stanowczo, jakby zamykał sprawę.

Ale ja nie mogłam porzucić przyszłości ani moich obaw wiążących się z wpływem, jaki nasza obecność mogła na nią mieć.

- Nadal uważam, że nie powinieneś się godzić na to, aby Kit zatrzymał tę figurkę szachową. - Wciąż prześladowało mnie wspomnienie tego, jak Kit triumfalnie wymachuje malutką figurką Dianę, która pełniła funkcję królowej w drogim zestawie srebrnych szachów Matthew i posłużyła mi jako jeden z przedmiotów do naprowadzenia nas na odpowiedni moment w przeszłości. Dwójka obcych demonów - Sophie Norman i jej mąż Nathaniel Wilson - przyniosła ją, ku naszemu zaskoczeniu, do domu moich ciotek w Madison, akurat wtedy, gdy

zdecydowaliśmy się na podróż w przeszłość.

- Wczoraj wieczorem Kit bezdyskusyjnie wygrał ją ode mnie, dokładnie tak, jak miał ją wygrać. Przynajmniej tym razem udało mi się zauważyć, jak to zrobił. Odwrócił moją uwagę więżą. - Matthew błyskawicznie coś napisał i szybko złożył kartki w elegancki pakiecik.

Kapnął kroplę rozpuszczonego wosku na złączenie kartek i odcisnął swój sygnet. Złoty pierścień wyobrażał tylko prosty znak planety Jowisz, nie bardziej skomplikowany od tego, który Satu wypaliła na mojej skórze.

Wosk zaskwierczał, stygnąc. - W jakiś sposób moja biała królowa trafiła od Kita do rodziny czarownic w Karolinie Północnej. Musimy wierzyć, że znów się tak stanie, czy to z naszą pomocą, czy bez niej.

- Kit wtedy mnie nie znał. I mnie nie lubi.

- Tym bardziej nie ma się co martwić. Chociaż patrząc na podobiznę Diany, będzie czuł ból, nie zdoła się z nią rozstać. Christopher Marlowe jest klasycznym masochistą. -Matthew wziął kolejny list i otworzył go nożem.

Przyjrzałam się innym przedmiotom na stole i sięgnęłam po stosik monet. Znajomość elżbietańskiej waluty nie znalazła się w programie mojej edukacji. Ani zarządzanie domem, odpowiednia kolejność wkładania bielizny, sposób zwracania się do służby czy metody sporządzania lekarstwa na ból głowy Toma. Rozmowy z Françoise o moich strojach ukazały moją niewiedzę, jeśli chodzi o zwykłe kolory: „zieleń gęsiego łajna” była mi znana, ale specyficzny odcień siwego brązu zwany „szczurzym włosem” już nie. Moje dotychczasowe doświadczenia sprawiły, że pierwszego historyka czasów Tudorów, jakiego spotkam, zamierzałam pozwać o niedopełnienie obowiązków.

Ale było coś frapującego w zgłębianiu szczegółów codziennego życia i szybko zapominałam o frustracji. Przyjrzałam się monetom na dłoni, szukając srebrnego pensa.

To był kamień węgielny, na którym zbudowana została moja płytka wiedza. Na monecie nie większej niż paznokieć, cieniutkiej jak opłatek, widniał taki sam profil królowej Elżbiety jak na większości innych.

Ułożyłam je według wartości i zaczęłam starannie podliczać na kolejnej stronie mojej książki.

- Dziękuję, Pierre - szepnął Matthew, nawet nie podnosząc wzroku, gdy Pierre zabrał zalakowane listy i położył kolejne na stole.

Pisaliśmy w miłym milczeniu. Szybko skończyłam listę monet i próbowałam sobie przypomnieć, co też Charles, nasz małowówny kucharz, mówił mi o przygotowywaniu *caudle*, a może *posset*?

*Caudle* na bóle głowy



Zadowolona ze stosunkowo prostej linii tekstu, trzech malutkich kleksów i chwiejnego C, pisałam dalej.

*Nastaw wodę, by się zagotowała. Ubij dwa żółtka jajeczne. Dodaj białego wina i ubijaj dalej. Gdy woda się zagotuje, schłodź ją, a potem dodaj do wina i jaj. Zamieszaj, doprowadzając do wrzenia, dodaj szafranu i miodu.*

Otrzymana mikstura była obrzydliwa - intensywnie żółta, o konsystencji rzadkiego twarożku, ale Tom wypił ją bez marudzenia.

Później, gdy zapytałam Charlesa o odpowiednie proporcje wina i miodu, załamał tylko ręce, zrozpaczony moją niewiedzą, i uciekł bez słowa.

Zawsze skrycie marzyłam o tym, aby żyć w przeszłości, ale to było znacznie trudniejsze, niż myślałam. Westchnęłam ciężko.

- Potrzebujesz czegoś więcej niż tylko tej książki, żeby czuć się tu u siebie. - Matthew nie odrywał wzroku od korespondencji. - Powinnaś mieć też własny pokój. Może ten? Jest dość jasny jak na bibliotekę. Mogłabyś go też przerobić na laboratorium alchemiczne; choć do przeobrażenia ołowiu w złoto przydałoby ci się spokojniejsze miejsce. Przy kuchni jest odpowiednie.

- Chyba jednak nie. Charles nie jest mną zachwycony - odpowiedziałam.

- On nikim nie jest zachwycony. Tak samo jak Françoise, z wyjątkiem Charlesa, którego czeni jak dziwnego świętego, mimo jego pociągu do wina.

W holu zadudniły kroki. Na progu stanęła niezadowolona Françoise.

- Ktoś przybył do pani Roydon - oświadczyła, odsuwając się, by zrobić przejście siwemu siedemdziesięciolatkowi i znacznie młodszemu mężczyźnie, który przestępował z nogi na nogę. Obaj byli ludźmi.

- Somers. - Matthew zmarszczył brwi. - A to młody Joseph Bidwell?

- Tak, panie Roydon. - Młodszy mężczyzna zdjął z głowy czapkę.

- Pani Roydon pozwoli wam teraz wziąć wymiary - powiedziała Françoise.

- Wymiary? - Spojrzenie, którym Matthew obrzucił mnie i Françoise, wymagało natychmiastowej odpowiedzi.

- Buty. Rękawiczki. Do garderoby madame - wyjaśniła Françoise.

W odróżnieniu od halek buty wymagają dopasowania.

- Poprosiłam Françoise, żeby po nich posłała - tłumaczyłam, licząc na aprobatę Matthew.

Oczy Somersa rozszerzyły się, kiedy usłyszał mój dziwny akcent; po chwili jego twarz

znów wyrażała szacunek.

- Podróż mojej żony okazała się zaskakująco trudna - poinformował gładko Matthew i stanął przy mnie. - No i żona straciła rzeczy osobiste. Niestety, Bidwell, nie mamy butów, które mógłbyś skopiować.

Położył mi znacząco rękę na ramieniu, licząc na to, że nie dodam już nic od siebie.

- Czy mogę, pani Roydon? - zapytał Bidwell, schylając się; jego palce znalazły się tuż nad wiązaniami moich niedopasowanych butów.

Pożyczone obuwie dowodziło, że nie jestem tym, za kogo się podaję.

- Proszę - odpowiedział Matthew, nim zdążyłam się odezwać.

Françoise posłała mi pełne współczucia spojrzenie. Wiedziała, co znaczy być zdominowanym przez Matthew Roydona.

Młody człowiek zawahał się, gdy dotknął mojej ciepłej stopy o szybkim pulsie. Na pewno spodziewał się czegoś znacznie chłodniejszego i spokojniejszego.

- Do roboty - rzucił ostro Matthew.

- Sir, milordzie, panie Roydon. - Młody człowiek wydukał prawie wszystkie możliwe tytuły, poza „Wasza Wysokość” i „Księżę Ciemności”. Ale i tak wiedziałam, że były w domyśle.

- Gdzie twój ojciec, chłopcze? - spytał Matthew już łagodniej.

- Choruje, leży w łóżku od czterech dni, panie Roydon. - Bidwell wyciągnął z torby u pasa kawałek filcu i postawił na nim moją stopę, obrysowując ją kawałkiem węgla drzewnego. Zapisał coś na filcu, puścił moją nogę, wyciągnął książeczkę zrobioną z kwadratów farbowanej skóry i mi ją podał.

- Jakie kolory są teraz modne, panie Bidwell? - zapytałam, machnięciem ręki odmawiając przyjrzenia się próbkom. Potrzebowałam rady, a nie testu wielokrotnego wyboru.

- Damy, które udają się na dwór, wybierają biel stemplowaną złotem lub srebrem.

- Nie udajemy się na dwór - uciał Matthew.

- W takim razie czarny albo płowy. - Bidwell uniósł kwadrat w kolorze karmelu.

Matthew zgodził się, nim zdążyłam coś powiedzieć. Potem nadeszła kolej starszego mężczyzny. On także był zaskoczony, gdy ujął moją dłoń i wyczuł na niej zgrubienia. Dobrze urodzone damy, które wychodziły za mężczyzn takich jak Matthew, nie wiosłowały. Somers przyjrzał się grudce na moim środkowym palcu. Damy nie miały też guzków od zbyt silnego ściskania pióra. Wsunął mi na rękę o wiele za dużą rękawiczkę z jakiegoś delikatnego materiału, w którym tkwiła igła z szorstką nicią.

- Czy twojemu ojcu niczego nie brakuje, Bidwell? -zapytał szewca Matthew.

- Nie, dziękuję, panie Roydon - odparł Bidwell, kręcąc głową.

- Charles pośle mu trochę słodkiego sosu i sarniny. -Szare oczy Matthew przebiegły po chudym ciele młodzieńca. - No i trochę wina.

- Mistrz Bidwell będzie wdzięczny za twoją dobroć, panie - odezwał się Somers, który fastrygował rękawiczkę tak, żeby dobrze pasowała do dłoni.

- Czy ktoś jeszcze jest chory? - zapytał Matthew.

- Dziewczynka Rafe'a Meadowsa dostała wysokiej gorączki. Baliśmy się o starego Edwarda, ale u niego nie była tak groźna - poinformował krótko Somers.

- Mam nadzieję, że córka Meadowsa wyzdrowiała.

- Nie. - Somers urwał nić. - Pochowali ją trzy dni temu. Niech spoczywa w pokoju.

- Amen - wyrecytowali wszyscy.

Françoise uniosła brwi i wskazała głową Somersa. Wtedy i ja przyłączyłam się do chóru głosów.

Gdy mężczyźni zrobili to, co mieli zrobić, i obiecali dostarczyć buty i rękawiczki kilka dni później, uklonili się i wyszli. Françoise już chciała za nimi podążyć, ale Matthew ją powstrzymał.

- Żadnych więcej spotkań z Dianą - nakazał głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Dopilnuj, żeby Edward Camber-well miał odpowiednią opiekę i ile trzeba jedzenia i picia.

W odpowiedzi Françoise dygnęła i posłała mi jeszcze jedno współczujące spojrzenie.

- Obawiam się, że ludzie ze wsi wiedzą, że nie jestem stąd. -

Przeciągnęłam drżącą ręką po czole. - To mój akcent. Moja intonacja opada tam, gdzie powinna się wznosić. Kiedy należy mówić „amen”?

Ktoś musi mnie nauczyć, jak się modlić. Matthew, muszę od czegoś zacząć, a...

- Spokojnie - powiedział, obejmując mnie w opiętym gorsetem pasie.

Jego dotyk koił mnie nawet mimo kilku warstw ubrań.

- To nie egzamin w Oksfordzie ani debiut sceniczny. Wykuwanie informacji i powtarzanie zwrotów nie pomoże. Należało mnie spytać, zanim wezwałeś Bidwella i So-mersa.

- Jak możesz ciągle udawać kogoś innego? - zapytałam zdziwiona.

Przez wieki Matthew robił to nieskończenie często, fingując, że ginie, by pojawić się w innym kraju, mówić innym językiem, pod innym nazwiskiem.

- Po pierwsze nie należy udawać. - Musiałam wyglądać na bardzo zaskoczoną, bo dodał: - Pamiętaj, co ci powiedziałem w Oksfordzie. Nie można żyć w zakłamaniu, czy to udając człowieka, gdy jest się czarownicą, czy udając kobietę czasów elżbietańskich, a być z XXI wieku. Teraz to jest twoje życie. Spróbuj nie myśleć o tym jak o roli.

- Ale mój akcent, to, jak się poruszam... - Nawet ja zauważyłam, że moje kroki są znacznie dłuższe niż pozostałych kobiet w domu, a parodia mojego męskiego kroku w wykonaniu Kita dała mi do myślenia.

- Nauczysz się. Na razie ludzie będą plotkować. Ale co tam opinia mieszkańców Woodstock. Niedługo poznają cię i plotki się skończą.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Nie wiesz za wiele na temat plotek, prawda?

- Dość, by twierdzić, że za tydzień przestaniesz być ich przedmiotem.

- Spojrzał na otwartą książkę, na kleksy i niepewne pismo. - Zbyt mocno trzymasz pióro. Dlatego wciąż łamie się ostrze i nie spływa atrament.

Swoje nowe życie też zbyt mocno trzymasz w ryzach.

- Nie przypuszczałam, że to okaże się takie trudne.

- Szybko się uczysz, a tak długo, jak jesteś bezpieczna w Old Lodge, jesteś wśród przyjaciół. Ale na razie dość gości. A teraz powiedz, co pisałaś?

- Głównie swoje imię.

Matthew przerzucił kilka kartek notatnika, przyglądając się moim zapiskom. Uniósł brew.

- Widzę, że przygotowywałaś się też do egzaminów z ekonomii i sztuki kucharskiej. Czemu nie napiszesz raczej o tym, co się dzieje w domu?

- Bo muszę wiedzieć, jak radzić sobie z XVI wiekiem. Oczywiście pamiętnik mógłby być pomocny. - Zastanawiałam się nad tym. Na pewno pomógłby mi ogarnąć wciąż niejasne poczucie czasu. - Nie powinnam używać pełnych imion. Ludzie w 1590 używali inicjałów, żeby oszczędzać papier i atrament. Nie analizują też myśli i uczuć, natomiast robią notatki o pogodzie i fazach księżyca.

- Zdałaś z wyróżnieniem egzamin z XVI-wiecznego sposobu pisania angielskich pamiętników - roześmiał się Matt.

- Czy kobiety zapisują to samo co mężczyźni? Ujął mnie pod brodę.

- Jesteś niesamowita. Przestań się zastanawiać nad tym, co robią inne kobiety. Bądź sobą, kimś niezwykłym. - Gdy skinęłam głową, pocałował mnie i wrócił do stołu.

Starając się nie przyciskać pióra, zaczęłam od nowej strony.

Postanowiłam oznaczać dni tygodnia symbolami astrologicznymi i poza zaszyfrowanymi informacjami na temat życia w Old Lodge zapisywać też pogodę. W ten sposób czytelnik nie znajdzie tu nic nietypowego - przynajmniej taką miałam nadzieję.

*31 października 1590 deszcz, przejaśnienia Tego dnia mąż przedstawił mnie swojemu dobremu przyjacielowi CM*

*O 1 listopada 1590 zimno i sucho*

*Wczesnym rankiem poznałam GC. Po wschodzie słońca przybyli TH, HP, WR, przyjaciele męża. Księżyc był w pełni.*

Przyszły uczoney mógłby podejrzewać, że te inicjały wiążą się ze Szkołą Nocy, zwłaszcza że na pierwszej stronie widnieje nazwisko Roydon, ale jak to udowodnić? Poza tym w tych czasach niewielu uczonych było zainteresowanych tą grupą intelektualistów. Wykształceni jak najlepiej w renesansowym stylu członkowie Szkoły Nocy nadzwyczaj szybko potrafili przechodzić z języków starożytnych na współczesne i na odwrót. Zнали na pamięć dzieła Arystotelesa. A gdy Kit, Walter i Matthew zaczęli dyskutować o polityce, ich encyklopedyczna wiedza o historii i geografii sprawiała, że mało kto mógł za nimi nadążyć. George i Tom zdołali czasami wtrącić coś od siebie, ale Henry, ze swoim jękaniem się i słabym słuchem, nie mógł w pełni uczestniczyć w tych rozmowach. Czas spędzał przeważnie na obserwowaniu innych z pełną szacunku, rozbrajającą miną, szczególnie wzruszającą przez to, że przewyższał tytułem każdego z grupy. Gdyby nie było ich tak wielu, może i mnie udałoby się za nimi nadążyć.

Co do Matthew, to zniknął zamyślony naukowiec analizujący wyniki swoich testów, zatroskany o przyszłość gatunków. To w tamtym Matthew się zakochałam, ale uświadomiłam sobie, że zakochuję się znów w tej XVI-wiecznej jego wersji, zauroczona niepowstrzymanym śmiechem i szybkimi ripostami podczas utarczek słownych w kwestii jakiegoś filozoficznego drobiazgu. Podczas posiłków Matthew sypał dowcipami, a przechadzając się po domu, nucił pod nosem. W sypialni przed kominkiem siłował się ze swoimi psami, Anaksamandrem i Peryklosem, dwoma wielkimi kudłatymi mastyfami.

W XXI wieku w Oksfordzie i we Francji zawsze zdawał się trochę smutny. Natomiast tutaj, w Woodstock, był szczęśliwy, nawet gdy patrzył na swoich przyjaciół tak, jakby nie dowierzał, że są prawdziwi.

- Zdawałeś sobie sprawę z tego, jak bardzo za nimi tęskniłeś? - zapytałam, nie mogąc się powstrzymać.

- Wampirom nie wolno myśleć o tym, co tracą - odparł.

- Zwariowalibyśmy. Miałem po nich więcej pamiątek, niż zwykle bywa: ich słowa, ich portrety. Ale drobiazgi zacierają się w pamięci... charakterystyczny tik czy brzmienie śmiechu.

- Mój ojciec zawsze nosił w kieszeni karmelki - szepnęłam. - Nie pamiętałam o nich aż do La Pierre.

Gdy zamykałam oczy, wciąż czułam zapach malutkich cukierków i słyszałam szelest celofanu przy jego koszuli.

- I nie chciałabyś o tym zapomnieć - stwierdził cicho Matthew. - Nawet by pozbyć się bólu.

Wziął kolejny list i zaczął pisać. Na jego twarzy znów odmalowało się skupienie, a między brwiami pojawiła mała zmarszczka. Staralam się naśladować kąt, pod jakim trzymał pióro, i powielić czas, jaki mijał, nim znów zanurzył je w atramencie. Pisać rzeczywiście było łatwiej, gdy nie trzymało się pióra tak kurczowo. Przygotowałam się do kolejnej strony.

Dziś przypadały Zaduszki, tradycyjnie dzień, kiedy wspomina się zmarłych. Wszyscy domownicy zauważyli, że mróz pokrył szronem liście w ogrodzie. Pierre przepowiadał, że następnego dnia będzie jeszcze zimniej.

*2 listopada 1590 mróz*

*Branie miary na buty i rękawiczki. Françoise szyje.*

Françoise przygotowywała mi płaszcz, który ochroniłby mnie przed zimnem, i ciepły komplet ubrań na zbliżającą się mroźną porę. Cały ranek spędziła na strychu, przeglądała pozostawioną tam przez Louise de Clermont garderobę. Suknie siostry Matthew, sprzed sześćdziesięciu lat, miały kwadratowe dekolty i szerokie rękawy, a Françoise przerabiała je, żeby lepiej pasowały do tego, co według Waltera i George'a było teraz modne, a także do mojej posągowej figury. Niechętnie spruła wyjątkowo piękny czarno-srebrny strój, Matthew jednak nalegał. Mając w domu członków Szkoły Nocy, potrzebowałam też bardziej oficjalnych, a nie tylko praktycznych sukien.

- Ale lady Louisa brała w tej sukni ślub, panie - protestowała Françoise.

- Tak, z osiemdziesięcioletkiem bez potomków, za to z problemami z sercem i licznymi przynoszącymi zyski włościami. Myślę, że inwestycja ta już się spłaciła, i to z nawiązką - odparł Matthew. - Nada się dla Diany, dopóki nie uszyjesz jej czegoś lepszego.

Oczywiście nie mogłam opisać tej rozmowy w mojej książce.

Dobrałam więc odpowiednio słowa, by nie znaczyły nic dla obcych, lecz mnie przywodziły na myśl barwne obrazy konkretnych ludzi, dźwięków i dyskusji. Jeśli ta książka przetrwa, to przyszły czytelnik uzna te krótkie notki za suche. Historycy pochylali się nad takimi tekstami, daremnie próbując dojrzeć za prostymi słowami skomplikowane życie.

Matthew zaklął pod nosem. Nie ja jedna próbowałam w tym domu coś ukrywać.

*Mój mąż otrzymał dziś wiele listów i dał mi tę księgę ku pamięci.*

Gdy uniosłam pióro, aby znów zanurzyć je w atramencie, do pokoju weszli Henry i Tom; szukali Matthew. Moje trzecie oko otworzyło się, zaskakując mnie swoją nagłą aktywnością. Od przybycia tu moje inne rodzące się moce - czarodziejski ogień, woda i wiatr - były zaskakująco spokojne. Dzięki niespodziewanemu dodatkowemu postrzeganiu, jakie dawało mi trzecie oko, mogłam dostrzec nie tylko czarnoczerwone zagęszczenie atmosfery wokół Matthew, ale także srebrzyste światło Toma i ledwie widoczny zielonocarny blask Henry'ego, charakterystyczne jak linie papilarne.

Przypomniałam sobie niebieskie i bursztynowe światło, które widziałam w kącie Old Lodge, i zaczęłam się zastanawiać, czy zanik pewnych mocy i pojawienie się innych coś oznacza. Tego ranka też się coś wydarzyło...

Zauważyłam, że w kącie znów lśni bursztyn z odrobiną błękitu.

Pojawiło się też echo, tak ciche, że raczej je poczułam, niż usłyszałam.

Gdy odwróciłam głowę, by znaleźć jego źródło, zniknęło. W polu widzenia wciąż postrzegałam pulsujące pasemka, zupełnie jakby czas wzywał mnie do powrotu do domu.

Od pierwszej wędrówki w czasie w Madison, gdy przeniosłam się ledwie o kilka minut, zawsze myślałam o czasie jako o tworze z pasemek światła i koloru. Przy odpowiedniej koncentracji można się było skupić na jednym paśmie i podążyć nim aż do źródła. Teraz, po przebyciu kilku wieków, wiedziałam, że ten prosty twór skrywał w rzeczywistości węzły możliwości łączące niewyobrażalną liczbę przeszłości z milionami teraźniejszości i nieokreślenie wieloma potencjalnymi przyszłościami. Isaac Newton wierzył, że czas to najważniejsza siła natury, której nie da się kontrolować. Po tym, jak udało mi się przedrzeć do 1590 roku, byłam gotowa się z nim zgodzić.

- Diano? Wszystko w porządku? - zaniepokojony głos Matthew wyrwał mnie z zamyślenia.

Jego przyjaciele spojrzeli na mnie z obawą.

- Tak - potwierdziłam odruchowo.

- Nieprawda. - Rzucił pióro na stół. - Zmienił się twój zapach.

Możliwe, że zmienia się też twoja magia. Kit ma rację. Musimy ci jak najszybciej znaleźć czarownicę.

- Jeszcze na to za wcześnie - zaprotestowałam. - To ważne, bym wyglądała i mówiła tak, jakbym tu miała swoje miejsce.

- Inna czarownica będzie wiedziała, że posiadasz umiejętność podróży w czasie - zbagatelizował moje słowa. - Weźmie to pod uwagę. Coś jeszcze?

Pokręciłam głową, nie chcąc spojrzeć mu w oczy. Matthew nie widział, jak w kącie rozwija się czas, a mimo to wiedział, że coś jest nie tak. Jeśli już teraz podejrzewał, że z moją magią dzieje się coś więcej, niż chcę przyznać, to nie miałam najmniejszych szans ukryć moich tajemnic przed czarownicą, która tu przybędzie.

## ROZDZIAŁ 4

Członkowie Szkoły Nocy ochoczo zaproponowali swoją pomoc w poszukiwaniach czarownicy. Ich propozycje uwydatniały ogólny brak szacunku dla kobiet, czarownic i wszystkich, którzy nie ukończyli uniwersytetów. Henry uważał, że najlepszym miejscem poszukiwań będzie Londyn, ale Walter zapewnił go, że w zatłoczonym mieście nie uda się mnie ukryć przed podejrzliwymi sąsiadami. George zastanawiał się, czy zdołałby przekonać oksfordzkich uczonych, by użyczyli swojej wiedzy, skoro posiadali przynajmniej odpowiednie kwalifikacje. Tom i Matthew ostro skrytykowali wady i zalety filozofów naturalnych i ten pomysł też odpadł. Kit twierdził, że nie należy takiego zadania powierzać kobiecie, i sporządził listę mężczyzn w okolicy, którzy mogliby stać się moimi nauczycielami. Wśród nich znaleźli się pastor z St. Mary, który poszukiwał znaków apokalipsy w niebie, posiadacz ziemski Smythson - interesował się alchemią i poszukiwał do pomocy czarownicy lub demona - no i student Christ Church College, który, stawiając horoskopy, płacił zaległe rachunki za książki.

Matthew odrzucił wszystkie te propozycje i kazał wezwać wdowę Beaton, sprytną miejscową akuszerkę. Jako kobieta i to uboga była właśnie taką istotą, jaką Szkoła Nocy pogardzała, lecz to, upierał się Matthew, tylko zapewni jej współpracę. Poza tym wdowa Beaton jako jedyna w okolicy mogła posiadać jakieś magiczne umiejętności. Sam przyznał, że wszyscy inni woleli uciec, niż mieszkać blisko wam-pierza.

- Wzywanie wdowy Beaton to chyba nie najlepszy pomysł - powiedziałam później, gdy szykowaliśmy się do snu.

- Już to mówiłaś - stwierdził Matthew, z trudem ukrywając irytację. -

Ale jeśli wdowa Beaton nie będzie mogła nam pomóc, to przynajmniej wskaże kogoś odpowiedniego.

- Koniec XVI wieku to raczej zły moment na rozpytywanie o czarownicę, Matthew. - Gdy byliśmy wśród członków Szkoły Nocy, nie mogłam zrobić wiele więcej, niż tylko zasugerować, jak niebezpieczne są polowania na czarownice, ale Matthew wiedział o groźbie okrucieństw. I znów wyśmiał mój niepokój.

- Procesy o czary z Chelmsford pozostały już tylko wspomnieniem, a minie jeszcze dwadzieścia lat, nim rozpoczną się polowania w Lancashire. Nie przywiózłbym cię tutaj, gdyby w Anglii miały właśnie nastąpić.

Matthew przejrzał listy, które Pierre zostawił na stole.



- Z takim podejściem dobrze, że jesteś naukowcem, a nie historykiem - powiedziałam szczerze. - Chelmsford i Lancashire to tylko ekstremalne przejawy dużo poważniejszego problemu.

- Według ciebie historyk lepiej rozumie nastroje w konkretnych czasach, niż ktoś, kto je przeżył? - Matthew powątpiewająco uniósł brew.

- Owszem - najeżyłam się. - I to często.

- Rano mówiłaś co innego, gdy nie mogłaś zrozumieć, czemu w domu nie ma ani jednego widelca - przypomniał mi.

No tak, przez dwadzieścia minut przeszukiwałam dom, nim Pierre delikatnie poinformował mnie, że takich sztuczków nie używa się jeszcze w Anglii.

- Chyba nie jesteś jednym z tych, którzy uważają, że historycy ograniczają się do zapamiętywania dat i faktów - odparłam. - Do mnie należy zrozumienie, dlaczego coś się w przeszłości wydarzyło. Gdy coś dzieje się na twoich oczach, trudno zrozumieć tego przyczyny, a z perspektywy czasu można na wiele rzeczy spojrzeć szerzej.

- W takim razie uspokój się, bo mam i doświadczenie, i perspektywę czasu - oświadczył Matthew. - Rozumiem twoje opory, Diano, ale wezwanie wdowy Beaton to dobra decyzja.

Sprawa zamknięta, jego ton mówił to jasno.

- W latach dziewięćdziesiątych XVI wieku brakuje jedzenia, a ludzie boją się o przyszłość - wyliczałam na palcach. -A to znaczy, że szukają kozłów ofiarnych, żeby oskarżyć je o wszelkie zło. Już teraz ludzkie jasnowidzki i akuszerki boją się, że zostaną oskarżone o czary, nawet jeśli twoi przyjaciele, jako mężczyźni, sobie tego nie uświadamiają.

- Jestem najpotężniejszym człowiekiem w Woodstock. -Matthew złapał mnie za ramiona. - Nikt o nic cię nie oskarży.

Zdziwiła mnie jego pycha.

- Jestem obca, a wdowa Beaton niczego mi nie zawdzięcza. Jeśli zwrócę czyjąś uwagę, to stanę się zagrożeniem dla jej bezpieczeństwa - odparłam. - Skoro się upierasz, to poczekaj przynajmniej, aż będę mogła uchodzić za elżbietańską damę z wyższych klas. Daj mi jeszcze kilka tygodni.

- To nie może czekać, Diano - rzucił krótko.

- Nie proszę o to, byś czekał, aż opanuję sztukę haftu i gotowania.

Mam ważne powody. - Spojrzałam na niego krzywo. - Wzywaj tę swoją jasnowidzkę. Ale nie dziw się, jeśli nikomu nie wyjdzie to na dobre.

- Zaufaj mi. - Matthew nachylił się i pocałował mnie w usta.

Oczy miał zamglone, a jego instynkt łowcy, który musi podporządkować sobie swoją ofiarę, wystrzył się. Nie dość, że XVI-wieczny mąż pragnął panować nad swoją żoną, to jeszcze wampir chciał dopaść czarownicę.

- Klótnie absolutnie mnie nie podniecają. - Odwróciłam głowę.

Ale najwyraźniej podniecały Matthew. Odsunęłam się od niego.

- To nie ja się klóczę - powiedział cicho z ustami przy moim uchu - tylko ty. A jeśli sądzisz, że mógłbym cię tknąć w gniewie, żono, to bardzo się mylisz.

Przygwoździł mnie wzrokiem do kolumnienki łoża, odwrócił się i złapał spodnie.

- Idę na dół. Na pewno ktoś jeszcze będzie na nogach, by dotrzymać mi towarzystwa. - Pod drzwiami zatrzymał się. - A jeśli naprawdę chcesz się zachowywać jak dama z czasów elżbietańskich, to przestań podawać w wątpliwość moje słowa - dorzucił.

I wyszedł.

Następnego dnia jeden wampir, dwa demony i trzech ludzi otoczyło mnie kołem i oceniało mój wygląd. Dzwony kościoła Świętej Marii wybiły godzinę, a ciche echo ich melodii trwało jeszcze długo po tym, jak ustało dzwonicie. Powietrze przepęniał zapach pigwy, rozmarynu i lawendy. Siedziałam na niewygodnym drewnianym krześle omotana koszulami, halkami, sukniami i w ciasno zasnurowanym gorsecie. Moje nastawione na karierę życie w XXI wieku oddalało się ode mnie z każdym krótkim oddechem. Patrzyłam na ponury dzień przez oprawione w olów okienka, o które bębnił zimny deszcz.

- *Elle est ici* - oznajmił Pierre, spoglądając na mnie. - Czarownica przyszła zobaczyć madame.

- Wreszcie - odezwał się Matthew.

Ostre linie jego kaftana sprawiały, że zdawał się jeszcze szerszy w ramionach, a wyhaftowane czarną nicią na białym kołnierzu żółędzie i liście dębu podkreślały bladość jego cery. Przekrzywił głowę, oceniając, czy zdałam egzamin na szanującą się żonę z czasów elżbietańskich.

- No i? - zawołał. - Uważacie, że jest dobrze? George zsunął okulary.

- Tak. Rudobrunatny odcień tej sukni pasuje znacznie lepiej do koloru jej włosów niż poprzedni i odpowiednio go podkreśla.

- Pani Roydon wygląda stosownie, George, muszę przyznać. Ale nie możemy zrzucić jej dziwnego sposobu mówienia tylko na fakt, że pochodzi z d-d-daleka - odezwał się bezbarwnym basem Henry.

Podszedł i poprawił fałd sukni.

- I jej wzrost. Nie da się tego ukryć. Jest nawet wyższa od królowej.

- Naprawdę uważacie, że nie możemy przedstawić jej jako Francuzki albo Flamandki? - Tom uniósł do nosa naszpikowaną goździkami pomarańczę. Palce ubrudzone miał atramentem. - Może pani Roydon zdoła jednak przetrwać w Londynie. Oczywiście demony na pewno ją zauważą, ale zwykli ludzie nie zwrócą na nią najmniejszej uwagi.

Walter prychnął rozbawiony i poderwał się z niskiego stołka.

- Pani Roydon jest równie dobrze zbudowana, jak i niezwykle wysoka.

Przeciętni mężczyźni między trzynastym a sześćdziesiątym rokiem życia znajdują dość powodów, aby jej się przyjrzeć. Nie, Tom, lepiej jej będzie tutaj, z wdową Beaton.

- A nie mogłabym spotkać się z wdową Beaton później, we wsi? - zaproponowałam, licząc na to, że któryś z nich przejrzy na oczy i przekona Matthew, bym zrobiła to po swojemu.

- Nie! - zakrzyknęło sześć przerażonych męskich głosów. Weszła Françoise; niosła dwa wykrochmalone kawałki płótna i koronki, a jej pierś unosiła się zupełnie jak u nastroszonej kwoki stojącej naprzeciw zadziornego koguta. Ciągłe wtrącanie się Matthew denerwowało ją tak samo jak mnie.

- Diana nie wybiera się na królewski dwór. Ta kryza jest zbędna - rzucił zniecierpliwiony.  
- Poza tym jej włosy stanowią problem.

- Nie ma pan pojęcia, co jest zbędne - odcięła się Françoise.

Chociaż ona była wampirem, a ja czarownicą, znalazłyśmy wspólny język w kwestii głupoty mężczyzn.

- Którą szatę madame de Clermont woli? - Wyciągnęła przed siebie plisowany komplet z jakiegoś zwiewnego materiału i coś w kształcie półksiężycy, co przypominało połączone ze sobą niewidzialnymi nićmi płatki śniegu.

Płatki wyglądały na wygodniejsze, więc je wskazałam. Podczas gdy Françoise przymocowywała kołnierz do sukienki, Matthew po raz kolejny spróbował ułożyć moje włosy w bardziej odpowiednią fryzurę.

Françoise klepnęła go po dłoni:

- Nie dotykać.

- Będę dotykał mojej żony, gdy zechcę. I przestań nazywać Dianę „madame de Clermont”  
- zagrzmiał Matthew, kładąc mi ręce na ramionach. - Wciąż mam wrażenie, że za chwilę wejdzie tu moja matka.

Rozłożył kołnierz i wyciągnął czarną wstążkę ze szpilkami Françoise.

- Madame jest mężatką. Jej biust powinien być zakryty. Już i tak krąży dość plotek o nowej pani - zaprotestowała Françoise.

- Plotek? Jakich plotek? - zmarszczyłam brwi.

- Nie było pani wczoraj w kościele, więc ludzie podejrzewają, że albo spodziewasz się dziecka, albo masz wietrzną ospę. A ten heretycki ksiądz uważa, że jesteś katoliczką. Inni biorą cię za Hiszpankę.

- Hiszpankę?

- *Oui, madame.* Ktoś słyszał cię wczoraj po południu w stajniach.

- Ale ćwiczyłam francuski! - Byłam dobrą naśladowczynią i uznałam, że używanie władczego akcentu Ysabeau pomoże mi się uwiarygodnić.

- Syn stajennego tego nie rozpoznał. - Ton Françoise sugerował, że pomyłka chłopca miała swoje uzasadnienie. Przyjrzała mi się zadowolona. - Tak, wyglądasz jak szanująca się kobieta.

- *Fallaces sunt rerum species* - odezwał się Kit, a odrobina jadu w jego słowach znów wywołała na twarzy Matthew grymas niezadowolenia. -

Pozory rzeczy są mylące. Nikt nie uwierzy w jej przedstawienie.

- Za wcześnie na Senekę. - Walter posłał Marlowe'owi ostrzegawcze spojrzenie.

- Na stoicyzm nigdy nie jest za wcześnie - odparł poważnie Kit. -

Powinieneś mi dziękować, że to nie Homer. Ostatnio nic tylko słyszemy nieudolne parafrazy *Iliady*.

George, zostaw grekę komuś, kto ją rozumie, komuś takiemu jak Matt.

- Jeszcze nie skończyłem mojego tłumaczenia dzieł Homera - najeżył się George.

W odpowiedzi Walter zasypał go łacińskimi cytatami. Jeden z nich rozbawił Matthew, który powiedział coś, jak podejrzewałam, po grecku.

Czarownica została zapomniana, a mężczyźni wesoło skupili się na swoim ulubionym zajęciu, czyli słownym udowadnianiu swojej wyższości nad innymi. Opadłam na krzesło.

- W tak dobrym humorze jak dziś są cudowni - szepnęła Henry. - To jedne z najpotężniejszych umysłów królestwa, pani Roydon.

Raleigh i Marlowe przierzucali się właśnie zaletami -albo ich brakiem - podejścia Jej Wysokości do kolonizacji i wypraw odkrywczych.

- Równie dobrze można by wziąć góry złota i wrzucić je do Tamizy, zamiast dawać je takiemu awanturnikowi, jak ty, Walterze - zarechotał Kit.

- Awanturnikowi! A ty nie możesz nawet wyjść za próg swojego domu, bo boisz się

wierzyieli. - Głos Raleigha zadrżał. - Niekiedy głupiec z ciebie, Kit.

Matthew śledził dyskusję z coraz większym rozbawieniem.

- Komu się tym razem naraziłeś? - zapytał Marlowe'a i sięgnął po wino. - I ile będzie kosztowało wybawienie cię z opresji?

- Mojemu krawcowi. - Kit wskazał swój bogaty strój. - Drukarzowi *Tamerlana*. - Zawahał się, próbując ustalić wysokość zadłużenia. - Hopkinsowi, temu łajdakowi zwałemu się moim gospodarzem. Ale mam to.

Kit uniósł malutki posążek Diany, który wygrał od Matthew podczas niedzielnej partii szachów. Wstałam, zaniepokojona losami figurki.

- Nie możesz być w aż tak złej sytuacji, żeby zastawić to cudenka. - Matthew spojrzął na mnie i gestem kazał mi usiąść. - Zajmę się tym.

Marlowe z szerokim uśmiechem poderwał się na nogi i schował srebrną boginię.

- Zawsze można na ciebie liczyć, Matt. Oczywiście zrewanżuję ci się.

- Oczywiście - powtórzyli z powątpiewaniem Matthew, Walter i George.

- Zostaw sobie jednak dość pieniędzy, żeby kupić brodę. - Kit pogłaskał swoją, zadowolony. - Wyglądasz okropnie.

- Kupić brodę? - Na pewno coś źle zrozumiałam. Marlowe musiał znów użyć slangu, mimo że Matthew prosił go, aby tego przy mnie nie robił.

- W Oksfordzie jest czarodziej golibroda. Włosy pani męża rosną powoli, jak u wszystkich jemu podobnych, a teraz jest gładko wygolony. -

Gdy nadal nic nie rozumiałam, Kit kontynuował z ostentacyjną cierpliwością. - Wyglądając jak teraz, Matt zwraca na siebie uwagę.

Potrzebuje brody. Jak widać, nie jesteś dość dobrą czarownicą, by mu ją dać, więc musi znaleźć kogoś innego.

Spojrzałam na stojący na stole pusty wazon - żeby wprowadzić trochę koloru i zapachu do domu, Françoise włożyła do niego gałązki ostrokrzewu, nieszpułki z brązowymi owocami przypominającymi głogowe i kilka białych róż. Parę godzin temu postanowiłam ułożyć róże i nieszpułki z przodu wazonu. Myśląc o ogrodzie, wsunęłam palce między gałązki. Efekt podobał mi się przez jakieś piętnaście sekund, po czym kwiaty i owoce zwiędły na moich oczach. Zaczęło się to w miejscu, gdzie stykały się z moimi palcami, po czym rozprzestrzeniło we wszystkie strony. Moje dłonie aż drżały, tyle informacji napłynęło od roślin - tchnienie słońca, gaszący pragnienie deszcz, siła korzeni, niezbędna, by przetrwać porywy wiatru, smak ziemi.

Matthew miał rację. Teraz, w XVI wieku, moja magia się zmieniła.

Nie było już buzowania magicznego ognia, przyływów wody czy ataków wiatru, które pojawiły się po moim spotkaniu z Matthew. Teraz widziałam jaśniejące wątki czasu i kolorowe aury wokół żywych stworzeń. Za każdym razem, gdy przechodziłam przez ogrody, wśród cieni pod dębami wpatrywał się we mnie biały jelen. A teraz sprawiałam, że rośliny więdły.

- Wdowa Beaton czeka - przypomniał nam Walter, popychając lekko Toma w kierunku drzwi.

- A co, jeśli będzie umiała czytać w moich myślach? -Zaniepokoiłam się, gdy schodziliśmy po dębowych schodach.

- Bardziej boję się o to, co możesz powiedzieć głośno. Nie rób nic, co mogłoby wzbudzić w niej zazdrość lub wrogość - doradzał Walter, podążając za nami z pozostałymi członkami Szkoły Nocy. - Jeśli wszystko inne zawiedzie, kłam. Matthew i ja robimy to bez przerwy.

- Jedna czarownica nie może skłamać drugiej.

- To nie skończy się dobrze - szepnął ponuro Kit. -

Założyłbym się.

- Dość. - Matthew odwrócił się na pięcie i złapał Kita za kołnierz.

Oba mastyfy zaczęły prychać i warczeć przy nogach Kita. Wielbiły Matthew, a za Marlowe'em nie przepadały.

- Mówiłem tylko... - Kit próbował się wyrwać. Matthew nie dał mu dokończyć, przycisnął go do ściany.

- Nie interesuje mnie, co mówiłeś, a co miałaś na myśli, było jasne. -

Mocniej pociągnął Kitta do góry.

- Puść go. - Walter jedną rękę położył na ramieniu Marlowe'a, a drugą na ramieniu Matthew.

Wampir zignorował Raleigha i unióś przyjaciela jeszcze wyżej.

Czerwono-czarny strój sprawiał, że Kit wyglądał jak egzotyczny ptak uwięziony w szparze między deskami boazerii. Matthew trzymał go tak przez kilka chwil, dając jasno do zrozumienia, co myśli, po czym puścił.

- Chodź, Diano. Nikomu nic się nie stanie. - Matthew wciąż był o tym przekonany, ale złowieszcze mrowienie kciuków mówiło mi, że Kit może mieć trochę racji.

- Dobry Boże - szepnął z niedowierzaniem Walter, gdy weszliśmy do sali. - Czy to wdowa Beaton?

W głębi pokoju, w cieniu, stał książkowy przykład czarownicy: malutka, zgarbiona i

bardzo stara. Gdy podeszliśmy bliżej, dojrzałam kolejne szczegóły - znoszona czarna suknia, sztywne siwe włosy i pomarszczona twarz. Jedno oko zaszło mgłą katarakty, drugie było koloru orzecha. Gałka z kataraktą niepokojąco poruszała się w oczodole, zupełnie jakby widziała wszystko z innej perspektywy. A gdy myślałam, że już nie może być gorzej, dostrzegłam na nosie czarownicy brodawkę.

Wdowa Beaton spojrzała na mnie i dygnęła niechętnie. Ledwo wyczuwalne mrowienie skóry powiedziało mi, że rzeczywiście jest czarownicą. Nagle moje trzecie oko otworzyło się w poszukiwaniu dalszych informacji. W odróżnieniu od innych stworzeń wdowa Beaton nie miała żadnej aury. Była cała szara. Przykro patrzeć na czarownicę tak bardzo starającą się wtopić w otoczenie. Czy ja także byłam tak bezbarwna, nim dotknęłam tomu *Ashmole'a 782*? Moje trzecie oko znów się zamknęło.

- Dziękujemy za przybycie, wdowo Beaton. - Ton Matthew sugerował, że to ona, wpuszczona do jego domu, powinna być za to wdzięczna.

- Panie Roydon. - Słowa czarownicy szeleściły jak opadłe liście na żwirowej alejce w ogrodach. Spojrzała na mnie zdrowym okiem.

- George, podaj wdowie Beaton krzesło. Chapman pospieszył wykonać polecenie Matthew, podczas gdy reszta zebranych trzymała się w bezpiecznej odległości od czarownicy. A ona jęknęła, sadowiąc swoje powykrzywiane reumatyzmem ciało na krześle. Matthew grzecznie poczekał, aż się rozsiądzie, po czym powiedział:

- Przejdźmy od razu do rzeczy. Ta kobieta - wskazał na mnie - jest pod moją ochroną i ostatnio miała pewne problemy.

Nie wspomniał o naszym małżeństwie.

- Jest pan otoczony wpływowymi przyjaciółmi i lojalnymi sługami, panie Roydon. Biedna kobieta na niewiele się przyda takiemu szlachcicowi. - Wdowa Beaton próbowała ukryć wyrzut w słowach przesadną uprzejmością, ale mój mąż miał doskonały słuch. Zmarszczył brwi.

- Nie próbuj ze mną pogrywać - uciął. - Wdowo Beaton, nie chcesz mieć we mnie wroga. Pewne znaki sugerują, że ta kobieta jest czarownicą i potrzebuje twojej pomocy.

- Czarownicą? - staruszka nie dowierzała. - Czy jej matka była czarownicą? Albo ojciec czarownikiem?

- Obydwoje zmarli, gdy była dzieckiem. Nie wiemy, jakimi władali mocami. - Matthew, jak przystało na wampira, powiedział półprawdę.

Rzucił kobiecie na kolana sakiewkę z pieniędzmi. - Byłbym wdzięczny, gdybyś mogła ją zbadać.

- Dobrze. - Wdowa Beaton sięgnęła sękatymi palcami do mojej twarzy.

Gdy mnie dotknęła, przepłynęła między nami fala energii. Staruszka podskoczyła.

- No i? - zawołał Matthew.

Wdowa Beaton skrzyżowała ręce na kolanach. Zaciśnęła palce na sakiewce i przez chwilę zdawało się, że rzuci nią w mojego męża, ale się opanowała.

- Tak jak podejrzewałam. Ta kobieta nie jest czarownicą, panie Roydon. - Głos jej nie drżał, stał się jednak bardziej piskliwy.

Poczułam, jak zalewa mnie fala pogardy.

- Jeśli tak uważasz, to nie dysponujesz taką mocą, w jaką wierzą mieszkańcy Woodstock!  
- krzyknęłam.

- Jestem szanowaną uzdrowicielką, posiadam wiedzę o ziołach, które chronią mężczyzn i kobiety przed chorobami - oburzyła się. - Pan Roydon zna moje umiejętności.

- To cechy czarownicy. Ale nasi ludzie mają też inne zdolności - zaryzykowałam.

Palce Matthew zaciśnęły się na mojej dłoni - nakazywał mi milczenie.

- Nic o tym nie wiem - odparła szybko. Staruszka była równie uparta, jak moja ciotka Sarah i tak jak ona pogardzała takimi czarownicami, jak ja, które potrafią wykorzystywać żywioły bez wcześniejszej nauki tradycji sztuki czarodziejstwa. Sarah знаła zastosowanie wszystkich roślin i ziół i doskonale pamiętała setki czarów, lecz na tym bycie czarownicą się nie kończyło. Wdowa Beaton o tym wiedziała, nawet jeśli nie chciała tego przyznać.

- Na pewno jest jeszcze jakiś sposób poza dotykiem, który pozwoliłby stwierdzić, jakimi mocami włada ta kobieta. Ktoś o twoich zdolnościach na pewno wie, jak to zrobić - powiedział Matthew lekko kpiarskim tonem, wyraźnie chcąc ją sprowokować.

Wdowa Beaton wyglądała na zmieszaną; zważyła w dłoni sakiewkę.

W końcu jej ciężar przekonał ją, żeby przyjąć wyzwanie. Wsunęła pieniądze do ukrytej wśród sukien kieszeni.

- Są sposoby na ustalenie, czy kobieta jest czarownicą. Niektórzy uważają, że najlepiej recytować modlitwę. Jeśli ktoś zająknie się albo zawaha, to znak, że diabeł jest blisko - powiedziała konspiracyjnym tonem.

- W Woodstock nie ma diabła, wdowo Beaton - oświadczył Tom; mówił jak ojciec, który stara się przekonać dziecko, że pod jego łóżkiem nie ukrył się żaden potwór.

- Diabeł jest wszędzie, panie. Ci, którzy uważają inaczej, padają jego ofiarą.

- To tylko ludzkie bajania, żeby przestraszyć przesądnych i niewykształconych - odparł lekceważąco Tom.

- Nie teraz, Tom - szepnął Walter.



- Istnieją też inne znaki - wtrącił George, pragnąc podzielić się swoją wiedzą. - Diabeł naznacza czarownicę jako swoją bliznami i innymi skazami.

- To prawda, panie - przyznała wdowa Beaton. - A mądrzy ludzie wiedzą, jak je znaleźć.

Krew odpłynęła mi z twarzy i zakręciło mi się w głowie. Przecież miałam na sobie takie znaki, jeśli ktoś postanowiłby to sprawdzić.

- Muszą być też inne sposoby - odezwał się zaniepokojony Henry.

- Owszem, panie. - Zamglone oko wdowy Beaton obrzuciło pokój; wskazała na stół zastawiony przyrządami naukowymi i zarzucony książkami. - Podejźmy tutaj.

Wsunęła dłoń między suknie i z miejsca, gdzie ukryła monety, wyciągnęła stary mosiężny dzwonek. Postawiła go na stole.

- Przynieście łaskawie świecę.

Henry spełnił to życzenie i zaintrygowani mężczyźni zebrawi się wokół wdowy.

- Według niektórych prawdziwa moc czarownicy bierze się stąd, że jest stworzeniem zawieszonym między życiem a śmiercią, światłem i ciemnością. Będąc na rozstaju dróg, może zniweczyć działania natury i rozplątać węzły, które utrzymują porządek rzeczy - szepnęła. Wzięła jedną z ksiąg i położyła w linii prostej między świecą osadzoną w ciężkim srebrnym świeczniku i mosiężnym dzwonkiem. - W przeszłości, gdy sąsiedzi odkryli czarownicę, wyrzucali ją z kościoła, dzwoniąc dzwonkiem na znak, że jest martwa. - Wdowa Beaton uniosła dzwonek i jednym ruchem nadgarstka wprawiła go w ruch. Kiedy go puściła, wciąż wisiał w powietrzu, podzwaniając.

Tom i Kit nachylili się bliżej, George jęknął, a Henry przeżegnał się.

Wdowa Beaton wyglądała na zadowoloną z ich reakcji i skupiła się na angielskim przekładzie *Elementów* Euklidesa - księga leżała na stole obok kilku przyrządów matematycznych z bogatej kolekcji Matthew.

- Następnie ksiądz brał świętą Biblię i zamykał ją, aby pokazać, że czarownica ma zamknięty dostęp do Boga. - *Elementy* się zatrzasnęły.

George i Tom podskoczyli. Członkowie Szkoły Nocy jak na mężczyzn zaskakująco łatwo wierzyli w przesady.

- W końcu ksiądz zdmuchiwał świecę, aby podkreślić, że czarownica nie ma duszy. - Staruszka wyciągnęła dłoń do świecy i zdusiła palcami knot.

Płomyk zgasł, a w powietrze uniosła się cienka strużka szarego dymu.

Mężczyźni, zafascynowani, zamarli. Nawet Matthew zdawał się oszołomiony. Słysząc było jedynie trzaskanie ognia i nieustanne, cichutkie pobrzękiwanie dzwonka.

- Prawdziwa czarownica może przywrócić ogień, otworzyć strony księgi i zatrzymać dzwonienie. W oczach Boga jest cudownym stworzeniem. - Wdowa Beaton zamilkła, by dodać scenie dramatyzmu, a jej zamglone oko spoczęło na mnie. - Potrafisz tego dokonać, dziewczyno?

Gdy współczesne czarownice kończą trzynaście lat, są przedstawiane lokalnemu sabatowi podczas ceremonii niesamowicie przypominającej testy wdowy Beaton. Dzwonki z ołtarza czarownic dźwięczą na powitanie młodej czarownicy w społeczności; zwykle zrobione są ze srebra, wyczyszczone na błysk i przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Zamiast Biblii czy podręcznika matematyki przynosi się rodzinną księgę czarów młodej czarownicy, by nadać wydarzeniu historycznego znaczenia. Sarah tylko raz pozwoliła wynieść z domu grymuar Bishopów, właśnie na moje trzynaste urodziny. Świecę stawia się w tym samym celu, dlatego czarownice od najmłodszych lat ćwiczą zapalanie i gaszenie świec.

Moja oficjalna prezentacja zgromadzeniu w Madison była kompletną klęską i to na oczach wszystkich moich krewnych. Dwadzieścia lat później wciąż nawiedzały mnie koszmary o świeczce, która nie chciała się zapalić, książce, która się nie otwierała, i dzwonku, który dźwięczał dla każdej czarownicy, ale nie dla mnie.

- Nie jestem pewna - zawahałam się.

- Spróbuj - zachęcił mnie zdecydowanym głosem Matthew. - Parę dni temu zapaliłaś kilka świec.

To prawda. W końcu w Halloween zdołałam rozświetlić lampki w rzeźbionych dyniach na podjeździe domu Bishopów. Tyle że przy moich pierwszych trudnych próbach nie miałam widowni. Tym razem Kit i Tom wpatrywali się we mnie z oczekiwaniem. Ledwie zauważyłam spojrzenie wdowy Beaton, za to znajome, chłodne skupienie Matthew wyczułam wyraźnie. W odpowiedzi krew w moich żyłach zamarzła, jakby odmawiając wytworzenia ognia, niezbędnego do tej odrobiny czarów.

Licząc na szczęście, skupiłam się na knocie świecy, wypowiedziałam zaklęcie i...

Nic się nie stało.

- Spokojnie - szepnął Matthew. - A co z książką? Może powinnaś zacząć od niej?

Pomijając fakt, że w magii kolejność czynności jest bardzo ważna, nie miałam błędnego pojęcia, gdzie zacząć z *Elementami* Euklidesa. Skupić się na uwieczonym między włóknami papieru powietrzu, czy wezwać podmuch wiatru, by uniósł okładkę? Nie potrafiłam jasno myśleć przy tym ciągłym dzwonieniu.

- Możesz uciszyć dzwonek? - Jęknęłam coraz bardziej zaniepokojona.

Wdowa Beaton strzeliła palcami - i mosiężny dzwonek upadł na stół, zawibrował po raz ostatni i ucichł.

- Tak jak mówiłam, panie Roydon. Magia, jaką zdawało się panu widzieć, była tylko

iluzją - oznajmiła triumfalnie. - Ta kobieta nie ma mocy. Wioska nie musi się niczego z jej strony obawiać.

- Może ona chce cię usidlić, Matthew - wtrącił Kit. - Nie zdziwiłbym się. Kobiety to obłudne stworzenia.

Inne czarownice twierdziły to samo co wdowa Beaton i to z podobną satysfakcją. Poczułam nagłą, gwałtowną potrzebę: dowieść temu zarozumialcowi, że się myli.

- Nie mogę zapalić świecy. I nikt nie potrafił mnie nigdy nauczyć, jak otworzyć księgę i uciszyć dzwonek. Ale skoro nie mam żadnych mocy, to jak wyjaśnisz to?

Nieopodal stała patera z owocami. Świeżo zerwane w ogrodzie pigwy lśniły złościście w słabym świetle. Wzięłam jedną i uniosłam na dłoni tak, by wszyscy ją widzieli.

Ręka mi zamrowiała, gdy skupiałam się na owocu. Widziałam wyraźnie jego soczysty miąższ, zupełnie jakby gruba skórka była ze szkła.

Zacisnęłam powieki, a moje trzecie oko otwarło się i zaczęło szukać informacji. Zdobywałam wiedzę od środka mojego czoła wzdłuż ramienia, aż po czubki palców, a ona rozrastała się jak korzenie drzewa i jej odnóżki wbijały się w pigwę.

Jeden za drugim zgłębiałam sekrety owocu. W środku siedział robak, przegryzając się przez miękki miąższ. Moją uwagę przykuła uwięziona tam moc, a jej ciepło zatańczyło na moim języku, dając posmak słońca.

Skóra między moimi brwiami przyjemnie zadrzała, gdy spijałam światło niewidzialnego słońca.

Tyle mocy, pomyślałam. Życie. Śmierć.

Przestałam zwracać uwagę na ludzi wokół mnie. Ważne były nieograniczone możliwości, które dawała wiedza nagromadzona na mojej dłoni. Słońce odpowiedziało na jakieś nieme zaproszenie i porzuciło pigwę, wędrując do moich palców. Odruchowo próbowałam powstrzymać napływające światło i utrzymać je tam, gdzie należało - w owocu - ale pigwa zbrązowiała, zadrzała i zapadła się w sobie.

Wdowa Beaton głośno jęknęła; rozproszyła mnie i, zdekoncentrowana, upuściłam zgniły owoc, który rozpląszczył się na wypolerowanej podłodze. Gdy podniosłam wzrok, Henry znów się żegnał - zszokowany wpatrywał się we mnie i odruchowo kreślił znak krzyża.

Natomiast Tom i Walter wpatrywali się w moje palce, gdzie drobniutkie żyłki światła bezskutecznie próbowały nawiązać zerwane połączenie z pigwą. Matthew wziął moje dłonie w swoje, maskując dowody mojej wielkiej mocy, a od nich wciąż biło wielkie ciepło; próbowałam wyrwać je, żeby go nie sparzyć, ale tylko pokręcił głową. Nie zabrał rąk i spojrzał mi w oczy, jakby chciał powiedzieć, że jest dość silny, by przyjąć wszelką magię, która do niego napłynie. Po chwili wahania wtuliłam się w niego.

- To koniec. Już dość - dodawał mi odwagi.

- Mogę smakować blask słońca, Matthew. - Głos drżał mi z przerażenia. - Widzę czas czający się w kątach.

- Ta kobieta oczarowała wampierza. To robota diabła - zasyczała wdowa Beaton.

Cofała się ostrożnie; skrzyżowała palce, by odpędzić zły urok.

- W Woodstock nie ma diabła - oświadczył stanowczo Tom.

- Macie księgi pełne dziwnych znaków i magicznych zaklęć - burknęła staruszka, wskazując *Elementy* Euklidesa.

Dobrze, że nie słyszała, jak Kit czytał na głos *Doktora Faustusa*.

- To matematyka, nie magia - zaprotestował Tom.

- Nazywaj to, jak chcesz, ale widziałam prawdę. Jesteś taki sam jak oni i wezwałś mnie tu, żeby wciągnąć w wasze ciemne sprawy.

- Jak kto? - zapytał ostro Matthew.

- Uczeń z uniwersytetu. Swoimi pytaniami wygnali dwie czarownice z Duns Tew. Chcieli naszej wiedzy, ale potępili kobiety, które się nią podzieliły. W Faringdon właśnie zaczynał się sabat, lecz czarownice uciekły, gdy zaczęły przyciągać uwagę takich mężczyzn jak wy.

Sabat oznaczał dla czarownicy bezpieczeństwo, ochronę, społeczność.

Bez niego była znacznie bardziej narażona na zazdrość i strach sąsiadów.

- Nikt nie chce cię wygnać z Woodstock. - Pragnęłam ją tylko pocieszyć, ale jeden krok w jej stronę sprawił, że zaczęła się gwałtowniej cofać.

- W tym domu jest diabeł. Wszyscy w wiosce o tym wiedzą. Wczoraj wielebny Danforth w kazaniu mówił o niebezpieczeństwie, na jakie się narazimy, pozwalając mu zapuścić korzenie.

- Jestem sama, jestem czarownicą jak ty i nie mam rodziny, która mogłaby mi pomóc - powiedziałam, próbując poruszyć w niej nutkę współczucia. - Zlituj się nade mną, nim ktoś inny to odkryje.

- Nie jesteś jak ja, a ja nie chcę kłopotów. Nikt nie zlituje się nade mną, gdy wieś zażąda krwi. Nie mam wampierza, który by mnie chronił, ani panów i wielmożów, którzy stanęliby w obronie mojego honoru.

- Matthew, pan Roydon, nie pozwoli, żeby stała ci się krzywda. -

Uniosłam rękę w geście przysięgi.

Wdowa Beaton spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Wampierzom nie można ufać. Co by zrobiła wieś, gdyby odkryła, kim naprawdę jest Matthew Roydon?

- To sprawa między nami, wdowo Beaton - ostrzegłam.

- Skąd ty jesteś, dziewczyno, by wierzyć, że jedna czarownica będzie chronić drugą? To świat pełen zagrożeń. Żadna z nas nie jest już tutaj bezpieczna. - Stara kobieta spojrzała z nienawiścią na Matthew. - Giną tysiące czarownic, a te tchórze z Kongregacji nic nie robią. Czemu, wampierzu?

- Dość tego - uciął zimno Matthew. - Françoise, odprowadź wdowę Beaton do drzwi.

- Wyjdę, i to chętnie. - Staruszka wyprostowała się na tyle, na ile pozwalały jej powykrzywiane kości. - Ale zapamiętaj moje słowa, Matthew Roydonie. Każda istota w promieniu dnia drogi podejrzewa, że jesteś ohydny potworem, który żywi się krwią. Gdy odkryją, że ukrywasz czarownicę o tak mrocznych mocach, Bóg nie okaże litości tym, którzy się od Niego odwrócili.

- Żegnaj, wdowo Beaton. - Matthew odwrócił się, ale czarownica chciała mieć ostatnie słowo w tej dyskusji.

- Uważaj na siebie, siostró - zawołała, wychodząc. - Błyszczysz zbyt mocno jak na te czasy.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Cofnęłam się, czując się niezręcznie w centrum zainteresowania.

- Wyjaśnij to - zawołał szorstko Walter.

- Diana nie musi ci niczego wyjaśniać - odwarknął Matthew.

Walter uniósł pojednawczo rękę.

- Co się stało? - zapytał Matthew spokojniej. Najwyraźniej jemu musiałam się tłumaczyć.

- Dokładnie to, co przeczuwałam: wystraszyliśmy wdowę Beaton.

Teraz robi wszystko, co w jej mocy, żeby trzymać się ode mnie daleko.

- Powinna być posłuszna. Wyświadczyłem jej kilka ważnych przysług - wymamrotał Matthew.

- Czemu jej nie powiedziałaś, kim dla ciebie jestem? - zapytałam cicho.

- Pewnie z tego samego powodu, dla którego ty nie powiedziałaś, co możesz zrobić ze zwykłym owocem z ogrodu - burknął i złapał mnie za łokieć; po chwili odwrócił się do swoich przyjaciół. - Muszę porozmawiać z żoną. Sam na sam.

Wyprowadził mnie do ogrodu.

- A więc znów jestem twoją żoną! - krzyknęłam, wrywając się z jego objęć.

- Nigdy nie przestałaś nią być. Ale nie wszyscy muszą znać szczegóły mojego prywatnego życia. A teraz powiedz, co tam się wydarzyło? -

zażądał, stając przy starannie przystrzyżonym bukszpanowym żywopłocie.

- Miałaś rację, kiedy stwierdziłaś, że moja magia się zmienia. -

Odwróciłam wzrok. - Coś takiego stało się wcześniej z kwiatami w naszej sypialni. Gdy je układałam, poczułam smak ziemi i powietrza, dzięki którym urosły. Kwiaty zginęły od mojego dotyku. Próbowałam sprawić, aby światło słońca wróciło do owocu. Ale nie chciało mnie słuchać.

- Zachowanie wdowy Beaton powinno przywołać magiczny wiatr, bo czułaś się uwięziona, albo ogień, bo znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

Może wędrownka w czasie zaszкодziła twojej magii? - Matthew zmarszczył brwi.

Przygryzłam wargę.

- Nie powinnam była tracić panowania nad sobą i pokazywać jej, co potrafię.

- Wiedziała, że władasz wielką mocą. Zapach jej strachu wypełniał pokój. - Spojrzał na mnie z powagą. - Może nie należało tak wcześnie wystawiać cię na oczy obcych.

Ale było już za późno.

Przedstawiciele Szkoły Nocy pojawili się w oknach; ich blade twarze wyglądały za szybami jak jakaś nieznana konstelacja gwiazd.

- Wilgoć zniszczy jej suknię, Matthew, a to jedyna porządna, jaką ma - zawołał George, wyglądając przez okno. Nad jego ramieniem wyrosła chochlikowata twarz Toma.

- Cudownie się bawiłem! - krzyknął Kit, otwierając kolejne okno tak energicznie, że aż zdrząły szybki. - Ta starucha to idealna czarownica.

Umieszczę ją w jednej z moich sztuk. Wiedziałaś, co potrafi zrobić z dzwonkiem? - Twoja przeszłość związana z czarownicami nie została zapomniana, Matthew - odezwał się Walter, podchodząc do nas z Henrym. - Ona nie utrzyma języka za zębami. Kobiety takie jak wdowa Beaton zawsze plotkują. - A jeśli powie coś przeciwko tobie, Matt, to należy się niepokoić? - zapytał cicho Henry.

- Hal, żyjemy w świecie ludzi. Zawsze jest się czym niepokoić - odparł ponuro Matthew.

## ROZDZIAŁ 5

Szkoła Nocy mogła debatować nad filozofią, ale w jednym jej przedstawicielu się zgadzali - nadal należało szukać czarownicy. Matthew wysłał George'a i Kita, żeby popytali w Oksfordzie, a także spróbowali się czegoś dowiedzieć o tajemniczym manuskrypcie o alchemii.

W czwartkowy wieczór po kolacji rozsiedliśmy się wokół kominka w wielkiej sali. Henry i Tom czytali i dyskutowali o astronomii i matematyce. Walter i Kit grali w kości przy długim stole, rozmawiając o najnowszych pomysłach literackich. Ja czytałam na głos *Królową Wrózek* pożyczoną od Waltera, aby poćwiczyć akcent, i czerpałam wątpliwą radość z lektury, jak w przypadku większości romansów elżbietańskich.

- Ten początek jest zbyt ostry, Kit. Przestraszysz widzów tak, że wyjdą z teatru, nim zacznie się druga scena - protestował Walter. - Potrzeba więcej zwykłej przygody.

Całymi godzinami analizowali *Doktora Faustusa*, który za sprawą wdowy Beaton miał teraz nowy początek.

- Nie jesteś moim Faustem, Walt, mimo wszelkich intelektualnych zalet - zaatakował Kit.  
- Spójrz, co twoje wścibstwo zrobiło z historią Edmunda. *Królowa Wrózek* była przemilą opowieścią o królu Arturze. A teraz jest okropną mieszanką Malory'ego i Wergiliusza, ciągnie się i ciągnie, a Gloriana... proszę...

Królowa jest prawie tak stara, jak wdowa Beaton i równie zrzędliva.

Wciąż się wtrącasz, więc zdziwię się, jeśli Edmund w ogóle dojrzy do końca. Jeżeli chcesz być unieśmiertelniony, pogadaj z Willem. Zawsze chętnie przyjmie nowy pomysł.

- Zgadzasz się z tym, Matthew? - zapytał George. Informował nas o postępach w poszukiwaniach manuskryptu, który pewnego dnia będzie znany jako *Ashmole 782*.

- Przepraszam, George, mówiłeś coś? - W szarych oczach Matthew błysnęło poczucie winy. Znałam te objawy umysłowej podzielności uwagi. Nieraz przeżyłam dzięki temu uczelniane zebrania. Myślał pewnie o rozmowach w pokoju, bez przerwy roztrząsał to, co poszło źle z wdową Beaton, i przeglądał napływającą pocztę.

- Żaden z księgarzy nie słyszał, aby po mieście krążyła alchemiczna księga, bo pojawia się rzadko. Zapytałem przyjaciela w Christ Church College, ale on także nic o tym nie wie. Szukać dalej?

Matthew otworzył usta, żeby odpowiedzieć, gdy w holu dał się słyszeć huk otwieranych ciężkich frontowych drzwi. Natychmiast się poderwał.

Walter i Henry także gwałtownie wstali i sięgnęli po sztylety, które zawsze nosili u boku.

- Matthew? - zadudnił nieznaną głosem, którego barwa sprawiła, że dostałam gęziej skórki. Był zbyt czysty i dźwięczny, jak na głos człowieka. - Jesteś tutaj?

- Oczywiście, że jest - potwierdził ktoś inny głosem o melodii i intonacji Walijczyka. - Posłuż się swoim nosem. Kto inny pachnie jak stragan w dniu, gdy przywożą z portu świeże przyprawy?

Chwilę później do pokoju wtoczyły się dwie potężne postacie w szorstkich brązowych płaszczach i stanęły blisko Kita i George'a. W moich czasach obaj przybysze natychmiast dostaliby się do profesjonalnych drużyn futbolu amerykańskiego.

Mieli wielkie ręce o wydatnych ścięgnach, szerokie nadgarstki, mocno umięśnione nogi i muskularne ramiona. Gdy podeszli bliżej, ich jasne oczy błysnęły w świetle świec. Ostrza broni zalśniły. Pierwszy był blond olbrzymem o cal wyższym od Matthew, drugi rudzielcem, miał dobre sześć cali wzrostu mniej i zezował na lewe oko. Żaden nie przekroczył trzydziestki. Blondyn wyraźnie odetchnął z ulgą, choć nie chciał dać tego po sobie poznać. Rudy wściekał się i nie zamierzał ukrywać złości.

- Tu jesteś. Przestraszyłeś nas, kto to widział tak zniknąć bez słowa - odezwał się spokojnie blondyn; przystanął i wsunął do pochwy długi, ostry miecz.

Walter i Henry także schowali broń. Rozpoznali przybyszów.

- Gallowglass. Co tu robisz? - Matthew zaskoczony zapytał blondyna.

- Szukamy ciebie, a cóż innego? Hancock i ja byliśmy z tobą w sobotę.

- Gallowglass zmrużył lodowatoniebieskie oczy, gdy nie usłyszał odpowiedzi. Wyglądał jak wiking, który zaraz wpadnie w szal zabijania. -

W Chester.

- Chester. - Twarz Matthew wykrzywiło przerażenie. -Chester!

- Tak, Chester - powtórzył rudy Hancock. Rozejrzał się groźnie i rzucił przemoczone skórzane rękawice na podłogę przy kominku. - Gdy nie przyszedłeś na umówione spotkanie w niedzielę, zasięgnęliśmy języka. Oberżysta powiedział, że wyjechałeś, co nas zaskoczyło, i to nie tylko dlatego, że nie uregulowałeś rachunku.

- Powiedział, że w jednej chwili siedziałeś przy kominku i piłeś wino, a w następnej już cię nie było - dodał Gallowglass. - Służąca, ta mała brunetka, która nie mogła oderwać od ciebie wzroku, narobiła niezłego zamieszania. Upierała się, że porwały cię duchy.

Zamknęłam oczy, bo nagle zrozumiałam. Matthew Roydon, który był w XVI-wiecznym Chester, zniknął, ponieważ pojawił się Matthew, który przybył ze mną ze współczesnego świata. Gdy odejdziemy, XVI-wieczny Matthew najprawdopodobniej powróci. Czas nie pozwoli, aby



obaj Matthew pojawili się w tej samej chwili. Czyli już zmieniliśmy historię, mimo że nie mieliśmy tego w planach.

- Była wigilia Wszystkich Świętych, więc jej opowieść miała jakiś sens - dokończył Hancock, skupiając się na swoim płaszczu. Strzepnął z niego wodę i przerzucił przez najbliższe krzesło; w zimowym powietrzu zapachniało wiosenną trawą.

- Kim są ci ludzie, Matthew? - Podeszłam bliżej, żeby im się przyjrzeć.

Matthew odwrócił się i położył mi ręce na ramionach.

- To przyjaciele - odparł, ale sposób, w jaki się zachowywał, podawał jego słowa w wątpliwości.

- No no, to nie duch. - Hancock wyjrzał przez ramię Matthew; zeszywniałam.

Oczywiście, Hancock i Gallowglass byli wampirami. Jakie inne stworzenia mogły być tak potężne i wyglądać tak krwiożerczo?

- Nie jest też z Chester - odezwał się po chwili zastanowienia Gallowglass. - Zawsze roztacza taki blask?

Może określenie nie było najbardziej nowoczesne, ale doskonale wiedziałam, co on ma na myśli. Znow łśniłam. Zdarzało mi się to czasami, gdy byłam zdenerwowana albo próbowałam rozwiązać jakiś problem. Tak przejawiała się moc czarownicy, a wampiry ze swoimi wyjątkowo bystrymi oczami doskonale mogły dostrzec bladą poświatę.

Czując, że przyciągam uwagę, schowałam się za Matthew.

- To nic nie pomoże, pani. Nasze uszy są równie czułe, jak nasz wzrok.

A krew czarownicy śpiewa jak ptak. -Krzaczaste rude brwi Hancocka uniosły się, gdy spojrzał krzywo na towarzysza. - Kłopoty zawsze podróżują w towarzystwie kobiet.

- Kłopoty nie są głupie. Gdybym miał wybór, też wolałbym podróżować z kobietą niż z tobą. - Blond wojownik zwrócił się do Matthew. - To był długi dzień, Hancocka boli tyłek i jest głodny. Jeśli nie powiesz mi szybko, czemu w twoim domu jest czarownica, to nie liczyłbym na to, że długo jeszcze będzie bezpieczna.

- To na pewno ma związek z Berwick - stwierdził Hancock. - Cholerne czarownice. Zawsze stwarzają problemy.

- Berwick? - Serce zabiło mi szybciej. Znałam tę nazwę. Wiązał się z nią jeden z najgłośniejszych procesów o czary na Wyspach Brytyjskich.

Skupiłam się, żeby przypomnieć sobie daty. Na pewno odbył się na długo przed 1590 rokiem albo po nim, bo inaczej Matthew nie wybrałby tego momentu do naszej podróży w czasie. Ale następne słowa Hancocka sprawiły, że kompletnie zapomniałam o datach i historii.

- Albo to jakieś nowe zadanie od Kongregacji, którym będziemy się musieli dla Matthew zająć.

- Kongregacji? - Marlowe zmarszczył brwi i spojrzał poważnie na Matthew. - To prawda? Jesteś jednym z tajemniczych członków?

- Oczywiście, że tak! A myślisz, że jak by cię uratował od stryczka, młody człowieku? - Hancock rozejrzał się po pokoju. - Znajdzie się coś innego do picia niż wino? Nienawidzę tych twoich francuskich ciągotek, de Clermont. Co złego jest w piwie?

- Nie teraz, Davy. - Gallowglass szepnął do przyjaciela, ale wciąż wpatrywał się w Matthew.

Ja także nie mogłam oderwać od niego wzroku, gdyż właśnie sobie coś uświadomiłam.

- Powiedz, że to nieprawda - wydusiłam. - Powiedz, że nie ukrywałeś tego przede mną.

- Nie mogę - odparł chłodno Matthew. - Obiecałem ci, że będą tajemnice, ale nie kłamstwa.

Zrobiło mi się słabo. W 1590 roku Matthew był członkiem Kongregacji, naszego wroga.

- A Berwick? Powiedziałaś, że nie grozi nam polowanie na czarownice.

- Nic, co dzieje się w Berwick, nas tutaj nie dotknie -zapewnił.

- A co się stało w Berwick? - spytał z niepokojem Walter.

- Nim opuściliśmy Chester, napłynęły wieści ze Szkocji. Na wschód od Edynburga w wigilię Wszystkich Świętych odbył się wielki sabbat czarownic - wyjaśnił Hancock. - Znów mówiło się o sztormie, jaki rozpętały zeszłego lata duńskie czarownice, i o fontannach morskiej wody, które zapowiadają przybycie stworzenia o przerażających mocach.

- Władze otoczyły dziesiątki tych biedaczek - ciągnął Gallowglass, nie spuszczać jasnoniebieskich oczu z Matthew. - Jasnovidzka z miasta Keith, wdowa Sampson, czeka na przesłuchanie króla w lochach pałacu Holyrood. Kto wie, ile jeszcze czarownic do niej dołączy, nim sprawa zostanie zakończona?

- Tortury króla, masz na myśli - wymamrotał Hancock. - Mówią, że na kobietę włożono uzdę sekutnic, żeby nie mogła rzucać klątw przeciwko Jego Wysokości, i przykuto do muru bez wody i jedzenia.

Usiadłam gwałtownie.

- Czy w takim razie ona jest jedną z oskarżonych? -zapytał

Gallowglass. - Ja też chcę takiego związku jak czarownica: sekrety, ale bez kłamstw.

Nastąpiła długa cisza.

- Diana jest moją żoną, Gallowglass - przerwał ją w końcu Matthew.

- Porzuciłeś nas w Chester dla kobiety? - Hancock był przerażony. -

Mieliśmy zadanie do wykonania!

- Doskonale umiesz skupiać się nie na tym, co trzeba, Davy. - pytał ostrożnie. - Więc jest to po prostu chwyt prawny, żeby udobruchać ciekawskich i wyjaśnić jej tu obecność, podczas gdy Kongregacja zastanawia się nad jej przyszłością?

- Nie tylko moją żoną, ale i parą.

Wampiry dobierały się w pary na całe życie, gdy zmusiła ich do tego instynktowna kombinacja zauroczenia, harmonii, pociągu seksualnego i chemii. Powstała więź mogła zerwać tylko śmierć. Wampiry mogły się pobierać wielokrotnie, ale większość robiła to tylko raz. Gallowglass zaklął, jego słowa zostały jednak prawie zagłuszone wybuchem śmiechu przyjaciela.

- A Jego Świątobliwość ogłosił, że czas cudów minął - zapał z zachwytu Hancock. - Matthew de Clermont wreszcie znalazł dla siebie parę. Ale nie zwykłą, spokojną kobietę albo odpowiednio wyuczoną wampierzycę, która wie, gdzie jej miejsce. Nie, to nie dla Matthew. Gdy wreszcie postanowił się ustatkować z jedną kobietą, musiał wybrać czarownicę. Najwyraźniej mamy więcej powodów do niepokoju niż dobrzy ludzie z Woodstock.

- A co się dzieje w Woodstock? - zapytałam Matthew, marszcząc brwi.

- Nic - uciął.

Ale wielki blondyn miał mi coś do powiedzenia.

- Jakaś stara jędza dostała ataku w dzień targowy. Mówi, że to twoja wina. - Gallowglass zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, zupełnie jakby próbował zrozumieć, jak ktoś tak mało znaczący mógł narobić takich problemów.

- Wdowa Beaton - jęknęłam.

Przestaliśmy rozmawiać, gdy pojawili się Françoise i Charles.

Françoise niosła pachnący piernik i grzane wino dla ciepłokrwistych. Kit - nigdy nie miał zahamowań, jeśli chodzi o korzystanie z piwniczki Matthew - i George - pobladł po rewelacjach wieczoru - obsłużyli się sami. Obydwaj wyglądali jak publika czekająca na następny akt przedstawienia.

Charles, którego zadaniem było zapewnienie strawy wampirom, trzymał kruchy dzban o srebrnych uszach i trzy wysokie szklane kubki.

Czerwony płyn w nich był ciemniejszy i mniej przejrzysty niż zwykle wino. Hancock stanął przed Charlesem, kiedy ten chciał podejść do pana domu.

- Jestem bardziej spragniony niż Matthew - powiedział, chwytając kubek; Charles jęknął

zszokowany.

Hancock powąchał zawartość szklanicy i łyknął odrobinę.

- Od trzech dni nie piłem świeżej krwi. Masz dziwne upodobania, jeśli chodzi o kobiety, de Clermont, ale nikt nie może złego słowa powiedzieć o twojej gościnności.

Matthew posłał Charlesa do Gallowglassa; ten także pił chciwie. Gdy pociągnął ostatni łyk, otarł usta wierzchem dłoni.

- No i? - zawołał. - Wiem, że nie lubisz się dzielić swoimi sekretami, ale należałoby się nam jakieś wyjaśnienie tego, jak doprowadziłeś do takiej sytuacji.

- Tę kwestię lepiej omówić na osobności - powiedział Walter, patrząc znacząco na George'a i dwa demony.

- A to czemu, Raleigh? - zaatakował Hancock. - De Clermont ma sporo kwestii do wyjaśnienia, podobnie jak jego czarownica. I lepiej, żeby odpowiedzi padły z jej ust. Po drodze minęliśmy księdza. Szedł z dwoma mężczyznami o wielkich brzuchach. Słyszałem, że kobieta de Clermonta będzie miała trzy dni...

- Co najmniej pięć - sprostował Gallowglass.

- Może i pięć - zgodził się Hancock - nim zostanie postawiona przed sądem, dwa dni, żeby zaplanować, co powiedzieć sędziom, i niecałe pół godziny, żeby wymyślić odpowiednie kłamstwo dla wielebnego. Lepiej zacznijcie mówić nam prawdę.

Uwaga wszystkich skupiła się na Matthew; a on zeszywniał.

- Niedługo zegar wybije kwadrans - upomniał go Hancock po dłuższej chwili.

Wzięłam sprawy w swoje ręce.

- Matthew chronił mnie przed moimi bliskimi.

- Diano - warknął Matthew.

- Matthew wtrącał się w sprawy czarownic? - Gallowglass wybałuszył oczy.

Skinęłam głową.

- A gdy niebezpieczeństwo minęło, pobraliśmy się.

- I to wszystko wydarzyło się od południa do zachodu słońca w sobotę? - Gallowglass pokręcił głową. - Musisz się bardziej postarać, cioteczko.

- Cioteczko? - odwróciłam się zszokowana do Matthew. Najpierw Berwick, potem Kongregacja, a teraz to.

- Ten... szalony facet, berserker, to twój bratanek? Niech zgadnę. Jest synem Baldwina!

Gallowglass był prawie tak dobrze zbudowany, jak rudowłosy brat Matthew, i równie uparty. Wiedziała też co nieco o innych de Clermontach: Godfreyu, Louisie i Hugh - o nim czasem tylko padały krótkie, niejasne uwagi. Gallowglass mógł pochodzić od każdego z nich albo jeszcze kogoś innego ze skomplikowanego drzewa genealogicznego rodziny Matthew.

- Baldwin? - Gallowglass zadrżał lekko. - Nawet zanim stałem się wampierzem, wiedziałem dość, by tego potwora do siebie nie dopuścić.

Moim ojcem jest Hugh de Clermont. A dla twojej informacji, moimi ludźmi byli Ulfhednarowie, a nie berserkerzy. I tylko po części, tej delikatnej, jestem Skandynawem. Reszta to Szkoci, i to z Irlandii.

- Paskudny charakter mają ci Szkoci - dodał Hancock. Gallowglass przyznał mu rację, lekko ciągnąc go za ucho. W świetle zalśnił złoty pierścień w kształcie trumny, z której wychodził mężczyzna; wokół niej wygrawerowano motto.

- Jesteście rycerzami. - Spojrzałam na dłoń Hancocka: czy i on nosi podobny pierścień?

Nosił, w dziwnym miejscu, na kciuku. Wreszcie miałam dowód na to, że Matthew był też związany z Zakonem Łazarza.

- Nooo... - odezwał się Gallowglass, nagle przeciągając głoski jak Szkot, którym twierdził, że jest. - Zawsze wybuchały na ten temat dyskusje. Nie jesteśmy raczej typami w lśniącej zbroi, co, Davy?

- Nie. Ale de Clermontowie mają głębokie kieszenie. Trudno im odmówić, zwłaszcza gdy zaproponują długie życie, żeby się cieszyć tak wielkimi pieniędzmi - zauważył Hancock.

- Są też walecznymi wojami. - Gallowglass potarł płaski grzbiet nosa, zupełnie jakby kiedyś ten nos był złamany i nigdy dobrze się nie zrosł.

- A jakże. Dranie zabili mnie, nim mnie ocalili i uzdrowili moje oko - odezwał się wesoło Hancock, wskazując zabliznioną powiekę.

- A więc jesteście wierni rodzinie de Clermont - nagle mi ulżyło.

W obliczu katastrofy wolałam mieć Gallowglassa i Hancocka po swojej stronie.

- Nie zawsze - mruknął ponuro Gallowglass.

- Nie Baldwinowi. To sprytny drań. A gdy Matthew zachowuje się jak głupiec, to też mu nie sekundujemy. - Hancock wciągnął powietrze i wskazał na leżący na stole zapomniany piernik.

- Ktoś to będzie jadł czy możemy go wrzucić do ognia? Zapach Matthew i potraw Charlesa przyprawia mnie o mdłości.

- Biorąc pod uwagę, kto tu wkrótce zawita, lepiej byłoby spędzić ten czas na przygotowaniu planu działania, a nie na wywlekaniu rodzinnych historii - odezwał się

zniecierpliwiony Walter.

- Nie czas na rozważania - stwierdził lekko Hancock. - Lepiej żeby Matthew i Jego Lordowska Mość zmówili modlitwę. Są wierzący. Może On słucha.

- A czarownica mogłaby odlecieć - wyszeptał Gallowglass.

Gdy Matthew spiorunował go wzrokiem, obronnym gestem uniósł ręce.

- Przecież ona nie może tego zrobić. - Wszyscy spojrzeli na Marlowe'a. - Nie potrafi nawet wyczarować Matthew nowej brody.

- Wbrew wszelkim zakazom Kongregacji, wybrałaś czarownicę, która jest nic niewarta? - Gallowglass bardziej powątpiewał, niż się oburzał. -

Wierzcie mi, żona, która może wezwać burzę albo zesłać na wroga jakąś okropną chorobę skóry, ma swoje zalety. Ale cóż dobrego z czarownicy, co to nie może nawet służyć mężowi jako golibroda?

- Tylko Matthew mógł ożenić się z czarownicą nie wiadomo skąd i to bez żadnych magicznych zdolności - szepnął Hancock Walterowi do ucha.

- Cisza, wszyscy! - wrzasnął Matthew. - Nie mogę się skupić przy całej tej gadaninie. To nie wina Diany, że wdowa Beaton, ta stara wścibska wariatka, nie potrafi odczyniać uroków na zawołanie. Jakiś czar blokuje magię mojej żony. I tyle. Jeśli ktoś nadal będzie podawał w wątpliwość moje słowa albo krytykował Dianę, to wyrwę mu serce i wcisnę mu je do gardła, gdy jeszcze będzie żył.

- Oto nasz pan i władca - oświadczył Hancock i ukłonił się kpiąco. - Przez moment bałem się, że to na ciebie ktoś rzucił urok. Zaraz, zaraz.

Jeśli ona jest pod urokiem, to co z nią nie tak? Jest niebezpieczna?

Szalona? Jedno i drugie?

Wytrącona z równowagi nadmiarem bratanków, wzburzonych duchownych i narastających w Woodstock problemów sięgnęłam za siebie po krzesło, A że nie przyzwyczyłam się jeszcze do nowych strojów, zachwiałam się i byłabym upadła, gdyby nie podtrzymała mnie szorstka ręka, która zaskakująco delikatnie pomogła mi usiąść.

- Spokojnie, cioteczko - odezwał się cicho Gallow-glass. - Nie wiem, co złego dzieje się z tobą, ale Matthew się tobą zajmie. W jego sercu jest kącik dla takich zagubionych dusz, niech Bóg go błogosławi.

- Nie jestem obłąkana, tylko mam zawroty głowy -odparłam.

Gallowglass obrzucił mnie twardym spojrzeniem, gdy nachylił się do mojego ucha.

- Twój język jest na tyle bełkotliwy, by uznać to za obłąd, a wątpię, żeby ksiądz w ogóle

się tym przejmował. Biorąc pod uwagę, że nie jesteś z Chester ani żadnego innego miejsca, które odwiedziłem, a jest ich wiele, cioteczko, lepiej zachowuj się odpowiednio, jeśli nie chcesz skończyć zamknięta w kościelnej krypcie.

Na ramieniu Gallowglassa zacisnęły się długie palce i odciągnęły go ode mnie.

- Jeśli dość już masz prób zastraszania mojej żony, a zapewniam, że na nic się nie zdadzą, może raczysz mi coś powiedzieć o ludziach, których spotkaliście - odezwał się lodowatym tonem Matthew. - Byli uzbrojeni?

- Nie. - Gallowglass odwrócił się do stryja, gdy wreszcie przestał mi się z zainteresowaniem przyglądać.

- Kto szedł z pastorem?

- Skąd mam wiedzieć, Matthew? Sami ciepłokrwisci, niewarci uwagi.

Jeden był gruby i siwy, drugi średniego wzrostu, on narzekał na pogodę - odparł zirytowany Gallowglass.

- Bidwell - stwierdzili zgodnie Matthew i Walter.

- I pewnie Iffley - dodał Walter. - Ci dwaj zawsze narzekają. A to na złe drogi, a to na hałas w gospodzie czy jakość piwa.

- Kim jest Iffley? - zapytałam głośno.

- Tym, kto uważa się za najlepszego rękawicznika w całej Anglii.

Somers pracuje dla niego.

- Mistrz Iffley robi rękawiczki dla królowej - zauważył George.

- Zrobił jej jedną parę na polowanie, i to ze dwadzieścia lat temu. To jeszcze nie powód, by uważać go za najważniejszego człowieka w promieniu trzydziestu mil, choćby bardzo mu na tym zależało - rzucił pogardliwie Matthew.

- Żaden z nich nie jest zbyt bystry. Razem są po prostu idiotami. Jeśli to wszystko, na co stać wioskę, to możemy powrócić do lektury.

- I już? - burknął Walter. - Będziemy czekać na nich z założonymi rękami?

- Tak. Ale Dianę musimy mieć na oku, Gallowglass - ostrzegł Matthew.

- Nie musisz mi przypominać o obowiązkach rodzinnych, stryju.

Dopilnuję, aby twoja buńczuczna żona dotarła dziś do twojego łóżka.

- Buńczuczna? Mój mąż jest członkiem Kongregacji. Grupa konnych przybywa, aby

oskarżyć mnie o skrzywdzenie samotnej starej kobiety.

Jestem w obcym miejscu i ciągle gubię się w drodze do sypialni. Wciąż nie mam butów. I mieszkam w domu pełnym niedojrzałych chłopców, którym nie zamykają się gęby! - wybuchłam. - Ale nie musisz się mną przejmować. Dam sobie radę!

- Tak? - Gallowglass roześmiał się i pokręcił głową. -Nie, nie dasz. A gdy skończymy tę wojnę, zajmiemy się twoim akcentem. Nie rozumiem połowy z tego, co mówisz.

- Musi być z Irlandii. - Hancock spojrział na mnie wrogo. - To by wyjaśniało rzucanie uroków i dziwną mowę. Oni wszyscy tam są szaleni.

- Nie jest Irlandką - zaprzeczył Gallowglass. - Szalona czy nie, zrozumiałbym ją, gdyby pochodziła stamtąd.

- Cisza! - huknął Matthew.

- Ludzie z wioski stoją przy bramie - oznajmił Pierre.

- Przyrowadź ich - polecił Matthew i odwrócił się do mnie. - Zдай się na mnie. Nie odpowiadaj na ich pytania, chyba że ci nakażę. Nie możemy sobie pozwolić na nic... niezwykłego dziś wieczór, tak jak zdarzyło się to podczas wizyty wdowy Beaton. Wciąż kręci ci się w głowie? Chciałabyś się położyć?

- Chciałabym poznać prawdę - odparłam, zaciskając ręce. - Nie martw się o moją magię czy zdrowie. Lepiej zacznij się martwić, ile godzin zajmie ci odpowiadanie na moje pytania, jak pastor stąd wyjdzie. A jeśli spróbujesz się wykręcić, twierdząc, „że nie do ciebie należy ta opowieść”, rozprawię się z tobą.

- Czyli czujesz się doskonale. - Wargi Matthew zadrżały. Pocałował mnie w czoło. - Kocham cię, *ma lionne*.

- Proponuję, byś te miłosne wyznania zostawił na później i dał ciotuni czas, żeby doszła do siebie.

- Czemu wszyscy doradzają mi, jak mam się zajmować własną żoną? - warknął Matthew. Wyraźnie tracił panowanie nad sobą.

- Trudno powiedzieć - odparł pogodnie Gallowglass. -Ona przypomina mi trochę babcię. Od rana do wieczora mówimy Philippe'owi, jak sobie z nią radzić. Nie, żeby słuchał.

Mężczyźni ustawili się w pokoju. Pozorna dowolność, z jaką wybrali miejsca, stworzyła ludzki tunel - szerszy u wejścia, węższy przy kominku, gdzie siedziałam z Matthew. George i Kit mieli jako pierwsi powitać duchownego i jego towarzyszy, Walter ukrył kości do gry, schował manuskrypt *Doktora Faustusa* i położył na stole *Historie* Herodota. Nie była to co prawda Biblia, ale Raleigh zapewnił, że nada sytuacji odpowiedniej powagi. Gdy rozległy się głosy i kroki, Kit wciąż protestował przeciw tak niesłusznej zamianie.



Pierre wprowadził do pokoju trzech mężczyzn. Jeden tak bardzo przypominał młodego człowieka, który brał miarę na moje buty, że od razu zorientowałam się kto to: Joseph Bidwell.

Podskoczył na dźwięk zamykanych za nim drzwi i zerknął z niepokojem przez ramię. Kiedy zwrócił zaczerwienione oczy przed siebie i zobaczył, jak wielu ludzi na niego czeka, znów podskoczył. Walter, który wraz z Han-cockiem i Henrym zajął strategiczne miejsce na środku pokoju, zignorował nerwowego szewca i spojrzał z pogardą na mężczyznę w przemoczonym habicie.

- Pastora Danforth, coś sprowadza cię tutaj o tej porze? - zapytał.

- Sir Walterze! - Danforth uklonił się; zdjął czapkę i zwinął ją w dłoniach. Spostrzegł hrabiego Northumberland. - Wielmożny panie! Nie wiedziałem, że wciąż gościsz w naszych stronach.

- Czegoś pan potrzebuje? - zapytał uprzejmie Matthew. Wciąż siedział z wyciągniętymi nogami, wyraźnie rozluźniony.

- Ach, panie Roydon. - Danforth znów się uklonił, tym razem nam.

Zaczął mi się przyglądać, po czym strach go obleciał i wbił wzrok w swoją czapkę. - Nie widzieliśmy cię w kościele ani w mieście. Bidwell pomyślał, że może jest pan chory.

Bidwell przestępował z nogi na nogę. Jego skórzane buty skrzypiały, oddychał ze świstem i zanosił się kaszlem. Pognieciona kryza ścisnęła mu tchawicę i drżała za każdym razem, gdy próbował nabrać powietrza.

Plisowane płótno wyraźnie znało lepsze czasy, a tłusta brązowa plama przy podbródku sugerowała, że na kolację podano potrawę z sosem.

- Tak, rozchorowałem się w Chester, ale dzięki woli Boga i opiece żony choroba ustąpiła.  
- Matthew wyciągnął rękę i czule ujął moją dłoń. -

Mój medyk zaordynował mi, abym ściął włosy, bo wtedy spadnie gorączka, ale to chłodne kąpiele zalecone przez żonę przywróciły mi zdrowie.

- Przez żonę? - wydusił Danforth. - Wdowa Beaton nie mówiła...

- Nie opowiadam o swoich problemach głupim kobietom - zareagował ostro Matthew.

Bidwell kichnął. Matthew przyjrzał mu się najpierw z niepokojem, a potem zimnym zrozumieniem. Owego wieczoru dowiedziałam się wiele o swoim mężu, również tego, jak dobrym był aktorem.

- Och, oczywiście przybyliście, aby prosić Dianę o wyleczenie Bidwella. - W głosie Matthew słychać było współczucie. - Tyle czcnych plotek. Czy wieści o umiejętnościach mojej żony już obiegły okolicę?

W tamtych czasach wiedza medyczna ocierała się o sztukę czarownic.

Czy Matthew próbował wpędzić mnie w kłopoty?

Bidwell chciał coś powiedzieć, ale tylko zachrypiął i pokręcił głową.

- Skoro nie szukacie tu medyka, to pewnie macie buty Diany. -

Matthew spojrział na mnie ciepło. - Jak chyba słyszeliście, dobytek mojej żony został stracony podczas naszej podróży, pastorek Danforth - zwrócił się do duchownego, po czym znów spojrział na szewca, a w jego głosie pojawiła się nutka wyrzutu. - Wiem, że jesteś zajęty, Bidwell, ale mam nadzieję, że w końcu skończyłeś pracę nad patynkami. Diana bardzo pragnie iść w tym tygodniu do kościoła, a droga do zakrystii jest często zalana wodą. Ktoś powinien się tym wreszcie zająć.

Od kiedy Matthew zaczął mówić, pierś Iffleya aż falowała z oburzenia. W końcu nie wytrzymał.

- Bidwell przyniósł buty, za które zapłaciłeś, ale nie jesteśmy tu po to, aby usługiwać twojej żonie ani rozmawiać o patynkach i kałużach! -

Obciągnął płaszcz na biodrach, co miało nadać mu powagi, ale mokra wełna tylko podkreśliła jego podobieństwo do zmokłego szczura o spiczastym nosie i świdrujących oczkach. - Uświadom jej to, wielbny Danforcie.

Wielbny Danforth wyglądał tak, jakby wolał się smażyć w piekle, niż być w domu Matthew Roydona i zarzucać coś jego żonie.

- No dalej, powiedz jej - naciskał Iffley.

- Padły oskarżenia... - Danforth zdążył wydusić tylko tyle, nim Walter, Henry i Hancock go otoczyli.

- Jeśli chcesz stawiać jakieś zarzuty, panie, to kieruj je do mnie albo do Jego Lordowskiej Mości - zareagował ostro Walter.

- Albo do mnie - zawtórował mu George. - Dobrze znam prawo.

- Wdowa Beaton się rozchorowała. Młody Bidwell też - oznajmił

Iffley, zdecydowany brnąć dalej, mimo że Danforth tracił odwagę.

- To na pewno ta gorączka, która dopadła mnie, a teraz chłopca - odezwał się cicho mój mąż. Mocniej zacisnął palce na mojej dłoni. Za mną Gallowglass zaklął pod nosem. -O co, dokładnie, oskarżacie moją żonę, Iffley?

- Wdowa Beaton odmówiła przyłączenia się do jakiegoś diabelskiego dzieła. No i rozboleły ją stawy i głowa, jak przepowiedziała pani Roydon.

- Mój syn stracił słuch - jęknął Bidwell, z trudem wydobywając głos z zaflegmionej krtani. - Słyszysz wciąż dzwonienie jakby dzwonka. Wdowa Beaton mówi, że rzucono na niego

klątwe.

- Nie - wyszeptalam.

Krew odpłynęła mi gwałtownie z głowy. Gallowglass natychmiast położył mi dłonie na ramionach i przytrzymał, bym nie upadła. Słowo „klątwa” sprawiło, że znów widziałam znajomą przepaść. Zawsze bałam się najbardziej tego, co ludzie odkrywają: że łączą mnie więzy rodzinne z Bridget Bishop. A potem pojawiają się dziwne spojrzenia i podejrzenia.

Jedynym możliwym rozwiązaniem była ucieczka. Próbowałam wyrwać się z uścisku Matthew, ale równie dobrze mogłabym próbować wysunąć się spod skały, a Gallowglass wciąż trzymał mnie za ramiona.

- Wdowa Beaton od dawna cierpi na reumatyzm, a syn Bidwella ma chroniczne zapalenie gardła. To często powoduje ból i głuchotę. Te choroby pojawiły się, nim moja żona przybyła do Woodstock. Staruszka jest zazdrosna o umiejętności Diany - Matthew machnął lekceważąco ręką - a młody Joseph zachwyił się jej urodą i pozazdrościł mi mojego związku. To nie są oskarżenia, tylko imagi-nacja.

- Moim obowiązkiem, jako pasterza Bożego, panie Roydon, jest brać je na poważnie. Czytałem to. - Danforth sięgnął za pazuchę i wyciągnął wyświechtany pęk papierów, kilkadziesiąt kartek byle jak zszytych twardym sznurkiem. Czas i częsta lektura sprawiły, że papier strzępił się na brzegach, a strony zszarzały. Byłam za daleko, żeby dostrzec tytuł, ale wszystkie trzy wampiry go ujrzały. George też, i poblądł.

- To fragment *Mailem Maleficarum*. Nie sądziłem, że tak dobrze zna pan łacinę, by zrozumieć równie skomplikowany tekst - odezwał się Matthew.

*Młot na czarownice* był najpoważniej traktowanym podręcznikiem o polowaniach na czarownice, jaki kiedykolwiek powstał, a sam tytuł wywoływał u czarownic drżenie.

Pastor poczuł się dotknięty.

- Kształciłem się na uniwersytecie, panie Roydon.

- Cieszę się, że to słyszę. Taka książka nie powinna trafić w ręce ciemnoty lub ludzi podatnych na zabobony.

- Zna ją pan? - zapytał Danforth.

- Ja także kształciłem się na uniwersytecie.

- W takim razie rozumie pan, czemu muszę przepytac tę kobietę. -

Danforth ruszył w moją stronę. Powstrzymał go jednak cichy pomruk Hancocka.

- Moja żona nie ma problemów ze słuchem. Nie musisz podchodzić bliżej.

- Mówiłem, że pani Roydon posiada nadnaturalne moce! - triumfował Iffley.

Danforth ścisnął mocniej książkę.

- Kto nauczył cię tych rzeczy, pani Roydon? - zawołał. - Od kogo nauczyłaś się magii?

W ten oto sposób rozpoczynało się to szaleństwo - pytaniami sformułowanymi tak, żeby zmusiły oskarżonego do wskazywania innych.

Czarownice jedną po drugiej łapano w sieć kłamstw i unicestwiano.

Właśnie przez takie metody tysiące moich ludzi było torturowanych i zabijanych. Buntowałam się przeciw temu.

- Nie. - To jedno słowo ostrzeżenia z ust Matthew było zimne jak marmur.

- Dziwne rzeczy dzieją się w Woodstock. Biały jeleni przeszedł przez drogę wdowy Beaton - ciągnął Danforth. - Zatrzymał się i wpatrywał w nią, aż jej ciało zeszywniało. Ostatniej nocy przed jej domem widziano szarego wilka. Jego oczy lśniły w ciemności, jaśniej niż lampy wywieszane, żeby wskazywać podróżnym schronienie przed deszczem.

Które z tych stworzeń to twój krewniak? Kto ci je podarował?

Tym razem Matthew nie musiał nakazywać mi milczenie. Pastor zadawał pytania znane mi ze szkoły średniej.

- Czarownica musi odpowiedzieć na twoje pytania, pastorze Danforth! - zawołał Iffley, ciągnąc swojego towarzysza za rękaw. - Taka bezczelność istoty ciemności nie może mieć miejsca w bogobojnej społeczności.

- Mojej żonie nie wolno do nikogo się odezwać bez mojej zgody - oświadczył Matthew. - I uważaj, kogo nazywasz czarownicą, Iffley.

Im bardziej wieśniacy naciskali, tym trudniej Matthew było nad sobą panować.

Pastor lustrował wzrokiem mnie i Matthew. Łykałam łzy.

- Jej układ z diabłem sprawia, że nie może powiedzieć prawdy - stwierdził Bidwell.

- Cicho, panie Bidwell - zbeształ go Danforth. - Co chciałabyś wyznać, moja droga? Kto wprowadził cię w diabelskie kręgi? Inna kobieta?

- Albo mężczyzna - syknął Iffley. - Pani Roydon to nie-jedynie tutaj dziecko ciemności. Są tu dziwne księgi i przyrzędy, organizuje się nocne spotkania, żeby wywoływać duchy.

Harriot westchnął i podsunął swoją książkę Danforthowi.

- Matematyka, panie, nie magia. Wdowa Beaton widziała tekst o geometrii.

- Nie do nas należy ocena, jak bardzo diabeł się tu rozpanoszył - wybełkotał Iffley.

- Jeśli to zła szukacie, szukajcie go u wdowy Beaton. - Mimo że Matthew bardzo starał się panować nad sobą, szło mu coraz gorzej.

- A więc to ją oskarża pan o czary? - zapytał ostro Danforth.

- Nie, Matthew. Nie tędy droga - szepnęłam, ciągnąc go za rękę, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Matthew spojrział na mnie. Nie wyglądał jak człowiek: źrenice szkliste i rozszerzone. Pokręciłam głową, a on odetchnął głęboko, próbując zdusić w sobie wściekłość - przecież intruz wtargnął do jego domu - bezwzględny instynkt, który kazał mu mnie chronić.

- Nie słuchaj jego głosu, pastarze Danforth. Roydon także może być narzędziem szatana - ostrzegł Iffley.

Matthew spojrział na nich.

- Jeśli macie powody, żeby oskarżać moją żonę, zwróćcie się do władz i tak zróbcie. Jeśli nie, wynocha. A nim wrócicie, Danforth, zastanów się, czy rozsądnie jest sprzymierzać się z Iffleyem i Bidwellem.

Pastor głośno przełknął ślinę.

- Słyszeliście - warknął Hancock. - Wynocha!

- Sprawiedliwości stanie się zadość, panie Roydon, boskiej sprawiedliwości - oznajmił Danforth, cofając się.

- Tylko jeśli moja wersja nie rozwiąże wcześniej sprawy, Danforth - stwierdził Walter.

Nagle pojawili się Pierre i Charles; otworzyli gwałtownie drzwi i wyprowadzili zaskoczonych ludzi z pokoju. Na zewnątrz szalała wichura.

Gwałtowność burzy mogła tylko utwierdzić ich w przekonaniu o moich nadnaturalnych mocach.

Uciekać! Uciekać! - krzyczał natarczywy głos w mojej głowie. W przyptywie adrenaliny spanikowałam. Znow stałam się zwierzyną łowną.

Gallowglass i Hancock odwrócili się do mnie, bo poczuli ode mnie zapach strachu.

- Nie ruszać się - nakazał wampirom Matthew. Ukucnął przede mną. -

Instynkt nakazuje Dianie uciekać. Za chwilę moja żona się uspokoi.

- To się nigdy nie skończy. Przybyliśmy po pomoc, a nawet tutaj chcą mnie zaszczyć. - Przygryzłam wargę.

- Bez obaw. Danforth i Iffley dwa razy się zastanowią, nim znów narozrabiają - oznajmił stanowczo Matthew, biorąc moje zaciśnięte dłonie w swoje. - Nikt nie chce mieć we mnie wroga: ani inne stworzenia, ani ludzie.

- Rozumiem, czemu mogą się ciebie bać. Jesteś członkiem Kongregacji i masz dość mocy, żeby ich zniszczyć. Nie dziwię się, że wdowa Beaton stawiała się na twoje wezwanie. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego ludzie tak na ciebie reagują. Danforth i Iffley muszą podejrzewać, że jesteś... wampirem.

W ostatniej chwili powstrzymałam się przed wypowiedzeniem słowa „wampir”.

- Och, nie grozi mu z ich strony żadne niebezpieczeństwo - odezwał się lekceważąco Hancock. - Ci ludzie nic nie znaczą. Niestety pewnie odwołają się do tych, którzy znaczą wiele.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Matthew.

- Jacy ludzie? - szepnęłam. Gallowglass jęknął.

- Na wszystko, co święte, Matthew. Widziałem, jak robisz okropne rzeczy, ale ukrywać to przed własną żoną?

Matthew zapatrzył się w ogień. Gdy w końcu spojrzał na mnie, jego oczy wyrażały wielki żal.

- Matthew? - próbowałam dodać mu odwagi. Węzeł w moim żołądku, który powstał, kiedy przyniesiono pierwszą torbę z pocztą, mocniej się zacisnął.

- Nie przypuszczają, że jestem wampirem. Wiedzą, że jestem szpiegiem.

## ROZDZIAŁ 6

Szpiegiem? - powtórzyłam drętwo.

- Wolimy określenie „wywiad” - rzucił zgryźliwie Kit.

- Zamknij się, Marlowe - warknął Hancock. - Albo ci w tym pomogę.

- Daruj sobie, Hancock. Nikt nie bierze cię serio, gdy tak się ciskasz. - Matthew uniósł brodę. - A jeśli nie będziesz się odpowiednio do mnie zwracał, to już niedługo zabraknie na scenie walijskich królów i rycerzy, zamienię was w zdrajców i głupich służących.

- Co to takiego wampir? - zapytał George, sięgając jedną ręką po swój notes, a drugą po piernik. Jak zwykle prawie nikt nie zwracał na niego uwagi.

- A więc jesteś takim elżbietańskim Jamesem Bondem? Ale... -

Spojrzałam z przerażeniem na Marlowe'a. Zginie od ciosu nożem w bójce w Deptford, nim dożyje trzydziestki, a zbrodnię tę skojarzą z jego życiem szpiega.

- Londyński kapelusznik nieopodal Świętego Dunstana, który robi takie piękne rondo? Ten James Bond? - roześmiał się George. - Czemu sądzisz, że Matthew jest kapelusznikiem, pani Roydon?

- Nie, George, nie ten James Bond. - Matthew wciąż przede mną klęczał i mnie obserwował. - Lepiej było, gdy o tym nie wiedziałas.

- Bzdura. - Nic mnie nie obchodziło, czy to stosowne słowo w czasach elżbietańskich. - Zasluguję na szczerłość.

- Możliwe, pani Roydon, ale jeśli szczerze go kochasz, to nie ma sensu tego od niego wymagać - odezwał się Marlowe. - Matthew nie potrafi już odróżnić prawdy od fałszu. Dlatego Jej Wysokość tak bardzo się z nim liczy.

- Przybyliśmy tu po to, żeby znaleźć dla ciebie nauczyciela - odezwał się Matthew, patrząc mi w oczy. - Jestem zarówno członkiem Kongregacji, jak i agentem królowej, co zapewnia ci bezpieczeństwo. Nic w tym kraju nie dzieje się bez mojej wiedzy.

- Jak na kogoś, kto wie wszystko, jesteś zaskakująco nieświadom tego, że widzę, co się w tym domu dzieje. Przychodzi za dużo poczty, a ty kłóciłeś się z Walterem.

- Widzisz to, co chcę, abyś widziała. Nic więcej. - Choć od kiedy przybyliśmy do Old Lodge, Matthew coraz bardziej mną rządził, tym razem nie wytrzymałam.

- Jak śmiesz - wycedziłam.

Matthew wiedział, że przez całe życie otaczały mnie sekrety. I zapłaciłam za to wysoką cenę. Wstałam.

- Usiądź. Proszę. - Chwył mnie za rękę.

Najlepszy przyjaciel Matthew, Hamish Osborne, ostrzegł mnie, że w tych czasach mój mąż nie będzie tym samym człowiekiem. Jakże mógłby być, skoro świat tak się zmienił? Od kobiet oczekiwano bezwzględności posłuszeństwa mężczyznom. A wśród przyjaciół aż nazbyt łatwo było powrócić do starych przyzwyczajęń i sposobów myślenia.

- Tylko jeśli mi odpowiesz. Chcę znać nazwisko osoby, której podlegasz, i jak się w to wplątałaś. - Spojrzałam na jego bratanka i przyjaciół, zaniepokojona, że może chodzić o tajemnice państwowe.

- Oni już wiedzą o mnie i Kicie - powiedział Matthew, podążając za moim wzrokiem. Zawahał się, szukał właściwych słów. - Wszystko zaczęło się od Francisa Walsinghama. Opuściłem Anglię pod koniec panowania Henryka. Spędziłem trochę czasu w Konstantynopolu, udałem się na Cypr, podróżowałem po Hiszpanii, walczyłem pod Lepanto, nawet założyłem drukarnię w Antwerpii. Wampierz tak się nie zachowuje.

Szukamy tragedii, jakiejś szansy, żeby wkraść się w czyjeś życie. Ale mnie nic nie odpowiadało, więc wróciłem do domu. Francja była na skraju wojny domowej i religijnej. Gdy żyje się tak długo jak ja, rozpoznaje się znaki. Nauczyciel hugenocki z radością wziął ode mnie pieniądze i udał się do Genewy, gdzie mógł spokojnie wychowywać swoje córki. Przyjąłem tożsamość jego dawno zmarłego kuzyna, przeniósłem się do jego domu w Paryżu i zacząłem wszystko od nowa, jako Matthew de la Foret.

- Matthew z Lasu? - zaskoczona uniosłam brwi.

- To nazwisko tego nauczyciela - odparł sucho. - Paryż był niebezpieczny, a Walsingham, angielski ambasador, jak magnes przyciągał rozczarowanych rebeliantów w kraju. Pod koniec lata 1572 roku cała ta gotująca się we Francji złość wybuchła. Pomogłem przetrwać Walsinghamowi, a także angielskim protestantom, których ukrywał.

- Masakra w Noc Świętego Bartłomieja - zadrżałam, myśląc o naznaczonym krwią ślubie francuskiej katolickiej księżniczki z protestantem.

- Agentem królowej zostałem później, gdy odesłała Walsinghama z powrotem do Paryża. Miałem pośredniczyć w sprawie małżeństwa Jej Wysokości z jednym z książąt de Valois - prychnął Matthew. - Nie ulegało wątpliwości, że królowa nie jest zainteresowana tym związkiem. Właśnie wtedy dowiedziałem się o sieci agentów Walsinghama.

Spojrzał mi na moment w oczy, po czym odwrócił wzrok. Wciąż coś przede mną ukrywał. Przemyślałam jego słowa, znalazłam błędy w opowieści i doszłam do jedynej, nieuniknionej wniosku: Matthew był Francuzem, katolikiem i nie mógł sprzymierzyć się politycznie z Elżbietą Tudor ani w 1572, ani w 1590 roku. Jeśli pracował dla Korony Angielskiej, to dla wyższych celów. Ale Kongregacja zaprzysięgła nie mieszać się w politykę ludzi.



Philippe de Clermont i jego Rycerze Łazarza nie.

- Pracujesz dla swojego ojca. I nie dość, że jesteś wampirem, to jeszcze katolikiem w protestanckim kraju.

Fakt, że Matthew pracował dla Rycerzy Łazarza, a nie wyłącznie Elżbiety, zdecydowanie zwiększał zagrożenie. Nie tylko czarownice ścigano i palono na stosie w elżbietańskiej Anglii - to samo robiono ze zdrajcami, stworzeniami o nietypowych mocach i innowiercami.

- Kongregacja nie pomoże, jeśli wmieszasz się w politykę ludzi. To takie niebezpieczne. Jak twoja rodzina mogła cię o to prosić?

Hancock uśmiechnął się szeroko.

- Właśnie dlatego w Kongregacji zawsze jest jakiś de Clermont, dla pewności, że wniosłe idee nie zaszkodzą interesom.

- Nie po raz pierwszy pracuję dla Philippe'a, i nie ostatni. Tobie dobrze idzie rozwikływanie sekretów, a mnie ich utrzymywanie - stwierdził Matthew.

Naukowiec. Wampir. Wojownik. Szpieg. Kolejny fragment układanki o Matthew trafił na swoje miejsce, a wraz z nim lepiej zrozumiałam ten zakorzeniony głęboko zwyczaj niedzielenia się niczym, ważnym czy nie, z innymi, chyba że pod przymusem.

- Nie obchodzą mnie twoje doświadczenia! Twoje bezpieczeństwo zależy od Walsinghama, a ty go zwodzisz -wybuchnęłam.

- Walsingham nie żyje. Teraz podlegam Williamowi Cecilowi.

- Najsprytniejszemu na ziemi - odezwał się cicho Gallowglass. -

Oczywiście poza Philippe'em.

- A Kit? On też pracuje dla Cecila, czy dla ciebie?

- Nic jej nie mów, Matthew! - zawołał Kit. - Tej czarownicy nie można ufać.

- Ach, ty mały, przebiegły draniu - sapnął Hancock. -To ty podjudzałeś wieśniaków.

Kit poczerwieniał, jakby na potwierdzenie oskarżenia.

- Boże, Kit, coś ty zrobił? - zapytał zszokowany Matthew.

- Nic - burknął Marlowe.

- Znów opowiadałeś bajki. - Hancock pogroził mu palcem. - Ostrzegałem cię, że nie będziemy tego znosić, panie Marlowe.

- Woodstock i tak już kipiało od rewelacji o żonie Matthew - bronił się Kit. - Plotki

musiały w końcu ściągnąć na nas Kongregację. Skąd miałem wiedzieć, że Kongregacja już tu jest?

- De Clermont, na pewno teraz pozwolisz mi go zabić. Od dawna mi się to marzy. - Hancock strzelił palcami.

- Nie. Nie możesz go zabić. - Matthew potarł zmęczoną twarz. -

Zasypią nas pytaniami, a ja nie mam dość cierpliwości, żeby w tej chwili wymyślać przekonujące odpowiedzi. Ot, wiejskie gadanie. Dam sobie z tym radę.

- To bardzo zły moment na takie gadanie - stwierdził cicho Gallowglass. - Nie chodzi tylko o Berwick. Wiesz, jak bardzo boją się czarownic ludzie w Chester. A sytuacja na północy Szkocji? Jeszcze gorsza.

- Jeśli to wszystko rozejdzie się na południu Anglii, to ona nas zgubi - wskazał na mnie Marlowe.

- Te kłopoty zostaną w Szkocji - odparł Matthew. - I koniec z wyprawami do wioski, Kit.

- Ona przybyła w wigilię Wszystkich Świętych, akurat gdy przepowiadano pojawienie się przerażającej czarownicy. Nie rozumiesz?

Twoja nowa żona wznieciła bunt przeciw królowi Jakubowi, a teraz skupiła się na Anglii. Cecil musi się o tym dowiedzieć. Ona zagraża królowej.

- Cicho, Kit - ostrzegł Henry, ciągnąc go za ramię.

- Nie możecie mnie uciszyć. Muszę poinformować królową, to mój obowiązek. Kiedyś ty byś się ze mną zgodził, Henry. Ale od kiedy pojawiła się ta czarownica, wszystko się zmieniło! Rzuciła urok na ten dom. - Oczy Kita błyszczały szaleństwem. - Masz na jej punkcie bzika, jakby była twoją siostrą. George omal się nie zakochał. Tom podziwia jej rozum, a Walter już dawno dobrałby się do niej, gdyby nie bał się Matta.

Niech wraca, skąd przybyła. Wcześniej byliśmy szczęśliwi.

- Matthew nie. - Tom podszedł do nas, przegnany złą energią Marlowe'a.

- Mówisz, że go kochasz. - Kit odwrócił się do mnie z błagalną miną. - Wiesz, czym on jest naprawdę? Widziałaś, jak zaspokaja głód? Czulaś ten jego głód, gdy w pobliżu znalazł się ktoś ciepłokrwisty? Potrafisz zaakceptować go całego, nawet ciemne zakamarki jego duszy, tak jak ja?

Ty czerpiesz ukojenie w magii, a ja bez niego nie w pełni żyję. Gdy go nie ma, moja poezja znika, a tylko Matthew widzi we mnie odrobinę dobra.

Zostaw go mnie. Proszę.

- Nie mogę - odparłam krótko.

Kit otarł rękawem usta, jakby tym gestem pozbywał się mnie.

- Gdy inni w Kongregacji dowiedzą się o twoim uczuciu do niego...

- Jeśli moje uczucie jest zakazane, to twoje również -przerwałam mu, a on się skrzywił. - Ale żadne z nas nie wybierało, kogo kocha.

- Nie tylko Iffley i jego przyjaciele oskarżą cię o czary. - W głosie Kita zabrzmiał gorzki triumf. - Zapamiętaj moje słowa, pani Roydon. Demony często widzą przyszłość równie jasno, jak czarownice.

Ręka Matthew powędrowała do mojej talii. Chłodny, znajomy dotyk jego palców naznaczał mnie jako własność wampira. Dla Matthew było to potężne przypomnienie tego, że nie zdołał mnie ochronić. Kit zauważył ten ciepły gest i przeraźliwie głucho jęknął.

- Skoro umiesz przewidywać przyszłość, powinieneś przewidzieć, co się stanie, kiedy mnie zdradzisz. - Matthew powoli wstał. - Precz z moich oczu, Kit, albo, na Boga, nic z ciebie nie pozostanie.

- Wolisz ją niż mnie? - spytał zszokowany Kit.

- Tak. Zdecydowanie. Precz - powtórzył Matthew.

Kit ruszył powoli przez pokój, ale gdy wyszedł na korytarz, przyspieszył. Jego kroki zadudniły na drewnianych schodach, coraz szybsze, aż zniknął.

- Trzeba na niego uważać. - Bystre oczy Gallowglassa popatrzyły na drzwi, a potem na Hancocka. - Nie można mu teraz ufać.

- Marlowe'owi nigdy nie można było ufać - wymamrotał Hancock.

Pierre, przygnębiony, stanął w drzwiach. W ręku trzymał kolejny list.

- Nie teraz, Pierre - jęknął Matthew; usiadł i sięgnął po wino. Rozparł się w fotelu. - Dziś nie sprostam już kolejnym problemom, czy to królowej, kraju, czy katolików. Bez względu na to, jakie to ważne, może poczekać do rana.

- Ale... milordzie - Pierre zająknął się, wyciągając przed siebie list.

Matthew spojrzał na zdecydowane pismo na kopercie.

- Chryste i Twoi święci. - Uniósł ręce, by dotknąć papieru, i zamarł.

Oddychał z trudem. W kąciku jego oka pojawiło się coś czerwonego, zabłysło, po czym wolno spłynęło po policzku i spadło na fałdy kołnierzyka. Wampirza krwawa łza.

- Co się stało, Matthew? - Zajrzałam mu przez ramię; co sprawiło mu taki ból?

- Ach, dzień się jeszcze nie skończył - wybełkotał Hancock, cofając się. - Pewna drobna

sprawa wymaga twojej uwagi. Twój ojciec myśli, że nie żyjesz.

W moich czasach to ojciec Matthew, Philippe, nie żył -tragicznie, upiornie i nieodwołalnie. Ale był rok 1590, a to znaczyło, że żył. Od kiedy tu przybyliśmy, niepokoiłam się, że możemy wpaść na Ysabeau albo na asystentkę laboratoryjną Matthew, Miriam, i jak takie spotkanie może napiętnować naszą przyszłość. Ani razu nie pomyślałam o tym, jak spotkanie z Philippe'em odbije się na Matthew.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zderzyły się. Gdybym rozejrzała się po kątach, na pewno dostrzegłabym burzący się przeciw temu czas. Ale teraz wpatrywałam się w Matthew i krwawą łzę na śnieżnobiałej kryzie.

- Gdy ze Szkocji nadeszły wieści o twoim nagłym zniknięciu, baliśmy się, że udałeś się na północ z rozkazu królowej, a tam dopadło cię szaleństwo - twardo ciągnął Gallowglass. - Szukaliśmy cię dwa dni. Gdy nie trafiliśmy na żaden ślad, na Boga, Matthew, nie mieliśmy wyboru, musieliśmy powiedzieć Philippe'owi, że zniknąłeś. Co innego nam pozostawało? Zawiadomić Kongregację?

- Coś jeszcze, milordzie. - Pierre spojrzał na drugą stronę listu.

Pieczeń przypominała te, które kojarzyłam z Rycerzami Łazarza, tyle że użyty tu wosk był jaskrawą mieszanką czerni i czerwieni, a w nim zamiast zwykłego odcisku pieczęci zatopiono starodawną srebrną monetę o wytartych, cienkich brzegach.

Widniał na niej krzyż i półksiężyc, dwa symbole rodziny de Clermont.

- Co mu powiedzieliście? - Matthew wpatrywał się w bladą tarczę księżyca nad czarnoczerwonym morzem.

- Teraz, gdy nadszedł ten list, nasze słowa nie mają już większego znaczenia. Musisz znaleźć się na francuskiej ziemi w ciągu tygodnia, inaczej Philippe wyruszy do Anglii - wymamrotał Hancock.

- Mój ojciec tu nie przybędzie, Hancock. To niemożliwe.

- Oczywiście, że niemożliwe. Królowa zażądałaby jego głowy po tym wszystkim, co narozrabiał w angielskiej polityce. Musisz się z nim spotkać. Jeśli będziesz jechał dzień i noc, dotrzesz na czas - zapewnił

Hancock.

- Nie mogę. - Matthew wpatrywał się w zalakowany list.

- Philippe da ci konie na zmianę. Wkrótce wrócisz - wyszeptał

Gallowglass, kładąc rękę na ramieniu stryja. Matthew przewrócił oczami.

- Nie chodzi o odległość, to... - nagle zamilkł.

- Jest mężem twojej matki, człowieku. Na pewno możesz zaufać Philippe'owi, chyba że jemu też kłamałeś. - Hancock zmarszczył brwi.

- Kit ma rację. Nikt nie może mi ufać. - Matthew poderwał się. - Moje życie to jedno wielkie kłamstwo.

- Nie czas to ani miejsce na filozoficzne bzdury, Matthew. Już teraz Philippe zastanawia się, czy stracił jeszcze jednego syna! - zawołał

Gallowglass. - Zostaw z nami dziewczynę, wsiadaj na koń i rób, czego życzy sobie twój ojciec. A jak nie, to tak ci przyłożę, że stracisz przytomność i zaniemiemy cię tam z Hancockiem.

- Musisz być bardzo pewny siebie, Gallowglass - w głosie Matthew zabrzmiała groźna nutka - że śmiesz wydawać mi rozkazy. - Oparł się o kominek i zapatrzył w ogień.

- Jestem pewny swojego dziadka. Ysabeau zamieniła cię w wampierza, ale w żyłach mojego ojca płynęła krew Philippe'a.

Słowa Gallowglassa zraniły Matthew. Zadrzał, a gwałtowne emocje przełamały barierę jego zwykłej obojętności.

- George, Tom, biegnijcie na górę i dopilnujcie Kita -Walter wskazał przyjaciółom drzwi. I wydał rozkaz Pier-re'owi: - Wyprowadź ich z pokoju.

Rozległy się okrzyki: więcej wina, więcej jedzenia. Gdy tych dwóch zostało oddanych pod opiekę Françoise, Pierre wrócił, zamknął starannie drzwi i stanął przed nimi. Gdy tylko Walter, Henry, Hancock i ja zostaliśmy jako świadkowie rozmowy, wraz z milczącym Pierre'em, Gallowglass znów zaczął przekonywać Matthew.

- Musisz jechać do Sept-Tours. On nie spocznie, dopóki nie odzyska twojego ciała, żeby je pochować, albo nie staniesz przed nim, żywy.

Philippe nie ufa Elżbiecie ani Kongregacji. - Gallowglass chciał tym razem pocieszyć mojego męża, ale on wciąż milczał.

Gallowglass prychnął poirytowany.

- Oszukuj innych i oszukuj siebie, jeśli musisz. Możesz dyskutować całą noc, twoja wola. Ale ciotunia ma rację, wszystko to gówno. - I dodał ciszej: - Twoja Diana dziwnie pachnie. A ty pachniesz starzej niż przed tygodniem. Znam wasz sekret. On też go pozna.

Gallowglass domyślił się, że potrafię przenosić się w czasie. Rzut oka na Hancocka powiedział mi, że on także.

- Dość! - krzyknął Walter.

Gallowglass i Hancock natychmiast umilkli. Na małym palcu Waltera zalśnił sygnet z wizerunkiem Łazarza i konturami jego trumny.

- A więc ty też jesteś rycerzem - osłupiałam.

- Tak - odparł krótko Walter.

- I przewyższasz rangą Hancocka. A co z Gallowglas-sem? - Kto był komu wierny i posłuszny? Za wszelką cenę starałam się to jakoś uporządkować.

- Przewyższam rangą wszystkich w tym pokoju, madame, z wyjątkiem twojego męża - oświadczył Raleigh. -A więc i ciebie.

- Nie masz nade mną żadnej władzy - warknęłam. -A właściwie, jaką konkretnie rolę pełnisz w tym rodzinnym interesie de Clermontów, Walterze?

Raleigh spojrzał rozzłoszczony na Matthew.

- Ona zawsze jest taka?

- Zazwyczaj - odparł sucho Matthew. - Trzeba się do tego przyzwyczaić, ale ja to chyba lubię. Może i ty z czasem polubisz.

- Mam już jedną trudną kobietę. Nie potrzebuję kolejnej - prychnął

Walter. - A skoro musisz wiedzieć, przewodzę bractwu w Anglii, pani Roydon. Matthew nie może ze względu na swoją pozycję w Kongregacji.

Inni członkowie rodziny albo nie mieli czasu, albo odmówili.

Walter zerknął na Gallowglassa.

- A więc jesteś jednym z czterech prowincjałów Zakonu i odpowiadasz osobiście przed Philippe'em - głośno myślałam. - Dziwię się, że nie jesteś dziewiątym rycerzem.

Dziewiąty rycerz - tajemnicza postać w Zakonie; jego tożsamość trzymano w sekrecie przed wszystkimi poza najwyższymi rangą.

Raleigh przeklął tak paskudnie, że Pierre aż jęknął.

- Ukrywasz przed żoną fakt, że jesteś szpiegiem i członkiem Kongregacji, ale zdradzasz jej najtajniejsze prawa Zakonu?

- Zapytała o to. Ale myślę, że dość już na dziś o Zakonie Łazarza - uciął Matthew.

- Twoja żona nie będzie zadowolona, jeśli teraz nie dowie się więcej.

Będzie się tym zagryzać jak pies kością. - Raleigh splótł ramiona na piersi i skrzywił się. - Dobrze. Skoro musisz wiedzieć, to Henry jest dziewiątym rycerzem. Jego niechęć do przyjęcia wiary protestanckiej sprawia, że jest narażony na oskarżenia o zdradę stanu tutaj, w Anglii, a w Europie stał się łatwym celem dla każdego, kto chciałby zdetronizować Jej Wysokość. Philippe zaproponował mu tę funkcję, by ochronić go przed tymi, którzy wykorzystaliby jego

łatwowierność.

- Henry buntownikiem? - Spojrzałam zszokowana na łagodnego olbrzyma.

- Nie jestem buntownikiem - zaprotestował. - Ale Philippe de Clermont już niejednokrotnie uratował mi życie.

- Hrabia Northumberland to potężny człowiek, Diana - odezwał się cicho Matthew. - Z tego względu jest cenną figurą w rękach pozbawionego skrupułów gracza.

Gallowglass odkaslnął.

- Czy możemy na razie zostawić temat bractwa i skupić się na pilniejszych sprawach? Kongregacja wezwie Matthew, żeby zapanował nad niepokojami w Berwick. Królowa będzie chciała, by dalej je podsycił, bo tak długo, jak Szkoci są zajęci czarownicami, tak długo nie knują w Anglii. Żona Matthew jest we własnym domu oskarżana o czary.

A jego ojciec wezwał go do Francji.

- Chryste. - Matthew ścisnął grzbiet nosa. - Cóż za poplątana sprawa.

- A jak ją rozwiązać? - zapytał Walter. - Mówisz, że Philippe nie może tu przybyć, Gallowglassie, ale boję się o Matthew, on też nie powinien tam jechać.

- Nikt nie mówił, że łatwo mieć trzech panów i żonę - odezwał się kwaśno Hancock.

- A więc które zło wybierasz, Matthew? - zapytał Gallowglass.

- Jeśli Philippe nie otrzyma zalakowanego monetą listu z moich rąk, i to szybko, wyruszy mnie szukać - odparł ponuro Matthew. - To test na lojalność. Mój ojciec uwielbia testy.

- Twój ojciec ci ufa. Problem zostanie rozwiązany, gdy się spotkacie - wtrącił się Henry.

Matthew nie odpowiedział, więc Henry mówił dalej:

- Zawsze mi powtarzasz, że muszę mieć plan, bo inaczej zostanę wciągnięty w czyjeś gierki. Powiedz, co trzeba zrobić, a my się tym zajmiemy.

Matthew bez słowa rozważał możliwości i po kolei je odrzucał. Komu innemu ustalenie akcji i kontrakcji zajęłoby ładnych kilka dni, a Matthew ledwie kilka minut. Jego twarz nie zdradzała wewnętrznej walki, ale drzenie mięśni i przeczesywanie włosów tak.

- Pojadę - zdecydował. - Diana zostanie, z Gallowglassem i Hancockiem. Walter będzie musiał wytłumaczyć mnie jakoś przed królową. I zajmę się Kongregacją.

- Diana nie może zostać w Woodstock - zaprotestował stanowczo Gallowglass. - Nie po tym, co Kit nabroił w wiosce, opowiadając o niej kłamstwa i dopytując o nią. W czasie twojej nieobecności ani królowa, ani Kongregacja nie będą mieć powodu, by ją chronić.

- Możemy pojechać do Londynu, Matthew - zaproponowałam. -

Razem. To duże miasto. Na pewno będzie tam zbyt wiele czarownic, by ktokolwiek mnie zauważył, czarownic, które nie władają takimi mocami, jak moja, i nie mają gońców, którzy zanoszą do Francji wieści, że jesteś bezpieczny. Nie musisz jechać. Nie musisz znów spotykać się z ojcem.

- Londyn! - prychnął Hancock. - Nie przetrwałabyś tam trzech dni, madame. Zabierzemy cię z Gallowglassem do Walii, do Abergavenny.

- Nie. - Nie mogłam oderwać wzroku od szkarłatnej plamy na szyi Matthew. - Jeśli Matthew jedzie do Francji, to ja z nim.

- Wykluczone. Tam toczy się wojna.

- Działania wojenne ustały na czas zimy - odezwał się Walter. - A zabrać Dianę do Sept-Tours? To chyba najlepsze rozwiązanie. Mało kto ma dość odwagi, by zadrzeć z tobą, Matthew. Ale nikt nie odważy się przeciwstawić twojemu ojcu.

- Masz wybór! - krzyknęłam. Przyjaciele i rodzina Matthew nie wykorzystają mnie do tego, by zmusić go do wyjazdu do Francji.

- Tak. I wybieram ciebie. - Przesunął kciukiem po moich ustach.

Zakręciło mi się w głowie. Matthew postanowił jechać do Sept-Tours.

- Nie musisz tego robić - przekonywałam.

Nie odważyłam się powiedzieć nic więcej, aby nie zdradzić, że w naszych czasach Philippe nie żył i spotkanie z nim znów będzie dla Matthew torturą.

- Philippe powiedział mi, że spotkanie swojej pary jest przeznaczeniem. I że gdy cię odnajdę, nie będzie już można nic zrobić, poza zaakceptowaniem zrządeń losu. Ale to zupełnie nie tak. W każdej chwili, przez resztę życia, będę wybierał ciebie, nie mojego ojca, nie własne korzyści, nawet nie rodzinę de Clermont.

Matthew przycisnął swoje wargi do moich, uciszając jakikolwiek protest. Ten pocałunek świadczył o tym, że mój mąż dokonał wyboru.

- A więc zdecydowałaś - odezwał się cicho Gallowglass. Matthew spojrzał mi w oczy. Skinął głową.

- Tak. Diana i ja pojedziemy do domu. Razem.

- Czeka nas mnóstwo roboty, wiele przygotowań -stwierdził Walter. -

Zostaw to nam. Twoja żona wygląda na wyczerpaną, a ta podróż będzie męcząca. Oboje powinniście wypocząć.



Gdy oni wyszli, żadne z nas nie ruszyło do łóżka.

- Nasz pobyt w 1590 roku nie wygląda tak, jak planowałem - wyznał

Matthew. - Miało być bez problemów.

- Jak to sobie wyobrażałeś, z Kongregacją, procesami w Berwick, elżbietańską siatką szpiegowską i Rycerzami Łazarza ubiegającymi się o twoje względy?

- Członkostwo w Kongregacji i rola szpiega powinny nam pomóc, a nie utrudniać wykonania zadania. - Matthew wyjrzał przez okno. -

Myślałem, że przybędziemy do Old Lodge, wykorzystamy umiejętności wdowy Beaton, odnajdziemy w Oksfordzie manuskrypt i po kilku tygodniach wrócimy.

Ugryzłam się w język, żeby nie wytknąć błędów w tym rozumowaniu

- Walter, Henry i Gallowglass już wystarczająco często je wytykali - ale moja mina mnie zdradziła.

- Nie przemyślałem tego - westchnął. -1 nie tylko zapewnianie wiarygodności stanowi problem ani też omijanie tak oczywistych pułapek, jak procesy czarownic czy wojny. To coś więcej: czuję się przytłoczony. Jasne, mam obraz tego, co robiłem dla Elżbiety i Kongregacji, a także jak działałem na rzecz ojca, nie pamiętam jednak szczegółów. Pamiętam daty, ale nie dni tygodnia. A to znaczy, że nie wiem, który posłaniec kiedy ma przybyć ani co nastąpi później. Byłem przekonany, że rozstałem się z Gallowglassem i Hancockiem przed Halloween.

- Diabeł tkwi w szczegółach - szepnęłam. Powiodłam palcem po czarnym śladzie zakrzepłej krwi, tam, gdzie spłynęła jego łza. Od oka po policzku. - Powinnam się domyślić, że twój ojciec zechce się z tobą skontaktować.

- To była tylko kwestia czasu, nim nadszedł jego list. Za każdym razem, gdy Pierre przynosi pocztę, denerwuję się. Ale dziś posłaniec już był. Po prostu pismo ojca mnie zaskoczyło. Zapomniałem, jak wyraźne było kiedyś. Gdy uwolniłem go z niewoli nazistów w 1944 roku, był tak schorowany, że nawet wampirza krew nie mogła go uleczyć. Philippe nie potrafił utrzymać pióra w ręce. Kochał pisać, a jedyne, co mógł, to nagryzmolić coś nieczytelnie.

Wiedziałałam o tym, że Philippe został pojmany i uwięziony podczas drugiej wojny światowej, ale nie znałam wielu szczegółów dotyczących tego, jak cierpiał z rąk nazistów, którzy testowali, ile wytrzyma wampir.

- Może los chciał, byśmy trafili do 1590 roku nie tylko dla mojego dobra. Ponowne spotkanie z Philippe'em może otworzyć twoje stare rany, po czym je zagoić.

- Najpierw będzie gorzej. - Matthew pochylił głowę.

- Ale w końcu wyjdzie ci to na dobre. - Poglądziłam go po tej jego twardej, upartej głowie. - Wciąż nie otworzyłeś listu od ojca.

- Wiem, co w nim jest.

- Mimo to mógłbyś go otworzyć.

W końcu Matthew wsunął palec pod pieczęć i ją złamał. Moneta wypadła, a on złapał ją w locie. Następnie rozłożył gruby papier, pachnący wawrzynem i rozmarynem.

- To po grecku? - zapytałam, zaglądając mu przez ramię; ujrzałam pojedynczy wers i znajdującą się poniżej artystycznie zakreconą literę *phi*.

- Tak. - Matthew przesunął palcem po piśmie, nawiązując pierwszy, ostrożny kontakt z ojcem. - Każę mi wracać do domu. Natychmiast.

- Dasz radę znów się z nim spotkać?

- Nie. Tak. - Matthew zacisnął pięść, gniotąc papier. -

Nie wiem.

Zabrałam mu kartkę i wygładziłam. Moneta błyszczała w jego ręku.

Że też taki mały kawałek srebra mógł zrodzić tyle problemów.

- Nie spotkasz się z nim sam. - Moja obecność u jego boku, gdy spotka się ze zmarłym ojcem, nie znaczyła wiele, ale tylko tyle mogłam dla niego zrobić.

- Każdy z nas jest z Philippe'em sam. Niektórzy uważają, że on potrafi zaglądać w głąb duszy - wyszeptał Matthew. - Boję się ciebie tam zabrać.

Z Ysabeau mogłem przewidzieć, jak zareaguje; najpierw chłodem i złością, po czym przyzwoleniem. Co do Philippe'a, nie mam pojęcia. Nikt nie rozumie, jak działa jego umysł, jakie informacje uzyskał, jakie zastawił pułapki. Jeśli ja jestem tajemniczy, to ón... nieodgadniony.

Nawet Kongregacja nie wie, co knuje, a ile czasu poświęciła, próbując go rozszyfrować?

- Wszystko się ułoży - zapewniłam.

Philippe musi mnie przyjąć do rodziny. Tak jak matka i brat Matthew nie będzie miał wyjścia.

- Niech ci się nie wydaje, że go przechytrzysz - ostrzegł Matthew. -

Może i jesteś jak moja matka, tak twierdzi Gal-lowglass, ale nawet ona wpada w jego sidła.

- Czy w naszych czasach wciąż należysz do Kongregacji? Dlatego wiedziałeś, że Knox i Domenico są jej członkami? - Czarodziej Peter Knox prześladował mnie od chwili, gdy wypożyczyłam w Bibliotece Bodlejańskiej manuskrypt *Ashmole 782*. A co Domenico Michele? To wampir, który miał stare porachunki z de Clermontami. Był w La Pierre, nim inny członek

Kongregacji zaczął mnie torturować.

- Nie - zaprzeczył Matthew i się odwrócił.

- Czyli to, co Hancock powiedział o de Clermontach zawsze obecnych w Kongregacji, nie jest już zgodne z prawdą? - Wstrzymałam oddech.

Powiedz „tak”, prosiłam w duchu. Nawet jeśli skłamiesz.

- To wciąż prawda - oświadczył, niweczając we mnie nadzieję.

- A więc kto? Ysabeau? Baldwin? No chyba nie Marcus!

Nie mogłam uwierzyć. Matka, brat? Albo syn Matthew był w to zamieszany i nic nie zdradził.

- W mojej rodzinie jest wiele stworzeń, których nie znasz, Diano. Poza tym nie mogę zdradzić ci, kto zasiada w Kongregacji.

- Czy zasady, które wiążą resztę z nas, dotyczą też twojej rodziny? -

głośno myślałam. - Mieszacie się w politykę, na dowód widziałam księgi rachunkowe. Masz nadzieję, że gdy wrócimy do naszych czasów, to ten tajemniczy członek rodziny zrobi coś, żeby uchronić nas przed gniewem Kongregacji?

- Nie wiem - mruknął ponuro Matthew. - Już niczego nie jestem pewien.

Plany naszego wyjazdu szybko się sprecyzowały. Walter i Gallowglass omawiali najlepszą drogę, a Matthew porządkował swoje sprawy.

Hancock został wysłany do Londynu z Henrym i owiniętą w skórę paczką korespondencji. Jako członek Izby Lordów Henry miał obowiązek pojawić się siedemnastego listopada na królewskim dworze podczas obchodów rocznicy urodzin królowej. George i Tom wyruszyli do Oksfordu ze sporą sumą pieniędzy i skompromitowanym Marlowe'em.

Hancock ostrzegł ich, na co się narażają, jeśli Marlowe będzie wciąż miał

problemy. Matthew mógł być daleko, ale Hancock zapowiedział, że w razie potrzeby będzie na wyciągnięcie miecza i nie zawaha się zaatakować. Co więcej, Matthew dokładnie poinstruował George'a, jakie pytania o alchemiczne manuskrypty może zadawać oksfordzkim uczonym.

Moje sprawy nie wymagały tych zabiegów. Miałam spakować ledwie kilka osobistych rzeczy: kolczyki Ysabeau, nowe buty, ubrania. Françoise uszyła mi na podróż odpowiednią suknię w kolorze cynamonu. Wysoki kołnierz z futrem mogłam owinać wokół szyi, by chronić się przed wiatrem i deszczem. Jedwabiste lisie skórki, którymi Françoise obszyła mój płaszcz, i paski futerka, które wsunęła w haftowane brzegi moich nowych rękawiczek, także temu służyły.

I wreszcie zaniósłam książkę, którą podarował mi Matthew, do biblioteki. Łatwo byłoby

zgubić taki drobiazg w drodze do Sept-Tours, a chciałam jak najlepiej ukryć mój pamiętnik przed wścibskimi oczami.

Schyliłam się, podniosłam z podłogi gałązkę rozmarynu i lawendy i podeszłam do biurka Matthew. Wybrałam pióro i kałamarz, po czym zanotowałam:

*5 listopada 1590 zimny deszcz*

*Więści z domu. Szykujemy się do wyjazdu.*

I tyle.

Podmuchałam delikatnie, żeby osuszyć atrament, i wsunęłam rozmaryn z lawendą między strony. Moja ciotka używała rozmarynu do czarów przywracających pamięć, a lawendy, żeby wprowadzić nutkę ostrożności do miłosnych uroków - odpowiednia to kombinacja w naszej sytuacji.

- Życz nam szczęścia, Sarah - wyszeptalam i wsunęłam tomik na półkę z nadzieją, że znajdę go tam po powrocie.

## ROZDZIAŁ 7

Rima Jaen nienawidziła listopada. Krótki dzień, coraz dłuższe ciemności. A do tego był to okropny czas na pobyt w Sewilli, gdy miasto przygotowywało się do święta, a deszcz wisiał w powietrzu. Mieszkańcy, na co dzień nieprzewidywalni, z każdą godziną swoimi reakcjami coraz bardziej ją zadziwiali.

Rima od tygodni tkwiła za biurkiem. Jej szef postanowił posprzątać składziki na strychu. W zimie deszcz uszkodził stare dachówki rozpadającego się domu, a prognoza pogody na najbliższe miesiące nie wróżyła nic dobrego. Na wszystko brakowało pieniędzy, więc personel techniczny znosił zapleśniałe pudła na dół, by ocalić te cenne. To, co mniej cenne, po cichu wyrzucano, żeby nikt nie zorientował się, co się dzieje.

Trudna robota, ale trzeba ją wykonać, pomyślała Rima. Biblioteka była małym archiwum specjalistycznym. Kolekcję stworzyła prominentna andaluzyjska rodzina - jej korzenie sięgały czasów rekonkwisty, gdy chrześcijanie wyparli z półwyspu muzułmanów, którzy zdobyli go w VIII wieku. Niewielu uczonych miało powody, by szperać w dziwnym zbiorze książek i przedmiotów, które rodzina Gonçalvesów zgromadziła przez lata. Większość badaczy wołała kilka przecznic dalej, w Archivo General de Indias, dyskutować o Kolumbie. Inni sewilczycy chcieli, by w ich bibliotekach znalazły się najnowsze thrillery, a nie rozpadające się jezuickie podręczniki z XVIII wieku i magazyny mody z XIX.

Rima sięgnęła po książeczkę leżącą na krawędzi biurka i zsunęła na czubek nosa kolorowe okulary. Zauważyła ją tydzień temu, gdy jeden z pracowników upuścił z jękiem drewnianą skrzynię.

Wtedy wprowadziła ją do kolekcji jako *Manuskrypt Gonçalve 4890*, z opisem: „Angielska zwykła książka, anonimowa, późny XVI wiek”. Jak większość zwykłych książek, treści zawierała niewiele. Rima widziała pewien hiszpański egzemplarz, należący do dziedzica Gonçalvesów, wysłanego na uniwersytet w Sewilli w 1628 roku - elegancko oprawiony, liniowany i ponumerowany zdobnymi cyframi otoczonymi kolorowymi zygzakami. Nie było w nim ani słowa. Nawet w przeszłości ludzie nie potrafili spełnić swoich oczekiwań.

Książeczki takie były zazwyczaj skarbnicami biblijnych cytatów, fragmentów poezji, mott i sentencji klasycznych autorów. Często pojawiały się w nich jakieś gryzmoły, listy zakupów, a także sprośne piosenki i opisy dziwnych, błahych wydarzeń. Ta nie różni się niczym od innych, pomyślała Rima.

Niestety ktoś wyrwał pierwszą stronę. Pewnie z nazwiskiem właściciela.

Bez niej nie dałoby się go odnaleźć, a współpracownicy zostali opisani tylko inicjałami. Żaden to przedmiot zainteresowania historyków, zupełnie jakby anonimowość sprawiała, że

autor stawał się mniej ważny.

Potem następował spis angielskich monet w obiegu w XVI wieku i ich wartości. Na jednej z ostatnich stron ktoś szybko wypisał listę ubrań: płaszcz, dwie pary butów, suknia obszyta futrem, sześć koszul, cztery halki, para rękawiczek. Znalazły się też na niej datowane wpisy, bez sensu, i recepta na ból głowy, *caudle*, z mleka i wina. Rima uśmiechnęła się i zaczęła zastanawiać, czy pomogłoby to jej na migreny.

Powinna odnieść książeczkę do zamkniętych pokoi na trzecim piętrze, gdzie trzymano manuskrypty, ale coś ją powstrzymywało. Na pewno pisała to kobieta, wzruszająco niepewną, drżącą ręką - słowa wiły się w górę i dół stron wśród plam atramentu. Żaden XVI-wieczny uczonec nie pisał w ten sposób, chyba że był chory albo stary. A tego nie dało się powiedzieć o autorce. Tekst zaskakiwał energią, zupełnie niepasującą do nieśmiałego pisma.

Pokazała manuskrypt Javierowi Lopezowi, uroczemu, ale kompletnie niewykwalifikowanemu człowiekowi zatrudnionemu przez ostatniego z Gonęalvesów, by przekształcił rodzinny dom i osobiste zbiory w bibliotekę i muzeum. Jego wielkie biuro na parterze, wykładane mahoniem, jako jedyne pomieszczenie w całym budynku miało centralne ogrzewanie. Podczas krótkiej rozmowy odrzucił jej sugestię, jakoby ta książeczka zasługiwała na więcej uwagi. Zabronił jej również robienia fotografii, które mogłaby pokazać kolegom z Wielkiej Brytanii. A co do jej sugestii, że notatnik należał do kobiety, dyrektor wymamrotał tylko coś o feministkach i odesłał ją do innych zajęć.

I tak książka nadal leżała na jej biurku. Kto w Sewilli by się nią zainteresował? Nikt nie przyjeżdżał do Hiszpanii w poszukiwaniu zwykłych angielskich książek. Każdy wybierał British Library albo Folger Shakespeare Library w Stanach Zjednoczonych.

Był jeszcze ten dziwny człowiek, który od czasu do czasu przychodził i przeglądał kolekcje. Francuz; jego krytyczne spojrzenie zawsze wprawiało Rimę w zakłopotanie. Herbert Cantal, a może Gerbert Cantal.

Nie mogła sobie przypomnieć. Ostatnio zostawił jej wizytówkę i zachęcał, by skontaktowała się z nim, jeśli trafi na coś ciekawego. A gdy Rima zapytała, co konkretnie ma na myśli, powiedział, że interesuje go wszystko. Ogólnikowa odpowiedź.

A teraz to coś ciekawego się pojawiło. Niestety nie była to wizytówka mężczyzny, mimo że Rima posprzątała biurko, by ją odnaleźć. Musiała poczekać, aż mężczyzna znów tu przyjdzie, i pokazać mu książeczkę.

Może zainteresuje go bardziej niż jej szefa.

Przerzucała kartki. Między dwiema stronami leżała malutka gałązka lawendy i kilka rozsypujących się listków rozmarynu. Nie zauważyła ich wcześniej; ostrożnie je wyjęła. Przez chwilę w powietrzu czuć było zapach przekwitłych kwiatów, tworzący więź między nią a osobą, która żyła tak dawno temu. Rima uśmiechnęła się smutno, myśląc o kobiecie, której nigdy nie pozna.

- *Mas basura*. - Daniel z personelu technicznego, w kombinezonie szarym od noszenia

pudeł ze strychu, zrzucił na podłogę kilka kolejnych.

Mimo chłodu na czoło wystąpił mu pot. Otarł go rękawem, zostawiając smugę czarnego kurzu. - *Café?*

Zapraszał ją już trzeci raz w tym tygodniu. Rima wiedziała, że mu się podoba. Berberyjskie korzenie od strony jej matki niektórych mężczyzn fascynowały - trudno się dziwić, skoro zapewniały jej delikatne krągłości, oliwkową cerę i oczy w kształcie migdałów. Daniel od dawna rzucał sprośne komentarze, ocierał się o nią, gdy z pocztą szła do pokoju, i gapił się na jej biust. To, że był sporo niższy i dwa razy starszy od niej, wcale go nie zniechęcało.

- *Estoy muy ocupada* - odparła Rima.

Daniel chrząknął sceptycznie. Jeszcze raz rzucił okiem na pudła. W tym na górze znajdowała się pokryta pleśnią futrzana mufła i wypchany strzyżyk na cedrowej gałązce. Daniel pokręcił głową, nie rozumiał, jak ona może przedkładać zdechłe zwierzaki nad jego towarzystwo.

- *Gracias* - wymamrotała Rima, gdy wyszedł.

Zamknęła ostrożnie książkę i odłożyła na biurko.

Przekładając zawartość pudła na stół obok, wciąż spoglądała na książeczkę w zwykłej skórzanej oprawie. Czy za czterysta lat jedynym dowodem jej istnienia będzie kartka z kalendarza, lista zakupów i kawałek papieru z przepisem jej babci na *alfafores*, a to wszystko w teczce z informacją: „anonimowe, bez znaczenia”, upchniętej gdzieś, gdzie nikt nigdy nie zagłąda?

Takie ponure myśli przynoszą nieszczęście. Rima zadrżała i dotknęła amuletu w kształcie dłoni córki Proroka, Fatimy. Zwisał jej z szyi na skórzanym rzemyku. Od zawsze przekazywały go sobie kobiety w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie.

- *Khamsa fi ainek* - wyszeptała, z nadzieją, że ta formuła uchroni ją przed złymi duchami, jakie mogła nieświadomie przywołać.

## CZĘŚĆ I I

### SEPT-TOURS

#### I WIOSKA SAINT-LUCIEN

### ROZDZIAŁ 8

Tam, gdzie zawsze? - zapytał cicho Gallowglass, odkładając wiosła i wciągając żagiel.

Mimo że do świtu miały upłynąć jeszcze cztery godziny, w ciemnościach widać było inne łodzie - nieopodal dostrzegłam niewyraźny zarys żagla i kołyszącą się na rufie latarnię.

- Walter powiedział, że płyniemy do Saint-Malo - odwróciłam się zaskoczona.

Raleigh towarzyszył nam z Old Lodge do Portsmouth i pilotował łódź, która zabrała nas na Guernsey. Zostawiliśmy go na nabrzeżu blisko wioski Saint-Pierre-Port. Nie mógł jechać z nami dalej, gdyż w katolickiej Europie za jego głowę wyznaczono nagrodę.

- Cioteczko, doskonale pamiętam, gdzie kazał mi płynąć Raleigh, ale to pirat. I Anglik. Zresztą jego tu nie ma. Pytam Matthew.

- *Immensi tremor oceani* - szepnął Matthew i zapatrzył się w niespokojne morze. Gdy tak siedział zamyślony, przypominał galion. A odpowiedź, jaką dał bratankowi, była dziwna: „wzburzenie ogromnego oceanu”. Zaczęłam się zastanawiać, czy na pewno dobrze zrozumiałam te łacińskie słowa.

- Pływy nam sprzyjają, a do Fougeres będzie konno bliżej niż z Saint-Malo - stwierdził Gallowglass, zupełnie jakby słowa Matthew miały sens. - W taką pogodę na wodzie nie będzie jej zimniej niż na lądzie, a i tak czeka ją jeszcze długa jazda.

- A ty nas opuszczasz. - To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Matthew przymknął oczy i skinął głową. -Niech i tak będzie.

Gallowglass opuścił żagiel i łódź zmieniła kurs z południowego na wschodni. Matthew usiadł na pokładzie, oparł się o jego rzeźbione wsporniki, objął mnie i okrył swoim płaszczem.



Nie dało się twardo zasnąć, ale próbowałam drzemać wtulona w Matthew. Była to trudna wyprawa: konie zmuszano do olbrzymiego wysiłku i rekwirowano łodzie. Mróz osadzał się na ubraniach.

Gallowglass i Pierre rozmawiali w jakimś francuskim dialekcie, a Matthew milczał. Odpowiadał na ich pytania, natomiast nie zdradzał swoich myśli.

Wstał zamglony świt i zaczęło lekko śnieżyć. Broda Gallowglassa zbieła, nadając mu wygląd Świętego Mikołaja.

Na jego rozkaz Pierre zrobił zwrot i naszym oczom ukazał się szarobiały krajobraz wybrzeża Francji. Jakies pół godziny później przyływ poniosł nas w stronę lądu. We mgle dostrzegłam iglicę wieży.

Była zaskakująco blisko, ale podstawy budowli nie mogłam przy tej pogodzie dostrzec. Jęknęłam.

- Trzymajcie się mocno - rzucił ponuro Gallowglass, a Pierre zluzował żagiel.

Łódź pognąła przez mgłę. Krzyki mew i huk wody rozbijającej się o skały sugerowały, że jesteśmy blisko brzegu, ale łódź nie zwalniała.

Gallowglass zanurzył w spienionej wodzie wiosło i łódź przechyliła się gwałtownie. Ktoś krzyknął - ostrzegawczo? Na powitanie?

- *Il est le chevalier de Clermont!* - zawołał Pierre przez zwinięte w trąbkę dłonie. Nikt nie odpowiedział, ale po chwili rozległy się kroki.

- Gallowglass! - Płynęliśmy prosto w mur. Sięgnęłam po wiosło, by uchronić nas przed katastrofą, lecz nim zdążyłam je porządnie chwycić, Matthew wyszarpnął mi je z ręki.

- Gallowglass przybija w to miejsce od setek lat, a jego ludzie jeszcze dłużej - stwierdził spokojnie, trzymając lekko wiosło.

Ku mojemu zaskoczeniu dziób łodzi skręcił gwałtownie w lewo i kadłub stanął równoległy do ściany z grubego granitu. Gdzieś w górze pojawiło się czterech mężczyzn z hakami i linami, by przytrzymać łódź.

Poziom wody podnosił się zatrważająco prędko, aż zrównaliśmy się z niewielką kamienną chatką. Z mgły wynurzyły się schody. Pierre wyskoczył na podest i wskazując łódź, powiedział coś szybko.

Pojawiło się dwóch uzbrojonych ludzi. Po chwili pobiegli w kierunku schodów.

- Dotarliśmy do Mont Saint-Michel, madame. - Pierre wyciągnął do mnie rękę. Chwyciłam ją i wyskoczyłam z łodzi. -Będziesz tu mogła odpocząć, a milord porozmawia z opatem.

Moja wiedza o tej wyspie ograniczała się do kilku opowieści przyjaciół, którzy każdego

lata żeglowali wokół Wight. Mówili, że podczas odpływu Saint-Michel otaczają lotne piaski, a w czasie przyływu prądy morskie są tak silne, że łodzie rozbijają się o skały.

Spojrzałam przez ramię na naszą malutką łódkę i zadrżałam. To cud, że wciąż żyliśmy. Gdy ja się rozglądałam, Matthew wpatrywał się w swojego bratanka, który stał nieruchomo przy sterze.

- Dla Diany byłoby bezpieczniej, gdybyś z nami poszedł.

- Kiedy twoi przyjaciele nie próbują ściągać na nią kłopotów, ona doskonale sobie radzi. - Gallowglass spojrział na mnie z uśmiechem.

- Philippe będzie o ciebie pytał.

- Powiedz mu... - Gallowglass zamilkł, tęsknie zapatrzony w przestrzeń. - Powiedz, że jeszcze nie udało mi się zapomnieć.

- Ze względu na niego powinieneś spróbować wybaczyć - odparł cicho Matthew.

- Nigdy nie wybaczę - wycedził Gallowglass. - A Philippe nigdy by czegoś takiego ode mnie nie żądał. Mój ojciec zginął z rąk Francuzów i nikt nie stanął przed królem w jego obronie. Dopóki nie pogodzę się z przeszłością, moja noga nie postanie we Francji.

- Hugh odszedł, niech Bóg ma go w swojej opiece. A twój dziadek jest wciąż z nami. Nie zmarnuj czasu, jaki mógłbyś z nim spędzić. - Matthew wyskoczył z łodzi. Odwrócił się, wziął mnie za łokieć i poprowadził w stronę kępy drzew o bezlistnych gałęziach. Czując na sobie wzrok Gallowglassa, odwróciłam się i spojrzałam mu w oczy. Uniósł rękę w niemym geście pożegnania.

Podeszliśmy w milczeniu do schodów. Nie widziałam, dokąd prowadzą i ile mają stopni. Skupiłam się na tym, by nie przewrócić się na wyslizganych kamieniach. Z mojej sukni odpadały kawałki lodu, a w szerokim kapturze hulał wiatr. Przed nami otwarły się ciężkie drzwi, okute nadgryzionym przez morską bryzę żelazem.

I kolejne schody. Zacisnęłam zęby, uniosłam suknie i szłam dalej.

Coraz więcej zbrojnych mężczyzn. Gdy się do nich zbliżaliśmy, przywierali do ścian, by zrobić dla nas przejście. Palce Matthew zacisnęły się mocniej na moim łokciu, ale poza tym nie zwracał na nich uwagi, jakby byli duchami.

Weszliśmy do kolumnowej sali. Od potężnych kominków wokół biło błogosławione ciepło. Westchnęłam z ulgą i strząsnęłam płaszcz, rozbryzgując wodę i lód. Ciche chrząknięcie zwróciło moją uwagę na stojącego przy jednym z kominków mężczyznę. Nosił kardynalską czerwień i wyglądał na dwadzieścia kilka lat - wyjątkowo młody wiek jak na kogoś zajmującego tak wysoką pozycję w hierarchii Kościoła katolickiego.

- Ach, *chevalier de Clermont*. Czy też powinniśmy cię teraz zwać inaczej? Od dawna nie było cię we Francji. Może przejąłeś nazwisko Walsinghama wraz z jego stanowiskiem, teraz, gdy

trafił do piekła, gdzie jego miejsce? - Kardynał mówił świetnie po angielsku, choć z obcym mocnym akcentem. - Zgodnie z rozkazem seigneura wyglądaliśmy cię od trzech dni. Ale nikt nie wspominał o kobiecie.

Matthew puścił moje ramię i wysunął się do przodu. Przyklęknął na jedno kolano i ucałował pierścień na palcu wyciągniętej przez mężczyznę dłoni.

- Eminencjo, sądziłem, że jesteś w Rzymie, by wybrać nowego papieża. Tak się cieszę, że cię widzę. - W głosie Matthew nie słyszałam radości.

Zaniepokojona, zaczęłam się zastanawiać, w co się wplątaliśmy, przybywając do Mont Saint-Michel, a nie do Saint-Malo, jak zaplanował Walter.

- Francja potrzebuje mnie teraz bardziej niż konklawe. Ostatnie zabójstwa królów i królowych nie cieszą Boga. - Oczy kardynała zalsniły ostrzegawczo. - Elżbieta przekona się o tym wkrótce, jak tylko przed Nim stanie.

- Nie przybyłem tu w imieniu Anglii, kardynale Joyeuse. To moja żona, Diana. - Matthew uniósł cienką srebrną monetę ojca, którą trzymał pomiędzy środkowym i wskazującym palcem. - Wracam do domu.

- Tak mnie poinformowano. Twój ojciec przesłał to, żeby zapewnić wam bezpieczną drogę. - Joyeuse rzucił błyszczący przedmiot w stronę Matthew, a ten zgrabnie go złapał. - Philippe de Clermont zapomina się i zachowuje tak, jakby to on był królem Francji.

- Mój ojciec nie musi królować, to on jest ostrzem miecza, który ustanawia i obala królów - stwierdził spokojnie Matthew.

Wsunął na środkowy palec masywny złoty pierścień z dużym czerwonym oczkiem. Wzór na sygnecie jest taki sam, jak znaki na moich plecach, pomyślałam.

- Twoi panowie wiedzą, że gdyby nie mój ojciec, to sprawa katolicyzmu we Francji byłaby przegrana. Inaczej nie przybyłbyś tutaj.

- Może byłoby jednak lepiej dla wszystkich, gdyby *seigneur* był rzeczywiście królem, zważywszy na to, że obecnie na tronie zasiada protestant. Ale o tym powinniśmy podyskutować na osobności - odezwał się zmęczonym tonem kardynał Joyeuse. Skinął na sługę stojącego w cieniu przy drzwiach. - Zabierz żonę chevaliera do jej pokoju. Musimy panią opuścić, madame. Twój mąż zbyt długo przebywał wśród heretyków. Kiedy pokłęczy na zimnych kamieniach, przypomni sobie, kim naprawdę jest.

Na mojej twarzy musiało się odmalować przerażenie na myśl o pozostaniu samej w takim miejscu.

- Pierre będzie z tobą - zapewnił Matthew, po czym nachylił się i mnie pocałował. - Ruszamy, gdy zacnie się odpływ.

Wtedy po raz ostatni widziałam Matthew Clairmonta naukowca.

Mężczyzna, który pomaszzerował do drzwi, nie był już profesorem Oksfordu, lecz renesansowym księciem. Świadczyły o tym jego postawa, ramiona, siła i zimne spojrzenie. Hamish miał rację: Matthew nie będzie tutaj tym samym człowiekiem. Pozornie łagodny, bardzo się zmienił.

Gdzieś w górze rozdzwoniły się dzwony.

Naukowiec. Wampir. Wojownik. Szpieg. Dzwony zamarły na moment. Księżę.

Zastanawiałam się, czego jeszcze dowiem się podczas naszej podróży o tym skomplikowanym mężczyźnie, którego poślubiłam.

- Nie dajmy Bogu czekać, kardynale Joyeuse - rzucił ostro Matthew.

Joyeuse poszedł za nim, zupełnie jakby to miejsce należało do rodziny de Clermont, a nie do Kościoła. Za mną Pierre odetchnął głęboko.

- *Milord est lui-meme* - szepnął z ulgą. Milord jest sobą. Ale czy wciąż należał do mnie? Matthew może i był księciem, ale nie królem.

Z każdym uderzeniem kopyt naszych wierzchowców o zamrażające drogi Francji, władza i wpływy ojca Matthew rosły. Im bliżej Philippe'a de Clermont, tym bardziej jego syn stawał się wyniosły i władczy - złościło mnie to i doprowadziło do scysji. Matthew przeproszał mnie za swoje zachowanie za każdym razem, gdy opanowywał gniew, a ja, wiedząc, jak bardzo się denerwuje spotkaniem z ojcem, wybaczałam mu.

Podczas odpływu przedarliśmy się przez piaski otaczające Mont Saint-Michel i ruszyliśmy w głąb łądu; sojusznicy de Clermontów przywitani nas u bram miasta Fougeres i zakwaterowali w wygodnie urządzonej wieży z widokiem na błonia za murami. Dwie noce później rycerze z pochodniami wyszli nam na spotkanie na drodze do miasta Bauge. Na ich szatach widniał znajomy herb - krzyż i półksiężyc Philippe'a. Widziałam ten symbol już wcześniej, gdy szperałam w biurku Matthew w Sept-Tours.

- Co to za miejsce? - zapytałam jednego z ludzi, którzy prowadzili nas do opuszczonego zamku. Jak na nie-zamieszkaną budynkę, w środku było zaskakująco ciepło, a w pustych korytarzach unosił się cudowny zapach przyrządzanego posiłku.

- Dom starego przyjaciela. - Matthew ściągnął buty z moich zmarzniętych nóg.

Uciskał kciukami moje lodowate stopy, aż wróciło do nich krążenie.

Jęknęłam. Pierre podał mi kubek grzanego wina.

- To był ulubiony pawilon myśliwski René. Gdy tu mieszkał, zamek tętnił życiem, a w każdej sali przesiadywali artyści i uczeni. Teraz opiekuje się nim mój ojciec. Ale z powodu ciągłych wojen nie było czasu o ten pawilon zadbać.

Nim opuściliśmy Old Lodge, Matthew i Walter zrobili mi wykład na temat nieustannych

walk o Koronę i państwo między francuskimi protestantami i katolikami. Z naszych okien w Fougères widziałam w oddali dymy, wskazujące, gdzie obozowała armia protestancka, a w czasie podróży wciąż mijaliśmy ruiny domów i kościołów. Przerazało mnie takie zniszczenie.

Z powodu konfliktu trzeba było zmienić moją skomplikowaną historię. W Anglii miałam być protestantką pochodzenia francuskiego, uciekającą z rodzinnych ziem, by ratować życie i zachować wiarę. Tutaj musiałam zostać cierpiącą w milczeniu angielską katoliczką. Matthew zdołał jakoś zapamiętać wszystkie kłamstwa i półprawdy niezbędne dla zachowania naszych przybranych tożsamości, nie wspominając już o historycznych szczegółach dotyczących każdego miejsca, przez które przejeżdżaliśmy.

- Jesteśmy teraz w Andegawenii. - Niski głos Matthew przywrócił mnie do rzeczywistości. - Bez względu na to, co im powiemy, jej mieszkańcy będą podejrzewać, że jesteś protestanckim szpiegiem, bo mówisz po angielsku. Ta część Francji nie akceptuje pretensji króla do tronu i wołałaby katolickiego władcę.

- Takiego jak Philippe - wyszeptalam.

Nie tylko kardynał Joyeuse zyskiwał na wpływach Philippe'a. Po drodze zatrzymywali nas katolicy księża o zapadniętych policzkach i zmęczonych oczach, dzieląc się informacjami i prosząc o przekazanie ojcu Matthew podziękowań za wsparcie. Żaden nie odszedł zawiedziony.

- On nie dba o szczegóły wiary chrześcijan. W innych częściach kraju wspiera protestantów.

- To niezwykle ekumeniczne podejście.

- Philippe chce tylko ochronić Francję przed nią samą. W sierpniu tego roku nasz nowy król, Henryk z Nawarry, próbował zmusić Paryż, by uznał jego religijną i polityczną pozycję. Paryżanie woleli jednak umrzeć z głodu, niż pokłonić się protestanckiemu królowi. - Matthew przeczesał palcami włosy, co zawsze świadczyło o tym, że się denerwuje. - Zginęły tysiące, więc ojciec stracił wiarę, że Francuzi potrafią zwyciężać.

Philippe najwyraźniej nie uważał też, by jego syn sam sobie w życiu dawał radę.

Pierre obudził nas przed świtem, informując, że wypoczęte konie czekają i że już za dwa dni spodziewają się nas władze miasta oddalonego o ponad sto mil.

- To niemożliwe. Nie dotrzemy tak daleko w tak krótkim czasie! -

Fizycznie byłam bardzo sprawna, ale żadne współczesne ćwiczenia nie równały się z pokonywaniem ponad pięćdziesięciu mil bezdroży dziennie, i to w listopadzie.

- Nie mamy wyboru - odparł ponuro Matthew. - Jeśli będziemy zwlekać, wyśle więcej ludzi, żeby nas popędzali. Lepiej robić, co każe.

Później, gdy omal nie rozplakałam się ze zmęczenia, Matthew bez pytania wziął mnie na swoje siodło i jechaliśmy tak, póki koniom starczyło sił. Byłam zbyt wyczerpana, by

protestować.

Dotarliśmy do kamiennych murów i drewnianych obejść Saint-Benoit na czas, dokładnie tak, jak nakazał Philippe. Byliśmy na tyle blisko Sept-Tours, że ani Pierre, ani Matthew nie przejmowali się już za bardzo zachowaniem pozorów przyzwoitości, więc dosiadałam konia po męsku.

Mimo że trzymaliśmy się ustalonego planu, Philippe przysyłał do nas coraz więcej służących, zupełnie jakby obawiał się, że zmienimy zdanie i zawrócimy do Anglii. Niektórzy towarzyszyli nam w drodze. Inni przygotowywali trasę, zapewniali jedzenie, konie i miejsca postoju, jak choćby tętniące życiem karczmy, opuszczone domy i warowne klasztory. Gdy dotarliśmy do kamienistych wzgórz wygasłych wulkanów Owernii, naszym oczom często na stromych szczytach ukazywały się sylwetki jeźdźców. Gdy nas dostrzegali, zawracali, by do Sept-Tours dostarczyć wieści o nas.

Dwa dni później, gdy o zachodzie słońca zatrzymaliśmy się z Matthew i Pierre'em na jednym z tych szczytów, w oddali, ledwie widoczny wśród śnieżnej zamieci, ukazał nam się zamek rodziny de Clermont. Proste linie donżonu były znajome, ale poza nimi nie rozpoznałabym tego miejsca. Otaczające zamek mury dobrze się zachowały, tak samo jak sześć okrągłych baszt o stożkowych dachach krytych zielonymi od patyny miedzianymi dachówkami. Z kominów skrytych za blankami wydobywał się dym. W obrębie murów widać było zaśniewiony ogród i prostokątne rabaty.

W czasach współczesnych zamczysko sprawiało ponure wrażenie.

Teraz, wśród wojennej zawieruchy, te zabezpieczenia nie dziwiły.

Między zamkiem a wioską wznosiła się potężna strażnica. W środku kręciło się mnóstwo ludzi, wielu z nich uzbrojonych. Wytężając w półmroku wzrok, na wewnętrznym podwórku dostrzegłam drewniane budowle. Światło z ich małych okien rysowało kwadraciki ciepłego koloru wśród szarości kamienia i bieli śniegu.

Z pyska mojej klaczy buchała para. Był to najwspanialszy koń, na jakim jechałam w tej podróży. Wierzchowiec Matthew, potężny złośliwy gniadosz, próbował ugryźć każdego, kto się do niego zbliżył, poza istotą na jego grzbiecie. Oba zwierzęta, ze stajni de Clermont ów, doskonale znały drogę do domu, gdzie czekała na nie ciepła stajnia i żłób owsa.

- *Mon Dieu.* To ostatnie miejsce na ziemi, w jakim spodziewałam się znaleźć. - Matthew zamrugał, jakby spodziewał się, że zamek rozplynie się jak mgła.

Położyłam mu rękę na ramieniu.

- Wciąż masz wybór. Możemy zawrócić.

Pierre popatrzył na mnie ze współczuciem, a Matthew uśmiechnął się smutno.

- Nie znasz mojego ojca. - Znow spozjrzał w stronę zamku. Pochodnie oświetlały nam drogę, gdy zjeżdżaliśmy do

Sept-Tours. Potężne wrota z drewna i żelaza stały otworem, a gdy przejeżdżaliśmy, czterech mężczyzn wpatrywało się w nas w milczeniu.

Wrota zatrasnęły się za nami, dwóch ludzi zabezpieczyło bramę ciężkim skoblem. Sześć dni podróży przez Francję nauczyło mnie, że tak należało postępować. Podejrzliwie traktowano obcych, bojąc się ataku grasujących band żołnierzy, kolejnego rozlewu krwi czy nowego pana, któremu trzeba by służyć.

W środku czekała na nas istna armia ludzi i wampirów. Kilku z nich zajęło się końmi. Kiedy Pierre przekazywał paczuszkę listów, inni zadawali mu cicho pytania, popatrując na mnie ukradkiem. Nikt nie podszedł bliżej ani nie zaproponował pomocy. Siedziałam na koniu, trzęsąc się z zimna i zmęczenia, i rozglądałam za Philippe'em. Na pewno nakaże komuś się mną zaopiekować.

Matthew zauważył mój niepokój i z niezwykłym wdziękiem zsunął się z gniadosza. Podszedł do mnie, delikatnie wyciągnął moją zdrętwiałą stopę ze strzemienia i zaczął ją masować, by przywrócić czucie.

Podziękowałam mu. Nie chciałam zaraz po przyjeździe robić z siebie przedstawienia, spadając w śnieg i błoto.

- Który z tych mężczyzn to twój ojciec? - wyszeptałam, gdy nachylił się, by przejść pod szyją konia i zacząć masować moją drugą stopę.

- Żaden. Jest w środku, na pozór niezainteresowany spotkaniem nas po tym, jak nalegał, byśmy pędzili przez Francję, jakby ścigała nas gromada diabłów. Ty też powinnaś być w środku. - Matthew zaczął szybko wydawać rozkazy po francusku, rozsyłając flegmatycznych służących we wszystkie strony, aż pozostał tylko jeden wampir - przy drewnianych kręconych schodach prowadzących do wrót zamku. Ogarnęło mnie irytujące uczucie zderzenia przeszłości z teraźniejszością, gdy przypomniałam sobie, jak wspinałam się po nieistniejących jeszcze kamiennych schodach i po raz pierwszy spotkałam Ysabeau.

- Alain. - Twarz Matthew pojaśniała.

- Witaj w domu - powiedział wampir po angielsku. Gdy podszedł do nas, lekko utykając, mogłam mu się lepiej przyjrzeć - był szczupły, miał przyprószone siwizną włosy i zmarszczki wokół łagodnych oczu.

- Dziękuję, Alain. To moja żona, Diana.

- Madame de Clermont. - Alain ukłonił się, zachowując odpowiedni dystans.

- Miło cię poznać, Alain. - Nigdy się nie spotkaliśmy, ale kojarzyłam już jego imię z niezłomną lojalnością i wielką życzliwością. W XXI wieku to właśnie do Alaina dzwonił w środku nocy Matthew, gdy chciał się upewnić, że w Sept-Tours zostanie odpowiednio ugoszczona.

- Twój ojciec czeka. - Alain stanął z boku.

- Każ przynieść do moich pokoi jedzenie. Coś lekkiego. Diana jest zmęczona i głodna. -  
Matthew podał Alainowi swoje rękawiczki. -

Spotkam się z nim bez zwłoki.

- Oczekuje was obojga - oznajmił chłodno Alain. - Proszę uważać na schodach, madame.  
Stopnie są oblodzone.

- Obojga? - Matthew spojrział na donżon i zacisnął usta. Matthew trzymał mnie mocno za łokieć, co pomagało mi pokonywać śliskie schody. Ale gdy dotarliśmy na górę, nogi tak mi się trzęsły, że potknęłam się o kamienną płytę u szczytu. Matthew puściły nerwy.

- Philippe zachowuje się niedorzecznie - warknął, łapiąc mnie w tali. -

Diana jest od kilku dni w drodze.

- Wydał bardzo konkretne rozkazy, sir - oficjalny ton Alaina brzmiał ostrzegawczo.

- Nic się nie stało, Matthew. - Odrzuciłam z twarzy kaptur, by rozejrzeć się po wielkiej sali.

Broń i zbroje, które pamiętałam z XXI wieku, zniknęły, a pojawił się rzeźbiony drewniany parawan, ochrona przed przeciągami, kiedy otwierano drzwi. Nie było też pseudo-średniowiecznych ozdób, okrągłego stołu i porcelanowej misy, natomiast ze ścian zwisały arrasy, falując lekko, gdy ciepłe powietrze z kominka spotykało się z zimnym z dworu. Pośrodku stały dwa długie stoły i niskie ławy. Po sali kręcili się mężczyźni i kobiety, szykując zastawę do kolacji. Dziesiątki istot mogły znaleźć tu dla siebie miejsce. Tym razem balkon dla orkiestry nie był pusty - siedzieli tam muzycanci i stroili instrumenty.

- Niesamowite - wyjąkałam przez zmarznięte usta. Zimne palce złapały mnie za podbródek.

- Cała zsiniałaś - stwierdził Matthew.

- Przyniosę ogrzewacz na stopy i grzane wino. I podrzucimy drew do kominka - oznajmił Alain.

Jakiś człowiek wziął ode mnie przemoczony płaszcz. Matthew odwrócił się gwałtownie w stronę pokoju, który znałam pod nazwą śniadaniowego. Wyteżyłam słuch, ale nic nie usłyszałam.

Alain pokręcił przepaszająco głową.

- Nie jest w dobrym nastroju.

- Zauważyłem. - Matthew spuścił wzrok. - Philippe nas wzywa. Jesteś pewna, Diano? Jeśli nie chcesz go dziś widzieć, sam stawię mu czoło.

Nie chciałam dopuścić do tego, by przy pierwszym od wielu, wielu lat spotkaniu z ojcem Matthew był sam. On stał przy mnie, gdy mierzyłam się ze swoimi demonami, więc ja musiałam



zrobić to samo dla niego.

Potem położę się do łóżka i zostanę w nim aż do świąt.

- Chodźmy - zdecydowałam, unosząc suknie.

Sept-Tours było zbyt stare, by mieć coś takiego jak korytarze, więc przeszliśmy przez znajdujące się na prawo od kominka łukowe drzwi w kąt pokoju, który w przyszłości stanie się wielkim salonem Ysabeau.

Teraz nie był zastawiony eleganckimi meblami, lecz urządzony surowo, jak wszystkie inne miejsca, które widziałam podczas naszej podróży.

Ciężkie dębowe skrzynie zniechęcały do kradzieży i mogły przetrwać wojenny czas, czego dowodziło głębokie cięcie biegnące ukośnie przez wieko jednej z nich.

Alain poprowadził nas do pokoju, w którym pewnego dnia Ysabeau zje ze mną śniadanie wśród ścian koloru terakoty, przy stole z ceramicznymi naczyniami i ciężkimi srebrnymi sztucami. Daleko było temu miejscu do tego z mojej pamięci - teraz stały tu tylko stół i krzesło.

Blat zavalony był papierami i piórami. Nie miałam czasu przyjrzeć im się bliżej, gdyż znów zaczęliśmy się wspinać po śliskich kamiennych schodach do nieznanej mi części zamku.

Schody zakończyły się nagle szerokim podestem. Na lewo ciągnęła się długa galeria, a w niej znajdowały zegary, broń, portrety i meble.

Zniszczona złota korona zdobiła marmurową głowę jakiegoś starożytnego boga. W jej środku połyskiwał złowrogi krwistoczerwony rubin wielkości jajka.

- Tędy. - Alain wskazał nam wejście do następnej komnaty.

Wiodły z niej kolejne schody, tym razem raczej w górę niż w dół; po obu stronach zamkniętych drzwi stało kilka topornych ław. Alain czekał cicho i cierpliwie, żeby ktoś zareagował na nasze przybycie. No i usłyszeliśmy jedno łacińskie:

- *Introite.*

Matthew podskoczył na ten głos. Alain spojrział na niego z niepokojem i pchnął drzwi. Otworzyły się cicho na dobrze naoliwionych, potężnych zawiasach.

Naprzeciwko siedział odwrócony do nas plecami mężczyzna o lśniących włosach. Nawet w tej pozycji widać było, że jest wysoki i zbudowany jak atleta. Coś pisał, a chrobot pióra doskonale harmonizował z trzaskaniem drewna w kominku i wyciem wiatru za oknem.

- *Sedete* - usłyszeliśmy.

Tym razem to ja podskoczyłam. Teraz, gdy drzwi nie mogły go stłumić, głos Philippe'a zadudnił tak, że aż rozboleły mnie uszy. Ten mężczyzna przywykł do absolutnego posłuchu, natychmiastowego i bez pytań. Ruszyłam w stronę dwóch przygotowanych dla nas krzeseł, by

usiąść wedle rozkazu. Dopiero po chwili zorientowałam się, że Matthew wciąż stoi w drzwiach. Wróciłam do niego i chwyciłam go za rękę.

Spojrzał na nią, zdziwiony, a potem otrząsnął się ze wspomnień.

Szybko przeszliśmy przez pokój. Usiadłam na krześle, przy którym stało obiecane mi grzane wino i metalowy ogrzewacz; mogłam na nim oprzeć stopy. Alain uklonił się i wyszedł, rzucając nam współczujące spojrzenie. A potem czekaliśmy. Dla mnie było to trudne, a dla Matthew nie do zniesienia. Coraz bardziej napięty, prawie drżał z hamowanych emocji.

Nim jego ojciec przyjął do wiadomości, że przybyliśmy, ledwie opanowywałam lęk i złość. Wpatrywałam się w swoje dłonie, zastanawiając się, czy są dość silne, by go udusić, gdy nagle poczułam coś lodowatego na głowie. Uniosłam wzrok i zobaczyłam przed sobą płowe oczy greckiego boga.

Gdy ujrzałam Matthew po raz pierwszy, instynktownie zareagowałam chęcią ucieczki. Ale Matthew - choć postawny i groźny, owego wrześnieowego wieczoru w Bibliotece Bodlejańskiej nie był nawet w połowie tak niezwykły. I nie dlatego, że Philippe de Clermont był potworem. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie widziałam tak wspaniałej istoty - nadnaturalnej, nieziemskiej, demonicznej i ludzkiej.

Nikt, kto spojrzał na Philippe'a de Clermont, nie mógł myśleć, że to śmiertelnik. Jego wampirze rysy były zbyt idealne, zbyt regularne. Proste ciemne brwi rysowały się nad jasnymi, błyszczącymi, złotobrazowymi oczami z zielonymi plamkami. Słońce i wiatr sprawiły, że złoto, srebro i brąz przetykały jego płową czuprynę. Delikatne i zmysłowe usta tego wieczoru zaciskały się w złości.

Przygryzłam wargi, by nie gapić się na niego z otwartymi ustami, spojrzałam mu w oczy, a wtedy on powoli odwrócił wzrok i popatrzył na Matthew.

- Wytłumacz się. - Te słowa, choć wypowiedziane cicho, zdradzały wściekłość.

A w tym pokoju było więcej rozwścieczonych wampirów. Teraz, gdy minął szok, Matthew próbował zyskać przewagę.

- Wezwałeś mnie do Sept-Tours. Jestem, cały i zdrowy, mimo historycznych relacji twojego wnuka. - Matthew rzucił na dębowy stół srebrną monetę. Upadła na rant i kręciła się chwilę wokół niewidzialnej osi.

- Twojej żonie na pewno byłoby lepiej, gdyby w taką pogodę została w domu. - Tak jak Alain, Philippe władał doskonale angielszczyzną.

- Diana jest moją drugą połową, ojczy. Nie mogłem jej zostawić w Anglii z Henrym i Walterem tylko dlatego, że prawdopodobnie spadłby śnieg.

- Trochę grzeczności, Matthew - Philippe warknął złowieszco jak lew, którego uosabiał.

Rodzina de Clermont składała się ze wspaniałych zwierząt. Matthew zawsze kojarzył mi

się z wilkami. Ysabeau z sokołami. Gallowglass z niedźwiedziem, a Philippe przypominał jeszcze innego groźnego drapieżnika.

- Gallowglass i Walter mówią, że powinienem zaopiekować się czarownicą - lew sięgnął po list. Postukał nim w stół i spojrzał na Matthew. - Sądziłem, że od kiedy zasiadasz na rodzinnym miejscu w Kongregacji, do ciebie należy ochrona słabszych.

- Diana nie jest słaba, lecz biorąc pod uwagę, że za mnie wyszła, potrzebuje większej ochrony, niż potrafi zapewnić jej Kongregacja. Czy ty jej ją dasz? - Tym razem głosem i postawą Matthew rzucał wyzwanie.

- Najpierw muszę wysłuchać jej historii. - Philippe spojrzał na mnie i uniósł brwi.

- Spotkaliśmy się przypadkiem. Wiedziałem, że jest czarownicą, ale połączyła nas potężna więź - powiedział Matthew. - Jej ludzie odwrócili się od niej...

Philippe przerwał mu, unosząc rękę podobną do lwiej łapy, i znów skupił się na synu.

- Matthaios - wycedził; jego ton smagnął Matthew jak bat, nakazując mu posłuch. - Mam rozumieć, że to ty potrzebujesz mojej ochrony?

- Oczywiście, że nie - oburzył się Matthew.

- To milcz i pozwól mówić czarownicy.

Pragnąc jak najszybciej spełnić oczekiwania ojca Matthew, żeby jak najprędzej stąd wyjść, zastanawiałam się, co opowiedzieć o naszych ostatnich przygodach. Powtarzanie szczegółów zajęłoby zbyt wiele czasu, a groźba, że Matthew nie wytrzyma i wybuchnie, wisiała w powietrzu. Odetchnęłam głęboko.

- Nazywam się Diana Bishop - zaczęłam - i wywodzę się z potężnego rodu czarownic. Czarownice zabiły moich rodziców z dala od naszego domu, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Nim zmarli, rzucili na mnie urok.

Moja matka była wieszczką i widziała przyszłość.

Oczy Philippe'a zwęziły się podejrzliwie. Nie dziwiłam się jego wątpliwościom. Wciąż trudno mi było zrozumieć, czemu dwoje kochających mnie ludzi złamało zasady etyczne czarownic i skępowało swoją jedyną córkę magicznymi okowami.

- Dorastając, byłam czarną owcą w rodzinie, bo nie potrafiłam dobrze zapalić świecy ani poprawnie rzucić uroku. Odciełam się od Bishopów i poszłam na uniwersytet. - Słyszac to, Matthew niespokojnie poruszył się na krześle. - Studiowałam historię alchemii.

- Sztukę alchemii - sprostował, rzucając mi ostrzegawcze spojrzenie.

Ale takie półprawdy nie zadowolilyby jego ojca.

- Mogę podróżować w czasie. - Słowa te zawisły w powietrzu. - Kogoś takiego nazywacie

prządką czasu.

- Och, wiem, kim jesteś - wycedził Philippe. Twarz Matthew przez moment wyrażała zdziwienie. - Żyję już dość długo, madame. Poznałem wiele stworzeń. Nie jesteś z tych czasów ani z przeszłości, więc musisz być z przyszłości. A Matthaios przybył tu z tobą, bo nie jest tym samym mężczyzną, którym był osiem miesięcy temu. Ten, którego znam, nigdy by nawet nie spojrział na czarownicę. - Wampir odetchnął głęboko. - Mój wnuk uprzedził mnie, że oboje dziwnie pachnicie.

- Philippe, pozwól, że wyjaśnię... - Ale najwyraźniej tego wieczoru Matthew nie dane było kończyć swoich myśli.

- Mimo że tak wiele mnie niepokoi, cieszę się, widząc, że w przyszłości mamy szansę na rozsądniejsze podejście do kwestii golenia. -

Philippe od niechcienia podrapał się po starannie przyciętej brodzie i wąsach. - Wszak broda to oznaka zawszenia, a nie mądrości.

- Ciągle słyszę, że Matthew wygląda, jakby był chory - westchnęłam. -

Ale nie znam czaru, który by to odmienił.

Philippe tylko machnął ręką.

- Brodę można łatwo sobie sprawić. Mówiłaś mi o swoich zainteresowaniach alchemią.

- Tak. Znalazłam księgę... której wielu szukało. Poznałam Matthew, gdy próbował mi ją ukraść, ale nie zdołał, bo już jej nie miałam. Od tego czasu chciały mnie dopaść przeróżne stworzenia w promieniu wielu mil. Musiałam przerwać pracę!

Coś jak zduszony śmiech sprawiło, że w policzku Philippe'a zadrżał mięsień. Jak się okazało, trudno określić, czy lew jest rozbawiony, czy gotów do ataku.

- Podejrzewamy, że to księga początków - powiedział Matthew z dumną miną, chociaż to, że przywołałam manuskrypt, było zupełnym przypadkiem. - Szukała Diany. Gdy inne stworzenia zorientowały się, co Diana znalazła, byłem już zakochany.

- A więc trwało to jakiś czas. - Philippe złożył palce w piramidkę i oparł się na łokciach. Siedział na prostym stołku o czterech nogach, mimo że tuż obok stała bogato zdobiona, wygodna szkarada.

- Nie - odparłam, gdy to sobie policzyłam. - Ledwie dwa tygodnie.

Tyle że Matthew bardzo długo nie chciał zdradzić swoich uczuć... dopóki nie przybyliśmy do Sept-Tours. Ale tu też nie było bezpiecznie. Pewnej nocy opuściłam łóżko Matthew i wyszłam na zewnątrz. Z ogrodów porwała mnie czarownica.

Philippe spojrział na Matthew.

- W obrębie murów Sept-Tours była czarownica?!

- Tak - odparł krótko Matthew.

- Sfrunęła tam - odezwałam się ostrożnie, znów skupiając na sobie uwagę jego ojca. - Nie sądzę, aby jakakolwiek czarownica postawiła stopę na ziemi Sept-Tours, jeśli to ważne. Oczywiście poza mną.

- Oczywiście. - Philippe skinął głową. - Mów dalej.

- Porwała mnie do La Pierre. Był tam Domenico. I Gerbert. Spojrzenie Philippe'a mówiło jasno, że znał zamek i oba wymienione przeze mnie wampiry.

- Trzeba wypić piwo, którego się sobie nawarzyło -szepnął.

- To Kongregacja nakazała mnie uprowadzić, a czarownica o imieniu Satu próbowała odebrać mi moją magię. Gdy jej się nie udało, wrzuciła mnie do lochu studni.

Matthew położył mi rękę na plecach, jak zawsze, gdy była mowa o tamtej nocy. Philippe zauważył to, lecz nic nie powiedział.

- Uciekłam, ale nie mogłam wrócić do Sept-Tours i narażać na niebezpieczeństwo Ysabeau. Wylewała się ze mnie magia i moce, nad którymi nie panowałam. Wróciliśmy z Matthew do domu, do moich ciotek - przerwałam, zastanawiając się, jak wyjaśnić, gdzie znajduje się ten dom. -Znasz legendy ludu Gallowglassa o ziemiach na zachodzie, po drugiej stronie oceanu?

Philippe skinął głową.

- Tam mieszkają moje ciotki. Mniej więcej.

- I obie są czarownicami?

- Tak. A potem *manjasang*, jeden ze stworów Gerberta, przybył zabić Matthew i prawie mu się udało. Nie mieliśmy już gdzie uciekać przed Kongregacją, tylko w przeszłość. - Zamilkłam, zszokowana jadowitym spojrzeniem, jakie Philippe posłał swojemu synowi. - Ale tu też nie znaleźliśmy schronienia. Ludzie w Woodstock wiedzą, że jestem czarownicą, a procesy w Szkocji mogą wpłynąć na nasze życie w Oxfordshire. Więc znów uciekamy. - Przemyślałam jeszcze raz moje słowa, upewniając się, że nie pominęłam niczego ważnego. - Oto moja historia.

- Potrafisz przekazywać trudne informacje szybko i zwięźle, madame.

Jeśli byłabyś tak dobra i nauczyła tego Matthew, wyświadczyłabyś przysługę rodzinie. Zdecydowanie za wiele wydajemy na papier i pióra. -

Philippe przyglądał się przez chwilę swoim palcom, po czym wstał z wampirzą zręcznością, która zmieniała ten prosty ruch w eksplozję. W jednej chwili siedział, a w następnej zagrały jego mięśnie i nagle nachylał się nad biurkiem. Tym razem skupił się na swoim synu. - Prowadzisz niebezpieczną grę, Matthew, możesz stracić wszystko, a niewiele wygrać. Gal-

lowglass przysłał mi wiadomość po tym, jak się rozstaliście. Posłaniec wybrał inną drogę i przybył przed wami. Podczas gdy ty bez pośpiechu zmierzałeś w tę stronę, król Szkocji aresztował ponad sto czarownic i uwięził je w Edynburgu. Kongregacja na pewno myśli, że wyruszyłeś już w podróż, żeby przekonać króla Jakuba, aby zrezygnował ze swoich planów.

- Tym bardziej powinienes zapewnić Dianie ochronę - odparł Matthew.

- Czemu? - Zimny wyraz twarzy Philippe'a prowokował

Matthew, żeby to wyjaśnił.

- Bo ją kocham. I ze względu na to, co sam mówiłeś: że właśnie po to powstał Zakon Łazarza, by chronić tych, którzy sami chronić się nie potrafią.

- Chronię innych manjasangów, nie czarownice!

- Może powinienes spojrzeć na to szerzej. Manjasan-gowie zwykle dają sobie radę sami.

- Doskonale wiesz, że nie mogę ochronić tej kobiety, Matthew. Cała Europa walczy teraz o kwestie wiary, a ciepło-krwiści szukają kozłów ofiarnych, winnych ich problemów. I oczywiście wybierają żyjące wokół nich stworzenia. Mimo to świadomie przyprowadziłeś tę kobietę, która, jak twierdzisz, jest twoją drugą połową, a z urodzenia czarownicą, w sam środek tego szaleństwa. Nie. - Philippe gwałtownie pokręcił głową. -

Myślisz, że możesz tak bezczelnie zjawić się i zażądać pomocy, ale ja nie wystawię rodziny na niebezpieczeństwo, narażając się Kongregacji i ignorując ugodę.

- Philippe, musisz...

- Nie używaj wobec mnie tego słowa - wycelował w Matthew palec. -

Uporządkuj swoje sprawy i wracaj, skąd przybyłeś. Tam proś mnie o pomoc albo jeszcze lepiej poproś ciotki czarownicy. Nie ściągaj problemów w przeszłość, nie tu ich miejsce.

Ale w XXI wieku nie było Philippe'a, do którego mógłby się zwrócić Matthew. Nie żył i dawno go pogrzebano.

- O nic cię nigdy nie prosiłem, Philippe. Do tej pory. - Temperatura w pokoju gwałtownie spadła.

- Powinienes przewidzieć moją odpowiedź, Matthaios, ale jak zwykle się nad tym nie zastanawiałeś. A co gdyby była tu twoja matka? Co, gdyby zła pogoda nie zatrzymała jej w Trewirze? Wiesz, że nienawidzi czarownic. - Philippe popatrzył na syna. - Potrzebowałbym armii, by powstrzymać ją przed rozdarciem tej kobiety na strzępy, a chwilowo taką nie dysponuję.

Najpierw Ysabeau chciała, bym zniknęła z życia jej syna. Baldwin nie krył niechęci do mnie. Hamish, przyjaciel Matthew, traktował mnie z dystansem, a Kit po prostu mnie me znosił. A teraz jeszcze Philippe.

Wstałam, czekając aż ojciec Matthew na mnie spojrzy. Gdy to zrobił, nie spuściłam wzroku. Aż zamrugał, zaskoczony.

- Matthew nie mógł tego przewidzieć, monsieur de Clermont.

Wierzył, że wstawi się pan za nim, ale najwyraźniej tym razem wiara go zawiodła. - Odetchnęłam głęboko, by się opanować. - Będę wdzięczna, jeśli pozwolisz mi zostać tej nocy w Sept-Tours. Matthew od tygodni nie spał, a w znajomym miejscu łatwiej zaśnie. Jutro powrócę do Anglii, jeśli trzeba, bez Matthew.

Jeden z moich loków opadł mi na skroń. Sięgnęłam, by go odgarnąć, ale moja ręka uwięzła w uścisku Philippe'a de Clermont. Nim zorientowałam się, co się dzieje, Matthew stał przy swoim ojcu i trzymał go za ramiona.

- Skąd to masz? - Philippe wpatrywał się w pierścień na serdecznym palcu mojej lewej dłoni. Pierścień Ysabeau Obrzucił mnie dzikim wzrokiem. Jego palce zaciskały się na moim nadgarstku z taką siłą, że czułam, jak zaczynają trzeszczeć kości. - Nigdy nie oddałaby mojego pierścienia. Póki oboje żyjemy.

- Ona żyje, Philippe - słowa Matthew padły szybko i gwałtownie; udzielał informacji, nie pocieszał.

- Ale jeśli Ysabeau żyje, to... - Philippe zamilkł. Przez moment stał osłupiały, po czym nagle dotarło do niego znaczenie tych słów. - A więc jednak nie jestem nieśmiertelny. I nie możesz mnie prosić o radę, kiedy pojawiają się te problemy...

- Nie - z trudem wydusił Matthew.

- Mimo to pozostawiłeś swoją matkę na pastwę wrogów? - Spojrzał wściekle na syna.

- Jest z nią Marthe. Baldwin i Alain dopilnują, by nie stała jej się krzywda. - Słowa Matthew miały uspokoić Philippe'a, ale on wciąż ścisnął moje palce. Traciłam w nich czucie.

- Ysabeau podarowała mój pierścień czarownicy? Niesamowite. Ale nieźle się prezentuje na jej ręce - stwierdził zamyślony i uniósł moją dłoń w stronę światła.

- *Maman* tak zdecydowała - szepnął Matthew.

- Kiedy... - Philippe odetchnął głęboko i pokręcił głową. - Nie, nie mów mi. Żadne stworzenie nie powinno wiedzieć, kiedy umrze.

Moja matka przewidziała swój przerażający koniec, tak samo jak śmierć mojego ojca. Zmarznięta, wyczerpana i nękana wspomnieniami zaczęłam się trząść. Philippe nie zwrócił na to uwagi, wpatrzony w nasze ręce, ale jego syn owszem.

- Puść ją, Philippe - zażądał.

Philippe spojrział mi w oczy i westchnął zawiedziony. Nosiłam pierścień, lecz nie byłam jego ukochaną Ysabeau. Zabrał rękę, a ja cofnęłam się tak daleko, by nie mógł mnie znów

chwycić.

- A teraz, gdy usłyszałaś opowieść Diany, zapewnisz jej ochronę? - Matthew spojrzał na ojca.

- Tego właśnie chcesz, madame?

Skinęłam głową, zaciskając palce na rzeźbionym oparciu krzesła.

- Więc dobrze, Rycerze Łazarza zapewnią jej bezpieczeństwo.

- Dziękuję, ojciec. - Matthew mocno ścisnął ramię Philippe'a, a potem podszedł do mnie. - Diana jest zmęczona. Zobaczymy się z tobą rano.

- Wykluczone. - Głos Philippe'a zadudnił w pokoju. -Twoja czarownica jest pod moim dachem i pod moją opieką. Nie będzie z tobą dzielić łóża.

Matthew wziął mnie za rękę.

- Diana znalazła się daleko od domu, Philippe, a tej części zamku nie zna.

- Nie będzie mieszkać w twoich pokojach, Matthew.

- Czemu nie? - zapytałam, patrząc podejrzliwie na Matthew i jego ojca.

- Bo bez względu na to, czego naopowiadał ci Matthew, nie jesteście parą. I niech bogom będą dzięki. Może uda nam się jeszcze uniknąć katastrofy.

- Nie jesteśmy? - Nie rozumiałam.

- Wymiana obietnic i zapewnienia *manjasanga* o przywiązaniu nie tworzą jeszcze nierozzerwalnego związku, madame.

- Matthew jest moim mężem pod każdym ważnym względem - zaczerwieniłam się. - Powiedziałam mu, że go kocham, a on zapewnił mnie, że staliśmy się parą w rozumieniu wampirów.

- Nie jesteście też prawidłowo zaślubieni, przynajmniej nie tak, by nie było wątpliwości - ciągnął Philippe. - A jeśli nadal będziecie udawać, pojawi się ich wiele. Matthew zawsze spędzał więcej czasu w Paryżu na rozważaniu kwestii metafizycznych niż studiowaniu prawa. W tej sytuacji twój instynkt powinien podpowiedzieć ci, co jest niezbędne, nawet jeśli intelekt zawiódł.

- Nim wyruszyliśmy w tę podróż, złożyliśmy sobie nawzajem przysięgę. Matthew dał mi pierścień Ysabeau. -Ostatnie chwile w Madison celebrowaliśmy. Zaczęłam szukać jakiejś luki w naszym postępowaniu.

- To, co ustanawia parę manjasangów, jest tym samym, co ucisza wszelkie wątpliwości dotyczące zawarcia małżeństwa, gdy księża, prawnicy, wrogowie i rywale zaczynają protestować przeciwko skonsumowaniu go. - Philippe rozdał nozdrza. - A wy jeszcze w ten sposób się nie



połączyliście. Wasze zapachy są nie tylko dziwne, ale też kompletnie różne... to zapachy dwóch stworzeń, a nie jednego. Każdy *manjasang* będzie wiedział, że nie jesteście parą. Gerbert i Domenico na pewno wiedzieli o tym w chwili, gdy Diana przed nimi stanęła. Tak samo Baldwin.

- Jesteśmy po ślubie i jesteśmy parą. Nie potrzeba żadnych więcej dowodów, poza naszym zapewnieniem. A co do reszty, to nie twoja sprawa, Philippe. - Matthew stanął między mną a swoim ojcem.

- Och, Matthaios, już dawno to się zmieniło. - Głos Philippe'a zdradzał zmęczenie. - Diana jest niezamężną kobietą bez ojca i żadni bracia nie będą bronić jej czci, więc to jest moja sprawa.

- W oczach Boga jesteśmy małżeństwem.

- A mimo to nieskonsumowanym. Na co czekasz, Matthew? Na znak?

Ona cię pragnie. Widzę to w sposobie, w jaki na ciebie patrzy.

Większości mężczyzn nic więcej nie potrzeba. - Philippe na zmianę przeszywał wzrokiem to mnie, to swojego syna.

Gdy przypominałam sobie dziwną niechęć Matthew w tej kwestii, zatrzął mnie niepokój i wątpliwości.

- Nie znamy się zbyt długo, ale wiem, że będę z nią i tylko z nią przez całe życie. Jest moją parą. Znasz słowa wyryte na pierścieniu, Philippe: *a ma vie de coeur en-tier*.

- Oddawanie kobiecie całego życia nie ma sensu, jeśli nie oddajesz jej przy tym całego serca. Powinieneś większą wagę przywiązywać do zakończenia tej sentencji, a nie tylko początku.

- Ona ma moje serce - odparł Matthew.

- Nie całe. Gdyby tak było, żaden z członków Kongregacji by nie żył, umowę zerwano by na wieki, a ty byłbyś tam, gdzie twoje miejsce, a nie w tym pokoju - stwierdził stanowczo Philippe. - Nie wiem, co ustanawia małżeństwo w tej waszej przyszłości, ale obecnie jest to coś, za co warto oddać życie.

- Rozlew krwi w imieniu Diany niczego nie rozwiąże. - Mimo setek lat doświadczenia w rozmowach z ojcem Matthew wciąż nie przyjmował do wiadomości tego, co ja już wiedziałam: nikt nie wygra w dyskusji z Philippe'em de Clermont.

- Czy przelew krwi czarownicy nic nie znaczy? - Obaj mężczyźni odwrócili się do mnie zaskoczeni. - Zabiłeś czarownicę, Matthew. A ja wampirzycę, *manjasang*, by cię nie stracić. Skoro dzielimy się dziś tajemnicami, to i twój ojciec może znać prawdę.

Gillian Chamberlain i Juliette Durand zginęły z powodu rosnącej wrogości zrodzonej z naszego związku.

- A według ciebie to pora na konkury? Jak na mężczyznę, który uważa się za uczonego, twoja głupota zatrwąza - rzucił z niesmakiem Philippe.

Matthew spokojnie przyjął obelgę, po czym zagrał swoją kartą atutową.

- Ysabeau uznała Dianę za swoją córkę - powiedział. Ale Philippe'a nie dało się łatwo przekonać.

- Ani twój Bóg, ani twoja matka nie zdołali nigdy sprawić, żebyś przejmował się konsekwencjami swoich poczynań. Najwyraźniej to się nie zmieniło. - Philippe położył ręce na biurku i zawołał Alaina. - A skoro nie jesteście parą, wszystkie szkody da się jeszcze naprawić. Możemy to uporządkować, nim ktokolwiek się o tym dowie i rodzina się rozpadnie.

Poślę do Lyonu po czarownicę, która pomoże Dianie zrozumieć jej moc.

A ty tymczasem możesz poszukać informacji na temat jej księgi, Matthew. Potem oboje wróćcie do domu, gdzie zapomnicie o całej tej historii i każde zacznie żyć własnym życiem.

- Diana idzie ze mną do moich pokoi. Albo niech...

- Nim skończysz, upewnij się, że masz dość siły, by mi zagrozić - odparł beznamyślnie Philippe. - Dziewczyna śpi sama i to blisko mnie.

Przeciąg powiedział mi, że ktoś otworzył drzwi. Rozszedł się zapach wosku i mielonego pieprzu. Alain rozejrzył się po pokoju, zauważył gniew Matthew i bezlitosne spojrzenie Philippe'a.

- Zostałeś pokonany, Matthaios - zwrócił się do syna Philippe. - Nie wiem, co takiego ze sobą zrobiłeś, że stałeś się taki miękki. No już, przyznaj się do porażki, pocałuj swoją czarownicę i pożegnaj się. Alain, zabierz tę kobietę do pokoju Louisy. Jest w Wiedniu... albo w Wenecji.

Nie umiem zapamiętać, gdzie ta dziewczyna się włóczy. A co do ciebie - ciągnął, wpatrując się bursztynowymi oczami w syna - pójdziesz na dół i zaczekasz na mnie w dużej sali, aż skończę pisać do Gallowglassa i Raleigha. Trochę czasu minęło, od kiedy wyjechałeś, a twoi przyjaciele chcą się dowiedzieć, czy Elżbieta Tudor rzeczywiście jest potworem o dwóch głowach i trzech piersiach, jak głosi plotka.

Nie chcąc całkowicie się podporządkować, Matthew ujął moją brodę, spojrzał mi głęboko w oczy i pocałował mnie namiętniej, niż spodziewał się jego ojciec.

- To wszystko, Diano - rzucił lekceważąco Philippe.

- Chodźmy, madame. - Alain wskazał drzwi.

Leżałam sama w łóżku obcej kobiety i słuchałam głośniego wycia wiatru, rozmyślając o tym, co się wydarzyło. Tyle podstępów, tyle bólu i zdrady. Wiedziałam, że Matthew mnie kocha. Ale on musiał zdawać sobie sprawę, że inni zakwestionują nasze przysięgi. Godziny płynęły, a ja nie mogłam zasnąć. W końcu podeszłam do okna, by popatrzeć na wschód słońca.

Zastanawiałam się, jak to się stało, że w tak krótkim czasie nasze plany tak się zmieniły i jak dużą rolę odegrał w tym Philippe de Clermont i tajemnice Matthew.

## ROZDZIAŁ 9

Następnego ranka, gdy otworzyły się drzwi do mojego pokoju, ujrzałam Matthew opartego o kamienną ścianę naprzeciwko. Sądząc z jego wyglądu, on także nie spał tej nocy. Zerwał się na nogi ku uciesze dwóch młodych służących, które chichotały za moimi plecami, nieprzyzwyczajone do takiego widoku Matthew: zmierzwił włosy, pogniecione ubranie i grymas złości na twarzy.

- Dzień dobry. - Podeszłam do niego w ciemnoczerwonej sukni.

Podobnie jak moje łóżko, służące i właściwie wszystko, czego dotknęłam, należało do Louisy de Clermont. W nocy duszący zapach róż i piżma unosił się z wyszywanych zasłon wokół pościeli. Odetchnęłam głęboko chłodnym, czystym powietrzem, szukając nutki cynamonu i goździków - charakterystycznych zapachów Matthew. Odprężyłam się, gdy tylko je wyczułam, i otuliłam się czarnym wełnianym bezrękawnikiem, który podały mi służące. Przypominał mi strój akademicki, no i mnie grzał.

Twarz Matthew pojaśniała, gdy przyciągnął mnie do siebie i pocałował namiętnie. Służące wciąż chichotały i komentowały to słowami, które potraktował jako zachętę. Nagły podmuch wokół kostek powiedział nam, że pojawił się ktoś jeszcze. Odsunęliśmy się od siebie.

- Jesteś już za stary, by wyczekiwać w przedpokojach, Matthaios. -

Ojciec wyjrzał z pokoju obok. - Dwunasty wiek ci zaszkodził, no i pozwoliliśmy ci czytać zdecydowanie zbyt wiele poezji. Opanuj się, proszę, nim ludzie cię zobaczą, i zabierz Dianę na dół. Pachnie jak ul w środku lata i minie trochę czasu, nim domownicy przyzwyczają się do jej zapachu. A nie chcemy rozlewu krwi.

- Nie zagrażałby, gdybyś przestał się wtrącać. Ta rozłaka? Kompletny absurd. - Matthew złapał mnie za łokieć. - Jesteśmy małżeństwem.

- Nie, dzięki bogom. Zejdźcie na dół, a ja wkrótce do was dołączę. -

Strapiony pokręcił głową.

Matthew właściwie milczał, gdy w chłodnej wielkiej sali usiedliśmy naprzeciw siebie przy jednym z długich stołów. O tej porze mało kto tu był, a ci, których zastaliśmy, szybko się wynieśli na widok jego ponurej miny. Położono przede mną ciepły jeszcze chleb i podano grzane wino.

Wprawdzie nie herbatę, ale musiało wystarczyć. Matthew odezwał się dopiero, gdy

pociągnęłam porządny łyk.

- Spotkałem się z ojcem. Natychmiast wyjeżdżamy. Nie odpowiedziałam, tylko mocniej zacisnęłam dłoń na kubku. W winie pływały kawałki skórki pomarańczowej, jak w napoju na śniadanie.

Matthew, przybity, rozejrzał się po sali.

- Nie należało tu przyjeżdżać.

- Więc gdzie? Pada śnieg. W Woodstock wieś tylko czeka, żeby postawić mnie przed sądem i oskarżyć o czary. W Sept-Tours może i musimy spać oddzielnie i znosić wymysły twojego ojca, ale przynajmniej istnieje szansa, że znajdzie czarownicę, która zechce mi pomóc. - Jak dotąd impulsywne propozycje Matthew nie wyszły nam na dobre.

- Philippe lubi wszędzie wścibiać nos. A co do czarownic, to nie przepada za nimi, zresztą tak jak *maman*. - Matthew zapatrzył się w odrapany blat stołu i podniósł kawałek wosku, który spłynął w jedną ze szczelin w drewnie. - Może nada się mój dom w Mediolanie. Moglibyśmy tam spędzić święta Bożego Narodzenia. Włoskie czarownice cieszą się szacunkiem, jeśli chodzi o magię, i znane są z zadziwiającej umiejętności przewidywania tego, co nadejdzie.

- Na pewno nie dom w Mediolanie. - Philippe pojawił się przy nas jak huragan i usiadł na ławie obok mnie. Matthew starał się nie pokazywać swojej bystrości i siły ze względu na ciepłokrwistych. Tak jak Miriam, Marcus, Marthe, a nawet Ysabeau. W przeciwieństwie do swojego ojca.

- Udowodniłem, że jako syn jestem ci oddany, Philippe - oznajmił szorstko. - Nie ma co zwlekać, a w Mediolanie będzie nam dobrze. Diana zna toskański dialekt.

Jeśli chodziło mu o włoski, to potrafiłam zamówić tagliatelle w restauracji i książki w bibliotece. Ale czy to wystarczy?

- No świetnie. Szkoda więc, że nie jedziecie do Florencji. Ale po twoich ostatnich wyprawach w tamte strony, jeszcze długo nie będziesz tam mile widziany - stwierdził Philippe. - *Parlez-vous français, madame?*

- *Oui* - odpowiedziałam ostrożnie, przekonana, że rozmowa w tyłu językach zaraz zbcoczy na nieciekawe tematy.

- Hm. - Philippe zmarszczył brwi. - *Dicunt mihi vos es philologus...*

- Posiadła wielką wiedzę - przerwał mu cierpko Matthew. - Jeśli chcesz poznać jej umiejętności, to chętnie ci je przedstawię, na osobności, po śniadaniu.

- *Loquerisne latine?* - zwrócił się do mnie Philippe, lekceważąc syna. -

*Milds ellinikd?*

- *Mea lingua latina est mala* - odparłam, odstawiając kubek.

Philippe otworzył szeroko oczy, słysząc tę żałośnie szkolną odpowiedź, a wyraz jego twarzy sprawił, że poczułam się znów jak podczas upiornych lekcji łaciny dla początkujących. Mogłam przeczytać napisany po łacinie alchemiczny tekst, ale prowadzić w tym języku rozmowy? Brnęłam dzielnie dalej, z nadzieją, że zapyta o moją znajomość greki.

- *Tamen mea lingua greaca est peior.*

- W takim razie nie będziemy też rozmawiać w tym języku - szepnął rozczarowany Philippe. I oburzony zwrócił się do Matthew. - *Den tha ekpaidefsoun gynafkes sto mellon?*

- Kobiety z czasów Diany kształcą się w znacznie większym stopniu, niż uznałbyś to za rozsądne, ojcze - odpowiedział Matthew. - Tyle że nie w grece.

- W przyszłości nie będą czytać Arystotelesa? Cóż za dziwny świat.

Cieszę się, że jeszcze przez jakiś czas to dla mnie abstrakcja. - Philippe powąchał podejrzliwie dzban z winem. - Diana musi lepiej opanować francuski i łacinę. Tylko kilkoro z naszych sług mówi po angielsku, a ci w kuchniach wcale.

Rzucił przez stół ciężki pęk kluczy. Odruchowo wyciągnęłam po nie rękę.

- Nic z tego. - Matthew mi je odebrał. - Diana nie będzie tu dość długo, żeby martwić się domem.

- Jest najwyższą rangą kobietą w Sept-Tours i to jej obowiązek.

Według mnie powinnaś zacząć od kucharza. - Philippe wskazał największy klucz. - Ten jest od spiżarni.

Inne? Od piekarni, browaru, wszystkich pokoi sypialnych poza moim i piwnic.

- A który otwiera bibliotekę? - zapytałam, przyglądając się z ciekawością staremu żelazu.

- W tym domu nie zamykamy książek - odparł Philippe. - Tylko jedzenie, piwo i wino. Lektura Herodota czy Tomasza z Akwinu rzadko kiedy skłania do zła.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz - szepnęłam. - A jak nazywa się kucharz?

- Kucharz.

- Nie, jak mu na imię - odparłam zmieszana. Philippe wzruszył ramionami.

- On zarządza, więc jest Kucharzem. Nigdy go inaczej nie nazywałam, a ty, Matthaios? - Ojciec i syn wymienili wrogie spojrzenia, a ja zaczęłam się martwić o stół, który ich rozdzielał.

- Myślałam, że to pan zarządza, a skoro do kucharza mam się zwracać „Kucharzu”, to jak do ojca Matthew? - Mój ostry ton na chwilę odwrócił uwagę Matthew, który miał właśnie przewrócić stół i zacisnąć długie palce wokół szyi Philippe'a.

- Wszyscy zwracają się tu do mnie „panie” lub „ojcze”. Co wolisz? - spytał niby łagodnie.

- Nazywaj go po prostu Philippe - burknął Matthew. -Znają go także pod wieloma innymi tytułami, ale te najlepiej pasujące odbiłyby ci się czkawką.

Philippe uśmiechnął się szeroko do syna.

- Widzę, że choć pomieszało ci się w głowie, wciąż masz cięty język. Zostaw dom swojej kobiecie i przyłącz się do mnie. Przejedziemy się. Marnie wyglądasz. Powinieneś poćwiczyć.

Zatarł niecierpliwie ręce.

- Nie zostawię Diany - odparł Matthew.

Przesuwał nerwowo potężną srebrną solnicę - kiedy zastąpi ją mój mały słoiczek na sól przy kuchence w New Haven?

- Czemu nie? - prychnął Philippe. - Alain ją poniańczy. Matthew otworzył usta, by na te słowa odpowiednio zareagować.

- Ojcze? - odezwałam się słodko, włączając się w rozmowę. - Czy mogę porozmawiać z mężem na osobności, nim dołączy do ciebie w stajni?

Philippe zmarszczył brwi. Wstał i uklonił się wolno. Po raz pierwszy tak wolno, że trochę przypominał człowieka.

- Oczywiście, madame. Poślę po Alaina, żeby się tobą zajął. Cieszcie się prywatnością, póki możecie.

Matthew wpatrywał się we mnie - czekał, aż jego ojciec wyjdzie z sali.

- Co knujesz, Diano? - zapytał cicho, gdy wstałam i ruszyłam wokół stołu.

- Czemu Ysabeau jest w Trewirze? - zapytałam.

- A jakie to ma znaczenie? - odparł wymijająco. Zakląłam niczym szewc, co skutecznie zbiło go z tropu.

Ostatniej nocy, leżąc samotnie w pachnącym różami pokoju Louisy, miałam mnóstwo czasu na przemyślenia. W każdym razie dość, by połączyć wydarzenia ostatnich tygodni z tym, co o nich na razie wiedziałam.

- Takie, że w Trewirze w 1590 roku wyłącznie poluje się na czarownice! - wyrwało się służącemu, który popędził do drzwi.

Przy ogniu wciąż siedziało dwóch mężczyzn, więc nie musiałam krzyżeć.

- To ani miejsce, ani czas, żeby dyskutować o roli twojego ojca we wczesnonowożytnej geopolityce ani o tym, czemu katolicki kardynał pozwalał rozkazywać sobie w Mont Saint-

Michel, zupełnie jakby to była twoja prywatna wyspa, ani o tragicznej śmierci ojca Gallowglassa. Ale kiedyś opowiesz mi o tym. I na pewno będziemy potrzebowali więcej czasu i prywatności, byś wyjaśnił mi ze szczegółami kwestie dobierania się wampirów w pary.

Okręciłam się na pięcie i odeszłam. Zaczekał, aż znalazłam się na tyle daleko, by sądzić, że mogę mu uciec, a wtedy złapał mnie za łokieć i szarpnął. Tak instynktownie zachowuje się drapieżnik.

- Nie, Diano. Porozmawiamy o naszym małżeństwie, nim któreś z nas opuści ten pokój.

Matthew odwrócił się w stronę ostatniej grupki służących jedzących poranny posiłek. Jeden ruch jego głowy sprawił, że uciekli.

- Jakim małżeństwie? - zawołałam.

Groźny cień błysnął w jego oczach, po czym zniknął.

- Kochasz mnie, Diano? - To spokojne pytanie mnie zaskoczyło.

- Tak - odparłam natychmiast. - Ale gdyby chodziło tylko o miłość do ciebie, wszystko byłoby proste i nie wyjechałobyśmy z Madison.

- To jest proste. - Matthew wstał. - Jeśli mnie kochasz, to słowa mojego ojca nie mogą złamać obietnic, które sobie złożyliśmy, tak samo jak Kongregacja nie może nas zmusić do przestrzegania umowy.

- Gdybyś naprawdę mnie kochał, to byś mi się oddał. Ciałem i duszą.

- To wielki problem - odpowiedział smutno Matthew. - Od początku ostrzegałem cię, że związek z wampirem jest trudny.

- Philippe tak nie uważa.

- W takim razie z nim się prześpij. Jeśli pragniesz mnie, poczekasz. -

Matthew panował nad sobą, ale ten spokój był spokojem zamarzniętej rzeki, na powierzchni skutej lodem, ale pod spodem wzburzonej. Od kiedy opuściliśmy Old Lodge, używał słów jak broni. Przeprosił za kilka pierwszych ostrych docinków, ale za to nie przeprosi. Teraz, gdy znów był ze swoim ojcem, jego powłoka cywilizacji była zbyt cienka, żeby podtrzymać ludzki żal.

- Philippe nie jest w moim typie - odparłam zimno. - Ale ty mógłbyś wyjaśnić mi, czemu miałabym na ciebie czekać.

- Bo nie ma czegoś takiego jak rozwód wampirów. Jest łączenie się w parę i śmierć. Niektóre wampiry, choćby moja matka i Philippe, rozchodzą się na jakiś czas, gdy pojawiają się... - przerwał - różnice zdań.

Miewają innych kochanków. Z czasem rozwiązują jednak swoje problemy i znów się

schodzą. Ale ze mną tak nie będzie.

- I dobrze. Mnie też by to nie odpowiadało. Ale nadal nie rozumiem, czemu tak opierasz się skonsumowaniu naszego związku.

Z uwagą kochanka poznawał już moje ciało i jego reakcje. To nie ja ani myśl o seksie go powstrzymywały.

- Jeszcze nie pora, by ograniczać twoją wolność. Gdy zatracę się w tobie, nie będzie już innych kochanków ani rozstań. Musisz być pewna, że właśnie ślubu z wampirem pragniesz.

- Wciąż mnie wybierasz, raz za razem, ale gdy ja tego chcę, uważasz, że nie wiem, czego pragnę?

- Miałem dostatecznie dużo czasu i możliwości, by zrozumieć siebie.

A twoje zainteresowanie moją osobą może być tylko sposobem na zapanowanie nad strachem przed nieznanym albo akceptacją świata stworzeń, który tak długo odrzucałaś.

- Zainteresowanie? Kocham cię. I bez względu na to, czy upłyną dwa dni, czy dwa lata, to się nie zmieni.

- Różnica polega na tym, że ja nie postąpię tak jak twoi rodzice - wybuchł Matthew, kręcąc się nerwowo. -Złączenie się w parę z wampirem jest równie ostateczne, jak urok rzucony przez czarownice. Po raz pierwszy żyjesz na własnych warunkach i już chcesz narzucić sobie nowe ograniczenia. Ale moje nie są wymysłami z bajki i żaden czar ich nie zwalczy, gdy zaczną cię krępować.

- Jestem twoją parą, nie więźniem.

- A ja jestem wampirem, nie ciepłokrwistym. Instynkty kojarzenia w pary są prymitywne i trudno nad nimi zapanować. Cała moja istota skupia się na tobie. Nikt nie zasługuje na tak okrutne przywiązanie, zwłaszcza kobieta, którą kocham.

- Albo mogę żyć bez ciebie, albo zamkniesz mnie w swojej wieży? -

Pokręciłam głową. - Przemawia przez ciebie strach, nie rozum. Boisz się mnie stracić, a bliskość Phi-lippe'a tylko ten lęk pogłębia. Odtrącając mnie, nie ulżysz sobie w bólu, ale rozmowa o tym? Niewykłuczone.

- Teraz, gdy jestem z moim ojcem, a moje rany otworzyły się i krwawią, nie zdrowieję tak szybko, jak na to liczyłaś? -W jego głosie znów zabrzmiała nuta okrucieństwa.

Skrzywiłam się. Po jego twarzy przemknął cień żalu.

- Wiem, że wolałbyś być teraz gdziekolwiek, byle nie tu, Matthew.

Ale Hancock miał rację: nie pożyłabym długo w takich miejscach jak Londyn czy Paryż, gdzie moglibyśmy znaleźć chętną do pomocy czarownicę. Inne kobiety od razu zauważyłyby, że



jestem dziwna, i nie okazałyby mi takiej wyrozumiałości, jak Walter czy Henry. Natychmiast wydałyby mnie władzom albo Kongregacji.

Wzrok Matthew dał mi do zrozumienia, co mój mąż miał na myśli, mówiąc o okrutnym pełnym przywiązaniu wampira.

- Innym czarownicom to obojętne - twierdził uparcie, puszczając mnie i odwracając się. - A Kongregacją zajmę się sam.

Ta mała odległość, która dzieliła mnie od Matthew, zwiększyła się tak, że równie dobrze moglibyśmy być na dwóch krańcach świata.

Samotność, moja stara znajoma, już nie była miłym towarzyszem.

- Nie możemy dalej funkcjonować w ten sposób, Matthew. Bez rodziny i majątku jestem absolutnie uzależniona od ciebie - stwierdziłam.

Historycy mieli rację co do niektórych kwestii z przeszłości, w tym mankamentów roli w strukturze społecznej, związanej z byciem kobietą, bez przyjaciół i bez pieniędzy.

- Musimy zostać w Sept-Tours, aż będę mogła wchodzić do pokoju i nie ściągać na siebie uwagi wszystkich. Muszę umieć sama sobie radzić.

Poczynając od tego. - Uniosłam klucze do zamku.

- Chcesz się bawić w dom? - nie dowierzał.

- Nie w dom, tylko w życie. - Na te słowa Matthew wykrzywił usta w nieszczerym uśmiechu. - Idź. Spędź trochę czasu z ojcem. Będę zbyt zajęta, żeby za tobą tęsknić.

Matthew wyszedł do stajni bez słowa pożegnania czy pocałunku. Brak jego zwykłych zapewnień o uczuciu sprawił, że poczułam się dziwnie niepewnie. Gdy zniknął jego zapach, zawołałam cicho Alaina, który pojawił się zaskakująco szybko, a wraz z nim Pierre. Musieli słyszeć każde słowo.

- Wyglądasz przez okno, ale w ten sposób nie ukryjesz swoich myśli, Pierre. To jeden z nielicznych znaków zdradzających twojego pana, a zawsze, gdy tak robi, wiem, że coś przemilcza.

Pierre spojrzał na mnie zdezorientowany.

- Takie zachowanie świadczy, że coś go niepokoi. Matthew odwraca wzrok, gdy jest zdenerwowany albo gdy nie chce mi o czymś powiedzieć.

I przeczesuje palcami włosy, kiedy nie wie, co zrobić. O takich znakach mówiłam.

- To prawda, madame. - Pierre popatrzył na mnie z podziwem. - Czy milord wie, że użyła pani magicznych mocy wróżebnych, aby zajrzeć do jego duszy? Madame de Clermont rozpoznaje jego nastroje, bracia i ojciec milorda również. Ale pani zna go tak krótko, a już tak

dużo o nim wie.

Alain zakaszłał.

Pierre zrobił przerażoną minę.

- Zapominam się, madame. Proszę o wybaczenie.

- Ciekawość to błogosławieństwo, Pierre. Poza tym, aby zgłębić psychikę męża, korzystam z obserwacji, a nie z wróżb. - Uznałam, że spokojnie mogę rozpocząć rewolucję naukową tutaj, w Owernii. - Myślę, że lepiej nam będzie dyskutować w bibliotece.

Miałam nadzieję, że wskazałam dobry kierunek.

Pokój, w którym rodzina de Clermont przechowywała większość swoich książek, był najbardziej przytulnym miejscem, jakie mogłam znaleźć w XVI-wiecznym Sept-Tours. Wśród zapachów papieru, skóry i kamienia poczułam się mniej samotna. Ten świat nie był mi obcy.

- Mamy mnóstwo roboty - powiedziałam cicho, odwracając się do służących. - Po pierwsze chcę was prosić, byście coś mi obiecali.

- Przysięga, madame? - Alain spojrzał na mnie podejrzliwie.

Skinęłam głową.

- Jeśli poproszę o coś, co będzie wymagało pomocy milorda, albo, tym bardziej, jego ojca, powiedzcie mi i natychmiast zmienię plany. Nie musimy ich niepokoić moimi drobnymi problemami.

Mężczyźni patrzyli na mnie nieufnie, ale i z ciekawością.

- Óc - zgodził się Alain.

Mimo trudnych początków pierwsze spotkanie mojego zespołu mogłam uznać za udane. Pierre nie chciał siedzieć w mojej obecności, Alain zaś korzystał z krzesła tylko wtedy, gdy ja także siedziałam. Ale moje obowiązki w Sept-Tours tak mnie niepokoiły, że nie potrafiłam pozostawać w bezruchu, więc nasza trójka krążyła wciąż po bibliotece.

Gdy tak chodziliśmy, wybrałam książki, które poleciłam zanieść do sypialni Louisy, sporządziłam listę niezbędnych przyborów i rozkazałam odnieść moje podrózne stroje do krawca, by posłużyły jako wzór podstawowej garderoby. Jeszcze dwa dni mogłam nosić ubrania Louisy de Clermont, ale zagroziłam, że jeśli wkrótce nie otrzymam własnych, włamię się do szafy Pierre'a i zabiorę mu pludry i pończochy. Wizja tak nieprzyzwoitego stroju kobiety wyraźnie ich przerażała.

Kolejne dwie godziny spędziliśmy na omawianiu zasad funkcjonowania zamku. Nie miałam doświadczenia w prowadzeniu tak niezwykłego domu, ale wiedziałam, o co pytać. Alain podał mi imiona i opisał zadania najważniejszych osób, opowiedział krótko o tych mieszkańcach wsi, z których opiniami bardzo się liczone, powiadomił mnie, kto w danym momencie jest w

zamku, a kogo można się spodziewać w najbliższych tygodniach.

Potem przenieśliśmy się do kuchni, gdzie poznałam Kucharza. Był człowiekiem, chudym jak patyk i nie wyższym niż Pierre. Podobnie jak Popeye miał potężnie umięśnione ramiona. Zrozumiałam tego przyczynę, gdy uniósł olbrzymią kulę ciasta, rzucił ją na posypany mąką blat i zaczął rozwałkować. Tak jak ja Kucharz ciągle musiał coś robić.

Do kuchni dotarły wieści o tym, że jakiś ciepłokrwisty gość śpi w pokoju blisko pana domu. Zaczęły się więc dociekania: jakie relacje wiążą mnie z milordem i jakim jestem stworzeniem, zważywszy na mój zapach i sposób odzyskiwania sił. Gdy weszliśmy do gorącego kotła - czyli do kuchni - usłyszałam: *sorciera* i *masca* - francuskie i prowansalskie określenia czarownicy. Kucharz zebrał swoich pracowników, dużą grupę, bym się z nimi zapoznała. Dzięki temu oni także mogli mi się przyjrzeć. Większość była ludźmi, wśród nich znajdowało się też kilka wampirów i jeden demon. Zanotowałam w pamięci: nakazać, aby młodą dziewczynę, Catrine, która przypatrywała mi się z ciekawością, traktowano dobrze i opiekowano się nią, nim okaże się, jakie są jej mocne strony, a jakie słabości.

Byłam zdecydowana mówić po angielsku tylko w ostateczności i tylko do Matthew, jego ojca, Alaina i Pierre'a, więc podczas rozmowy z Kucharzem i jego pomocnikami pojawiło się mnóstwo nieporozumień.

Na szczęście Alain i Pierre delikatnie rozwiewali wątpliwości, jakie powstawały, gdy mój francuski ścierał się z ich prowansalskim o mocnym akcencie. Kiedyś nieźle udawało mi się naśladować innych. Nadeszła pora na odświeżenie tej umiejętności, więc przysłuchiwałam się uważnie intonacji i akcentom lokalnego dialektu. Już wcześniej na listę zakupów w Lyonie wpisałam kilka słowników.

Kucharz polubił mnie, gdy pochwaliłam jego zdolności piekarza, skomentowałam porządek w kuchni i poprosiłam, by natychmiast zwracał się do mnie, jeśli będzie potrzebował czegoś do swoich kuchennych czarów. Ale dopiero pytanie o ulubione potrawy i napoje Matthew zapewniło mi pełne uznanie w oczach Kucharza, który nagle poderwał się i wymachując kościstymi rękami, zaczął błyskawicznie wykrzykiwać, że milord jest chudy jak patyk, o co obwinił Anglików i ich okropne podejście do kulinariów.

- Czy nie wysłałem Charlesa, żeby o niego dbał? - wrzasnął po prowansalsku; chwycił ciasto i z impetem uderzył nim w stół. Pierre przetłumaczył jego słowa, najszybciej jak umiał. - Straciłem najlepszego pomocnika, a Anglikom nic to nie pomogło! Milord ma wrażliwy żołądek i trzeba go zachęcać do jedzenia, bo inaczej niknie w oczach.

Przeprosiłam w imieniu Anglii i zapytałam, jak zapewnić Matthew powrót do zdrowia, choć zaniepokoiła mnie wizja jeszcze energiczniejszego i bardziej krzepkiego męża.

- Lubi surowe ryby, no i sarninę, prawda?

- Milord potrzebuje krwi. Ale wypije ją, tylko jeśli zostanie odpowiednio przygotowana.

Kucharz zaprowadził mnie do spiżarni, gdzie kilka tusz dzikich zwierząt wisiało nad srebrnymi misami; z rozciętych sztył sphywała krew.

- Do zbierania krwi dla milorda powinno się używać tylko srebra, szkła i ceramiki, bo inaczej jej nie spożyje - oznajmił Kucharz, unosząc znacząco palec.

- Czemu? - spytałam.

- Inne misy nadają krwi zły zapach i smak. Ta odwrotnie. Powąchaj -

Kucharz podał mi czarkę. Żołądek podszedł mi do gardła. Zasłoniłam usta i nos. Alain chciał zabrać czarkę z krwią, ale powstrzymałam go spojrzeniem.

- Mów dalej, Kucharzu.

Popatrzył na mnie z sympatią i zaczął opisywać inne smakołyki z posiłków Matthew. Powiedział, że milord uwielbia bulion wołowy z winem i przyprawami, serwowany na zimno. Pija krew kuropatwy, lecz niewiele i niezbyt wcześnie rano. Madame de Clermont nie ma takich wymagań, smutno pokręcił głową, ale nie przekazała swojego gustu w tej sferze synowi.

- Nie - wydusiłam, myśląc o wyprawie łowieckiej z Ysabeau.

Kucharz umoczył w srebrnej czarce czubek palca, uniósł go w górę, gdzie zalśnił czerwienią, po czym włożył do ust, żeby krew rozpuściła się na języku.

- Oczywiście najbardziej lubi krew jelenia. Nie jest tak odżywcza jak ludzka, ale smakuje podobnie.

- Mogę? - zapytałam, z wahaniem wyciągając do czarki mały palec.

Sarnina mnie mdliła. Może krew jelenia nie?

- Milordowi by się to nie spodobało, madame de Clermont - odezwał się z niepokojem Alain.

- Ale go tu nie ma - rzuciłam.

Umoczyłam czubek palca w czarce. Krew była gęsta. Uniosłam kroplę do nosa i powąchałam tak, jak robił to Kucharz. Jaki zapach wyczuwał

Matthew? Jaki smak? Gdy przesunęłam palcem po ustach, moje zmysły otrzymały mnóstwo informacji: wiatr na skalistym szczycie, wygodne posłanie z liści w zagłębieniu między dwoma drzewami, radość z biegu przez łąki.

Wszystkiemu temu towarzyszyło ciągłe, potężne dudnienie. Puls, serce.

Moje wrażenia z życia tego dzikiego zwierzęcia zniknęły bardzo szybko. Wyciągnęłam palec, by dowiedzieć się więcej, lecz Alain mnie powstrzymał. Wciąż jednak męczył mnie głód informacji, przycichł dopiero, gdy na moich ustach nie było już krwi.

- Może madame wróci teraz do biblioteki - zasugerował Alain, posyłając Kucharzowi ostrzegawcze spojrzenie.

Wychodząc z kuchni, powiedziałam Kucharzowi, co ma zrobić po powrocie Matthew i Philippe'a z przejażdżki. Szliśmy długim kamiennym korytarzem, gdy nagle zatrzymałam się przy niskich, otwartych drzwiach.

Pierre omal na mnie nie wpadł.

- Czyj to pokój? - zapytałam, nim duszący zapach zwisających z krokwi ziół mnie oszołomił.

- Kobiety, madame de Clermont - wyjaśni! Alain.

- Marthe - szepnęłam, przestępując próg.

Na półkach w równych rzędach stały ceramiczne naczynia, a podłoga była starannie zamieciona. W powietrzu czułam... miętę? Przypomnił mi się zapach, który czasem unosił się z ubrań gosposi. Gdy odwróciłam się, cała trójka stała w drzwiach.

- Mężczyznom nie wolno tu wchodzić, madame - wyjaśnił Pierre, rzucając okiem przez ramię, zupełnie jakby bał się, że za chwilę pojawi się Marthe. - Przychodzą tu tylko Marthe i mademoiselle Louisa. Nawet madame de Clermont im nie przeszkadza.

No tak, Ysabeau nie pochwałała ziołowych leków Marthe. Marthe nie była czarownicą, ale jej napary niewiele różniły się od tych, które przygotowywała Sarah. Rozejrzałam się po pokoju. Kuchnia nie służyła tylko do gotowania, a w XVI wieku mogłam nauczyć się więcej niż tylko zarządzania domem i stosowania mojej własnej magii.

- Chcę korzystać z tego pokoju podczas mojego pobytu w Sept-Tours.

Alain przyjrzał mi się uważnie.

- Korzystać? Skinęłam głową.

- Do alchemii. Później przyślijcie tu dwie beczki wina, jak najstarszego, ale niesfermentowanego. Będą mi potrzebne. Poczekajcie chwilę. Rozejrzę się, co tu jest.

Pierre i Alain przestępowali z nogi na nogę, zaniepokojeni takim rozwojem wypadków. Kucharz, widząc niezdecydowanie tych dwóch i moje stanowcze spojrzenie, postanowił przejąć inicjatywę - i popchnął mężczyznę w kierunku kuchni.

Gdy utyskiwania Pierre'a ucichły, rozejrzałam się. Na blacie stojącego przede mną drewnianego stołu dostrzegłam głębokie bruzdy po ostrzu noża, który odcinał liście od łądźek. Przesunęłam palcem po jednym z rowków i przytknęłam go do nosa.

Rozmaryn. Lek na pamięć.

Pamiętasz? - usłyszałam głos Petera Knoxa, współczesnego czarownika, który wykorzystywał wspomnienie śmierci moich rodziców, żeby się nade mną znęcać, i chciał zdobyć *Ashmole 782* dla siebie.

Przeszłość i terażniejszość znów się zderzyły; zerknęłam na kąt przy kominku. Tak jak podejrzewałam, snuły się tam niebieskie i bursztynowe smużki. Wyczułam też coś innego, jakieś inne stworzenie w innym czasie. Moje pachnące rozmarynem palce sięgnęły do niego, żeby się z nim połączyć. Za późno. Ktokolwiek to był, odszedł, a w kącie znów unosił się tylko kurz.

*Pamiętaj.*

Tym razem to głos Marthe odezwał się we mnie; nazywał zioła i uczył, jak brać je po szczypcie, by zrobić napar, który nie dopuści do zapłodnienia, chociaż nie wiedziałam o tym, gdy próbowałam go po raz pierwszy. Na pewno znalazłabym tu, w pokoju Marthe, wszystkie niezbędne składniki. Na najwyższej półce leżało proste drewniane pudełko, bezpieczne poza zasięgiem rąk. Stałam na palcach, podniosłam rękę i wysłałam w stronę pudełka pragnienie, tak samo jak kiedyś wezwałam książkę z półki Biblioteki Bodlejańskiej.

Pudełko przesuwało się posłusznie, aż znalazło się w moim zasięgu.

Chwyciłam je i położyłam delikatnie na stole.

W środku było dwanaście równych przegródek, a w każdej coś innego. Natka pietruszki. Imbir. Złocień. Rozmaryn. Szałwia. Nasiona trybuli leśnej. Bylica. Mięta. Arcydzięgiel. Ruta. Wrotycz. Korzeń jałowca. Marthe miała co trzeba, by zaburzyć płodność kobiet ze wsi.

Dotknęłam zawartości każdej przegródki, zadowolona, że pamiętam nazwy i zapachy. Ale natychmiast się zawstydziałam, bo na tym moja wiedza się kończyła. Nie wiedziałam, podczas której fazy księżycy należało je zbierać ani jakie inne magiczne zastosowania mogą mieć.

Sarah by wiedziała. W XVI wieku każda kobieta by wiedziała.

Pokręciłam ze smutkiem głową. Na razie wiedziałam, jak zadziałają te zioła, gdy zaparzę je w gorącej wodzie lub winie. Wsunęłam pudełko pod pachę i dołączyłam do mężczyzn w kuchni. Alain wstał.

- Skończyła pani, madame?

- Tak, Alain. *Merci*, Kucharzu - odparłam.

Gdy wróciliśmy do biblioteki, położyłam pudełko ostrożnie na rogu stołu i wzięłam czystą kartkę papieru. Usiadłam i sięgnęłam po pióro.

- Kucharz twierdzi, że w sobotę zaczyna się grudzień. Nie chciałam mówić o tym w kuchni, ale czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, gdzie zgubiłam drugą połowę listopada? -Zanurzyłam pióro w atramencie i spojrzałam wyczekująco na Alaina.

- Anglicy nie chcą nowego kalendarza papieskiego - zaczął powoli, jakby rozmawiał z dzieckiem. - A więc tam jest dopiero siedemnasty dzień listopada, a we Francji dwudziesty siódmy.

Przemierzyłam ponad cztery stulecia i nie zgubiłam nawet godziny, a wystarczyła podróż

z elżbietańskiej Anglii do rozdartej wojną Francji, bym zgubiła prawie dwa tygodnie. Westchnęłam i napisałam u góry strony prawidłowe daty.

- To znaczy, że w niedzielę rozpocznie się adwent - stwierdziłam, przerywając pisanie.

- *Oui*. Wieś i oczywiście milord będą pościć aż do Wigilii Bożego Narodzenia. Domownicy wraz z seigneurem przerwą post siedemnastego grudnia.

Jak pościły wampiry? Moja wiedza o ceremoniach religijnych chrześcijan na niewiele się tu zdała.

- A co się dzieje siedemnastego? - zapytałam, notując również tę datę.

- Są Saturnalia, madame - wyjaśnił Pierre. - Uroczystość na cześć boga żniw. *Sieur Philippe* wciąż szanuje stare zwyczaje.

Raczej starożytne. Saturnaliów nie obchodzono od upadku cesarstwa rzymskiego. Ścisnęłam grzbiet nosa, przytłoczona informacjami.

- Zaczniemy od początku, Alain. Co dokładnie będzie się działo w domu w ten weekend?

Po półgodzinie rozmów i kolejnych trzech kartkach papieru zostałam sama z książkami, papierami i coraz silniejszym bólem głowy. Jakiś czas później usłyszałam w wielkiej sali ruch, a potem wybuch śmiechu.

Znajomy głos, choć dźwięczniejszy i cieplejszy niż ten, który pamiętałam, wykrzyknął pozdrowienie.

Matthew.

Wpadł do biblioteki, nim zdążyłam odłożyć na bok papiery.

- Zauważyłaś jednak, że mnie nie było? - poczerwieniał. Jego długie palce wyplątały kosmyk włosów z mojej fryzury, gdy złapał mnie za szyję i pocałował w usta. Nie smakował krwią, lecz wiatrem i przestrzenią. Matthew udał się na przejażdżkę, ale się na niej nie posilił.

- Przepraszam za to, co się wydarzyło, *mon coeur* - wyszeptał mi do ucha. - Wybacz, że tak źle się zachowałem.

Przejażdżka poprawiła mu nastrój, a jego stosunek do ojca wreszcie wydawał się naturalny.

- Diano. - Philippe wyrósł za plecami syna. Sięgnął po najbliższą książkę i przeglądając ją, podszedł do kominka. - Czytasz *Historię Franków*, mam nadzieję, że nie po raz pierwszy. Oczywiście tekst byłby znacznie lepszy, gdyby matka Grzegorza czuwała nad jego powstawaniem. Armentaria doskonale władała łaciną. Listy od niej zawsze sprawiały mi olbrzymią przyjemność.

Nigdy nie czytałam słynnej książki Grzegorza z Tours o historii Francji, ale Philippe nie

musiał o tym wiedzieć.

- Gdy chodzili z Matthew do szkoły w Tours, słynny Grzegorz miał ledwie dwanaście lat. Matthew był znacznie starszy od nauczyciela, nie wspominając o uczniach, i w czasie wolnym nosił chłopców na plecach. - Philippe przeglądał księgę. - Gdzie jest ten fragment o olbrzymie? To mój ulubiony.

Alain wszedł z tacą, na której stały dwie srebrne czarki. Postawił ją na stole przy ogniu.

- *Merci*, Alain - wskazałam tacę. - Na pewno zgłodnieliście. Kucharz przysłał wam posiłek. Może opowiecie mi, jak spędziliście poranek?

- Nie potrzebuję... - zaczął Matthew.

Oboje z jego ojcem westchnęliśmy zirytowani. Philippe zdał się na mnie, skinąwszy mi lekko głową.

- Owszem, potrzebujesz - odparłam. - To krew kuropatwy, którą o tej porze powinieneś już móc wypić. Mam nadzieję, że jutro zapolujesz, w sobotę też. Jeśli zamierzasz pościć przez następne cztery tygodnie, to musisz się posilić, póki jest na to czas.

Podziękowałam Alainowi; uklonił się, zerknął na swojego pana i szybko wyszedł.

- Dla ciebie jest krew jelenia, Philippe. Utozona tego ranka.

- Co wiesz o krwi kuropatwy i poście? - Matthew pociągnął mnie lekko za włosy. Spojrzałam w jego szarozielone oczy.

- Więcej, niż wiedziałam wczoraj - odsunęłam się i dałam mu czarkę.

- Zabiorę swoją, żebyście mogli klócić się w spokoju - wtrącił się Philippe.

- Nie klóćmy się. Matthew musi odzyskać siły. Gdzie byliście na przejażdżce? - Podniosłam czarkę z krwią jelenia i podałam Philippe'owi.

Popatrzył na srebrne naczynie, na twarz swojego syna i znów na mnie. Uśmiechnął się szeroko, ale widziałam to oceniające spojrzenie. Wziął ode mnie czarkę i uniósł ją w toaście.

- Dziękuję, Diano - powiedział ciepło.

Ale te przedziwne oczy, które zauważały wszystko, obserwowały mnie nadal, gdy Matthew opowiadał o przejażdżce. Po chwili Philippe skoncentrował się na synu. Nie mogłam się powstrzymać i zerknęłam na niego - a nuż wyczytam coś z jego twarzy? Nasze spojrzenia się spotkały.

I wyczytałam groźbę. Philippe de Clermont coś knuł.

- Jak podobały ci się kuchnie? - zapytał Matthew, zmieniając temat rozmowy.



- Fascynujące - rzuciłam Philippe'owi wyzwanie. -Naprawdę fascynujące.

## ROZDZIAŁ 10

Philippe może i fascynował, ale też irytował i był tajemniczy, dokładnie tak, jak mówił Matthew.

Następnego ranka byliśmy z Matthew w wielkiej sali, gdy nagle mój teść pojawił się przed nami. Trudno się dziwić temu, w co ludzie wierzyli, że wampiry potrafią zmieniać się w nietoperze. Uniosłam kawałek grzanki ze złotego żółtka ugotowanego na miękko jajka.

- Dzień dobry, Philippe.

- Diano - skinął mi głową. - Chodź, Matthew. Musisz się posilić. A skoro nie zamierzasz tego robić w obecności żony, to pojedziemy na łowy.

Matthew wahał się - to patrzył na mnie, to odwracał wzrok.

- Może jutro.

Philippe burknął coś pod nosem i pokręcił głową.

- Musisz zaspokajać swoje potrzeby, Matthaios. Wygłodniały i zmęczony *manjasang* nie jest dobrym towarzyszem podróży dla nikogo, a zwłaszcza dla ciepłokrwistej czarownicy.

Do sali weszło dwóch mężczyzn, strząsając śnieg z butów. Chłodne zimowe powietrze owiało drewniany parawan i przecisnęło się przez rzeźby na nim. Matthew spojrział tęsknie na drzwi. Ściganie jeleni po skutych lodem polach nie tylko wzmocniłoby jego ciało, ale też oczyściłoby umysł. A biorąc pod uwagę jego zachowanie poprzedniego dnia, pewnie wróciłby też w znacznie lepszym humorze.

- O mnie się nie martw. Czeka mnie mnóstwo pracy -powiedziałam, wzięłam go za rękę i ścisnęłam krzepiąco.

Po śniadaniu przedyskutowałam z Kucharzem menu na sobotnią ucztę przedadwentową. Następnie krawca i szwaczkę ze wsi poinformowałam, jakiego odzienia potrzebuję. Biorąc pod uwagę moją znajomość francuskiego, obawiałam się trochę, że mogłam zamówić namiot cyrkowy. Po takich przeżyciach musiałam odetchnąć świeżym powietrzem, więc uprosiłam Alaina, żeby oprowadził mnie po warsztatach na dziedzińcu. Było tu prawie wszystko, czego potrzebowali mieszkańcy zamku: od świec, po wodę pitną.

Próbowałam zapamiętać choćby to, co robił kowal, bo przecież wiedza ta mogła mi się przydać, gdy powrócę do swojego prawdziwego życia - jako historyk.

Pomijając godzinę spędzoną w kuźni, mój dotychczasowy plan dnia nie odbiegał od planu typowego dnia arystokratki. Uznałam, że zrobiłam spory krok w przystosowaniu się do ówczesnego społeczeństwa, i następne kilka godzin spędziłam na lekturze i ćwiczeniu się w piśmie.

Gdy usłyszałam muzykantów szykujących się do ostatniego koncertu przed trwającym miesiącem postem, poprosiłam ich, by dali mi lekcję tańca.

Następnie chętnie udałam się do pokoju z ziołami Marthe, biorąc miedziany destylator, garnek z podwójnym dnem i niewielką beczkę starego wina. Dwaj chłopcy z kuchni pompowali pod nim skórzane miechy, które rozżarzały węgielki za każdym razem, gdy je przyciskali.

Pobyty w przeszłości pozwolił mi sprawdzić w praktyce to, co znałam tylko z teorii. Uważnie rozejrzałam się po pokoju Marthe i postanowiłam wydestylować z wina spirytus, podstawową substancję wykorzystywaną w alchemii. Jednak szybko zaczęłam kłąć.

- To się nigdy dobrze nie skondensuje - skrzywiłam się, patrząc, jak z destylatora ucieka para.

Chłopcy, którzy nie znali angielskiego, wydawali współczujące okrzyki, podczas gdy ja wczytywałam się w księgę z biblioteki de Clermontów. Na półkach było mnóstwo interesujących lektur. Na pewno znajdę coś na temat uszczelnienia destylatora.

- Madame? - Alain odezwał się od drzwi.

- Tak? - odwróciłam się do niego i wytarłam ręce w lniany fartuch.

Alain przerażony rozejrzał się po pokoju. Moja ciemna suknia bez rękawów zwieszała się z oparcia krzesła, ciężkie aksamitne rękawy zwisały z miedzianego kotła, a górna część sukienki z wbitego w sufit haka. Jak na XVI-wieczne standardy byłam rozebrana, wciąż jednak miałam na sobie gorset, zapinaną wysoko pod szyję bluzkę z długimi rękawami, kilka halek i szeroką spódnicę. Mimo to czułam się naga, więc uniosłam podbródek i spojrzałam ostro na Alaina. Rozsądny chłopak odwrócił wzrok.

- Kucharz nie wie, co zrobić z wieczornym posiłkiem - oznajmił.

Zmarszczyłam brwi. Kucharz zawsze wiedział, co robić.

- Ludzie są głodni i spragnieni, ale nie mogą usiąść do stołu bez madame. Kiedy w Sept-Tours przebywa jakiś członek rodziny de Clermont, musi uczestniczyć w wieczornym posiłku. Tak nakazuje tradycja.

Pojawiła się Catrine z ręcznikiem i miską. Umoczyłam palce w ciepłej, pachnącej lawendą wodzie.

- Długo czekają? - zapytałam, biorąc ręcznik. Wielka sala pełna głodnych ciepłokrwistych i równie wygłodniałych wampirów - niedobrze. Dopiero uzyskana pewność co do moich zdolności zarządzania domem rodziny de Clermont zniknęła.

- Ponad godzinę. Będą czekać, aż z wioski przyjdzie wiadomość, że Roger zamyka na noc tawernę. Jest zimno, a do śniadania jeszcze wiele godzin. *Sieur* Philippe dał mi do zrozumienia...  
- zamilkł spłoszony.

- *Vite* - zawołałam, wskazując moje rozrzucone ubrania. - Musisz mnie ubrać, *Catrine*.

- *Bien sur*. - *Catrine* odstawiła miskę i sięgnęła po moją suknię. Duża plama atramentu, którą na niej ujrzałam, rozwiała moje nadzieje na to, że będę wyglądać przyzwoicie.

Gdy weszłam do sali, o kamienną podłogę jakby z wyrzutem zazgrzytały ławy odsuwane przez ponad trzydzieści różnych stworzeń.

Kiedy wszyscy znów usiedli, spożywali spóźniony posiłek ze smakiem, podczas gdy ja wgryzałam się w udko kurczaka i nie mogłam zjeść nic więcej.

Po, jak mi się zdawało, bardzo długim czasie wrócił *Matthew* z ojcem.

- *Diana!* - *Matthew* obszedł drewniany parawan, zaskoczony, że siedzę u szczytu rodzinnego stołu. - Myślałem, że znajdę cię na górze albo w bibliotece.

- Uznałam, że powinnam usiąść tutaj w uznaniu dla pracy włożonej przez *Kucharza* w przygotowanie tego posiłku. - Spojrzałam na *Philippe'a*. - A jak polowanie, *Philippe*?

- Nieźle. Ale zwierzęca krew jest odżywcza tylko do pewnego stopnia.

- Skinął na *Alaina*, a jego zimne oczy przywarły do mojej szyi w wysokim kołnierzu.

- Dość tego - powiedział cicho *Matthew*, ale z wyraźną groźbą w głosie. Kilka osób uniosło wzrok. - Powinieneś nakazać, żeby rozpoczęto posiłek bez nas. Pozwól, że zabiorę cię na górę, *Diano*.

Tym razem spojrzenia powędrowały w moją stronę - co odpowiem?

- Jeszcze nie skończyłam - wskazałam talerz. - Inni też nie. Usiądź przy mnie i napij się wina.

Może i *Matthew* był renesansowym księciem z krwi i kości, ale to nie znaczyło, że zamierzałam ulegać jego zachciankom. Usiadł przy mnie, a ja na siłę zjadłam jeszcze trochę kurczaka. Gdy nie mogłam już znieść napięcia, wstałam. I znów zaskrzypiały ławy, bo wstali również wszyscy domownicy.

- Już skończyłaś? - odezwał się zaskoczony *Philippe*. -W takim razie dobranoc, *Diano*. *Matthew*, wracaj szybko. Mam dziwną ochotę zagrać w szachy.

*Matthew* zignorował ojca i podał mi ramię. Bez słowa wyszliśmy z wielkiej sali i

udaliśmy się do swoich pokoi. Gdy dotarliśmy do moich drzwi, Matthew wziął się w garść.

- Philippe traktuje cię jak doskonałą panią domu. To niedopuszczalne - oświadczył.

- Twój ojciec traktuje mnie jak kobietę z tych czasów. Dam sobie radę, Matthew. - Umilkłam, zbierając się na odwagę. - Kiedy po raz ostatni pożywiałeś się dwunogim stworzeniem?

Zmusiłam go, żeby napił się mojej krwi, nim wyruszyliśmy z Madison, i jakiegoś ciepłokrwistego w Kanadzie. Kilka tygodni wcześniej zabił Gillian Chamberlain w Oksfordzie. Możliwe, że i nią zaspokoił głód. Nie sądziłam jednak, aby w ciągu ostatnich miesięcy spożył choćby kroplę innej niż zwierzęca krwi.

- Czemu o to pytasz? - zapytał ostro.

- Philippe twierdzi, że nie jesteś tak silny, jak powinieneś być. - Ścisnęłam mocniej jego ramię. - Jeśli musisz się posilić, a nie chcesz krwi obcych, to pożyw się moją.

Nim Matthew zdążył odpowiedzieć, od strony schodów dobiegł nas śmiech.

- Uważaj, Diano. My, manjasangowie, mamy doskonały słuch. Jeśli w tym domu zaproponujesz komuś swoją krew, to już nie opędzisz się od wilków. - Philippe z rękami na piersi stał oparty o rzeźbiony kamienny łuk drzwi.

Matthew odwrócił się do niego rozwścieczony.

- Odejdź, Philippe!

- Ta czarownica jest lekkomyślna. Muszę mieć ją na oku, inaczej nas zniszczy.

- Ta czarownica należy do mnie.

- Jeszcze nie. - Philippe zaczął schodzić ze schodów. -A może i nigdy - pokręcił z zalem głową.

Po tej utarczce Matthew stał się jeszcze bardziej małomówny i wyniosły. Następnego dnia był zły na ojca, ale zamiast na nim się wyładować, warczał na wszystkich innych - na mnie, Alaina, Pierre'a, Kucharza i każdego, kto miał pecha stanąć mu na drodze. Mieszkańcy zamku już i tak ekscytowali się zbliżającą się ucztą, więc po kilku godzinach Philippe dał synowi wybór: niech prześpi swój zły humor albo wypije czyjaś krew. Matthew wybrał trzecie rozwiązanie - postanowił przejrzeć archiwa de Clermontów w poszukiwaniu jakiejś wzmianki o tym, gdzie może się znajdować *Ashmole 782*. Pozostawiona sama sobie wróciłam do kuchni.

Philippe odnalazł mnie w zaparowanym pokoju Marthe, gdzie z podwiniętymi rękawami nachylałam się nad wciąż niesprawnym destylatorem.

- Czy Matthew pił twoją krew? - wyrzucił z siebie, przyglądając się moim ramionom.

W odpowiedzi uniosłam lewą rękę. Delikatne płótno spłynęło mi na ramię, odsłaniając

różową poszarpaną bliznę po wewnętrznej stronie łokcia. Rozciąłam tam ciało, żeby Matthew mógł łatwiej ze mnie pić.

- Jeszcze gdzieś?

Drugą ręką odsłoniłam szyję. Ta rana była znacznie głębsza, ale także znacznie mniejsza, gdyż zrobił ją wampir.

- Cóż za brak rozsądku pozwolić zadurzonemu w tobie manjasangowi wziąć od ciebie krew i to nie tylko z ręki, ale i szyi. - Philippe nie panował nad sobą. - Umowa zakazuje manjasangom karmić się krwią czarownic i demonów. Matthew wie o tym.

- Umierał, a tylko ja mogłam mu dać krew! - odburknęłam. - Może poprawi ci samopoczucie świadomość, że niełatwo mi uległ.

- A więc to tak. Mój syn najwyraźniej przekonał się, że tak długo, jak nie posiadał twojego ciała, a tylko twoją krew, potrafi z ciebie zrezygnować. - Philippe pokręcił głową. - Myli się. Obserwowałem go. Nigdy nie uwolnisz się od Matthew, czy prześpi się z tobą, czy nie.

- Matthew wie, że nigdy go nie opuszczę.

- Bzdura. Pewnego dnia twoje życie na tej ziemi się skończy i udasz się w ostatnią podróż, do krainy cieni. A Matthew będzie wołał za tobą podążyc w śmierć, niż cierpieć - stwierdził Philippe z przejęciem.

Matka Matthew opowiedziała mi pewną historię - jak syn spadł z rusztowania, gdy pomagał układać kamienie na kościół we wsi. Już gdy usłyszałam to po raz pierwszy, zastanawiałam się, czy rozpacz Matthew po stracie żony Blanki i syna Lucasa doprowadziła go do próby samobójczej.

- Szkoda, że Matthew jest chrześcijaninem. Jego Boga nie można zadowolić.

- Jak to? - zapytałam zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Jeśli któreś z nas uczyni coś złego, to regulujemy rachunki z bogami i żyjemy dalej z nadzieją, że w przyszłości pójdzie lepiej. Syn Ysabeau wciąż spowiada się ze swoich grzechów i pokutuje: za swoje życie, za to, kim jest, za to, co zrobił. Wciąż patrzy w przeszłość i nie potrafi tego przerwać.

- Bo Matthew jest człowiekiem wielkiej wiary, Philippe. - W życiu Matthew Bóg stał się duchowym centrum, co wpływało na jego stosunek do nauki i śmierci.

- Matthew? - Philippe nie dowierzał. - Ma mniej wiary niż ktokolwiek, kogo znałem. Ma tylko przekonania, a to zupełnie co innego: one płyną z głowy, a nie z serca. Matthew zawsze miał giętki umysł, zdolny poradzić sobie z taką abstrakcją jak Bóg. W ten sposób zdołał pogodzić się z tym, czym stał się, gdy Ysabeau wprowadziła go do rodziny. Każdy *manjasang* przeżywa to inaczej. Moi synowie wybrali różne drogi: wojnę, miłość, podboje, bogacenie się. Dla Matthew to zawsze była abstrakcja.

- I wciąż jest - szepnęłam.

- Ale to, co abstrakcyjne, nie służy odwadze. I nadziejom na przyszłość. - Zamyślił się. - Nie znasz swojego męża tak dobrze, jak powinnaś.

- Na pewno nie tak, jak ty. Jesteśmy czarownicą i wampirem, którzy kochają się, choć to zakazane. Umowa nie pozwala nam na publiczne konkury i spacery przy księżycu - mówiłam coraz bardziej emocjonalnie.

- Nie mogę go trzymać za rękę ani dotknąć jego twarzy poza tymi murami, bo a nuż ktoś to zauważy i on będzie cierpiał.

- Około południa Matthew chodzi do kościoła w wiosce, gdy tobie wydaje się, że szuka twojej książki. To właśnie tam dziś poszedł. -

Philippe jakby odbiegł od tematu naszej rozmowy. - Może któregoś dnia podążysz za nim. Może wtedy zdołasz go lepiej zrozumieć.

W poniedziałkowy poranek o jedenastej poszłam do kościoła, z nadzieją że nikogo w nim nie znajdę. Ale Matthew był tam, tak jak twierdził Philippe. Musiał usłyszeć, jak zamykają się za mną ciężkie wrota i dudnią moje kroki po posadzce, lecz się nie odwrócił. Wciąż klęczał na prawo od ołtarza. Mimo chłodu miał na sobie tylko lnianą koszulę, pludry, pończochy i buty. Marzłam na sam jego widok, więc owinęłam się szczelniej płaszczem.

- Twój ojciec powiedział mi, że tu cię znajdę. - Mój głos odbił się echem od ścian.

Byłam w tym kościele po raz pierwszy i z ciekawością się rozglądałam. Jak wiele sakralnych budynków w tej części Francji świątynia w Saint-Lucien była już stara w 1590 roku. Jej proste linie były zupełnie inne niż strzeliste rzeźbione łuki gotyckich katedr. Wokół łuku oddzielającego absydę od nawy biegły kolorowe freski, podobnie jak na kamiennych opaskach u szczytu łuków pod oknami clerestorium.

Większość okien była otwarta, choć ktoś próbował domknąć te najbliższe drzwi. Spiczasty dach podierały krzyżujące się belki, świadcząc zarówno o umiejętnościach cieśli, jak i kamieniarza. Gdy byłam po raz pierwszy w Old Lodge, dom przypominał mi jego właściciela. Tu też uwidoczniła się jego osobowość, w geometrycznych detalach wrytych w belkach i idealnych łukach między kolumnami.

- Zbudowałeś ten kościół.

- Cześć. - Matthew spojrzał na zaokrągloną absydę z wizerunkiem Chrystusa na tronie, z ręką uniesioną w geście błogosławieństwa. - Głównie nawę. Absyda została dokończona gdy... mnie nie było.

Poważna twarz świętego spoglądała na mnie ponuro znad prawego ramienia Matthew. Trzymał kątownik i białą lilię o długiej łodydze. Był to Józef, który, nie zadając żadnych pytań, wziął za żonę ciężarną dziewczycę.

- Musimy porozmawiać, Matthew. - Znów rozejrzałam się po kościele. - Może powinniśmy pójść do zamku. Tutaj nie ma gdzie usiąść.

Nigdy nie myślałam, że uznam drewniane ławy za wygodne, dopóki nie weszłam do kościoła, w którym ich nie było.

- Kościołów nie budowano dla wygody - stwierdził Matthew.

- Nie. Ale nękanie wiernych nie mogło być ich jedyną rolą. - Przyjrzałam się freskom.

Jeśli wiara i nadzieja były tak mocno ze sobą związane, jak sądził Philippe, to może znajdę tu coś, co poprawiłoby nastrój Matthew.

Ujrzałam Noego i arkę. Globalne nieszczęście i z trudem zażegnane wymarcie wszelkich form życia nie było budujące. Jakiś święty zabijał smoka, ale to nazbyt przypominało mi polowanie, by mogło pocieszyć.

Wejście do kościoła ukazywało Sąd Ostateczny. U góry rzędy aniołów dęły w złote trąby, czubki ich skrzydeł omiały podłogę, lecz widok piekła u dołu, tak usytuowanego, żeby wychodząc z kościoła, spojrzeć w oczy potępionym, przerażał. Wskreszenie Łazarza nie pocieszyłoby wampira. Maryja Dziewica też nie.

Stała naprzeciw Józefa przy absydzie, niezwykła, pogodna - kolejne przypomnienie tego, co Matthew stracił.

- Przynajmniej jesteśmy sami. Philippe rzadko tu przychodzi - powiedział zmęczonym głosem.

- W takim razie tu zostaniemy. - Podeszłam do niego bliżej. - Co się dzieje, Matthew? - zapytałam. - Kiedyś myślałam, że doznałeś szoku z powodu powrotu do poprzedniego życia, potem że dobijała cię wizja ponownego spotkania z ojcem i potrzeba ukrywania tego, że zmarł.

-Matthew wciąż klęczał z pochyloną głową, odwrócony do mnie plecami.

- Ale teraz twój ojciec zna swoją przyszłość, więc musi chodzić o coś innego.

Nastrój w kościele przytłaczał, zupełnie jakby moje słowa wysały z powietrza cały tlen. Żadnego dźwięku poza pokrzykiwaniami ptaków w dzwonnicy.

- Dziś są urodziny Lucasa - odezwał się w końcu Matthew.

Poczułam się tak, jakbym dostała obuchem w głowę. Osunęłam się za nim na kolana, wokół mnie rozpostarły się czerwone suknie. Philippe miał rację. Nie znałam Matthew tak dobrze, jak powinnam.

Uniósł rękę i wskazał na podłogę między nim i Józefem.

- Tu jest pochowany, wraz ze swoją matką.

Na kamieniu nie było żadnego napisu mówiącego o tym, kto leży pod nim, tylko gładkie wgłębienia, jak na bardzo starych, zużytych schodach.

Matthew wysunął palce, które idealnie wpasowały się w te wgłębienia, znieruchomiał, po czym cofnął rękę.

- Gdy umarł Lucas, umarła z nim jakaś część mnie. To samo stało się z Blancą. Odeszła kilka dni później; oczy miała puste, a dusza uleciała już wcześniej. Philippe wybrał mu imię. To po grecku „Jaśniejący”. W noc swoich urodzin był taki blady. Gdy akuszerka uniosła go w ciemnościach, jego skóra odbita światło ognia, tak jak księżyc odbija światło słońca.

Dziwne, po tylu latach wciąż doskonale to pamiętam. - Matthew umilkł i otarł oczy. Palce miał czerwone.

- Kiedy poznałeś Blancę?

- Rzucałem w nią śnieżkami pierwszej zimy, gdy przybyła do wsi.

Zrobiłbym wszystko, byle tylko zwróciła na mnie uwagę. Była delikatna i dumna, wielu z nas chciało ją bliżej poznać. Wiosną zgodziła się, bym odprowadzał ją z targu do domu. Lubiła jagody. W lecie żywopłot przy kościele był ich pełen. - Spojrzał na czerwone ślady na swoich palcach. -

Za każdym razem, gdy Philippe widział na moich dłoniach plamy po soku, śmiał się i przepowiadał, że na jesieni się pobierzemy.

- I miał rację?

- Pobraliśmy się w październiku, po żniwach. Blanca była już w trzecim miesiącu ciąży.

Matthew zwlekał ze skonsumowaniem naszego małżeństwa, ale nie potrafił oprzeć się urokowi Blanki. Dowiedziałam się o ich związku zdecydowanie więcej, niż chciałam.

- Po raz pierwszy kochaliśmy się w upale sierpnia - ciągnął. - Blance zawsze zależało na tym, by sprawiać radość innym. Gdy teraz o tym myślę, zastanawiam się, czy była wykorzystywana jako dziecko. Nie karana... wszystkich nas karano i to w sposób, o jakim nawet nie śniłoby się współczesnemu rodzicowi... coś więcej. To ją złamało. Moja żona nauczyła się dawać to, czego chciał ktoś starszy, silniejszy i podły. A ja właśnie taki byłem; naciskałem, aby tamtej letniej nocy mi się oddała, więc się zgodziła.

- Ysabeau powiedziała mi, że bardzo się kochaliście, Matthew. Nie zmusiłeś jej do niczego wbrew jej woli. -Chciałam jakoś go wesprzeć, mimo bólu, jaki zadawały mi jego słowa.

- Blanca nie miała silnej woli. Dopóki nie pojawił się Lucas. I nawet wtedy okazywała ją tylko, gdy coś mu zagrażało lub gdy się na niego złościłem. Przez całe życie pragnęła mieć kogoś słabszego, niezaradnego, by móc go chronić, tymczasem skazana była na kolejne, w jej mniemaniu, porażki. Lucas nie był naszym pierwszym dzieckiem, a z każdym poronieniem Blanca stawała się coraz bardziej wrażliwa, coraz bardziej uległa. Niezdolna powiedzieć „nie”.



Poza ogólnym zarysem opowieść Matthew nie przypominała tej, którą przedstawiła mi Ysabeau. Jej wspomnienia z młodych lat życia syna były historią głębokiej miłości i cierpienia. Natomiast Matthew - bezbrzeżnego smutku i straty.

Odchrząknęłam.

- A potem pojawił się Lucas.

- Tak. Po całych latach obdarzania jej śmiercią dałem jej Lucasa - zamilkł.

- Nie mogłeś nic zrobić, Matthew. Był VI wiek, szalała epidemia. Nie mogłeś ocalić żadnego z nich.

- Mogłem się powstrzymać przed ożenkiem. Wtedy nie byłoby kogo tracić! - krzyknął. - Nigdy nie powiedziała „nie”, ale w jej oczach, gdy się kochaliśmy, zawsze widziałem niechęć. Za każdym razem obiecywałem jej, że dziecko przeżyje. Oddałbym wszystko...

Bolała mnie świadomość, że Matthew jest wciąż tak bardzo przywiązany do zmarłej żony i syna. Ich dusze nawiedzały to miejsce i jego także. Ale przynajmniej teraz wiedziałam, czemu nadal mnie nie chciał - z powodu głębokiego poczucia winy i rozpacz, które dźwigał przez tyle wieków. Z czasem może uda mi się uwolnić go od Blanki.

Wstałam i podeszłam do niego. Zadrżał, gdy położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Jest coś jeszcze. Zamarłam.

- Chciałem oddać swoje życie. Ale Bóg go nie chciał. -Matthew uniósł głowę i spojrzał na poślubiony kamień przed sobą, a potem na dach powyżej.

- Och Matthew.

- Całymi tygodniami myślałem o tym, by dołączyć do Lucasa i Blanki, ale bałem się, że oni będą w niebie, a Bóg wtrąci mnie do piekła za moje grzechy. Poprosiłem o radę jedną z kobiet w wiosce. Uważała, że jestem nawiedzony, że Blance i Lucasa nierozzerwalnie związałem z tym miejscem. Wspiąłem się na rusztowanie, popatrzyłem w dół i pomyślałem, że może ich dusze zostały uwięzione pod kamieniem. Jeśli na niego spadnę, to Bóg będzie musiał ich uwolnić. Albo pozwoli mi się do nich przyłączyć, gdziekolwiek są.

To była chora logika zrozpaczonego człowieka, a nie trzeźwy sposób myślenia naukowca, którego znałam.

- Czuję się taki zmęczony - wyznał ze znużeniem. -Ale Bóg nie pozwalał mi odpocząć. Nie po tym, co zrobiłem. Za moje grzechy oddał mnie stworzeniu, które zamieniło mnie w kogoś, kto nie może ani żyć, ani umrzeć, ani nawet uciec w ulotną krainę snów. Może tylko zachować pamięć.

Matthew znów był wyczerpany i taki zimny. Jego skóra zdawała się chłodniejsza niż lodowate powietrze wokół nas. Sarah na pewno знаła czar, który by mu pomógł, ale ja mogłam

tylko przytulić to oporne ciało i dać mu swoje ciepło.

- Philippe mnie wtedy znienawidził. Uważa, że jestem słaby, zbyt słaby, żeby ożenić się z kimś takim jak ty.

Wreszcie poznałam powód, dla którego Matthew czuł się bezwartościowy.

- Nie - zaprzeczyłam ostro. - Twój ojciec cię kocha. Podczas naszego krótkiego pobytu w Sept-Tours, Philippe okazywał swojemu synowi różne uczucia, ale na pewno nie odrazę.

- Odważni ludzie nie popełniają samobójstwa, chyba że w bitwie.

Powiedział tak Ysabeau. Uznał, że brak mi odwagi, aby być manjasangiem. Wysłał mnie do walki, gdy tylko nadarzyła się okazja.

„Jeśli uparłeś się skończyć ze swoim życiem, to przynajmniej zrób to dla szlachetniejszej sprawy niż tylko uzalanie się nad sobą”. Nigdy nie zapomniałem tych słów.

Nadzieja, wiara, odwaga - proste credo Philippe'a. Matthew uważał, że ma tylko wątpliwości, jakieś przekonania i brawurę. Ale ja się z tym nie zgadzałam.

- Tak długo znęcasz się nad sobą tymi wspomnieniami, że już nie dostrzegasz prawdy - stanęłam naprzeciw niego, a potem uklękłam. -

Wiesz, co widzę, gdy na ciebie patrzę? Kogoś bardzo podobnego do swojego ojca.

- Wszyscy chcemy widzieć Philippe'a w tych, których kochamy. Ale ja go wcale nie przypominam. Ojciec Gallowglassa, Hugh, gdyby żył... -

Matthew odwrócił się; ręce mu się trzęsły. Było coś jeszcze, jeszcze jakaś tajemnica.

- Zgodziłam się na jedną tajemnicę, Matthew: imię de Clermonta, obecnie członka Kongregacji. Nie możesz mieć drugiej.

- Chcesz, bym podzielił się z tobą moim najmroczniejszym sekretem?

- Minęły całe wieki, nim Matthew zdecydował się to wyznać. - Odebrałem mu życie. Błagał o to Ysabeau, ale ona nie potrafiła tego zrobić.

- Hugh? - szepnęłam, a serce pękało mi na myśl o nim i Gallowglassie.

- Philippe'owi.

Runęła ostatnia bariera między nami.

- Naziści doprowadzili go do szaleństwa bólem i cierpieniem. Gdyby Hugh żył, może przekonałby Philippe'a, że wciąż żyje w nim jakaś nadzieja. Ale Philippe uznał, że jest zbyt zmęczony, aby walczyć. Chciał spać, a ja... ja wiedziałem, co oznacza pragnienie, by zamknąć oczy i zapomnieć. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, bo spełniłem jego prośbę.

Matthew drżał. Objęłam go, niezrażona, że się opiera; wiedziałam tylko, że potrzebuje czegoś... kogoś... by wytrwać, gdy opadały go te wspomnienia.

- Kiedy Ysabeau odmówiła jego prośbie, okazało się, że Philippe próbował podciąć sobie żyły. Nie mógł jednak utrzymać noża, by to zrobić. Kaleczył się raz za razem, krwawił, ale rany były płytkie i błyskawicznie się goiły. -Matthew mówił szybko, słowa wreszcie się z niego wylewały. - Im więcej tracił krwi, tym bardziej szalał. Od kiedy wrócił z obozu, nie mógł znieść jej widoku. Ysabeau wzięła od niego nóż i powiedziała, że pomoże mu ze sobą skończyć. Ale *maman* nigdy by sobie nie wybaczyła.

- Więc ty go cięłeś - spojrzałam mu w oczy.

Nigdy nie potępiałam tego, co musiał robić, by przetrwać jako wampir. Nie mogłam potępić grzechów męża, ojca ani syna.

Matthew pokręcił głową.

- Nie. Wypiłem całą jego krew, żeby nie musiał patrzeć, jak uchodzi z niego życie.

- Ale to znaczy, że zobaczyłeś... - mój głos łamał się z przerażenia.

Gdy wampir wypijał krew innego stworzenia, jego wspomnienia przepływały wraz z nią. Matthew uwolnił od cierpień swojego ojca, ale dopiero po tym, jak wszystkie je wziął na siebie.

- Wspomnienia większości istot są jak spokojny strumień, jak rozwijająca się w ciemnościach wstęga. W przypadku Philippe'a były jak łykanie kawałków szkła. Gdy brnąłem przez ostatnie wydarzenia, jego umysł był tak zniszczony, że ledwie mi się to udało. - Trząsł się coraz bardziej. - To trwało całą wieczność. Philippe był załamany, zagubiony i przerażony, ale jego serce wciąż biło. W swoich ostatnich chwilach myślał o Ysabeau. To mu pozostało.

- Już dobrze - powtarzałam w kółko, trzymając go mocno, aż zaczął się uspokajać.

- W Old Lodge zapytałaś mnie, kim jestem. Zabójcą, Diano.

Wielokrotnym zabójcą - odezwał się w końcu zduszonym głosem. - Ale nikomu nie musiałem potem znów spojrzeć w twarz. Ysabeau nie może na mnie patrzeć i nie wspominać śmierci mojego ojca. A teraz i ty też.

Objęłam jego głowę i odsunęłam się odrobinę, by spojrzeć mu w oczy.

Zwykle idealna twarz Matthew skrywała zniszczenia, jakich dokonał czas i doświadczenia. Teraz wszystko to wyszło na jaw, ale dla mnie był dzięki temu jeszcze piękniejszy. Wreszcie rozumiałam mężczyznę, którego kochałam - jego upór, bym pojęła, kim i czym jestem, jego wstręt do zabijania nawet w obronie własnej, przekonanie, że gdy dobrze go poznam, nie będę mogła go pokochać.

- Kocham ciebie całego, Matthew: wojownika i naukowca, zabójcę i uzdrowiciela, twoją ciemną i jasną stronę.

- Naprawdę? - szepnął z niedowierzaniem.

- Philippe nie mógłby tak dalej żyć. Wciąż próbowalby popełnić samobójstwo, a z tego, co mówisz, dość już wycierpiał. - Nie potrafiłam sobie wyobrazić jak wiele, ale mój ukochany Matthew był tego świadkiem. - Dokonałeś aktu miłosierdzia.

- Chciałem zniknąć, gdy to się skończyło, odejść z Sept-Tours i nigdy nie wrócić - wyjąkał. - Ale Philippe kazał mi obiecać, że nie porzucę rodziny i Zakonu. Przysiągłem też, że zaopiekuję się Ysabeau. Więc zostałem tu, zająłem jego miejsce, pociągnąłem za wybrane przez niego polityczne sznurki i skończyłem tę wojnę.

- Philippe nie oddałby Ysabeau komuś, kogo nienawidził. Ani nie przekazał tchórzowi władzy nad Zakonem Łazarza.

- Baldwin oskarżył mnie o kłamstwo, gdy obwieściłem słowa Philippe'a. Sądził, że to on dostanie Zakon. Nikt nie mógł zrozumieć, czemu ojciec oddał Zakon mnie. Może to był jego ostatni akt szaleństwa.

- Nie, wiary - odparłam cicho, splatając moje palce z jego palcami. - Philippe w ciebie wierzy. Ja także. Te ręce zbudowały ten kościół. Były dość mocne, by pomagać twojemu synowi i twojemu ojcu do ich ostatnich chwil na tej ziemi. I wciąż przed nimi mnóstwo pracy.

Gdzieś w górze zatrzepotały skrzydła. Gołębica wleciała przez okno clerestorium i zgubiła drogę wśród belek dachu. Trzepotała się, szukając wyjścia, aż w końcu sfrunęła do kościoła. Przysiadła na kamieniu oznaczającym ostatnie miejsce spoczynku Blanki i Lucasa, zatańczyła, po czym odwróciła się do mnie i Matthew. Przechyliła główkę i przyjrzała nam się niebieskim oczkiem.

Zaskoczony Matthew poderwał się, a przerażona gołębica szybko poleciała na drugą stronę absydy. Zwolniła z łopotem skrzydeł przed podobizną Maryi Dziewicy. W chwili, gdy byłam przekonana, że zderzy się ze ścianą, zakręciła gwałtownie i wyleciała tą samą drogą, którą wpadła do kościoła. Długie białe pióro z jej skrzydła unosiło się w powietrzu, aż opadło na kamienie przed nami. Matthew podniósł je zaskoczony.

- Nigdy wcześniej nie widziałem w tym kościele białej gołębicy. - Popatrzył na kopułę absydy; tam taki sam ptak unosił się nad głową Chrystusa.

- To znak odrodzenia i nadziei. Czarownice wierzą w znaki, wiesz? -

Zacisnęłam jego dłonie na piórze, ucałowałam lekko w czoło i odwróciłam się do drzwi. Może teraz, gdy podzielił się ze mną wspomnieniami, odnajdzie spokój.

- Diano? - zawołał za mną. Wciąż stał przy rodzinnym grobie. - Dziękuję, że wysłuchałaś mojej spowiedzi.

Skinęłam głową.

- Do zobaczenia w domu. Nie zapomnij tego pióra.

Obserwował, jak przechodzę obok scen męczarni i odkupienia na portalu między światem Boga i światem ludzi. Pierre czekał na zewnątrz i bez słowa zabrał mnie do Sept-Tours. Philippe usłyszał, że się zbliżamy, i powitał mnie w holu.

- Był w kościele? - zapytał cicho. Jego widok, w tak świetnej formie, sprawił, że serce mi zamarło. Jak Matthew to znosił?

- Tak. Powinieneś mi powiedzieć, że dziś są urodziny Lucasa. - Podałam płaszcz Catrine.

- Wszyscy nauczyliśmy się przewidywać te ponure nastroje, gdy Matthew wspomina syna. Ciebie również to czeka.

- Nie chodzi tylko o Lucasa - ugryzłam się w język, przerażona, że powiedziałam za dużo.

- Matthew opowiedział ci też o swojej śmierci. - Philippe przecesał palcami włosy, tak jak robił to jego syn. -Rozumiem jego ból, ale nie poczucie winy. Kiedy się z tym wreszcie pogodzi?

- Nie wszystko da się zapomnieć - spojrzałam Philippe'owi prosto w oczy. - Bez względu na to, co twoim zdaniem rozumiesz, jeśli go kochasz, pozwolisz mu walczyć z jego demonami.

- Nie. To mój syn. Nie zawiodę go. - Philippe zacisnął usta. Odwrócił się i ruszył przed siebie. - Madame, otrzymałem wieści z Lyonu - zawołał przez ramię. - Niedługo przybędzie czarownica, by ci pomóc, jak życzył sobie tego Matthew.

## ROZDZIAŁ 11

Wracając z wioski, przyjdź do mnie do stajni. - Philippe znów zaczął błyskawicznie pojawiać się i znikać i właśnie stanął przed nami w bibliotece. Uniosłam głowę znad książki i zmarszczyłam brwi.

- Co jest w stajni?

- Siano. - Wyznania Matthew w kościele sprawiły, że stał się jeszcze bardziej niespokojny i wybuchowy. - Ojciec, piszę do naszego nowego papieża. Konklawe ogłosi dziś, że biedny Niccolò został wybrany wbrew swojej woli. Ale czymże są życzenia jednego człowieka w porównaniu z dążeniami Filipa Habsburga i Philippe'a de Cler-mont?

Philippe sięgnął do pasa. Rozległo się głośnie klaśnięcie. Matthew trzymał w dłoniach sztylet, ostrzem wymierzonym w swoją pierś.

- Jego Świątobliwość może poczekać. - Philippe przyjrzał się swojej broni. - Powinienem być rzucić w Dianę. Szybciej byś się ruszał.

- Wybacz, że psuję ci zabawę - wycodził Matthew. - Już dawno nikt we mnie nie rzucał nożem. Chyba wyszedłem z wprawy.

- Jeśli nie będzie cię w stajni, gdy zegar wybije drugą, przyjdę po ciebie, i tym razem z czymś większym niż sztylet. - Philippe zabrał

Matthew broń i ryknął do stojącego tuż za nim Alaina: - Nikomu nie wolno tam przyjść, dopóki nie nakażę inaczej. - Schował sztylet do skórzanej pochwy.

- Domyśliłem się, *sieur* - w słowach Alaina było tyle wyrzutu, na ile mógł się zdobyć.

- Mam już dość życia z taką ilością testosteronu wokół. Bez względu na to, co Ysabeau myśli o czarownicach, żałuję, że jej tu nie ma. I zanim zapytasz, co to testosteron, to powiem ci, że to ty - wycelowałam palcem w Philippe'a. -A twój syn jest niewiele lepszy.

- Towarzystwo kobiet, tak? - Philippe zaczął szarpać brodę i spojrzał na Matthew, zastanawiając się, jak daleko może się jeszcze posunąć. - Czemu nie pomyślałem o tym wcześniej? W oczekiwaniu na czarownicę z Lyonu należało posłać po Margot, żeby poinstruowała ją, jak powinna się zachowywać francuska dama.

- To, co Louis i Margot robią w Usson, jest gorsze, niż wszystko, co robili w Paryżu. Ta kobieta nie jest wzorem dla nikogo, a już zwłaszcza dla mojej żony. - Matthew przeszył ojca wzrokiem. - Jeśli nie będą bardziej uważać, ludzie zorientują się, że starannie zaplanowane, kosztowne zabójstwo Louisa było oszustwem.

- Jak na kogoś, kto ożenił się z czarownicą, bardzo szybko oceniasz namiętności innych, Matthaios. Louis to twój brat.

Boże, miej nas w opiece, kolejny brat.

- Namiętności? - Matthew uniósł brew. - Czy tak nazywa się przepływający przez łożko strumień kobiet i mężczyzn?

- Można kochać się w różny sposób. To nie moja sprawa, co robią Margot i Louis. Krew Ysabeau płynie w żyłach Louisa, więc zawsze będę wobec niego lojalny, tak jak wobec ciebie, mimo twoich wyskoków. - I Philippe zniknął.

- Właściwie ilu jest de Clermontów? I czemu wszyscy jesteście mężczyznami? - zapytałam, gdy znów zapadła cisza.

- Bo córki Philippe'a były tak okropne, że zwołaliśmy zebranie rodzinne i ubłagaliśmy go, by przestał je płodzić. Stasia samym spojrzeniem potrafi sprawić, że farba zacznie się łuszczyć ze ścian, choć przy Verin jest jak baranek. A co do Freyji... no cóż, Philippe nie bez powodu nazwał ją tak na pamiątkę skandynawskiej bogini wojny.

- Wydają się urocze. - Cmoknęłam go w policzek. - Opowiesz mi o nich później. Idę do kuchni łątać ten dziurawy kocioł, który Marthe nazywa destylatorem.

- Mogę się tym zająć. Nieźle sobie radzę ze sprzętem laboratoryjnym - zaproponował Matthew.

Zrobiłby wszystko, byle tylko nie pójść do Philippe'a i stajni.

Rozumiałam go, ale przed jego ojcem nie było ucieczki. Philippe wpadłby po prostu do mojego pokoju i siłą wyciągnął stamtąd syna.

- Nie trzeba - rzuciłam przez ramię. - Wszystko jest pod kontrolą.

Jak się okazało, nie wszystko. Moi ośmioletni pomocnicy nie dopilnowali ognia, ale najpierw rozniecili go tak, że na spodzie destylatora powstała gruba warstwa sadzy. Na marginesach jednej z alchemicznych ksiąg de Clermontów zrobiłam notatki o tym, co poszło nie tak i jak to naprawić, podczas gdy Thomas, bardziej zaufany z moich dwóch asystentów, rozpałał ogień. Nie ja pierwsza wykorzystywałam szerokie, czyste marginesy tej książki, a niektóre z wcześniejszych zapisków okazały się całkiem przydatne. Może z czasem i moje się takie okażą. Etienne, mój drugi asystent, wpadł do pokoju, szepnął coś na ucho towarzyszowi i w zamian dostał jakąś błyskotkę.

- *Milord encore* - wyszeptał w odpowiedzi chłopiec.

- O co się zakładacie, Thomas? - zapytałam.

Obaj spojrzeli na mnie chłodno i wzruszyli ramionami. Coś w ich wystudiowanej niewinności sprawiło, że zaniepokoiłam się o los mojego męża.

- Ta stajnia. Gdzie ona jest? - zapytałam, zrzucając fartuch.

Thomas i Etienne niechętnie poprowadzili mnie przez bramę zamku do budowli z drewna i kamienia o bardzo spadzistym dachu. Do szerokich, zablokowanych belką drzwi prowadził podjazd, ale chłopcy wskazali drabinę opartą o ścianę po drugiej stronie budynku. Szczelby ginęły w pachnących sianem ciemnościach.

Thomas wszedł pierwszy - dawał ręką znak, by zachować ciszę, i robił przy tym miny, których nie powstydziliby się aktor filmu niemego.

Etienne trzymał drabinę, gdy się po niej wspinałam, a miejscowy kowal pomógł mi wejść na zakurzony strych.

Moje pojawienie się rozbudziło ciekawość, ale nie zaskoczyło wielu pracowników Sept-Tours. Dziwiło mnie, że tylko jeden strażnik stał przy bramie wjazdowej. Reszta była tutaj, wraz z Catrine, jej starszą siostrą Jehanne, większością podkuchennych, kowalem i stajennymi.

Moją uwagę przykuł świst, niepodobny do niczego, co słyszałam wcześniej. Ostry szczęk i zgrzyt metalu o metal brzmiały bardziej znajomo. Matthew i jego ojciec zażarcie ze sobą walczyli. Zdusiłam jęk, gdy czubek miecza Philippe'a przebił ramię Matthew. Na ich koszulach, płudrach i pończochach widniały plamy krwi. Najwyraźniej walczyli już od jakiegoś czasu i nie była to zabawa.

Alain i Pierre stali w milczeniu pod drugą ścianą. Ziemia wokół nich wyglądała jak poduszeczka do szpilek, najeżona najróżniejszą bronią.

Obaj służący doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje, zauważyli też mnie. Zerknęli na stryszek i wymienili zaniepokojone spojrzenia. Matthew, odwrócony do mnie plecami, był nieświadom tego, co rozgrywa się wokół niego, a intensywne zapachy stajni neutralizowały mój zapach. Philippe, który patrzył w moją stronę, albo mnie nie dostrzegł, albo nic go to nie obchodziło.

Ostrze Matthew przebiło ramię Philippe'a. Skrzywił się, a jego syn uśmiechnął się krzywo.

- Bez bólu i cierpień nie istniejemy - mruknął Matthew.

- Nie należało cię uczyć greki ani angielskiego. Twoja znajomość języków sprawia mi tylko ciągle kłopoty - odparł niewzruszony Philippe i wyrwał ostrze z ramienia.

Klingi mieczy przecinały powietrze, błyskały i zgrzytały o siebie.

Matthew był wyższy, miał dłuższe ręce i nogi, więc ciął na większą odległość. Walczył



długim, prostym mieczem, czasem trzymając go w jednej, a czasem w obu dłoniach. Wciąż zmieniał chwyt rękojeści, by w każdej chwili móc odparować atak ojca. Ale Philippe miał więcej siły i zadawał potężne ciosy krótszym mieczem tylko w jednej ręce. W drugiej trzymał okrągłą tarczę, którą się osłaniał. Jeśli Matthew też miał taką, to musiał ją stracić.

Chociaż obaj mężczyźni dysponowali podobnymi warunkami fizycznymi, ich sposoby walki diametralnie się różniły. Philippe dobrze się bawił i podczas fechtunku wciąż pokrzykiwał, natomiast Matthew milczał, skupiony, nawet drgnieniem powieki nie zdradzając, czy słucha tego, co mówi ojciec.

- Myślałem o Dianie. Ani ziemia, ani ocean nie stworzyły istoty tak dzikiej i przerażającej, jak kobieta - powiedział ze smutkiem Philippe.

Matthew rzucił się na niego; zatoczył klingą szeroki łuk, celując w szyję. Philippe zdołał uchylić się przed ciosem. Dосkoczył do Matthew z drugiej strony i ciał go w łydkę. - Stosujesz dziś jakąś szaloną technikę. Czyżby coś było nie tak? - zapytał wprost.

- Boże, jak z tobą wytrzymać! Owszem. Coś jest nie tak - wycedził przez zęby Matthew. Znów zaatakował, ale Philippe sparował cios uniesioną tarczą. - Twoje ciągle wtrącanie się doprowadza mnie do szału.

- Kogo bogowie chcą zgubić, temu wpierw rozum odbierają.

Słowa Philippe'a sprawiły, że Matthew zawahał się. Philippe to wykorzystał i uderzył go w plecy płazem miecza. Matthew zaklął.

- Użyłeś już wszystkich najlepszych cytatów? - zawołał. A potem mnie zobaczył.

To, co wydarzyło się później, trwało sekundy. Matthew wyprostował się, skupiając uwagę na stryszku, gdzie stałam. Miecz Philippe'a zatoczył koło i wytrącił Matthew broń z ręki. Philippe trzymał teraz dwa miecze, odrzucił jeden pod ścianę, a drugi przyłożył do szyi syna.

- Nie tego cię uczyłem, Matthaios. Nie myśl. Nie mrugaj. Nie oddychaj. Gdy walczysz o życie, musisz być czujny. -I zawołał głośniej: - Zejdź tu do nas, Diano.

Kowal spojrzał na mnie ze współczuciem i pomógł mi zejść po kolejnej drabinie. Doigrałaś się, mówiło jego spojrzenie. Stałam za Philippe'em.

- Czy to z jej powodu przegrałeś? - zawołał, przyciskając ostrzem skórę syna tak mocno, aż po szyi zaczęła spływać krew.

- O co ci chodzi? Puść mnie. - Matthew owładnęły jakieś dziwne emocje. Oczy mu pociemniały i zaczął drapać ojca. Dосkoczyłam do niego.

W moją stronę poleciał ze świstem jakiś błyszczący przedmiot i utkwił między moim lewym ramieniem i tułowiem. Philippe, celując, nawet na mnie nie spojrzał, a jednak mnie nie drasnął. Sztylet przyspilił mój rękaw do szczebla drabiny, a gdy uwolniłam rękę, materiał na łokciu rozerwał się i ukazała się poszarpana blizna.

- O to mi chodzi. Spuściłeś przeciwnika z oczu? Dlatego omal nie zginąłeś, a Diana wraz z tobą? - Philippe wpadł w szal.

Matthew znów skupił się na mnie. Nie trwało to dłużej niż sekundę, ale wystarczyło, żeby Philippe wyciągnął kolejny sztylet, tym razem z buta. Wbił go w udo Matthew.

- Uważaj na człowieka, który przyciska ostrze do twojej szyi. Jeśli tego nie zrobisz, ona zginie. - I nie odwracając się do mnie, zawołał: - A ty, Diano, trzymaj się z dala od Matthew, gdy walczy.

Matthew spojrział na ojca, a jego czarne oczy o niesamowicie rozszerzonych źrenicach lśniły rozpaczliwie. Już wcześniej widziałam ten wzrok - zwykle oznaczał, że Matthew traci nad sobą kontrolę.

- Puść mnie. Muszę z nią być. Proszę.

- Musisz przestać patrzeć za siebie i zaakceptować to, kim jesteś: wojownikiem manjasangiem ze zobowiązaniami wobec rodziny. Kiedy wsuwałeś pierścień swojej matki na palec Diany, zastanawiałeś się, co obiecujesz? - Philippe podniósł głos.

- Moje całe życie i jego koniec. I ostrzeżenie, by pamiętać o przeszłości. - Matthew spróbował kopnąć ojca, ale Philippe to przewidział i obrócił nóż wciąż wbity w nogę syna.

Matthew syknął z bólu.

- Z tobą zawsze wszystko jest ponure, nigdy nie myślisz pozytywnie - warknął Philippe.

Rzucił miecz poza zasięg rąk Matthew i zacisnął palce na szyi syna.

- Widzisz jego oczy, Diano?

- Tak - szepnęłam.

- Podejdź krok bliżej.

Gdy to zrobiłam, Matthew zaczął się wrywać, choć ojciec z olbrzymią siłą ścisnął go za gardło. Krzyknęłam, co tylko pogorszyło sytuację.

- Matthew wpadł teraz w krwawy szal. My, manjasan-gowie, jesteśmy bliżej natury niż inne stworzenia, jesteśmy drapieżnikami, bez względu na to, iloma językami potrafimy się posługiwać i jak wytworne nosimy ubrania. To tkwiący w nim wilk próbuje się wydostać, by zabić.

- Krwawy szal? - wydusiłam.

- Nie wszyscy manjasangowie doznają czegoś takiego. Choroba jest w krwi Ysabeau, przekazana jej od stwórcy i dalej, na jej dzieci. Ysabeau i Louis na nią nie zapadli, ale Matthew i Louisa tak. A syn Matthew, Benjamin, także jest zarażony.

Nie wiedziałam nic o synu Matthew, słyszałam jednak mrożące krew w żyłach opowieści o jego siostrze. Tę samą przypadłość miał Matthew i mógł ją przekazać naszym dzieciom, gdybyśmy je mieli. Kiedy wreszcie uznałam, że znam wszystkie powody, dla których Matthew nie chce się ze mną kochać, pojawił się kolejny: strach przed chorobą dziedziczną.

- Co go uaktywnia? - wykrztusiłam.

- Wiele rzeczy, zwłaszcza zmęczenie lub głód. Matthew przestaje być sobą, gdy go to dopada, i może wtedy postępować wbrew swojej naturze.

Eleanor. Czy tak zginęła jedna z wielkich miłości Matthew, uwięziona między oszalałym Matthew i Baldwinem w Jeruzalem? Jego ciągle ostrzeżenia, jak jest zaborczy i jakie niebezpieczeństwa mogą z tego wyniknąć, nagle przestały być nieuzasadnione. Podobnie jak moje ataki paniki to była reakcja fizjologiczna, nad którą prawdopodobnie nigdy nie zachowa pełnej kontroli.

- Dlatego kazałeś mu dzisiaj przyjść tutaj? Chciałeś zmusić go, żeby pokazał swoje słabości światu?! - krzyknęłam rozwścieczona. - Jak mogłeś? Ty, jego ojciec!

- Jesteśmy podstępni. Możliwe, że któregoś dnia zwrócę się przeciw niemu. - Philippe wzruszył ramionami. - Albo przeciw tobie, czarownico.

Słyszac to, Matthew wyrwał się Philippe'owi i teraz to on przyparł go do ściany. Ale nim zdołał wykorzystać przewagę, Philippe złapał go za szyję. I tak stali, uwięzieni w uścisku.

- Matthew - warknął Philippe.

Matthew dalej napierał w krwawym szale. Pragnął tylko pokonać przeciwnika, a jeśli trzeba, wręcz go zabić. Podczas naszej krótkiej znajomości bywały momenty, kiedy zaczynałam rozumieć przerażające legendy o wampirach. I taki właśnie nastał. Ale chciałam odzyskać mojego Matthew. Postąpiłam krok ku niemu, lecz to jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

- Nie podchodź bliżej, Diano.

- Nie chce pan tego zrobić, milordzie - odezwał się Pierre i ruszył w stronę swojego pana. Wyciągnął rękę. Usłyszałam trzask i ujrzałam, jak ramię sługi opada bezwładnie, złamane w dwóch miejscach, a z szyi cieknie krew. Pierre skrzywił się i zacisnął palce na głębokiej ranie.

- Matthew! - krzyknęłam.

Nie powinnam krzyżeć. Na dźwięk mojego przerażonego głosu stał się jeszcze bardziej dziki. Pierre był dla niego teraz tylko przeszkodą. Nie puszczając szyi ojca, Matthew rzucił sługę przez całe pomieszczenie, aż na przeciwległą ścianę.

- Milcz, Diano. Matthew postradał zmysły. Mattha-ios! - ryknął Philippe.

Matthew przestał szarpać się z ojcem, ale nie rozluźnił uścisku.

- Wiem, co zrobiłeś. - Philippe czekał, aż słowa dotrą do umysłu Matthew. - Słyszysz,

Matthew? Znam moją przyszłość. Gdybyś mógł, powstrzymałbyś szal.

Philippe uznał, że syn go zabił, ale nie wiedział jak ani dlaczego.

Tłumaczył to sobie jego chorobą.

- Nie wiesz - odparł głucho Matthew. - Nie możesz wiedzieć.

- Zachowujesz się tak, jak zawsze, gdy żałujesz zabójstwa: zamykasz się w sobie, jesteś pełen skruchy, nieobecny. *Te absolvo*, Matthaios.

- Zabiorę stąd Dianę - oświadczył w przebłysku świadomości Matthew. - Pozwól nam odejść, Philippe.

- Nie. Razem się z tym zmierzymy, cała nasza trójka. -Twarz Philippe'a wyrażała współczucie.

Myliłam się. Philippe nie chciał zniszczyć Matthew, tylko jego poczucie winy; jednak nie zawiódł syna.

- Nie! - krzyknął Matthew, próbując się wyrwać, ale Philippe był silniejszy.

- Wybaczam ci - powtórzył, obejmując go mocno. -Wybaczam.

Matthew zadrżał, od stóp do głów, a potem osunął się bez sił, zupełnie jakby opuścił go zły duch.

- *Je suis desole* - wyszeptał głosem przepełnionym rozpaczą. Przykro mi. - Przepraszam.

- Wybaczyłem ci. A teraz musisz o tym zapomnieć. - Philippe wypuścił syna z objęć i spojrzał na mnie. - Podejdź do niego, Diano, ale bądź ostrożna. Wciąż cierpi.

Zignorowałam słowa Philippe'a i podbiegłam do Matthew. Wziął mnie w ramiona i odetchnął moim zapachem, zupełnie jakby to miało zachować go przy życiu. Pierre także podszedł. Kości ramienia już mu się zrosły. Podał Matthew kawałek płótna, by wytarł zakrwawione ręce.

Dziki wzrok Matthew nie pozwalał służącemu stanąć bliżej, a biała szmatka łopotała jak poddańcza flaga. Philippe cofnął się o kilka kroków; Matthew natychmiast dostrzegł ten ruch.

- To twój ojciec i Pierre - szepnęłam, ujmując twarz Matthew w dłonie.

Stopniowo czerń jego oczu zniknęła. Najpierw pojawił się ciemnozielony krąg tęczęwki, potem odrobina szarości, aż wreszcie jasna zieleń.

- Chryste! - Matthew odsunął moje dłonie. - Od wieków nie straciłem tak panowania nad sobą.

- Jesteś słaby, Matthew, a krwawy szal wrze tuż pod powierzchnią.

Gdyby Kongregacja podała w wątpliwość twoje prawo do bycia z Dianą, a ty tak byś zareagował, przegrałbyś. Nie możemy pozwolić, aby można było kwestionować fakt, że jest jedną z de Clermontów. - Philippe zamyślony przesunął kciukiem po zębach dolnej szczęki. Z rany popłynęła purpurowa krew. - Podejdź tu, dziecko.

- Philippe! - Matthew przytrzymał mnie, zszokowany. - Ty nigdy...

- Nigdy to bardzo długi czas. Nie udawaj, że wiesz o mnie więcej, niż wiesz naprawdę, Matthaios. - Philippe popatrzył na mnie uważnie. - Nie masz się czego bać, Diano.

Spojrzałam na Matthew, by się upewnić, że nie nastąpi kolejny atak krwawego szału.

- Idź do niego. - Matthew puścił mnie, a zebrane na stryszku stworzenia bacznie się nam przyglądały.

- Manjasangowie tworzą rodziny poprzez śmierć i krew - zaczął Philippe, gdy przed nim stanęłam.

Zadrzałam. Położył okrwawiony palec w zagłębieniu pośrodku mojego czoła, poniżej linii włosów, przesunął nim po skroni, znacząc mnie krwią aż do brwi.

- Ten znak sprawia, że jesteś martwa, jesteś cieniem wśród żywych, bez klanu i rodziny. - Kciuk przesunął się do góry, po czym Philippe naznaczył mnie z drugiej strony, kończąc między brwiami. Moje trzecie oko czarownicy zadrzało: wampirza krew jest zimna. - W ten sposób przywracam cię do życia, moja córko krwi i członku mojej rodziny na wieki.

Słowa Philippe'a sprawiły, że stajnia zaślniła kolorowymi pasmami: niebieskimi, bursztynowymi, złotymi i zielonymi. Rozległy się ciche protesty. Przecież w innych czasach czekała na mnie inna rodzina. Ale głosy aprobaty szybko zagłuszyły tamte dźwięki. Philippe uniósł głowę, jakby dopiero teraz dostrzegł widownię.

- Madame ma wrogów. Kto z was jest gotów jej bronić, jeśli milord nie będzie mógł?

Ci, którzy trochę znali angielski, przetłumaczyli te słowa pozostałym.

- *Mais il est debout* - zaprotestował Thomas, wskazując mojego męża.

To tak, on rzeczywiście stał, więc Philippe podciął mu kolano rannej nogi i Matthew przewrócił się na plecy.

- Kto jest gotów? - powtórzył Philippe, delikatnie przyciskając obutą stopę do szyi Matthew.

- *Moi* - pierwsza zgłosiła się Catrine, moja demoniczna asystentka i pokojówka.

- *Et moi* - zawtórowała jej Jehanne. Chociaż była starszą z sióstr, zawsze robiła to co Catrine.

Gdy dziewczynki zadeklarowały swoje oddanie, uczynili tak również Thomas i Etienne, a

później kowal i Kucharz, który pojawił się z koszem suszonej fasoli. Kiedy zmierzył wzrokiem swoich pracowników, oni także, choć z ociąganiem, się przyłączyli.

- Wrogowie madame pojawią się bez ostrzeżenia, więc musicie być czujni. Catrine i Jehanne odwróć ich uwagę. Thomas będzie kłamał. -

Wśród dorosłych rozległy się chichoty. - Etienne, ty pobiegiesz po pomoc, najlepiej do milorda. A co do ciebie, wiesz, co masz robić. -

Philippe zmierzył ponurym wzrokiem Matthew.

- A ja? - zapytałam.

- Myśl tak jak dziś. Myśl i chroń swoje życie. - Philippe zaklaskał w dłonie. - Dość rozrywek, do roboty.

Narzekając dobrodusznie, ludzie wykonali polecenie. Skinieniem głowy Philippe odesłał też Alaina i Pierre'a, po czym podążył za nimi, zdejmując koszulę. Ku mojemu zaskoczeniu wrócił i rzucił mi ją zwiniętą pod nogi. W środku była bryła śniegu.

- Zajmij się raną na jego nodze i tą nad nerką, niestety głębszą - nakazał. A potem i on zniknął.

Matthew uklęknął i zaczął się trząść. Złapałam go w pasie i ostrożnie położyłam na ziemi. Próbował się wyrwać i mnie objął.

- Nie, ty uparciuchu. Nie musisz mnie pocieszać. Daj mi się choć raz o ciebie zatroszczyć.

Obejrzałam jego rany, najpierw te, które wskazał Philippe. Z pomocą Matthew usunęłam porwane fragmenty pończochy z rany na udzie.

Sztylet wbił się głęboko, ale dzięki uzdrawiającym właściwościom wampirzej krwi rozcięcie już się zasklepiało. Mimo wszystko obłożyłam ranę śniegiem - Matthew zapewnił mnie, że to pomoże, choć jego wyczerpane ciało i tak już było zimne. Rana nad nerką także się goiła, ale siniec wokół sprawił, że aż się skrzywiłam.

- Chyba jakoś przeżyjesz - stwierdziłam, przykładając mu do boku bryłę śniegu.

Odgarnęłam mu włosy z czoła. Kilka kosmyków przylepiło się do krzepnącej krwi. Delikatnie je oderwałam.

- Dziękuję, *mon coeur*. Skoro już się mną zajmujesz, czy będziesz miała coś przeciwko temu, bym się odwdzieczył i otarł krew Philippe'a z twojego czoła? Chodzi o zapach. Nie podoba mi się na tobie - dodał zażenowany.

Bał się, że powróci krwawy szal. Potarłam skórę na czole i spojrzałam na palce - usmarowane czarnoczerwoną mazią.

- Muszę wyglądać jak pogańska kapłanka.

- Nawet bardziej niż zwykle. - Matthew zgarnął trochę śniegu z uda i pomagając sobie skrawkiem koszuli, zmył resztki dowodów na moją adopcję.

- Opowiedz mi o Benjaminie - poprosiłam, gdy wycierał mi twarz.

- Zamieniłem Benjaminą w wampira w Jeruzalem. Dałem mu swoją krew, bo myślałem, że dają życie. Ale robiąc to, odebrałem mu rozum. I duszę.

- I ma twoją skłonność do gniewu?

- Skłonność! Mówisz o tym, jak o wysokim ciśnieniu krwi. - Matthew pokręcił głową zdziwiony. - Chodź. Zamarzniesz, jeśli zostaniemy tu choć chwilę dłużej.

Trzymając się za ręce, powoli ruszyliśmy do zamku. Przynajmniej tym razem obojętni na to, że ktoś może nas zobaczyć albo co też sobie pomyśli. Padał śnieg, nadając surowemu, zimowemu krajobrazowi miękką nutę. Popatrzyłam na Matthew w gasnącym świetle dnia i znów ujrzałam jego ojca w twardych rysach twarzy mojego męża i sposobie, w jaki prostował barki, przytłoczone wielkim brzemieniem.

Następnego dnia, w Świętego Mikołaja, słońce lśniło na śniegu, który długo sypało. Nastroje w zamku polepszyły się wraz z poprawą pogody, mimo że trwał adwent, ponury czas rozmyślań i modlitwy. Nucąc pod nosem, poszłam do biblioteki, żeby zabrać moje alchemiczne księgi. Co prawda zabierałam codziennie kilka do pokoju Marthe, ale zawsze je odnosiłam. W wypełnionej woluminami sali rozmawiało dwóch ludzi. Rozpoznałam spokojny, wręcz leniwy ton Philippe'a, tego drugiego nie. Pchnęłam drzwi.

- Oto ona - oznajmił na mój widok Philippe.

Obcy mężczyzna odwrócił się, a mnie przeszył dreszcz.

- Obawiam się, że jej francuski nie jest najlepszy, a łacina jeszcze gorsza - tłumaczył się Philippe. - A pański angielski?

- Niezły - odparł czarownik. Zmierzył mnie wzrokiem, przyprawiając o gęsią skórkę. - Dziewczyna wygląda na zdrową, ale nie powinna przebywać wśród pańskich ludzi, *sieur*.

- Chętnie bym się jej pozbył, monsieur Champier, ale nie ma gdzie iść i potrzebuje pomocy czarownic. Dlatego po pana posłałem. Podejź do nas, madame Roydon - Philippe przywołał mnie gestem.

Im bliżej podchodziłam, tym bardziej nieswojo się czułam. Powietrze było ciężkie, jakby naelektryzowane. Spodziewałam się, że za chwilę rozpęta się burza. Peter Knox atakował mentalnie, Satu zadała mi w La Pierre okropny ból, ale ten czarownik był inny i w jakiś sposób jeszcze bardziej niebezpieczny. Minęłam go szybko i spojrzałam pytająco na Philippe'a.

- To André Champier. Drukarz z Lyonu - przedstawił go. - Może słyszałaś o jego kuzynie, znanym lekarzu, który niestety opuścił już ten padół i nie może dzielić się swą wiedzą z dziedziny filozofii i medycyny.

- Nie słyszałam - szepnęłam. Patrzyłam na Philippe'a, oczekując wskazówek, jak się zachować. - Nie sądę.

Champier pochylił głowę, zadowolony z opinii Philippe'a.

- Nie znałem mojego kuzyna, *sieur*, zmarł, nim się urodziłem. Ale miło mi słyszeć pochwały o nim z pańskich ust. - Biorąc pod uwagę fakt, że drukarz wyglądał o co najmniej dwadzieścia lat starszej niż Philippe, musiał wiedzieć, że de Clermontowie są wampirami.

- Zgłębiał tajniki magii, jak pan - Philippe ciągnął rzeczowo, dzięki czemu jego słowa nie brzmiały służalczo. - To czarownik, po którego postać wkrótce po twoim przybyciu - zwrócił się do mnie - licząc na to, że zdoła ci pomóc wyjaśnić tajemnicę twojej magii. Mówi, że wyczuł twoją moc na dużą odległość od Sept-Tours.

- Moje zdolności chyba mnie zawiodły - szepnął Cham-pier. - Teraz, gdy stoję przy niej, wydaje mi się, że ona ma niewiele mocy. Może to nie jest ta angielska czarownica, o której mówi się w Limoges.

- Limoges? No proszę. Niesamowite, że wieści o niej tak szybko się rozchodzą. Ale madame Roydon jest na szczęście jedyną podróżującą Angielką, którą musieliśmy się zaopiekować, monsieur Champier. - Philippe uśmiechnął się szeroko i nalał sobie wina. - O tej porze roku dość mamy problemów z francuskimi włóczęgami, co tu mówić o cudzoziemcach.

- Wojny wielu wyгнаły z domów. - Jedno oko Champiera było niebieskie, drugie brązowe, znak potężnego jasnowidza. Biła od niego niezwykła energia, którą podsycał mocą pulsującą w powietrzu wokół niego. Odruchowo się cofnęłam. - Czy to właśnie cię spotkało, pani?

- Któż może powiedzieć, jakie okropności widziała i przeżyła? - Philippe wzruszył ramionami. - Gdy znaleźliśmy ją na odległej farmie, jej mąż nie żył od dziesięciu dni. Madame Roydon mogła paść ofiarą najróżniejszych drapieżców.

Philippe de Clermont miał równie duży talent do wymyślania historii życia, jak jego syn czy Christopher Marlowe.

- Ustale, co jej się stało. Podaj mi rękę.

Gdy nie zareagowałam natychmiast, Champier zaczął się denerwować. Strzelił palcami, a moja ręka wysunęła się do niego. Gdy ją złapał, ogarnęła mnie panika. Poglaskał wnętrze mojej dłoni, w poszukiwaniu informacji skupiając się po kolei na każdym palcu. Żołądek podszedł mi do gardła.

- Czy jej ciało zdradza ci jej sekrety? - Philippe niby wydawał się niezainteresowany, ale na szyi wyraźnie drgał mu mięsień.

- Skórę czarownicy da się czytać jak księgę. - Champier zmarszczył brwi i przytknął palce do nosa. Wziął głęboki oddech i się skrzywił. - Zbyt długo była z manjasangiem. Kto się nią żywił?



- Przecież to zakazane - odparł niewinnie Philippe. - Nikt spośród mieszkańców mojego domu nie przelał jej krwi, ani dla zabawy, ani żeby się posilić.

- Manjasangowie potrafią czytać w krwi stworzeń równie łatwo, jak ja z jej ciała. - Champier wziął mnie za rękę, podciągnął rękaw i rozerwał węzełek przy mankiecie. - Widzisz? Ktoś się nią cieszył. Nie tylko ja chciałem się dowiedzieć więcej o angielskiej czarownicy.

Philippe nachylił się, by przyjrzeć się mojemu łokciowi. Poczułam na skórze jego zimny oddech. Serce waliło mi jak młotem. Co on zamierzał?

Czemu nie powstrzymał tego wszystkiego?

- Ta rana jest zbyt stara, by powstała tutaj. Jak mówiłem, madame jest w Saint-Lucien ledwie od tygodnia.

Myśl. Chroń swoje życie, powtórzyłam polecenia Philippe^ z poprzedniego dnia.

- Kto pił twoją krew, siostrze? - zapytał Champier.

- To rana od noża - zawahałam się. - Sama się skaleczyłam.

Nie kłamałam, ale też nie powiedziałam całej prawdy. Modliłam się do swojej bogini, żeby to wystarczyło. Nie zostałam wysłuchana.

- Madame Roydon coś przede mną ukrywa i, jak sądzę, przed tobą też.

Muszę zawiadomić o tym Kongregację. To mój obowiązek, *sieur*. - Champier spojrzał wyczekująco na Philippe'a.

- Oczywiście - wymamrotał Philippe. - Nie śmiałbym panu przeszkadzać w spełnieniu obowiązku. Jak mogę pomóc?

- Byłbym wdzięczny, gdybyś ją przytrzymał. Po prawdę musimy sięgnąć głębiej - oświadczył Champier. - Dla większości stworzeń badanie jest bolesne, a nawet te, które nie mają nic do ukrycia, zwykle instynktownie bronią się przed dotykiem czarownika.

Philippe wyrwał mnie z uścisku Champiera i pchnął na swoje krzesło.

Jedną ręką objął mnie za szyję, a drugą złapał u nasady włosów.

- Czy tak?

- Doskonale, *sieur*. - Champier stanął przede mną i wpatrzył się w moje czoło. - A to co?

Poplamione atramentem palce dotknęły mojej głowy. Jego ręce były jak skalpele, a ja zaczęłam się wić i jęczeć.

- Czemu twój dotyk sprawia jej taki ból? - zapytał Philippe.

- Wywołuje go proces czytania. Pomyśl o tym jak o usuwaniu zęba - wyjaśnił Champier, puszczając mnie na jakże błogosławioną chwilę. -

Lepiej wydobyć jej myśli i sekrety z samego dna, niż zostawić je, by dalej szkodziły. To bardziej bolesne, ale nie pozostawia śladów i pozwala lepiej przyjrzeć się temu, co próbuje ukryć. To wielka zaleta połączenia magii i nauki na uniwersytecie. Czary i tradycyjne sztuki znane kobietom są prymitywne, to wręcz zabobony. Moja magia trafia w sedno...

- Chwileczkę, monsieur. Musisz wybaczyć mi niewiedzę. Mówisz, że czarownica nie będzie pamiętała tego, co zrobisz, ani zadanego jej bólu?

- Pozostanie jej na długo uczucie, że straciła coś, co kiedyś miała.

Champier znów zaczął głaskać moje czoło. Zmarszczył brwi.

- Bardzo dziwne. Czemu *manjasang* nałożył tu swoją krew?

Moja adopcja do klanu Philippe'a była moim wspomnieniem i nie zamierzałam dzielić się nim z Champierem. Nie chciałam też, żeby zgłębiał moje wspomnienia o nauce na Yale, o Sarah i Em czy Matthew.

O moich rodzicach. Zacisnęłam palce na podłokietnikach, podczas gdy wampir przytrzymał mi głowę, a czarownik szykował się do przeglądania i kradzieży moich myśli. Ani śladu po magicznym wietrze czy ogniu. Moje moce nie raczyły zapewnić mi wsparcia.

- To ty naznaczyłeś tę czarownicę - oskarżył wampira Champier.

- Tak - Philippe nie zamierzał nic wyjaśniać.

- To absolutnie niedopuszczalne, *sieur* - dalej badał mój mózg.

Zaskoczony, otworzył szeroko oczy. - Ależ to niemożliwe. Jak...

Jęknął i spojrzał w dół, na swoją pierś.

Spomiędzy żeber sterczał mu wbity głęboko w ciało sztylet. Moje palce mocno trzymały rękojeść. Gdy spróbował go wyrwać, pchnęłam mocniej. Czarownikowi zaczęły się trząść nogi.

- Puść, Diano - polecił Philippe, chwytając moją dłoń. -On umrze, a gdy to nastąpi, upadnie. Nie zdołasz utrzymać martwego ciała.

Ale nie mogłam puścić sztyletu. Ten człowiek wciąż żył, a dopóki oddychał, mógł odebrać mi to, co moje.

Na moment nad ramieniem Champiera pojawiła się blada twarz o czarnych jak atrament oczach, po czym potężna dłoń, łamiąc kości i zrywając ścięgna, odchyliła na bok jego głowę. Matthew przywarł ustami do szyi czarownika i zaczął wysysać krew.

- Gdzie się podziewałeś, Matthew? - warknął Philippe. -Musisz działać szybko. Diana

zaatakowała, nim zdołał dokończyć zdanie.

Podczas gdy Matthew pił, do pokoju wpadli Thomas i Etienne, a za nimi oszołomiona Catrine. Zatrzymali się zaskoczeni. W korytarzu pozostali Alain i Pierre, a wraz z nimi kowal, Kucharz i dwóch zbrojnych, zwykle pełniących straż przy bramie wjazdowej.

- *Vous avez bien fait* - pochwalił ich Philippe. - Już po wszystkim.

- Miałam myśleć. - Palce mi zdrętwiały, ale wciąż zaciskały się na sztylcie.

- I chronić swoje życie. Doskonale sobie poradziłaś -dodał Philippe.

- Czy on nie żyje? - wyjąkałam. Matthew oderwał usta od szyi czarownika.

- Nie żyje - stwierdził Philippe. - No cóż, wygląda na to, że mamy jednego wścibskiego kalwinistę mniej. Powiedział któremuś ze swoich przyjaciół, że się tu wybiera?

- Z tego, co zdołałem ustalić, to nie - odparł Matthew. Gdy na mnie patrzył, jego oczy odzyskiwały powoli swój naturalny szary kolor. -

Diano, kochanie. Pozwól, że wezmę od ciebie ten sztylet.

Gdzieś w podłogę uderzyło coś metalowego, a chwilę później z głuchym łoskotem osunęło się ciało André Champiera. Cudownie chłodne, znajome ręce ujęły mnie za podbródek.

- Odkrył w Dianie coś, co go zaskoczyło - oznajmił Philippe.

- Zauważyłem. Ale ostrze ugodziło w serce, zanim stwierdziłem co to.

- Matthew objął mnie delikatnie. A ja, wykończona, nie broniłam się wcale.

- Nie dało się... nie mogłam... myśleć, Matthew. Champier chciał mi zabrać wspomnienia, pozbawić mnie ich. Wspomnienia to wszystko, co zostało mi po rodzicach. A co, gdybym straciła moją historyczną wiedzę?

Jak mogłabym wrócić do domu i dalej uczyć?

- Postąpiłaś słusznie. - Matthew jedną ręką objął mnie w pasie, drugą otoczył ramiona i przytulił moją głowę do swojej piersi. - Skąd wzięłaś nóż?

- Z mojego buta. Musiała zauważyć, jak wyciągałem go z niego wczoraj - wtrącił się Philippe.

- Widzisz? Myślałaś, *ma lionne*. - Matthew przycisnął usta do moich włosów. - A co u licha przygnało Champiera do Saint-Lucien?

- Ja - odparł Philippe.

- Zdradziłeś nas Champierowi? - Matthew spojrzał na ojca. - To jedno z najgorszych

stworzeń w całej Francji!

- Musiałem mieć co do niej pewność, Matthaios. Diana zna zbyt wiele naszych tajemnic. Musiałem wiedzieć, że można jej zaufać w każdej sytuacji. - Philippe nie zamierzał przeproszać.  
- Nie mogę ryzykować, gdy chodzi o rodzinę.

- A czy powstrzymałbyś Champiera, nim zdołałby ukraść jej myśli? - zawołał Matthew; z każdą chwilą jego oczy ciemniały coraz bardziej.

- To zależy.

- Od czego? - wybuchnął Matthew, przytulając mnie mocniej.

- Gdyby Champier przybył trzy dni temu, nie przeszkodziłbym mu. To byłaby sprawa między czarownicą a czarownikiem, niewarta interwencji Zakonu.

- Pozwoliłbyś mojej drugiej połowie cierpieć? - nie dowierzał Matthew.

- Aż do wczoraj to twoim obowiązkiem byłoby interweniować w jej imieniu. Gdybyś nie zdołał tego zrobić, dowiódłbyś, że twoje oddanie czarownicy nie jest tym, czym być powinno.

- A dziś? - zapytałam. Philippe przyjrzał mi się uważnie.

- Dziś jesteś moją córką. Więc nie, nie pozwoliłbym, aby Champier cię gnębił. Ale nie musiałem nic robić, Dianko. Sama się uratowałaś.

- Dlatego uczyniłeś mnie swoją córką? Że przybywał Champier? - szepnęłam.

- Nie. Ty i Matthew przeszliście pierwszy test w kościele i drugi w stajni. Przysięga krwi była tylko pierwszym krokiem do włączenia cię w rodzinę de Clermont. Teraz pora to dokończyć. - Philippe odwrócił się do swojego sługi. - Alain, przyprowadź księdza i powiedz w wiosce, żeby w sobotę mieszkańcy zebrali się w kościele. Milord się żeni, zgodnie ze wszystkimi zasadami i całym Saint-Lucien za świadków. Nie będziemy nic ukrywać.

- Właśnie zabiłam człowieka! To nie najlepszy moment na dyskusję o ślubie.

- Bzdura. Śluby i rozlew krwi to rodzinna tradycja de Clermontów - odparł szybko Philippe. - Wygląda na to, że bierzemy sobie na pary tylko te stworzenia, których pragną inni. Trudne to.

- Ja. Go. Zabiłam. - By upewnić się, że jasno przekazuję myśl, wskazałam trupa na podłodze.

- Alain, Pierre, zabierzcie zwłoki pana Champiera. Denerwują madame. A reszta ma dość zajęć, by nie tkwić tu i się nie gapić.

Philippe zaczekał, aż zostaliśmy sami.

- Zapamiętaj moje słowa, Dianko - zwrócił się do mnie. -Z powodu twojej miłości do

mojego syna ludzie będą umierać. Niektórzy się poświęcą, inni zginą, ponieważ ktoś musi, a od ciebie będzie zależało, czy to będziesz ty, ktoś obcy czy ktoś, kogo kochasz. Więc musisz zadać sobie pytanie: czy to ważne, kto zadaje śmiertelny cios? Jeśli ty tego nie zrobisz, zrobi to Matthew. Wolałabyś, aby to on miał na sumieniu śmierć Champiera?

- Oczywiście, że nie - odparłam natychmiast.

- Więc może Pierre? Albo Thomas?

- Thomas? To jeszcze dziecko! - zaprotestowałam.

- To dziecko przysięgło stawać między tobą a twoimi wrogami.

Widziałaś, co on ścisnął w rękach? Miecz z pokoju Marthe. Thomas przerobił jego metalowy koniec na broń. Gdybyś nie zabiła Champiera, przy pierwszej nadarzącej się okazji chłopak wbili mu to w brzuch.

- Nie jesteśmy zwierzętami, tylko cywilizowanymi stworzeniami - oburzyłam się. - Powinniśmy umieć o tym rozmawiać i rozstrzygać spory bez rozlewu krwi.

- Pewnego razu siedziałem przy stole i przez trzy godziny rozmawiałem z człowiekiem, królem. Bez wątplenia uznałabyś go, tak jak wielu innych, za cywilizowane stworzenie. Na koniec naszej rozmowy rozkazał zgładzić tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. Słowa zabijają równie skutecznie, jak miecze.

- Ona nie przywykła do naszych zwyczajów, Philippe - ostrzegł Matthew.

- Więc musi przywyknąć. Czas na dyplomację się skończył - Philippe mówił spokojnie, nie podnosząc głosu.

Matthew różnymi reakcjami zdradzał zdenerwowanie, natomiast jego ojciec doskonale skrywał emocje.

- Koniec dyskusji. Nim minie sobota, będziecie z Matthew małżeństwem. Jesteś moją córką nie tylko z nazwiska, ale i z krwi, więc pobierzecie się jak dobrzy chrześcijanie, jak również w obrządku moich przodków i ich bogów. To twoja ostatnia szansa, żeby odmówić, Diano.

Jeśli zmieniłaś zdanie i nie chcesz już Matthew, a także życia... i śmierci, które się z tym wiążą, dopilnuję, abyś bezpiecznie dotarła do Anglii.

Matthew odsunął się ode mnie. Ledwie kilka cali, ale symbolizowało to znacznie więcej. Nawet teraz dawał mi wybór, mimo że on już dawno podjął decyzję. Tak jak ja.

- Ożenisz się ze mną, Matthew? - Uznałam, że powinnam go spytać, biorąc pod uwagę, że byłam morderczynią.

Philippe zakasłał.

- Tak, Diano. Ożenię się z tobą. Już raz to zrobiłem, ale chętnie powtórzę, żeby cię uszczęśliwić.

- Uszczęśliwiłeś mnie już za pierwszym razem. To dla twojego ojca.

Nie mogłam dłużej myśleć o ślubie, gdy nogi wciąż miałam jak z galarety i patrzyłam na krew na posadzce.

- A więc wszystko jasne. Zabierz Dianę do jej pokoju. Najlepiej, żeby została tam do czasu, aż przekonamy się, że w pobliżu nie ma żadnych przyjaciół Champiera. - Philippe ruszył do drzwi, ale jeszcze się zatrzymał. - Znalazłeś kobietę, która jest ciębie warta, odważną i pogodnie patrzącą w przyszłość, Matthaios.

- Wiem - odparł Matthew, biorąc mnie za rękę.

- Wiedz też, że ty także jesteś jej wart, pod każdym względem.

Przestań żałować swojego życia. Zaczynj z niego korzystać.

## ROZDZIAŁ 12

Wesele, które zaplanował dla nas Philippe, miało trwać trzy dni. Od piątku do niedzieli - a mieszkańcy zamku, wsi i wszyscy w promieniu wielu mil mieli uczestniczyć w tym, co upierał się nazywać małą uroczystością rodzinną.

- Już dawno nie było tu ślubu, a zima to taka ponura pora roku.

Jesteśmy to winni wieśniakom - tak Philippe uciął nasze protesty.

Kucharz też się oburzył, gdy Matthew stwierdził, że nie da się zorganizować nagle trzech uczt, gdy zapasy się kończą, a chrześcijanie zachowują wstrzeźliwość. No dobrze, trwa wojna i jest adwent, prychnął Kucharz. Ale to nie powód, żeby nie zorganizować zabawy. I tak, kiedy wszyscy domownicy byli zajęci i nikt nie chciał naszej pomocy, Matthew i ja mogliśmy cały czas poświęcić sobie.

- A właściwie co dokładnie składa się na tę ceremonię zaślubin? - zapytałam, gdy leżeliśmy przy kominku w moim pokoju.

Miałam na sobie ślubny prezent od Matthew: jedną z jego koszul - sięgała mi do kolan - i jego stare rajtuzy. Każdą nogawkę spruł wzdłuż górnej części wewnętrznego szwu i zszył razem w coś, co przypominało trochę legginsy, tyle że bez ściągacza i gumki. Aby nie spadały, z kawałka starej uprząży znalezionej w stajni zrobił mi wąski pasek. Był to najwygodniejszy strój, jaki miałam na sobie od Halloween, a Matthew, który ostatnio rzadko widywał moje nogi, nie mógł od nich oderwać wzroku.

- Bo ja wiem? Nigdy wcześniej nie uczestniczyłem w starożytnym greckim weselu, *mon coeur*. - Matthew przesunął palcem pod moim kolanem.

- Na pewno ksiądz nie pozwoli Philippe'owi na coś nazbyt pogańskiego. Sama ceremonia musi być katolicka.

- Rodzina nigdy nie używa słów „na pewno” i „Philippe” w jednym zdaniu. To się zawsze źle kończy. - Matthew pocałował mnie w biodro.

- Przynajmniej dziś wieczorem czeka nas tylko uczt. Powinnam przebrnąć przez nią bez większych problemów. - Westchnęłam i oparłam brodę na dłoniach. - Zwykle ojciec pana młodego płaci za próbny obiad.

Właściwie Philippe robi teraz prawie to samo.

Matthew roześmiał się.

- No tak, o ile tylko w menu będzie grillowany węgorz i pieczony w całości paw. Poza tym Philippe zdołał zająć miejsce nie tylko ojca pana młodego, ale też ojca panny młodej.

- Wciąż nie rozumiem po co tyle zamieszania. Sarah i Em nie miały tak wystawnej ceremonii. Starszy ze zgromadzenia w Madison dokonał rytuału złączenia rąk.

Przypominał mi on przysięgę, jaką złożyliśmy sobie z Matthew przed wyruszeniem w przeszłość - prosty, kameralny i krótki.

- Śluby i wesela nie są dla nowożeńców. Większość par najchętniej zrobiłaby to po cichu, jak my, wypowiedziała kilka słów, a potem pojechała na wakacje. Śluby to obrzędy przejścia, obrzędy dla społeczności.

Matthew przetoczył się na plecy. Podparłam się na łokciach.

- To tylko pusty rytuał.

- Nie. - Matthew zmarszczył brwi. - Jeśli nie możesz tego zaakceptować, to powiedz.

- Nie. Niech Philippe ma swój ślub. To po prostu trochę... przytłaczające.

- Na pewno chciałabyś, aby były tu z nami Sarah i Emily.

- Gdyby tu były, zdziwiłyby się, że nie uciekłam. Znają mnie z tego, że jestem samotniczką. Sądziłam, że ty też.

- Ja? - Matthew roześmiał się. - Wampiry są samotne tylko w filmach i książkach. Lubimy towarzystwo. Nawet czarownic, w małych ilościach - na dowód pocałował mnie. -To kogo byś zaprosiła, gdyby ślub odbywał się w New Haven? - zapytał po chwili.

- Na pewno Sarah i Em. Mojego przyjaciela Chrisa. -Przygryzłam wargę. - Może szefa mojego wydziału.

Zapadła cisza.

- I tyle? - Matthew był zszokowany.

- Nie mam zbyt wielu przyjaciół - zdenerwowana, poderwałam się. - Ogień chyba przygasa.

Matthew znów mnie przyciągnął.

- Nie przygasa. A teraz masz mnóstwo krewnych i przyjaciół.

Wzmianka o rodzinie była tym, na co czekałam. Spojrzałam na kufer stojący przy łóżu. W środku, owinięta w płótno, leżała skrzyneczka Marthe.



- Jest coś, o czym musimy porozmawiać. Tym razem natychmiast mnie puść. Wyjęłam skrzyneczkę.

- Co to? - Matthew zmarszczył brwi.

- Zioła Marthe, te, których używa do swojej herbatki. Znalazłam je w jej pokoju.

- Ach tak. Piłaś je? - zapytał ostro.

- Oczywiście, że nie. To, czy będziemy mieli dzieci, nie może zależeć tylko ode mnie. - Gdy otworzyłam wieczko, po pokoju rozszedł się zapach suszonych ziół.

- Bez względu na to, co twierdzili Marcus i Miriam, gdy byliśmy w stanie Nowy York, nie istnieją żadne dowody na to, że moglibyśmy spłodzić razem dziecko. Nawet ziołowe środki antykoncepcyjne, takie jak te, mogą mieć niebezpieczne skutki uboczne - stwierdził z zimną logiką Matthew.

- Założmy, tylko teoretycznie: jeden z twoich naukowych testów wykazał, że możemy mieć dzieci. Czy wtedy chciałbyś, abym piła tę herbatkę?

- Napar Marthe nie jest niezawodny. - Matthew odwrócił wzrok.

- Dobrze. A inne możliwości?

- Abstynencja, stosunek przerywany. No i prezerwatywy, choć i one czasem nie spełniają swojej funkcji. Zwłaszcza te dostępne w tych czasach.

Miał rację. W XVI wieku prezerwatywy robiono z płótna, skóry i zwierzęcych jelit.

- A gdyby któraś z tych metod była pewna? - Zaczynałam tracić cierpliwość.

- Jeśli... jeśli moglibyśmy spłodzić dziecko, to byłby to cud, a więc żadna forma antykoncepcji nie okazałaby się skuteczna.

- Nie zmarnowałaś jednak czasu w Paryżu, bez względu na to, co myśli twój ojciec. Wypowiedziałeś się jak średniowieczny teolog.

Nim zdążyłam zamknąć skrzyneczkę, Matthew położył ręce na moich dłoniach.

- Jeśli moglibyśmy spłodzić razem dziecko, a ten napar byłby skuteczny, to i tak chciałbym, abyś zostawiła te zioła tam, skąd je wzięłaś.

- Nawet gdybyś przekazał skłonności do krwawego szału kolejnemu dziecku? - Zmusiłam się do szczerości, choć wiedziałam, że moje słowa go zabolą.

- Tak. - Matthew zamyślił się. - Gdy badam wzorce wymierania i w laboratorium znajduję dowody na to, że wymieramy, przyszłość wydaje mi się beznadziejna - dodał. - Ale jeśli odkrywam choć pojedynczą zmianę chromosomową albo płód nieoczekiwanego potomka linii, którą uznałem za wymarłą, to poczucie nieuchronnej zagłady znika. W tej chwili czuję to samo.

Zwykle miałam problemy ze zrozumieniem jego naukowego podejścia do wielu rzeczy, ale nie tym razem. Wziął ode mnie skrzyneczkę.

- A ty?

Od tygodni się nad tym zastanawiałam, od chwili, gdy Miriam i Marcus pojawili się w domu ciotki Sarah z wynikami mojego DNA i po raz pierwszy poruszyli temat dzieci. Byłam spokojna o swoją przyszłość z Matthew, ale nie bardzo wiedziałam, co ta przyszłość przyniesie.

- Chciałabym mieć więcej czasu do namysłu. - Te słowa zaczynały być jak mantra. - Gdybyśmy wciąż żyli w XXI wieku, brałabym tabletki antykoncepcyjne, które mi przepisałeś. -

Zawahałam się. - Ale i tak nie jestem pewna, czy by zadziałały.

Matthew czekał, co jeszcze powiem.

- Gdy wbijałam sztylet Philippe'a w ciało Champiera, myślałam tylko o tym, że chce zabrać moje myśli i wspomnienia i że gdy wrócimy do współczesności, nie będę już tą samą osobą. Ale nawet gdybyśmy wrócili w tej chwili, byłibyśmy już kimś innym. Wszystkie te miejsca, w których się znaleźliśmy, ludzie, których poznaliśmy, tajemnice, które dzielimy... nie jestem już tą samą Dianą Bishop, tak jak ty nie jesteś już tym samym Matthew Clairmontem. A dziecko zmieniłoby nas jeszcze bardziej.

- Dlatego chcesz zapobiec ciąży - zaryzykował.

- Waham się.

- A więc wszystko jasne. Jeśli wahasz się, czy chcesz zostać matką, to musimy wykorzystać każdą dostępną metodę antykoncepcyjną - stwierdził stanowczo. I równie stanowczo uniósł podbródek.

- Chcę zostać matką. Aż dziwię się, że tak bardzo. -Przycisnęłam palce do skroni. - Podoba mi się wizja ciebie i mnie wychowujących dziecko.

No ale wydaje mi się, że jest jeszcze za wcześnie.

- Za wcześnie? A więc zrobimy wszystko, żeby ograniczyć szanse, aż... aż... będziesz gotowa. Nie licz jednak na to za bardzo. Nauka mówi wyraźnie, Diano: wampiry rozmnażają się przez wskrzeszanie, a nie rozmnażanie. Nasz związek może być inny, lecz nie jesteśmy tak niezwykli, żeby zaprzeczyć tysiącom lat biologii.

- Ilustracja alchemicznego ślubu z *Ashmole 782* pokazuje nas. Ja to wiem. A Miriam miała rację: następnym etapem w procesie alchemicznej przemiany, po zaślubieniu złota ze srebrem, jest poczęcie.

- Poczęcieeee? - powiedział przeciągle Philippe od drzwi. Jego buty zaskrzypiały na posadzce. - Nikt o tym nie wspominał.

- Dlatego, że to niemożliwe. Uprawiałem seks z innymi ciepłokrwistymi kobietami i

żadna nie zaszła w ciążę. Ilustracja alchemicznego ślubu coś przekazuje, jak sądzi Diana, ale szanse na to, aby ten obraz zamienił się w rzeczywistość, są niewielkie. - Matthew pokręcił głową. - *Manjasang* jeszcze nigdy nie został w ten sposób ojcem.

- Nigdy to bardzo długi czas, już ci mówiłem, Matthew. A co do tego, co jest niemożliwe, to chodziłem po tej ziemi dłużej, niż sięga ludzka pamięć, i widziałem rzeczy, które późniejsze pokolenia uznały za mity.

Żyły kiedyś istoty, które pływały w morzu jak ryby, i inne, które zamiast włóczy władowały piorunami. Teraz ich nie ma, zastąpiło je coś nowego. W życiu jedno tylko jest pewne: zmiana.

- Heraklit - wyszeptalam.

- Najmądrzejszy z ludzi. - Philippe ucieszył się, że rozpoznałam cytata.

- Bogowie lubią nas zaskakiwać, gdy stajemy się zbyt pewni siebie. To ich ulubiona forma rozrywki. - Przyjrzał się mojemu dziwnemu strojowi.

- Dlaczego masz na sobie koszulę i rajtuzy Matthew?

- Podarował mi je. Mniej więcej podobnie ubieram się w swoich czasach, a Matthew chciał, żeby było mi wygodnie. Sam zszyl nogawki. -

Odwrociłam się, by pokazać całość. -Kto by pomyślał: mężczyźni z rodu de Clermont potrafią używać igły, a nawet zrobić równy ścieg?

Philippe uniósł brwi.

- Myślałaś, że gdy wracaliśmy z pola bitwy, to Ysabeau cerowała nasze porwane ubrania?

Wizja Ysabeau cerującej w oczekiwaniu na powrót mężczyzn ubawiła mnie.

- No nie.

- Więc dobrze ją znasz. Jeżeli musisz się ubierać jak chłopak, to przynajmniej włóż pludry. Jeśli ksiądz zobaczy cię w takim stroju, to serce przestanie mu bić i będzie trzeba przełożyć jutrzejszą ceremonię.

- Przecież nie wychodzę tak na zewnątrz - zmarszczyłam brwi.

- Chciałbym zabrać cię przed ślubem w miejsce poświęcone dawnym bogom. To niedaleko.

Matthew już miał zaprotestować, ale Philippe nie dał mu dojść do głosu:

- I chciałbym, żebyśmy byli sami, Matthaios.

- Do zobaczenia w stajni - zgodziłam się bez zastanowienia, odrobina świeżego powietrza na pewno pomoże mi zebrać myśli.

Na zewnątrz z przyjemnością wystawiłam twarz na chłód i obserwowałam spokój zimowego krajobrazu. Dość szybko dotarliśmy z Philippe'em na szczyt wzgórza, bardziej płaskiego niż większość otaczających Sept-Tours pagórków. Ze zmarzniętej ziemi zaskakująco symetrycznie wystawały fragmenty skał. Mimo że zarośnięte i zwietrzałe, nie ustawiły się tak naturalnie. Dokonał tego człowiek.

Philippe zeskoczył z konia i dał znak, bym i ja to zrobiła. Gdy zsiadłam, wziął mnie za łokieć i przeprowadził między dwoma kamieniami na gładką, zaśnieżoną ziemię. Tylko tropy dzikich zwierząt znaczyły nieskazitelną warstwę śniegu - odcisk jelenich racic w kształcie serca, pięciopalczaste tropy niedźwiedzia, owalne i trójkątne ślady łap wilka.

- Co to za miejsce? - zapytałam cicho.

- Kiedyś stała tu świątynia Diany. Górowała nad borami i dolinami, gdzie lubiły biegać jelenie. Ci, którzy czcili boginię, zasadzili obok miejscowych dębów i olch święte cyprysy. - Philippe wskazał wąskie zielone kolumny wokół. - Chciałem cię tutaj przyprowadzić, bo kiedy byłem dzieckiem, daleko stąd i jeszcze nim zostałem manjasangiem, panny młode przychodziły przed ślubem do takich właśnie świątyń i składały ofiarę bogini. Wtedy nazywaliśmy ją Artemidą.

- Ofiarę? - W ustach mi zaschło. Już dość przelałam krwi.

- Bez względu na to, jak bardzo się zmieniamy, ważne, by pamiętać i szanować przeszłość. - Philippe podał mi nóż i woreczek, w którym coś dźwięczało. - Mądrze jest również naprawiać swoje błędy. Boginię nie zawsze cieszyły moje postęпки. Chciałbym się upewnić, że Artemida otrzyma to, co jej należne, nim mój syn się z tobą ożeni. Nożem odetniesz pukiel twoich włosów. To symbol twojego panieństwa i tradycyjny dar. A pieniądze symbolizują twoją wartość. - Philippe ściszył głos do szeptu. - Byłoby ich więcej, ale muszę zachować coś także dla boga Matthew.

Poprowadził mnie do małego cokołu w centrum ruin. Leżały na nim różne dary - drewniana laleczka, dziecięcy bucik, miska zmrożonego ziarna.

- Dziwię się, że jeszcze ktoś tu przychodzi - odezwałam się.

- W całej Francji kobiety wciąż kłaniają się księżycowi w pełni. Takie zwyczaje wolno zanikają, zwłaszcza te, które w trudnych chwilach dają ludziom wsparcie.

Podszedł do tego prowizorycznego ołtarza. Nie pokłonił się, nie klęknął ani nie wykonał żadnego ze znanych mi gestów okazujących szacunek bóstwu, ale gdy zaczął mówić, mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam. Nie rozumiałam dziwnej mieszanki greki i angielskiego, ale intencje Philippe'a były dla mnie jasne.

- Artemis Agrotere, wielka łowczyni, Alcides Leontothymos błaga cię, byś trzymała to dziecko, Dianę, w twym ręku, Artemis Lykeie, pani wilków, chroń ją na wszelkie sposoby. Artemis Patróa, bogini moich przodków, pobłogosław ją dziećmi, by mój ród trwał.

Ród Philippe'a. Teraz do niego należałam, poprzez małżeństwo, ale i przysięgę krwi.

- Artemis Phósphoros, ześlij jej światło swej mądrości, gdy znajdzie się w ciemnościach. Artemis Upis, czuwaj nad swoją imienniczką podczas jej podróży przez ten świat. -Philippe skończył modlitwę i przywołał mnie gestem.

Położyłam ostrożnie woreczek z pieniędzmi obok dziecięcego bucika, po czym sięgnęłam po kosmyk włosów na karku. Nóż był ostry - odciął pukiel jednym ruchem.

Staliśmy w milczeniu w gasnącym świetle dnia. Przez ziemię pod moimi stopami przepłynęła fala mocy. Bogini tu była. Przez moment widziałam oczami wyobraźni świątynię w całej okazałości - jasną, błyszczącą, nienaruszoną. Zerknęłam na Philippe'a. Z niedźwiedzią skórą narzuconą na ramiona on także wyglądał jak dzikie wspomnienie utraconego świata. I na coś czekał.

Biały jeleń o wygiętym porożu wyszedł spomiędzy cyprysów i przystanął; z jego nozdrzy buchała para. Podszedł do mnie powoli. Jego wielkie brązowe oczy patrzyły prowokująco. Był tak blisko, że widziałam ostre końce rogów. Spojrzał wyniośle na Philippe'a i ryknął na powitanie równego sobie.

- *Sas epharisto*. - Philippe położył rękę na sercu, po czym odwrócił się do mnie. - Artemida przyjęła twoje dary. Możemy iść.

Matthew czekał na nas na dziedzińcu.

- Przygotuj się do uczyty - powiedział do mnie Philippe, gdy zsiadałam z konia. - Wkrótce zaczną przybywać goście.

Posłałam Matthew coś, co miało być pewnym siebie uśmiechem, i poszłam na górę. Gdy zapadły ciemności, zamek zaczął rozbrzmiewać gwarem - a więc goście już się zbierali. Chwilę później pojawiły się Catrine i Jehanne, by mnie ubrać. Suknia, którą przyszykowały, była najwspanialszą, jaką kiedykolwiek miałam na sobie. Ciemnozielony materiał przypominał mi teraz cyprysy przy świątyni, a nie ostrokrzew - ozdobę zamku w adwencie. Wyszywane srebrem dębowe liście na górze sukni odbijały światło świec, jak poroże jelenia odbijało promienie zachodzącego słońca.

Gdy mnie ubrały, aż oczy im błyszczały. W wypolerowanym srebrnym lusterku Louisy zdołałam tylko dojrzeć swoją fryzurę - warkocze, kręcone pukle wokół - i moją bladą twarz. Ale wyraz ich twarzy mówił, że moja przemiana była warta ślubu.

- *Bien* - odezwała się cicho Jehanne.

Catrine otworzyła szeroko drzwi i srebrne ściegi na sukni zalśniły w świetle pochodni. Wstrzymałam oddech, czekając na reakcję Matthew.

- Jezu - wykrztusił. - Jesteś piękna, *mon coeur*. - Wziął mnie za rękę i rozłożył je, by ujrzeć mnie w pełnej krasie. -Dobry Boże, czyżbyś miała po dwa komplety rękawów?

- Chyba nawet trzy - roześmiałam się.

Miałam na sobie lnianą bluzkę z wąskimi koronkowymi rękawami, z wąskimi zielonymi rękawami tego samego koloru, co suknia, i dużymi bufkami z zielonego jedwabiu, które opadały z moich ramion i były zebrane przy łokciach i nadgarstkach. Jehanne, która rok wcześniej była z Louisą w Paryżu, zapewniła mnie, że to ostatni krzyk mody.

- Ale jak cię pocałować, skoro masz na sobie coś takiego? - Matthew wskazał ręką moją szyję, otoczoną wysoką na jakieś cztery cale plisowaną kryzą.

- Jeśli pognieciesz kryzę, Jehanne dostanie zawału -szepnęłam, gdy ostrożnie ujął w rękę moją twarz.

Jehanne użyła czegoś, co przypominało lokówkę, by nagnieść całe jardy płótna w wytworne ósemki. Trwało to i trwało.

- Bez obaw. Jestem lekarzem. - Matthew nachylił się i pocałował mnie w usta. - Widzisz, ani jedna fałda nie ucierpiała.

Alain odkaszlnął znacząco.

- Czekają na państwa.

- Matthew - chwyciłam go za rękę. - Muszę ci coś powiedzieć.

Matthew gestem oddalił Alaina i zostaliśmy w korytarzu sami.

- O co chodzi? - zapytał z niepokojem.

- Kazałam Catrine odnieść na miejsce zioła Marthe. -Był to znacznie większy krok w nieznaną niż ten, który zrobiłam w stodole Sarah, przenosząc nas w XVI wiek.

- Jesteś pewna, że słusznie postąpiłaś?

- Tak - odparłam, myśląc o słowach Philippe'a w świątyni.

Gdy weszliśmy do wielkiej sali, przywitały nas szepty i ukradkowe spojrzenia. Zauważono zmiany w moim wyglądzie, a kiwanie z aprobatą głową powiedziało mi, że wreszcie wyglądam odpowiednio, by poślubić milorda.

- Tu są! - krzyknął zza rodzinnego stołu Philippe. Ktoś zaczął klaskać, a po chwili huczała już cała sala.

Na początku Matthew uśmiechał się lekko, ale wraz z narastającym hałasem coraz bardziej szeroko. Usiedliśmy na honorowych miejscach po obu stronach Philippe'a, który dopiero wtedy polecił przynieść pierwsze danie i dał znać muzykantom, by grali. Częstowano mnie odrobiną wszystkiego, co przygotował Kucharz. Potraw było mnóstwo - zupa z ciecierzycy, pieczony węgorez, doskonałe purée z soczewicy, solony dorsz w sosie czosnkowym, ryba w całości, płynąca przez morze z galarety, z gałązkami lawendy i rozmarynu zamiast wodorostów. Philippe powiedział, że menu było tematem zażartej dyskusji między Kucharzem a księdzem. Po dłuższej wymianie zdań w końcu zdecydowali ściśle przestrzegać piątkowego postu,

wykluczającego mięso, mleko i ser, natomiast żadnych restrykcji na sobotniej uczcie.

Jak przystało na pana młodego, porcje Matthew były większe od moich - niepotrzebnie, zważywszy na to, że nie jadł nic, a i pił niewiele.

Mężczyźni przy innych stołach żartowali, że musi się wzmocnić, by mieć siły na czekające go męki.

Gdy podano *hippocras*, przyprawiany napój z wina i miodu, i doskonałe ciasteczka orzechowe, komentarze były po prostu sprośne, a odpowiedzi Matthew kąśliwe. Na szczęście sugestie i obelgi przeważnie padały w językach, których niemal nie rozumiałam, ale od czasu do czasu Philippe i tak zatykał mi uszy.

Wraz z muzyką i śmiechem zrobiło mi się lżej na sercu. Tego wieczoru Matthew nie wyglądał jak tysiącpięćsetletni wampir, lecz jak każdy pan młody w przeddzień ślubu - był zażenowany, radosny i odrobinę zaniepokojony. Właśnie tego mężczyznę kochałam i za każdym razem, gdy na mnie spojrzał, serce mi się ścisnęło.

Śpiewy rozpoczęły się, gdy Kucharz podał ostatnie wina, kandyzowany słodki koper i nasiona kardamonu. Mężczyzna po drugiej stronie sali zaintonował coś głębokim basem, a jego sąsiedzi podchwycili melodię. Po chwili już wszyscy śpiewali, a było przy tym tyle przytupywania i oklasków, że zagłuszał muzykantów.

Podczas gdy goście wymyślali kolejne piosenki, Philippe obchodził stoły, zwracając się do wszystkich biesiadników po imieniu. Podrzucał w górę dzieci, pytał o zwierzęta i słuchał uważnie starców, gdy opowiadali, co ich boli.

- Spójrz tylko na niego. - Matthew wziął mnie za rękę. - Jak on to robi, że każdy z nich czuje się tak, jakby był najważniejszym gościem w tej sali?

- Sam mi powiedz - odparłam ze śmiechem. Gdy Matthew spojrzał na mnie zaskoczony, pokręciłam głową. - Jesteś dokładnie taki sam.

Wystarczy, że wejdiesz do jakiejś sali, a już skupiasz na sobie uwagę wszystkich.

- Jeśli chcesz bohatera takiego jak Philippe, to na mnie się zawiedziesz - mruknął.

Ujęłam jego twarz w dłoń.

- Chciałabym dać ci w prezencie ślubnym czar, który sprawiłby, że zobaczyłbyś się takim, jakim widzą cię inni.

- Twoje oczy mówią, że wyglądam tak samo. Może jestem troszkę zdenerwowany, bo słyszałam, co Guillaume właśnie powiedział o zmysłowych potrzebach starszych kobiet. - Roześmiał się, próbując rozproszyć moją uwagę, ale ja nie zamierzałam się tak łatwo poddać.

- Jeśli nie widzisz w nich przywódcy, to źle patrzysz. Nasze twarze znalazły się tak blisko siebie, że czułam

jego oddech. Niewiele myśląc, przyciągnęłam go do siebie. Philippe próbował przekonać Matthew, że jest wart tego, by go kochać. Może pocałunek okaże się bardziej przekonujący. Na sali rozległy się krzyki i oklaski. A potem jeszcze okrzyki zachęty.

- Zostaw dziewczynie coś na jutro, Matthaios, bo jeszcze nie dotrze do kościoła! - zawołał Philippe, wzbudzając ogólną wesołość.

Odsunęliśmy się od siebie zażenowani. Rozejrzałam się i dostrzegłam ojca Matthew przy kominku - stroił instrument o siedmiu strunach.

Matthew wyjaśnił mi, że to gitara. Na sali zapadła cisza oczekiwania.

- Gdy byłem dzieckiem, na koniec uczt takich jak ta opowiadano zawsze historie o bohaterach i wielkich wojownikach. - Philippe trącił struny, zalewając nas strumieniem dźwięków. - Jak wszyscy ludzie, bohaterowie też się zakochują.

Grał dalej w rytm opowieści.

- Peleus, heros o ciemnych włosach i zielonych oczach, opuścił dom w poszukiwaniu szczęścia. Mieszkał w miejscu bardzo podobnym do Saint-Lucien, ukrytym w górach, ale od dawna marzył o morzu i przygodach, jakie mogły go spotkać w dalekich krajach. Zebrał przyjaciół i wypłynęli w morze.

Pewnego dnia dotarli na wyspę słynącą z pięknych kobiet i potężnej magii, jaką władały.

Wymieniliśmy z Matthew spojrzenia.

Philippe zaczął śpiewać:

*Szczęśliwsze dla ludzi były to czasy, Lecz pozostała tęsknota!*

*Bohaterowie, Zrodzeni z bogów w owe srebrne dni, Wysłuchajcie mnie, gdyż wzywam was mą magiczną pieśnią.*

Sala zamarła, wsłuchana w niezwykle bas Philippe'a.

- Tam właśnie Peleus ujrzał Tetydę, córkę Nereusa, boga morza, co nigdy nie kłamał i widział przyszłość. Po ojcu Tetyda odziedziczyła umiejętność wieszczenia i potrafiła zmieniać w wodę buchający ogień, a nawet powietrze. Choć była piękna, nikt nie chciał jej poślubić, gdyż wyrocznia przepowiedziała, że jej syn będzie znacznie potężniejszy od ojca.

Mimo to Peleus kochał Tetydę. Ale by ją wziąć za żonę, musiał okazać odwagę, trzymając ją w ramionach, gdy zmieniała się w różne żywioły.

Peleus zabrał Tetydę z wyspy i przycisnął do serca, gdy zmieniała się z wody w ogień, z węża w lwicę. A gdy znów stała się kobietą, zabrał ją do domu i poślubił.

- A dziecko? Czy syn Tetydy zniszczył Peleusa, jak głosiła przepowiednia? - szepnęła jakaś kobieta, gdy Philippe zamilkł, grając cicho na gitarze.



- Syn Peleusa i Tetydy, Achilles, był wielkim bohaterem, wojownikiem błogosławionym za życia i po śmierci. - Philippe uśmiechnął się. - Ale to już opowieść na inny wieczór.

Cieszyłam się, że Philippe nie opowiedział ze szczegółami o tym ślubie i o tym, jak doprowadził do wojny trojańskiej.

A tym bardziej że nie wspomniał o dzieciństwie Achillea - niesamowitych czarach, jakimi jego matka próbowała zapewnić mu nieśmiertelność - i o niepowstrzymanym szale, w jaki wpadał, a który przysporzył mu znacznie więcej problemów niż jego słynna pięta.

- To tylko bajanie - szepnął Matthew, wyczuwając mój niepokój.

Ale to właśnie bajania, które wielu powtarzało w kółko, nie rozumiejąc ich znaczenia, były często najistotniejsze, tak samo jak oklepane rytuały - małżeństwo, rodzina... -choć zdawało się często, że ludzie całkowicie je ignorują.

- Jutro ważny dzień, długo nań czekaliśmy. - Philippe wstał. - Zwyczaj nakazuje, aby pan i panna młoda nie widzieli się aż do ceremonii ślubu.

Kolejny rytuał: ostatnie oficjalne rozstanie - po nim już zawsze będziemy razem.

- Panna młoda może jednak dać panu młodemu dowód swojej miłości, aby nie zapomniał o niej podczas długich godzin samotności w nocy. -

Oczy Philippe'a zaślniły figlarnie.

Wstaliśmy. Wyglądziłam suknie, skupiona na jego kaftanie.

Zauważyłam, że jest starannie uszyty, a ścięgi są równe i dyskretne.

Delikatne palce ujęły mnie pod brodę i pochłonięła mnie gra ostrych krawędzi i subtelnych krzywizn twarzy Matthew. Staliśmy tak wśród gości, a nasz pocałunek był niczym czar, który zabrał nas w nasz własny, intymny świat.

- Do zobaczenia jutro po południu - wyszeptał do moich ust Matthew.

- Poznasz mnie po welonie.

W XVI wieku większość panien młodych go nie nosiła, gdyż był to starodawny zwyczaj, ale Philippe stwierdził, że jego córka nie pójdzie do kościoła z gołą głową.

- Rozpoznam cię wszędzie - uśmiechnął się szeroko. -W welonie czy bez.

Matthew nie odrywał ode mnie wzroku, gdy Alain wyprowadzał mnie z sali. Czulałam na sobie jego spojrzenie, chłodne i uporczywe, długo jeszcze po tym, jak wyszłam z korytarza.

Następnego dnia Catrine i Jehanne zachowywały się tak cicho, że przespałam ich poranne zajęcia. Gdy odsunęły wreszcie zasłony wokół mojego łóżka i oznajmiły, że pora na kąpiel, słońce było już wysoko na niebie.

Przez mój pokój przewinął się cały sznur gwarzących jak przekupki kobiet z dzbanami, którymi napełniły olbrzymią miedzianą wannę - jak podejrzewałam, zwykle używaną do robienia w niej wina lub cydru. Ale woda była gorąca, a wanna utrzymywała temperaturę, więc nie zamierzałam protestować. Zanurzając się, aż jęknęłam z zachwytu.

Kobiety zostawiły mnie samą, bym delectowała się kąpielą.

Zauważyłam, że moje nieliczne rzeczy osobiste - książki notatki alchemiczne i słówek prowansalskich - zniknęły. A także długa, niska skrzynia, w której trzymałam ubrania. Gdy zapytałam o to Catrine, odpowiedziała, że wszystko zostało przeniesione do pokoi milorda po drugiej stronie zamku.

Nie byłam już domniemaną córką Philippe'a, ale żoną Matthew, więc przeniesiono to, co do mnie należało.

Pamiętając o swoich obowiązkach, Catrine i Jehanne pomogły mi wyjść z wanny i osuszyć się, nim zegar wybił pierwszą. Czuwała nad nimi Marie, najlepsza szwaczka w Saint-Lucien, która miała dokończyć swoje dzieło. Wkład pracy w moją suknię ślubną monsieur Beaufilsa, wiejskiego krawca, nie został zauważony. Aby oddać Marie sprawiedliwość, *La Robe* - myślałam o mojej sukni wyłącznie po francusku i to wielkimi literami - była zachwycająca. Jak zdołała ją wykończyć w tak krótkim czasie, pozostawało ściśle strzeżoną tajemnicą, podejrzewałam jednak, że każda kobieta w okolicy przyczyniła się do tego choćby wykonaniem jednego ściegu.

Nim Philippe ogłosił ślub, planowałam raczej prostą suknię z ciężkiego szarego jedwabiu. Upierałam się przy jednym, nie dwóch kompletach rękawów i wysokim kołnierzu, by uchronić się przed zimowymi przeciągami. Powiedziałam Marie, że nie potrzeba haftów.

Odmówiłam też wszelkich krynolin, które poszerzałyby suknię.

Marie wykorzystała swoją nieznajomość języków obcych i umiejętność twórczego myślenia, by przerobić mój projekt na długo przed tym, nim Philippe poinformował ją, gdzie i z jakiej okazji włożę suknię. Później już nic jej nie powstrzymało.

- Marie, *La Robe est belle* - powiedziałam, dotykając zdobnego jedwabiu.

Wszędzie wyszyte były złotą, czarną i czerwoną nicią stylizowane rogi obfitości, znane mi symbole dobrobytu i płodności. Wokół wypełnionych kwiatami rogów leżały liście i gałązki, a oba komplety rękawów zostały obszyte na biało. Taką samą wstążką obszyto brzegi stanika sukni na kształt zwojów, księżyców i gwiazd. Na ramionach kwadratowe wstawki ukrywały wstążki łączące rękawy ze stanikiem.

Mimo bogatego zdobienia jego eleganckie krzywizny układały się doskonale i przynajmniej spełniono moje życzenie co do krynoliny.

Suknia była szeroka, ale z powodu ilości materiału, a nie drucianych rusztowań. Pod halkami miałam tylko wypchany wałek na biodrach i jedwabne pończochy.

- Ma zdecydowaną linię. Bardzo prostą - zapewniła mnie Marie, obciągając stanik sukni.

Kobiety wykańczały właśnie moją fryzurę, gdy rozległo się stukanie do drzwi. Catrine pobięła je otworzyć, przewracając przy tym kosz z ręcznikami.

Przybył Philippe. Wyglądał olśniewająco w bogato zdobionym brązowym kaftanie. Za nim stał Alain.

Ojciec Matthew oniemiał na mój widok.

- Diana? - zapytał niepewnie.

- Co? Czy coś nie tak? - Spojrzałam na suknię i z niepokojem dotknęłam włosów. - Nie mamy dość dużego lustra, bym mogła zobaczyć...

- Jesteś śliczna, a wyraz twarzy Matthew, gdy cię zobaczy, powie ci to lepiej niż jakiegokolwiek lustrzane odbicie - oświadczył Philippe.

- A ty jesteś złotousty, Phillippe de Clermont - roześmiałam się. -

Czym mogę służyć?

- Przybyłem wręczyć ci twoje prezenty ślubne. - Philippe wyciągnął rękę, a Alain podał mu dużą aksamitną sakiewkę. - Niestety było zbyt mało czasu, żeby zamówić coś specjalnie dla ciebie. To rodzinne klejnoty.

Wysypał zawartość sakiewki na dłoń. Wypłynął z niej strumień światła i ognia - złoto, diamenty, szafiry. Aż jęknęłam. Ale w aksamicie kryło się więcej skarbów: sznur pereł, kilka inkrustowanych opalami półksiężyców i oryginalnie wykończony złoty grot strzały, którego brzezi przytępiły się ze starości.

- Po co mi one? - zapytałam zdziwiona.

- Żebyś je włożyła - roześmiał się Philippe. - Łańcuch był mój, ale gdy ujrzałem suknię Marie, pomyślałem, że żółte diamenty i szafiry będą do niej pasowały. Są w starym stylu; niektórzy pewnie uznają, że przystoją raczej mężczyźnie niż pannie młodej, łańcuch jednak będzie leżał płasko na twoich ramionach. Kiedyś wisiał na nim krzyż, ale pomyślałem, że może bardziej spodoba ci się strzała.

- Co to za kwiaty? - Smukłe żółte pąki przypominały frezje przetykane złotymi liliami w obwódce szafirów.

- *Planta genista*. Anglicy zwą je janowcem. A Andegawenom służyły za godło.

Miał na myśli Plantagenetów - najpotężniejszą królewską rodzinę w historii Anglii. Plantageneci rozbudowali Opactwo Westminsterskie, podporządkowali się baronom i podpisali Magna Carta, ustanowili parlament i wspierali budowę uniwersytetów w Oksfordzie i Cambridge. Władcy z tej dynastii walczyli podczas krucjat i w czasie wojny stuletniej. A jeden z nich podarował ten łańcuch Philip-pe'owi jako znak królewskiej przychylności. Nic nie mogło się

równać z jego świetnością.

- Philippe, nie mogłabym... - Umilkłam, gdy podał pozostałe klejnoty Catrine i włożył mi łańcuch na szyję. Kobieta, która spoglądała na mnie z mętnego lusterka, nie była już współczesnym historykiem, tak samo jak Matthew nie był współczesnym naukowcem. - Och - wybełkotałam w zachwycie.

- Zapiera dech w piersiach - przyznał i posmutniał. - Żałuję, że Ysabeau nie może cię teraz zobaczyć ani nie widzi radości Matthew.

- Pewnego dnia wszystko jej opowiem - przyrzekłam cicho, wpatrując się w jego odbicie, podczas gdy Catrine mocowała strzałę do łańcucha i oplatała moje włosy sznurem pereł. - Dopilnuję też dziś klejnotów i upewnię się, że wrócą do ciebie jutro.

- Teraz należą do ciebie, Diano, rób z nimi, co chcesz. Tak samo jak to. - Philippe wyciągnął zza pasa kolejną sakiewkę, tym razem ze skóry, i mi ją podał.

Była ciężka. Bardzo ciężka.

- Kobiety w tej rodzinie same zajmują się swoimi finansami. Ysabeau się przy tym upiera. W tym woreczku są wyłącznie angielskie i francuskie monety. Nie zachowują swojej wartości tak dobrze jak dukaty weneckie, ale nie zwrócą uwagi, gdy będziesz je wydawać. Jeśli ci ich zabraknie, zwróć się do Waltera albo innego członka bractwa.

Gdy przybyłam do Francji, byłam w pełni zależna od Matthew. W niewiele ponad tydzień nauczyłam się, jak się zachowywać, rozmawiać, zajmować domem i destylować spirytus z wina. A teraz miałam też coś swojego na własność, no i Philippe de Clermont publicznie ogłosił, że jestem jego córką.

- Dziękuję za to wszystko - powiedziałam cicho. - Myślałam, że nie chcesz, abym została twoją synową.

- Na początku może nie. Ale nawet starcy mają prawo zmienić zdanie.

- Philippe uśmiechnął się szeroko. - Poza tym na koniec zawsze dostaję to, czego chcę.

Kobiety otuliły mnie płaszczem. Catrine i Jehanne narzuciły mi na głowę zwiewny kawałek jedwabiu i przypięły go do włosów opalowymi księżycami, zaopatrzonymi w malutkie mocne haczyki.

Thomas i Etienne - uważali się teraz za moich osobistych rycerzy - pobiegli przodem i obwieszczali nasze przybycie, krzycząc na całe gardło. Szybko utworzyliśmy pochód, który ruszył o zmierzchu do kościoła. Ktoś musiał stać na wieży i gdy nas zauważył, rozdzwonił się dzwony.

Zawahałam się, gdy dotarliśmy do świątyni. Przed drzwiami zebrała się cała wieś, włącznie z księdzem. Rozejrzałam się za Matthew. Stał u szczytu schodów. Czułam jego wzrok przez półprzezroczysty welon. Jak słońce i księżyc nie przejmowaliśmy się w tym momencie

czasem, odległością i tym co inne. Jedyne, co miało znaczenie, to miejsce, gdzie się względem siebie znajdowaliśmy.

Zebrałam suknie i ruszyłam w jego stronę. Krótka wspinaczka po schodach wydawała mi się nieskończona. Zaczęłam się zastanawiać, czy czas działał tak podle na wszystkie panny młode, czy tylko na czarownice? Ksiądz uśmiechnął się do nas promiennie od drzwi, ale nie zamierzał nas zaprosić do środka. Ścisnął w dłoniach księgę, nie otworzył jej jednak. Zmarszczyłam zdziwiona brwi.

- Wszystko w porządku, *mon coeur*? - szepnął Matthew.

- Nie wejdziemy do środka?

- Ślubów udziela się przy drzwiach kościoła, aby uniknąć krwawych sporów o to, czy ceremonia odbyła się tak, jak mówiono. Dziękujmy Bogu, że nie ma śnieżycy.

- *Commencez!* - zawołał ksiądz, skinąwszy na Matthew. Podczas całej ceremonii musiałam tylko wypowiedzieć jedenaście słów. Matthew - piętnaście. Philippe poinformował księdza, że później powtórzymy nasze przysięgi po angielsku, bo ważne jest, aby panna młoda w pełni zrozumiała to, co obiecuje. I tak liczba słów niezbędnych, by uczynić nas małżeństwem, wzrosła do pięćdziesięciu dwóch.

- *Maintenant!* - Ksiądz przemarzył i pragnął tylko udać się na ucztę.

- *Moi, Matthew, je donné mon corps à toi, Diana, en loyal mariage.* -

Matthew ujął moje dłonie. Ja, Matthew, daję ci moje ciało, Diana, w wierny związek małżeński.

- *Et je le reçois* - odparłam. A ja je przyjmuję. Byliśmy w połowie.

Odetchnęłam głęboko i brnęłam dalej.

- *Moi, Diana, je donné mon corps à toi, Matthew.* - Trudna część za mną. Szybko wypowiedziałam ostatnie zdanie: Ja, Diana, oddaję ci moje ciało, Matthew.

- *Et je le reçois, avec joie.* - Matthew odsunął welon z mojej twarzy. A ja je przyjmuję z radością.

- To nie są poprawne słowa - zareagowałam gwałtownie. Nauczyłam się słów przysięgi na pamięć i nigdzie nie było „*avec joie*”.

- Owszem, są - upierał się Matthew, schylając się do mnie.

Pobraliśmy się według wampirzych zwyczajów, gdy jedno drugie wybrało na parę, a potem znów, zgodnie z prawem zwyczajowym, gdy w Madison Matthew wsunął mi na palec pierścień Ysabeau. A teraz pobraliśmy się po raz trzeci.

To, co nastąpiło później, zapamiętałam jak przez mgłę. Były pochodnie i długa droga na

wzgórzu wśród tłumu wiwatujących. Kucharz już przygotował ucztę, a ludzie z radością zabrali się do jedzenia.

Siedzieliśmy z Matthew sami przy rodzinnym stole, a Philippe krążył po sali, dolewając wina i pilnując, by dzieci także dostały słusze porcje piezzonego na rożnie zająca i sera w cieście. Od czasu do czasu rzucał w naszą stronę dumne spojrzenie, zupełnie jakbyśmy tego popołudnia upolowali smoka.

- Nie sądziłem, że dożyję tego dnia - Philippe zwrócił się do syna i położył przed nami tartę z kremem.

Wyglądało na to, że uczta dobiega końca, bo mężczyźni zaczęli odsuwać stoły pod ściany. Z galerii na górze dobiegły dźwięki fletów i bębnów.

- Zgodnie z tradycją pierwszy taniec należy się ojcu panny młodej. - Philippe skłonił się przede mną.

Poprowadził mnie na parkiet. Był dobrym tancerzem, mimo to jakoś nam nie szło.

- Mogę? - Matthew postukał ojca w ramię.

- Proszę. Twoja żona próbuje mi połamać palce. - Philippe puścił oko, żeby złagodzić swoje słowa, i zostawił mnie z mężem.

Inni wciąż tańczyli, ale zrobili nam miejsce na środku sali. Muzyka zwolniła, gdy rozległy się dźwięki lutni i słodkie tony fletni. Gdy rozdzieliliśmy się i zbliżyliśmy znów po raz pierwszy, drugi i kolejne, to, co się działo wokół, przestało mnie rozpraszać.

- Jesteś zdecydowanie lepszym tancerzem niż Philippe, bez względu na to, co mówi twoja matka - wydyszałam, mimo że taniec był spokojny.

- To dlatego, że pozwalasz się prowadzić - zaczął się przekomarzać. - Z Philippe'em cały czas walczyłaś.

Gdy znów się do siebie zbliżyliśmy, wziął mnie za łokcie, przyciągnął do siebie i pocałował.

- Teraz, gdy jesteśmy małżeństwem, nadal będziesz mi wybaczać moje grzechy? - zapytał.

- To zależy - odparłam przezornie. - A co teraz zrobiłeś?

- Pognoitłem twoją kryzę, już po niej. Roześmiałam się, a Matthew znów mnie pocałował, krótko, ale stanowczo. Bębniarz uznał to za wskazówkę i muzyka popłynęła w szybszym tempie. Inne pary wirowały i podskakiwały wokół nas. Nim nas rozdeptały, Matthew pociągnął mnie w bezpieczne miejsce przy kominku. Chwilę później pojawił się tam Philippe.

- Zabierz żonę do łóżka i to dokończ - szepnął.

- Ale goście... - zaprotestował Matthew.

- Weź do łóżka swoją żonę, synu - powtórzył Philippe. -Zabierz ją teraz, nim inni postanowią się do was przyłączyć i upewnić, że spełniłeś swój obowiązek. Zdad się na mnie.

Ucałował mnie w oba policzki, powiedział coś po grecku i odesłał nas do wieży Matthew.

Chociaż znałam tę część zamku z moich czasów, miałam ją dopiero ujrzeć w jej XVI-wiecznej świetności. Układ pokoi Matthew się zmienił.

Na pierwszym podeście spodziewałam się ujrzeć książki, ale zamiast nich stało tam wielkie łóżo z baldachimem. Catrine i Jehanne wyciągnęły rzeźbione pudełko na moją biżuterię, napelniły misę wodą i pościeliły łóżo. Matthew usiadł przy ogniu, ściągnął buty i sięgnął po kielich wina.

- Pani fryzura, madame? - zapytała Jehanne i spojrzała na mojego męża.

- Sam się tym zajmę - burknął Matthew, oczy mu płonęły.

- Chwileczkę - zawołałam; odpięłam półksiężycy na włosach i położyłam je na wyciągniętej dłoni Jehanne. Zdjęły mi z Catrine welon i wyszły. Stałam przy łóżku, a Matthew siedział przy kominku z nogami na jednej ze skrzyń.

Gdy drzwi się zamknęły, odstawił puchar z winem i podszedł do mnie; wsunął palce w moje włosy i delikatnie roz-plątał to, co dziewczęta tak misternie układały prawie pół godziny. Odrzucił na bok sznur pereł.

Włosy spłynęły mi na ramiona; nozdrza Matthew zadrżały, gdy poczuł mój zapach. Bez słowa przytulił mnie i przywarł ustami do moich ust.

Ale najpierw należało zadać pewne pytania i na nie odpowiedzieć.

Odsunęłam się od męża.

- Matthew, jesteś pewien?...

Chłodne palce wsunęły się pod moją kryzę i znalazły węzły, które mocowały ją do stanika sukni. Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Sztywne płótno spadło na podłogę. Matthew odpiął guziki, które przytrzymały mój wysoki kołnier. Nachylił głowę i pocałował mnie w szyję. Złapałam go za kaftan.

- Matthew! Czy chodzi o...

Uciszył mnie kolejnym pocałunkiem i uniósł z moich ramion ciężki łańcuch. Rozłączyliśmy się na moment, by mógł go zdjąć. Potem dobrał się do wstawek kryjących tasiemki łączące rękawy z suknią. Wsunął palce między odstępy, szukając guzika.

- Tu jest - wyszeptał; chwycił go między palce i mocno szarpnął.

Najpierw jeden, a potem następny rękaw spłynął na podłogę. Matthew zdawał się niewzruszony, ale to była moja suknia ślubna, niepowtarzalna.

- Moja suknia - zaczęłam się wic w jego ramionach.

- Diano - Matthew uniósł głowę i położył mi ręce na biodrach.

- Tak? - wydusiłam. Próbowałam dosięgnąć stopą do rękawa i odrzucić go gdzieś, gdzie miał większe szanse nie zostać zniszczony.

- Ksiądz pobłogosławił nasze małżeństwo. Cała wioska złożyła nam życzenia. Była uczta i tańce. Sądziłem, że zakończymy ten wieczór, kochając się. Ale ty chyba bardziej interesujesz się swoim strojem. - Odnalazł kolejny komplet tasiemek, który łączył moje spódnice z dołem spiczastego stanika sukni, jakieś trzy cale poniżej pępka. Delikatnie wsunął palce pod stanik.

- Nie chcę, żeby nasz pierwszy wspólny raz był po to, aby usatysfakcjonować twojego ojca - wbrew moim słowom biodra same wygięły się w jego stronę, podczas gdy dalej przyprowadzał mnie o szaleństwo delikatnymi ruchami palców. Wydał cichy okrzyk zadowolenia i rozwiązał ukrytą kokardkę.

Szarpnięcie. Świst. Szarpnięcie. Świst. Szarpnięcie. Świst.

Sprawne palce Matthew przeciągały tasiemki przez ukryte dziurki.

Wszystkich było dwanaście, a moje ciało wyginało się i prostowało.

- Wreszcie - stwierdził z satysfakcją. A potem jęknął. - Chryste. Jest więcej.

- Och, jeszcze długa droga przed tobą. Jestem nafa-szerowana jak świąteczna gęś - stwierdziłam, gdy odsłonił gorset. - Albo raczej adwentowa gęś.

Ale Matthew nie zwracał na mnie uwagi. Skupił się na miejscu, gdzie moja prawie przezroczysta bluzka zniknęła pod usztywnionym materiałem gorsetu. Przycisnął usta do wypukłości. Schylając głowę jakby w hołdzie, gwałtownie wciągnął powietrze.

Ja także. Było coś zaskakująco erotycznego w muśnięciu jego ust, pokonujących drobne przeszkody. Nie wiedząc, co sprawiło, że przerwał uparte dążenia do tego, by mnie rozebrać, ujęłam w dłonie jego głowę i czekałam, co teraz zrobi.

W końcu Matthew chwycił moje ręce i otoczył nimi rzeźbioną kolumnkę podtrzymującą baldachim łoża.

- Trzymaj się - powiedział. Szarpnięcie. Świst. Szarpnięcie. Świst.

Nim skończył, wsunął dłonie pod kolejną przeszkodę. Błądził nimi po klatce piersiowej, aż znalazł moje piersi.

Jęknęłam cicho, gdy jego zimne palce dotknęły moich ciepłych sutków. Przyciągnął mnie do siebie.



- Czy wyglądam na mężczyznę, który chciałby zadowolić kogokolwiek innego poza tobą?  
- szepnął mi do ucha.

Gdy nie odpowiedziałam, powędrował ręką na mój brzuch i przycisnął mnie mocniej do siebie. Druga obejmowała moją pierś.

- Nie - odchyliłam głowę do tyłu.

- Nie będziemy więcej mówić o moim ojcu. A jutro kupię ci dwadzieścia takich sukien, jeśli tylko przestaniesz się martwić o swoje rękawy. - Matthew zaczął zdejmować mi bluzkę, jej brzeg przesunął się po moich udach. Puściłam kolumienkę, złapałam jego dłoń i przycisnęłam do miejsca, gdzie łączyły się moje uda.

- Dość gadania - zgodziłam się, jęcząc, gdy jego palce pieściły moje łono.

Matthew uciszył mnie kolejnym pocałunkiem. Powolne ruchy jego rąk podniecały mnie, moje ciało zaczęło się prężyć.

- Za dużo ubrań - wydyszałam.

Zgodził się ze mną bez słów, szybko ściągając w dół mój gorset, na tyle rozsznurowany, że mogłam go przepchnąć przez biodra i z niego wyskoczyć. Rozwiązałam pludry Matthew, podczas gdy on rozpinał kaftan. Oba te elementy stroju miał połączone na biodrach równie wieloma tasiemkami, jak moje spódnice i stanik.

Gdy zostaliśmy już tylko w pończochach i koszulach, przerwaliśmy, znów niepewni.

- Czy pozwolisz mi się kochać, Diano? - Matthew rozproszył mój lęk tym jednym miłym pytaniem.

- Tak - szepnęłam.

Uklęknął i delikatnie rozwiązał wstążki przy moich pończochach.

Były niebieskie, a to, jak powiedziała Catrine, kolor wierności. Matthew zsunął pończochy z moich nóg, całując mnie przy tym w kolana i kostki.

Swoje zdjął tak szybko, że nie zdążyłam nawet zauważyć koloru jego podwiązek.

Uniósł mnie lekko, tak że ledwie sięgałam palcami podłogi, i wsunął się między moje nogi.

- Możemy nie dotrzeć do łóżka. - Złapałam go za ramiona. Pragnęłam czuć go w środku i to szybko.

Ale jakoś nam się udało. Gdy już się tam znaleźliśmy, moje ciało powitało go, ręce przyciągnęły do mnie. Mimo to jęknęłam zaskoczona, gdy nasze ciała złączyły się w jedno - ciepło i chłód, jasność i ciemność, kobieta i mężczyzna, czarownica i wampir, połączenie przeciwieństw.

Twarz Matthew z nabożnego przybrała wyraz zdumienia, gdy zaczął poruszać się we mnie i gdy wygiął bardziej ciało, a ja zareagowałam okrzykiem ekstazy. Wsunął rękę pod mój krzyż - przywarliśmy do siebie biodrami, a ja złapałam go za ramiona.

Wpadliśmy w niepowtarzalny rytm kochanków, muskaliśmy się ustami i rękami i kołysaliśmy razem, i już tylko nasze dusze i serca pozostawało nam sobie ofiarować. Zrobiliśmy to, patrząc sobie głęboko w oczy, i drżąc jak nowo narodzeni.

- Pozwól mi kochać się zawsze - wyszeptał Matthew, wędrując ustami po moim mokrym czole i zostawiając chłodną ścieżkę wzdłuż brwi.

- Tak - powtórzyłam, wtulając się w niego jeszcze mocniej.

## ROZDZIAŁ 13

Cieszę się, że jestem żoną - wymamrotałam sennie.

Po tym, jak przetrwaliśmy dzień po uczcie, kiedy to otrzymaliśmy dary - większość muczała albo gdakała całymi dniami oddawaliśmy się tylko miłości, rozmowom, spaniu i lekturze. Od czasu do czasu Kucharz przysyłał nam tacę z jedzeniem, ale poza tym nikt nam nie przeszkadzał. Nawet Philippe.

- Widać, że seks ci służy - stwierdził Matthew, wsuwając czubek zimnego nosa za moje ucho.

Leżałam na brzuchu z rozsuniętymi nogami w pokoju nad kuźnią, gdzie składowano broń. Matthew, wyciągnięty na mnie, osłaniał mnie przed wiatrem, który wpadał przez szpary w drzwiach. Nie wiedziałam co prawda, ile mojego ciała zobaczyłby ktoś, gdyby tu wszedł, ale pupa Matthew i jego nagie nogi na pewno były widoczne. Otarł się o mnie znacząco.

- Mało ci? - Roześmiałam się, gdy znów to zrobił. Zastanawiałam się, czy jego możliwości seksualne wynikają z tego, że jest wampirem, czy człowiekiem.

- Już krytykujesz moją pomysłowość? - Odwrócił mnie na plecy i ułożył się między moimi udami. Pocałował mnie w usta i delikatnie się we mnie wsunął.

- Przyszliśmy tu poćwiczyć moje umiejętności strzeleckie - stwierdziłam jakiś czas później. - Czy to miałeś na myśli, mówiąc o trafianiu do celu?

Roześmiał się.

- Są setki owerniackich określeń na uprawianie miłości, ale to raczej nie jedno z nich. Zapytam Kucharza, czy o nim słyszał.

- Nawet nie próbuj!

- Czyżby była pani pruderyjna, doktor Bishop? - zapytał, udając zaskoczenie i wyciągając źdźbło słomy z moich włosów. - Nie przejmuj się. Nikt nie ma wątpliwości co do tego, jak spędzamy razem czas.

- Chyba wiem, co masz na myśli - mruknęłam, wciągając rajtuzy, które kiedyś należały do niego. - Skoro już mnie tu zwabiłeś, może ustalimy, co robię źle?

- Jesteś początkującą uczennicą i nie możesz oczekiwać, że za każdym razem trafisz w cel - stwierdził; wstał i poszukał własnych pończoch.

Jedna wciąż tkwiła w pludrach tuż obok, ale drugiej nigdzie nie było widać. Sięgnęłam pod ramię i podałam mu zwiniętą kulkę.

- Przy dobrym nauczycielu mogłabym zostać mistrzynią. - Widziałam już, jak strzela Matthew; ze swoimi długimi rękami i silnymi palcami był urodzonym łucznikiem.

Sięgnęłam po zakrzywiony łuk, wypolerowany półksiężyc z rogu i drewna, oparty o stertę siana. Poskręcana skórzana cięciwa zwisała luźno.

- W takim razie powinnaś spędzać czas z Philippe'em, nie ze mną.

Słynie ze swych umiejętności.

- Twój ojciec powiedział mi, że Ysabeau jest od niego lepsza. -

Używałam jej łuku, ale na razie jej nie dorównywałam.

- To dlatego, że *maman* jest jedynym stworzeniem, które zdołało go kiedykolwiek postrzelić. Pozwól, że naciągnę cięciwę.

Miałam już różową pręgę na policzku po tym, jak za pierwszym razem próbowałam to zrobić. Odpowiednie wygięcie łuku wymagało niesamowitej siły i zręczności. Matthew oparł dolny koniec o udo, nagiął górny jedną ręką, a drugą naciągnął cięciwę.

- W twoim wykonaniu to wydaje się takie proste. - Gdy wyciągnął korek z butelki szampana we współczesnym Oksfordzie, to też wydawało się proste.

- Bo takie jest, jeśli jesteś wampirem i masz za sobą jakiś tysiąc lat ćwiczeń. - Matthew z uśmiechem oddał mi łuk. - Pamiętaj, trzymaj równo ramiona, nie myśl zbyt długo i gładko wypuść strzałę.

To też brzmiało prosto. Odwróciłam się do celu. Matthew przymocował sztyletami do sterty siana czapkę, kaftan i spódnicę. Na początku myślałam, że mam trafić w cokolwiek: w czapkę, kaftan albo spódnicę. Matthew wyjaśnił mi, że moim zadaniem jest trafić w to, w co celuję. Zademonstrował to, strzelając jedną strzałą w siano, następnie wbił kolejne pięć wokół niej, zgodnie ze wskazówkami zegara, a na koniec szóstą rozciął drzewce pierwszej.

Wyjęłam strzałę z kołczana, nałożyłam na cięciwę, spojrzałam wzdłuż lewego ramienia i naciągnęłam łuk. Zawahałam się. Łuk drgnął.

- Strzelaj - nakazał ostro Matthew.

Gdy spuściłam cięciwę, strzała świsnęła obok stogu siana i upadła płasko na ziemię.

- Spróbuję jeszcze raz - sięgnęłam po kołczan.

- Widziałem, jak strzeliłaś magicznym ogniem w wampirycę i zrobiłaś jej dziurę w klatce piersiowej - mruknął Matthew.

- Nie chcę rozmawiać o Juliette. - Usiłowałam nałożyć strzałę, ale ręce zaczęły mi się trząść. Opuściłam łuk. - Ani o Champierze. Ani o tym, jakobym całkiem utraciła moje moce, jak sprawiam, że owoce gniją, że widzę kolory i światła wokół ludzi. Możemy nie poruszać tych tematów?

Tylko przez tydzień?

Moja magia - a raczej jej brak - znów stała się nieodłącznym tematem naszych rozmów.

- Łuczniczka miała pomóc w rozbudzeniu twojej magii - zauważył Matthew. - Rozmowa o Juliette także to może.

- A czemu nie mogłoby być po prostu ćwiczeniem? - zirytowałam się.

- Bo musimy zrozumieć, czemu twoje moce się zmieniają - odparł spokojnie Matthew. - Unieś łuk, naciągnij go i pozwól polecieć strzale.

- Przynajmniej tym razem trafiłam w stóg - stwierdziłam, gdy strzała utknęła w prawym górnym rogu sterty siana.

- Szkoda, że celowałaś niżej.

- Psujesz całą zabawę.

Matthew spojrzał na mnie poważnie.

- Przetrawianie nie ma nic wspólnego z zabawą. A teraz zamknij oczy, nim wycelujesz.

- Mam się zdać na instynkt - roześmiałam się cicho, nakładając strzałę na cięciwę.

Cel był przede mną, ale zamiast się na nim skupić, zamknęłam oczy, jak sugerował Matthew. Gdy tylko to zrobiłam, rozproszył mnie ciężar powietrza. Naciskało na moje ręce i uda, przytłoczyło ramiona.

Przytrzymało też grot strzały. Wyprostowałam się i odepchnęłam powietrze. W odpowiedzi delikatny wiaterek zdmuchnął mi z ucha kosmyk włosów.

- Czego chcesz? - zapytałam ostro.

- Twojego zaufania - odpowiedział wiaterek.

Zaskoczona, rozchyliłam usta, otworzyło się moje wewnętrzne oko i zobaczyłam, jak grot strzały lśni złością od gorąca i napięcia, jakie wkuto weń w kuźni. Ogień w nim uwięziony chciał znów się uwolnić, ale nie mógł, dopóki nie przezwyciężyłam strachu. Odetchnęłam lekko, przywołując moją wiarę. Mój oddech przesunął się wzdłuż drzewca i zwolnił cięciwę. Strzała nim niesiona poleciała.

- Trafiłam. - Wciąż miałam zamknięte oczy, lecz nie musiałam ich otwierać, by wiedzieć, że strzała wbiła się w cel.

- Owszem. Pytanie brzmi jak. - Matthew wyjął mi z rąk łuk.

- W strzale był uwięziony ogień, a ciężar powietrza otaczał drzewce i grot - wyjaśniłam i otworzyłam oczy.

- Czująś żywioły, tak samo jak wodę w sadzie Sarah w Madison i słońce w pigwie w Old Lodge - Matthew głośno myślał.

- Czasami zdaje mi się, że świat jest pełen niewidzialnych możliwości tuż poza moim zasięgiem. Może gdybym była jak Tetyda i potrafiła zmieniać swoją postać, wiedziałabym, co z tym wszystkim zrobić - wzięłam łuk i kolejną strzałę.

Dopóki miałam zamknięte oczy, trafiałam w cel. Gdy tylko je otwierałam, strzały leciały w najróżniejszych kierunkach.

- Starczy na dziś - zdecydował Matthew, rozmasowując mi mięśnie nad prawą łopatką. - Kucharz przewiduje, że pod koniec tygodnia będzie padać. Czy nie powinniśmy wybrać się na przejażdżkę, póki to możliwe?

Kucharz był nie tylko mistrzem wypieków, ale też niezłym meteorologiem. Zwykle przysyłał prognozę wraz ze śniadaniem.

Wyjechaliśmy na pola; kiedy wracaliśmy, zauważyliśmy kilka ognisk, a Sept-Tours aż lśniło od pochodni. Tego wieczoru przypadały Saturnalia, oficjalny początek świąt w zamku. Ekumeniczny Philippe nie chciał, by ktokolwiek czuł się wykluczony, więc tyle samo czasu poświęcał rzymskim i chrześcijańskim tradycjom. Był nawet element skandynawskiego Yule, na pewno związany z nieobecnym Gallowglassem.

- Nie mogliście się sobą zmęczyć tak szybko! - zawołał z balkonu.

Miał na głowie potężne poroże, przez co wyglądał jak dziwaczne połączenie lwa i jelenia.  
- Nie spodziewaliśmy się was zobaczyć jeszcze przez jakieś dwa tygodnie. Ale skoro już jesteście, to przydadcie się na coś. Weźcie trochę gwiazd i księżyców i zawieście w każdym wolnym miejscu.

Wielka sala była ozdobiona taką ilością zieleni, że pachniało tu jak w lesie. Wokół rozstawiono beczki z winem, by biesiadnicy mogli się napić, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota. Przywitali nas ciepło. Dekoratorzy poprosili Matthew, żeby wspinał się na gzyms nad kominkiem i przymocował do jednej z belek duży konar. Wdrapał się tam ze zręcznością świadcząca chyba o tym, że robił to nie pierwszy raz.

Nie potrafiliśmy się oprzeć nastrojowi świąt, więc gdy nadeszła pora kolacji, zaproponowaliśmy, że podamy posiłek gościom w rytuale na opak: służący jako panowie, a panowie jako służący. Mój obrońca, Thomas, wyciągnął najdłuższą słomkę i przewodził jako król głupców. Zasiadł na miejscu Philippe'a na stercie poduszek, a na głowie miał drogocenną złotą koronę wysadzaną rubinami, którą nosił jak jakiś rekwizyt teatralny. Czegokolwiek zażyczył sobie Thomas, Philippe jako nadworny błazen musiał jego życzenie spełnić. I tak Alain odtańczył romantyczny taniec - z ojcem Matthew w roli kobiety - rozdrażniono psy grą na flecie i

dokonano rzeczy niezwykłej: cienie smoków wspinały się po ścianach, na co dzieci zareagowały wielką wrzawą.

Philippe nie zapomniał o dorosłych; zorganizował skomplikowane gry, by zająć ich, gdy on bawił się z dziećmi. Każdemu dał torbę fasolek, żeby robili zakłady, i obiecał sakiewkę pieniędzy temu, kto na koniec wieczoru zbierze najwięcej ziaren. Przedsiębiorcza Catrine przodowała, wymieniając pocałunki na fasolki, i gdybym tylko miała co postawić, postawiłabym to właśnie na nią. Przez cały wieczór spoglądałam na Matthew i Philippe'a; trzymali się razem, rozmawiali, żartowali. Gdy pochylali głowy, jeden ciemną, drugi jasną, różnice w ich wyglądzie rysowały się wyraźnie. Ale pod wieloma względami byli do siebie podobni. Z każdym kolejnym dniem dobry nastrój ojca łagodził szorstkość syna. Hamish miał rację: Matthew nie był tu tym samym mężczyzną, lecz kimś jeszcze wspanialszym. I mimo moich obaw z Mont Saint-Michel, wciąż należał do mnie.

Matthew poczuł, że na niego patrzę, i spojrzał na mnie z pytaniem w oczach. Uśmiechnęłam się i posłałam mu całusa. Skinął lekko głową, zadowolony. Jakieś pięć minut przed północą Philippe zdjął zasłonę z czegoś, co stało przy kominku.

- Chryste. Philippe obiecał, że naprawi zegar, ale mu nie wierzyłem. -

Matthew podszedł do mnie, podczas gdy dzieci i dorośli pokrzykiwali radośnie.

Zegar był inny niż wszystkie, które dotąd widziałam. Rzeźbiona, połączana gablotka otaczała beczułkę z wodą.

Z beczułki wylaniała się długa miedziana rurka, z której woda kapiała do pięknego modelu statku, podwieszonego na linie owiniętej wokół cylindra. Coraz większy ciężar statku sprawiał, że cylinder obracał się i przesuwiał wskazówkę zegara, wskazując czas. Cała konstrukcja była prawie tak wysoka jak ja.

- Co stanie się o północy? - zapytałam.

- Cokolwiek to będzie, na pewno ma związek z prochem strzelniczym, o który ojciec mnie wczoraj poprosił - odparł ponuro Matthew.

Philippe przestawił zegar i zaczął składać hołd byłym oraz obecnym przyjaciołom i rodzinie jak w święta starożytnych bogów. Wymienił wszystkie stworzenia, które społeczność straciła w ostatnim roku, włącznie z - upomniany przez króla głupców - Prynellą, kotką Thomasa, która tragicznie zginęła. Wskazówka powoli przesuwała się w stronę dwunastej.

Dokładnie o północy statek eksplodował z ogłuszającym hukiem.

Zegar zadrżał w rozbitej skrzyni i stanął.

- Monsieur Fine, niech spoczywa w pokoju, nie byłby zadowolony z twoich ulepszeń jego dzieła. - Nachylając się nad zegarem, Matthew powachlował ręką, by rozproszyć dym. - Philippe co roku próbuje czegoś nowego: fontanny wody, kuranty, mechaniczna sowa, która by pohukiwała, wskazując godzinę. Majstruje przy tym, od kiedy wygrał ten zegar w karty od króla

Franciszka.

- Armata miała strzelić iskrami i troszkę zadymić. Ku radości dzieci - stwierdził oburzony Philippe. - Matthaios, z twoim prochem musiało być coś nie tak.

Matthew roześmiał się.

- Patrząc na zniszczenia, to raczej nie.

- *C'est dommage.* - Thomas pokręcił współczująco głową i kucnął przy Philippie z koroną na bakier i bardzo poważnym wyrazem twarzy.

- *Pas de probleme.* W przyszłym roku pójdzie lepiej -zapewnił go Philippe.

Niewiele później zostawiliśmy mieszkańców Saint--Lucien z ich grami i zabawami i udaliśmy się do naszych pokoi. Tam czekałam przy kominku, aż Matthew zgasi świece i położy się do łóżka. A gdy do niego dołączyłam, podwinęłam nocną koszulę i usiadłam na nim okrakiem.

- Co robisz? - Zaskoczyła go ta pozycja.

- Czas na opak nie dotyczył tylko mężczyzn - odparłam, znacząc paznokciami jego klatkę piersiową. - Na studiach doktoranckich czytałam artykuł pod tytułem *Kobiety na górze*.

- Biorąc pod uwagę, jak bardzo przywykłaś do rządzenia, nie sądzę, abyś wiele się z niego dowiedziała, *mon coeur.* - Oczy Matthew pociemniały, gdy usadowiłam się tak, by skuteczniej uwięzić go między udami.

- Pochlebca. - Muskałam palcami jego wąskie biodra, brzuch, przesunęłam po mięśniach ramion. Nachyliłam się nad nim i przycisnęłam jego ręce do łóżka; teraz przez rozpięty dekolt koszuli świetnie widział moje ciało. Jęknął. - Witaj w świecie do góry nogami. -

Puściłam go, by zrzucić koszulę, po czym znów chwyciłam i pochyliłam się tak, żeby moje nagie piersi otarły się o jego skórę.

- Chryste, zabijesz mnie.

- Nawet nie waz się teraz umierać, wampirze. - Wprowadziłam go w siebie i zaczęłam się wolno kołysać, jakbym obiecywała coś więcej.

Matthew znów jęknął cicho. - Podoba ci się to - szepnęłam.

Próbował mnie zachęcić do szybszego, mocniejszego tempa, ale ja wciąż poruszałam się spokojnie i powoli, upojona tym, jak nasze ciała tworzą ze sobą harmonię. Matthew był chłodnym punktem we mnie, cudownym źródłem, które rozpalało moją krew. Gdy w końcu wyprężył się, popatrzyłam mu głęboko w oczy i też doznałam orgazmu. Opadłam na jego pierś, a gdy chciałam się zsunąć, objął mnie mocniej.

- Zostań - wyszeptał.



I tak leżałam, aż Matthew obudził mnie kilka godzin później. Znow kochaliśmy się w ciszy przed wschodem słońca; tulił mnie, gdy przechodziłam przemianę z ognia w wodę, a potem w powietrze, by znow zapaść w sen.

Piątek był najkrótszym dniem roku i przypadały nań obchody Yule.

Wieś wciąż dochodziła do siebie po Saturnaliach, a czekały ją jeszcze Święta Bożego Narodzenia. Philippe się jednak nie zrażał.

- Kucharz zarznął dzika - oznajmił. - Jak mógłbym go zawieść?

Gdy poprawiła się na chwilę pogoda, Matthew poszedł do wsi, by pomóc w naprawie dachu, który zawalił się pod naporem śniegu.

Zostawiłam go tam, żeby przerzucał się z cieślą młotkami i cieszył wizją poranka spędzonego na ciężkiej pracy w przenikliwym zimnie.

Zamknęłam się w bibliotece z kilkoma ciekawszymi księgami alchemicznymi i plikiem czystych kartek. Tylko jedna była częściowo zamazana gryzmołami i diagramami, które nie miałyby sensu dla nikogo poza mną. Ze względu na to, co działo się w zamku, porzuciłam próby wydestylowania spirytusu z wina. Thomas i Etienne woleli bawić się z przyjaciółmi i podjadać w kuchni smakołyki, niż pomagać mi w eksperymentach naukowych.

- Diano - pędzący przez bibliotekę Philippe dopiero pośrodku komnaty mnie zauważył. - Myślałem, że jesteś z Matthew.

- Nie mogłam patrzeć, jak siedzi tak wysoko. Skinął ze zrozumieniem głową.

- Co robisz? - zapytał, zaglądając mi przez ramię.

- Usiłuję zrozumieć, co Matthew i ja mamy wspólnego z alchemią. -

Myśli mi się plątały z braku snu i umysłowego lenistwa.

Philippe rzucił na stół garść małych papierowych trójkątów, zwojów i kwadratów, po czym usiadł obok mnie. Wskazał jeden z moich rysunków.

- To pieczęć Matthew.

- Owszem, a także symbole srebra i złota, księżycy i słońca.

Na Saturnalia wielka sala została ozdobiona roziskrzoną wersją tych ciał niebieskich.

- Zastanawiałam się nad tym od poniedziałkowego wieczoru.

Rozumiem, czemu czarownicę mogą symbolizować półksiężyc i srebro, gdyż oba są związane z boginią. Ale dlaczego ktoś miałby przedstawiać wampira za pomocą słońca albo złota? - To przeczyło całej mojej wiedzy na ten temat.

- Bo są niezmiennie. Naszego życia nie przybywa ani nie ubywa, a nasze ciała, jak złoto, są odporne na zepsucie śmiercią czy chorobą.

- Powinam była o tym pomyśleć. - Zrobiłam kilka notatek.

- Myślałaś też o czym innym. - Philippe uśmiechnął się. - Matthew jest szczęśliwy.

- Nie tylko dzięki mnie - spojrzałam mu w oczy. - Ciesz się, że znów jest z tobą.

Twarz Philippe zasnuł cień.

- Lubimy z Ysabeau, gdy nasze dzieci są w domu. Mają własne życie, co nie znaczy, że łatwiej nam się z nimi rozstawać.

- A dziś tęsknisz też za Gallowglassem - szepnęłam. Philippe był dziwnie przygaszony.

- Tak. - Zaczął się bawić kawałkiem papieru. - To Hugh, mój najstarszy, wprowadził go do rodziny. Hugh zawsze podejmował mądre decyzje, gdy chodziło o obdarowywanie kogoś swoją krwią, a Gallowglass nie jest od tej zasady wyjątkiem. Zaciekły z niego wojownik, ale ma poczucie honoru jak jego ojciec. Pociesza mnie to, że mój wnuk jest w Anglii z Matthew.

- Matthew rzadko wspomina Hugh.

- Hugh był mu bliższy niż którykolwiek z pozostałych braci. Gdy zginął wraz z ostatnimi templariuszami z rąk Kościoła i króla, Matthew przeżył szok. Trochę trwało, nim zdołał zapanować nad krwawym szalem i wrócić do rodziny.

- A Gallowglass?

- Gallowglass nie zdołał jeszcze przezwyciężyć żalu, a dopóki tego nie zrobi, jego noga nie postanie na francuskiej ziemi. Mój wnuk, tak jak Matthew, dopilnował, aby ludzie, którzy zdradzili Hugh, zapłacili za to, ale zemsta nigdy nie jest wystarczającym lekarstwem na stratę. Pewnego dnia mój wnuk powróci. Jestem tego pewien. - Philippe wyglądał teraz staro. Nie jak energiczny władca, ale jak ojciec, który miał nieszczęście przeżyć swoich synów.

- Dziękuję, Philippe. - Zawahałam się, nim położyłam moją dłoń na jego dłoń. Ujął ją na moment, po czym wstał i sięgnął po jedną z ksiąg alchemicznych - przepięknie ilustrowany tom *Aurora Consurgens* Godfrey'a, tekst, który zwabił mnie swego czasu do Sept-Tours.

- Jakże dziwna jest alchemia. - Philippe przerzucał strony. Znalazł

obraz Słońca-Króla i Księżycy-Królowej w starciu lwa z gryfem i uśmiechnął się szeroko.  
- Tak, to będzie odpowiednie. - Wsunął kawałek papieru między karty.

- Co robisz? - zżerała mnie ciekawość.

- To taka nasza gra, moja i Ysabeau. Gdy jedno z nas jest poza domem, zostawiamy sobie ukryte w książkach wiadomości. Tyle dzieje się każdego dnia, że nie da się spamiętać wszystkiego do czasu, gdy znów się zobaczymy. W ten sposób odnajdujemy wspomnienia, gdy

najmniej się tego spodziewamy, i dzielimy się nimi.

Philippe podszedł do półki i wyjął z niej tom w przetartej skórzanej oprawie.

- To jedna z naszych ulubionych historii, *Pieśń o Ar-mourisie*. Mamy z Ysabeau niewyszukane gusta i lubimy opowieści przygodowe. Zawsze chowamy tu wiadomości. -Zaczął wsuwać zwitek papieru między grzbiet książki i welin i wtedy wypadła na podłogę jakaś karteczka. - Ysabeau zaczęła używać noża, żeby trudniej było znaleźć jej wiadomości. To bardzo sprytna kobieta. Ciekawe, co napisała. - Philippe rozłożył

karteczkę i czytał w milczeniu. Gdy uniósł głowę, oczy mu błyszczały, a policzki miał zaróżowione bardziej niż zwykle.

Roześmiałam się i wstałam z krzesła.

- Zostawię cię samego, żebyś mógł w spokoju odpisać.

- *Sieur*. - W drzwiach pojawił się Alain z poważną miną. - Przybyli posłańcy. Jeden ze Szkocji, drugi z Anglii, trzeci z Lyonu.

Philippe westchnął i zaklął pod nosem.

- Nie mogli się zjawić już po chrześcijańskim święcie? W ustach mi zaschło.

- To nie mogą być dobre wieści - stwierdził Philippe, gdy zobaczył moją minę. - Co powiedział posłaniec z Lyonu?

- Champier przed wyjazdem przedsięwziął środki ostrożności i powiadomił innych, że został tu wezwany. A że nie wrócił do domu, jego przyjaciele zaczęli dochodzić dlaczego. Grupa czarownic szykuje się do wyjazdu, będą go szukać i zamierzają przybyć w te strony - odparł Alain.

- Kiedy? - wyszeptałam. Za wcześnie.

- Śnieg ich spowolni i trudno im będzie podróżować podczas świąt.

Zostało jeszcze kilka dni, może tydzień.

- A pozostali posłańcy? - zapytałam Alaina.

- Są w wiosce, szukają milorda.

- Na pewno po to, żeby wezwać go do powrotu do Anglii - powiedziałam cicho.

- Jeśli tak, to Boże Narodzenie będzie najlepszym momentem na wyjazd. Na drogach niewielu ludzi, księżyc w nowiu. To doskonałe warunki podróży dla manjasanga, ale nie dla ciepłokrwistych - stwierdził

Philippe. - Na całej trasie stąd do Calais czekają na was konie i kwatery.

Czeka też łódź, zabierze was do Dover. Posłałem Gallowglassowi i Raleighowi listy, by szykowali się na wasz powrót.

- Spodziewałeś się tego. - Perspektywa wyjazdu mnie przerażała. - Ale jeszcze nie jestem gotowa. Ludzie wciąż widzą, że jestem inna.

- Nie tak inna, jak ci się wydaje. Na przykład przez cały ranek bez najmniejszych problemów rozmawiałaś ze mną po francusku i łacinie. -

Otworzyłam usta ze zdumienia. Philippe roześmiał się. - Naprawdę. Dwa razy zmieniałam język, a ty nawet nie zauważyłaś. - Spoważniał. - Czy mam iść do Matthew i poinformować go, co postanowiłem?

- Nie. - Położyłam mu rękę na ramieniu. - Sama to zrobię.

Matthew siedział na belce kalenicowej, w obu rękach trzymał listy i marszczył ponuro brwi. Gdy mnie zauważył, zsunął się po dachu i z wdziękiem kota zeskoczył na ziemię. Jego radość i bez troska zniknęły.

Zdjął kaftan z zardzewiałego uchwytu na pochodnie. Gdy go włożył, zniknął gdzieś cieśla i znów pojawił się książe.

- Agnes Sampson przyznała się do pięćdziesięciu trzech zarzucanych jej czynów w sferze czarnoksięstwa. - Matthew zaklął. - Szkoccy urzędnicy muszą się jeszcze nauczyć, że im większa liczba zarzutów, tym mniej są one przekonujące. Z zeznań wynika, że diabeł poinformował

Sampson, iż jego największym wrogiem jest król Jakub. Elżbieta na pewno bardzo się cieszy, że nie zajmuje pierwszego miejsca.

- Czarownice nie wierzą w diabła - odparłam. Z wszelkich dziwnych rzeczy, jakie ludzie opowiadali o czarownicach, ta była najbardziej niepojęta.

- Większość stworzeń uwierzy we wszystko, co położy kres ich cierpieniu, jeśli tygodniami były głodzone, torturowane i zastraszane. -

Matthew przeczesał palcami włosy. -Zeznania Agnes Sampson, nawet tak mało wiarygodne, dowodzą, że czarownice mieszają się w politykę, dokładnie tak, jak twierdzi król Jakub.

- A to oznacza, że łamią umowę. - Zrozumiałam, dlaczego Agnes była tak prześladowana przez szkockiego króla.

- Właśnie. Gallowglass chce wiedzieć, co robić.

- A co zrobiłeś poprzednim razem?

- Pozwoliłem skazać Agnes Sampson na śmierć, bo uznałem to za odpowiednią karę za przestępstwo, którego nie rozpatruje Kongregacja. - Spojrzał mi w oczy.

Toczyłam wewnętrzną walkę między czarownicą a historykiem, próbując dokonać niemożliwego wyboru.

- A więc i tym razem musisz milczeć - wydusiłam. Historyk zwyciężył.

- Moje milczenie to dla niej wyrok śmierci.

- A jeśli odezwiesz się w tej sprawie, zmienisz przeszłość, co może mieć niewyobrażalne konsekwencje dla teraźniejszości. Tak samo jak ty nie chcę, aby ta czarownica zginęła. Ale jeśli teraz zaczniemy zmieniać historię, to kiedy przestaniemy to robić? - Pokręciłam głową.

- A więc znów będę świadkiem tej okropnej historii w Szkocji. Tyle że tym razem to wygląda inaczej. William Cecil nakazał mi powrót do domu, bym zebrał dla królowej informacje o sytuacji w Szkocji. Muszę wykonać jego rozkaz, Diano. Nie mam wyboru.

- Tak czy inaczej musimy wracać do Anglii. Przyjaciele Champiera zorientowali się, że zaginął. I możemy wyjechać natychmiast. Philippe na wszelki wypadek poczynił przygotowania, byśmy mogli szybko wyruszyć.

- Cały mój ojciec - roześmiał się ponuro Matthew.

- Przykro mi, że musimy opuścić już zamek - szepnęłam.

Matthew przytulił mnie.

- Gdyby nie ty, w moich ostatnich wspomnieniach byłby tylko cieniem tego, kim jest naprawdę. Trzeba pogodzić się z tym, że wszystko ma swoje dobre i złe strony.

W ciągu kolejnych kilku dni Matthew i jego ojciec przeszli przez znany już rytuał pożegnalny, biorąc pod uwagę to, że wielokrotnie już się rozstawali. Ale ten był wyjątkowy. Następnym razem do Sept-Tours przybędzie inny Matthew, nieznający ani mnie, ani przyszłości Philippe'a.

- Ludzie z Saint-Lucien od dawna żyją wśród manja-sangów - oświadczył Philippe, gdy zapytałam z niepokojem, czy Thomas i Etienne zdołają utrzymać to wszystko w tajemnicy. - Przychodzimy i odchodzimy. Oni o nic nie pytają, a my niczego nie wyjaśniamy. Zawsze tak było.

Mimo to Matthew upewnił się, że jego plany są jasne. Usłyszałam, jak któregoś ranka po pojedynku w stajni rozmawiał z Philippe'em.

- Tuż przed powrotem do naszych czasów wyślę ci wiadomość. Bądź gotów wyprawić mnie do Szkocji, by zapewnić rodzinny sojusz z królem Jakubem. Stamtąd powinienem się udać do Amsterdamu. Holendrzy zamierzają otworzyć nowe szlaki handlowe na wschód.

- Dam sobie radę, Matthew - odparł spokojnie Philippe. - Do tego czasu będę oczekiwał regularnych raportów z Anglii i wieści o tym, jak się z Dianą macie.

- Gallowglass będzie cię informował o wszystkim - obiecał Matthew.

- To nie to samo, co informacje od ciebie - westchnął Philippe. -

Będzie mi bardzo trudno nie wspomnieć o twojej przyszłości, gdy zaczniesz się przechwalać, Matthew. Ale jakoś się powstrzymam.

W ostatnich dniach naszego pobytu w Sept-Tours czas płałał nam figle. Najpierw dłużył się niemiłosiernie, a potem gwałtownie przyspieszył. W Wigilię Bożego Narodzenia Matthew poszedł na mszę do kościoła z większością mieszkańców zamku. Ja zostałam w nim i odszukałam Philippe'a w jego gabinecie po drugiej stronie wielkiej sali.

Jak zawsze, pisał listy.

Zastukałam. Była to czysta formalność, biorąc pod uwagę, że na pewno wiedział, gdzie jestem, od chwili, gdy wyszłam z wieży Matthew, ale nieładnie byłoby wchodzić bez zaproszenia.

- *Introite*. - Tym samym słowem zwrócił się do mnie po raz pierwszy, lecz teraz, gdy znałam go lepiej, nie brzmiało to już tak złowrogo. -

Wejdz, Diano - potarł oczy. - Czy Catrine odnalazła moje pudełka?

- Tak, a także kielich i futerał na pióra.

Uparł się, bym wzięła jego elegancki zestaw podróży. Każdy przedmiot był zrobiony ze sztywnej skóry, odpornej na śnieg, deszcz i trudne warunki podróży.

- Chciałam ci podziękować, nim wyjedziemy. I nie tylko za ślub.

Także za dobry wpływ na Matthew.

Philippe odsunął stołek i przyjrzał mi się uważnie.

- To ja powinienem podziękować tobie, Diano. Rodzina próbowała uleczyć ducha Matthew przez ponad tysiąc lat. A jeśli się nie mylę, ty zdołałaś to zrobić w niecałe czterdzieści dni.

- Matthew nie był taki, dopóki nie spotkał się tu z tobą. Była w nim ciemność, której nie mogłam osiągnąć.

- Człowiek taki jak Matthew nigdy nie pozbędzie się wszystkich mrocznych cech. Ale może należy zaakceptować tę ciemność, żeby go pokochać.

- „Nie odmawiaj mi, tylko dlatego że gości we mnie mrok” - wyszeptalam.

- Nie przypominam sobie tego cytatu - Philippe zmarszczył brwi.

- Pochodzi z księgi o alchemii, którą ci wcześniej pokazywałam: *Aurora Consurgens*. Te słowa skojarzyły mi się z Matthew, wciąż nie rozumiem dlaczego, ale zrozumieję.

- Jesteś bardzo podobna do tego pierścienia, wiesz? -Philippe postukał palcem w stół. - To kolejna mądra wiadomość od Ysabeau.

- Chciała ci powiedzieć, że popiera ten ślub - odparłam.

- Nie. Chciała mi powiedzieć, że ci sprzyja. Jak złoto, z którego jest zrobiony, jesteś twarda. Kryjesz wiele tajemnic, tak jak obrączka pierścienia kryje przed wzrokiem wiersz. Ale to kamień najlepiej cię opisuje: błyszczący na powierzchni, ognisty w środku i nie do złamania.

- Ależ mnie można złamać - odparłam ponuro. - Przecież nawet diament da się roztrzaskać, uderzając weń zwykłym młotkiem.

- Widziałem blizny, jakie zostawił w tobie Matthew. Podejrzewam, że są też inne, choć może mniej widoczne. Jeśli wtedy się nie zламаłaś, to teraz też nie.

Philippe obszedł stół i ucałował mnie serdecznie w oba policzki. Łzy napłynęły mi do oczu.

- Powinłam iść. Wyruszamy jutro wcześniej. - Skierowałam się do drzwi, a potem odwróciłam i objęłam go mocno. Jak można było złamać takiego człowieka?

- O co chodzi? - wyszeptał zaskoczony.

- Ty też nie będziesz sam, Philippe de Clermont. Znajdę sposób, by być przy tobie w ciemnościach, obiecuję. A gdy pomyślisz, że wszyscy cię opuścili, będę trzymać cię za rękę.

- Jak mogłoby być inaczej, skoro żyjesz w moim sercu? Następnego ranka tylko kilka osób zebrało się na dziedzińcu, by nas pożegnać.

Kucharz upchnął w jukach przy siodle Pierre'a mnóstwo smakołyków dla mnie, resztę miejsca Alain wypełnił listami do Gallowglassa, Waltera i wielu innych osób. Catrine stała obok z oczami zapuchniętymi od płaczu. Chciała jechać z nami, ale Philippe się na to nie zgodził.

No i był też Philippe; uścisnął mnie mocno, a potem rozmawiał przez chwilę z Matthew. Matthew skinął głową.

- Jestem z ciebie dumny, Matthaios - powiedział Philippe, klepiąc go po ramieniu. Matthew stał bardzo blisko ojca, nie chcąc szybko się pożegnać.

Gdy się do mnie odwrócił, jego twarz wyrażała zdecydowanie.

Pomógł mi wsiąść na konia, po czym wskoczył lekko na swojego wierzchowca.

- *Khairé*, ojciec - zawołał, a oczy mu zalśniły.

- *Khairéte, Matthaios Kai Diana* - odparł Philippe.

Matthew nie spojrzał już więcej na ojca. Siedział sztywno w siodle i wpatrywał się w drogę przed nami, skupiony na przyszłości, a nie przeszłości.

Ja odwróciłam się raz, gdy zauważyłam kątem oka jakiś ruch. To Philippe jechał ścieżką równoległą do nas; chciał być blisko syna tak długo, jak to tylko możliwe.

- Żegnaj, Philippe - wyszeptałam na wiatr, licząc, że mnie usłyszy.

## ROZDZIAŁ 14

Ysabeau? Dobrze się czujesz?

- Naturalnie. - Ysabeau odgięła okładki bezcennego starodruku, przytrzymała go kartami do dołu i energicznie potrząsnęła.

Emily Mather spojrzała na nią niepewnie. W bibliotece panował kompletny chaos. Reszta zamku lśniła czystością i porządkiem, ale to pomieszczenie wyglądało jak po przejściu huraganu. Wszędzie leżały pootwierane woluminy. Ktoś powyciągał je z półek i porozrzucił w nieładzie.

- To musi być gdzieś tutaj. Wiedziałby przecież, że dzieci były razem.

- Ysabeau odrzuciła książkę i sięgnęła po następną.

Emily aż jęknęła w głębi swej bibliotekarskiej duszy.

- Nic nie rozumiem. Czego właściwie szukasz? - Wzięła do ręki porzucony tom i zamknęła go ostrożnie.

- Matthew i Diana mieli przenieść się do 1590 roku. Nie było mnie wtedy w domu, zostałam w Trewirze. Philippe wiedziałby przecież o ślubie Matthew. Zawiadomiłby mnie o tym.

Długie włosy Ysabeau otaczały twarz i spływały swobodnie aż do talii. Chwyliła je zniecierpliwiona i odrzuciła w tył. Uważnie przyjrzała się grzbietowi i kartom swojej kolejnej ofiary, a potem ostrym paznokciem rozcięła wyklejkę. Nic nie znalazła i aż warknęła ze złości.

- Przecież to książki, a nie listy - zaryzykowała Emily. Niezbyt dobrze знаła Ysabeau, ale do jej uszu dotarło kilka przerażających historii o matce Matthew i jej wyczynach w Trewirze i gdzie indziej. Głowa rodu de Clermont nie przepadała za czarownicami. Wprawdzie Diana ufała tej kobiecie, Emily jednak wcale nie czuła się pewnie w jej towarzystwie.

- Nie szukam listu. Często zostawialiśmy sobie wiadomości między kartami książek. Kiedy zmarł, przeszukałam całą bibliotekę, tom po tomie. Chciałam mieć jak najwięcej pamiątek po nim. Musiałam wtedy coś przegapić.

- Może nic tam jeszcze nie było - rozległ się suchy głos od progu.

Burza rudych włosów otaczała twarz Sarah Bishop, bladą ze zmartwienia i braku snu.

- Marthe dostanie szalu, jeśli zobaczy, co się tu wyprawia. Masz szczęście, że Diana jest daleko. Zafundowałyby ci taką mowę o konserwacji książek, że oszalałabyś z nudów.



Tabitha, która nigdy nie odstępowała Sarah, przemknęła między nogami czarownicy.

Tym razem Ysabeau nie zrozumiała, o co chodzi.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Sarah?

- Czas lubi płać figle. Nawet jeśli wszystko poszło zgodnie z planem i Diana sprowadziła Matthew z powrotem pierwszego listopada 1590 roku, nadal może być za wcześnie na szukanie wiadomości od twojego męża. Nie możesz jej znaleźć, bo Philippe nie spotkał jeszcze mojej siostrzenicy. - Sarah zamilkła na chwilę, a potem zauważyła: - Zdaje mi się, że Tabitha zjada książkę.

Tabitha, niebotycznie szczęśliwa, że znalazła się w domu pełnym myszy i zacisznych kryjówek, nabrała ostatnio zwyczaju wspinania się na meble i zasłony. Właśnie przycupnęła wysoko na półce i dobrała się do okładki oprawnego w skórę woluminu.

- *Kakó gatil* - krzyknęła Ysabeau i rzuciła się do półki. - To jedna z ulubionych książek Diany!

Tabitha, która nigdy nie cofała się przed konfrontacją z żadną drapieżną istotą, może z wyjątkiem Miriam, zepchnęła książkę na podłogę i sama zeskoczyła za nią. Stała nad swoją zdobyczą w pozie lwicy broniącej wyjątkowo cennego łupu.

- To alchemiczny podręcznik z obrazkami - stwierdziła Sarah, wyciągając nieszczęsny wolumin z pazurów kocicy. Przekartkowała go, a potem powąchała okładkę. - Nic dziwnego, że Tabitha ma na niego chrapkę. Pachnie miętą i skórą, zupełnie jak jej ukochana zabawka.

Kwadratowa, wielokrotnie poskładana kartka sfrunęła na podłogę.

Pozbawiona łupu Tabitha chwyciła ją ostrymi zębami i chyłkiem ruszyła ku drzwiom.

Ysabeau już tam na nią czekała. Capnęła kocicę za skórę na karku i wyrwała zdobycz z jej pyska. Potem ucałowała zdziwionego zwierzaka prosto w nos.

- Mądra kicia. Dostaniesz rybę na obiad.

- Tego szukałaś? - Emily rzuciła okiem na kartkę, zdziwiona, że dla czegoś takiego można przewrócić do góry nogami całą bibliotekę.

Zachowanie Ysabeau było wystarczającą odpowiedzią. Troskliwie rozłożyła nieduży kawałek grubego papieru, zapisanego po obu stronach drobnymi znaczkami.

- To jakiś szyfr - stwierdziła Sarah i włożyła zawieszzone na sznurku na szyi okulary w czarno-białe paski.

- Nie szyfr, tylko greka. - Ysabeau wygładziła kartkę drżącymi palcami.

- Co tam jest napisane? - dopytywała się Sarah.

- Sarah! To prywatny list - napomniała ją Emily.

- Od Philippe'a. Widział ich - szepnęła Ysabeau, szybko przebiegając tekst wzrokiem. Zasłoniła dłonią usta, z ulgą i niedowierzaniem zarazem.

Sarah w milczeniu czekała, aż wampirzyca skończy lekturę. Zajął jej to dwie minuty - dziewięćdziesiąt sekund dłużej niż zazwyczaj.

- I co?

- Spędzili z nim święta.

*Pożegnałem się z twoim synem o poranku świętego dnia chrześcijan.*

*Wreszcie odnalazł szczęście, u boku kobiety, która jest godna jego miłości i kroczy śladami bogini* - przeczytała Ysabeau na głos.

- Jesteś pewna, że chodzi mu o Matthew i Dianę? - Emily pomyślała, że ten liścik jest dziwnie górnolotny i niejasny jak na zwykłą korespondencję między mężem a żoną.

- Tak. Zawsze najbardziej niepokoił się o Matthew, choć jego rodzeństwo nieraz znajdowało się w większych opałach. Nade wszystko marzyłam, żeby odnalazł szczęście.

- A wzmianka o „kobiecie kroczącej śladami bogini” też jest zupełnie jasna - zgodziła się Sarah. - Nie mógł nazwać jej po imieniu, bo ujawniłby ją jako czarownicę. Co by było, gdyby ktoś inny znalazł tę notatkę?

- Napisał coś jeszcze - dodała Ysabeau:

*Los wciąż ma dość mocy, by nas zaskakiwać, krynico mądrości.*

*Lękam się, że nadchodzą dla nas ciężkie miesiące. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by w czasie, który mi jeszcze pozostał, zapewnić bezpieczeństwo tobie, naszym dzieciom i wnukom, rym, które już są dla nas błogosławieństwem i tym, które mają się dopiero narodzić.*

Sarah zaklęła.

- Narodzić, a nie pojawić?

- Tak - szepnęła Ysabeau. - Philippe zawsze starannie dobierał słowa.

- Czyli, że próbował nam powiedzieć coś na temat Diany i Matthew - domyśliła się Sarah.

Ysabeau bezwładnie opadła na kanapę.

- Bardzo dawno temu krążyły pogłoski o istotach, które różniły się od wszystkich: były nieśmiertelne, a zarazem potężne. W czasach, gdy po raz pierwszy podpisano przymierze, niektórzy powiadali, że pewna czarownica porodziła dziecko płaczące krwawymi łzami, jak wampir. A wtedy znad morza nadciągnęły wichury.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam. - Emily spo-chmurniała.

- Bo włożono to między mity i potraktowano jako kolejną opowieść, która miała posiać strach wśród nadprzyrodzonych istot. Mało kto spośród nas o tym pamięta, a prawie nikt nie wierzy, że to możliwe.

Ysabeau dotknęła kartki leżącej na kolanach.

- Ale Philippe wiedział, że to prawda. Trzymał takie dziecko na rękach i je rozpoznał.

- Jako kogo? - spytała wstrząśnięta Sarah.

- Jako manjasanga zrodzonego z czarownicy. Biedactwo umierało z głodu. Rodzina czarownicy odebrała jej niemowlę i uparła się, żeby nie dawać mu krwi. Myśleli, że jeśli będą go żywić samym mlekiem, nie zmieni się w jedno z nas.

- Matthew na pewno znał tę historię - domyśliła się Emily. - Przekazałaś mu ją jako dobry materiał do jego badań albo ze względu na Dianę, prawda?

Ysabeau pokręciła głową.

- Nie ode mnie powinien ją usłyszeć.

- Och, ty i te twoje sekrety - zdenerwowała się Sarah.

- Co w takim razie powiesz o własnych tajemnicach, Sarah? - rozłościła się Ysabeau. - Naprawdę myślisz, że czarownice, istoty takie jak Satu i Peter Knox, nie mają żadnego pojęcia o dziecieniu manjasangu i jego matce?

- Przestańcie - skarciła je Emily. - Jeśli ta opowieść jest prawdziwa i inne nadprzyrodzone istoty też ją znają, to Dianie grozi poważne niebezpieczeństwo, a Sophie razem z nią.

- Jej rodzice byli czarownikami, ale ona jest demonem - wyjaśniła Sarah, wędrując myślą ku młodej parze, która stanęła na progu jej domu w Madison kilka dni przed Halloween. Nikt, kto próbował rozwikłać tę tajemnicę, nie rozumiał, jaką rolę odgrywają w niej te dwa demony.

- Podobnie jak mąż Sophie, tylko że ich córka będzie czarownicą. Ona i Nathaniel są kolejnymi dowodami na to, że nie rozumiemy, jak rozmnażają się czarownice, demony i wampiry i w jaki sposób przekazują swoje zdolności dzieciom - powiedziała zmartwiona Emily.

- Sophie i Nathaniel to niejedyne istoty, które trzymają się z dala od Kongregacji. Na szczęście Matthew i Diana są bezpieczni w 1590 roku - stwierdziła ponuro Sarah.

- Ale im dłużej przebywają w przeszłości, tym większe prawdopodobieństwo, że zmienią teraźniejszość - zamyśliła się Emily. - Wcześniej czy później wszystko wyjdzie na jaw.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Ysabeau.

- Czas musi się zharmonizować, ale nie w taki melodramatyczny sposób, jak się

wszystkim wydaje. Wojen nie da się uniknąć, wyniki wyborów prezydenckich pozostają takie jak wcześniej. Po prostu w różnych miejscach zachodzą niewielkie zmiany, takie jak choćby pojawienie się tej karteczki.

- Anomalie - mruknęła Ysabeau. - Philippe zawsze tropił anomalie tego świata. Właśnie dlatego nadal czytuję te gazety. Przeglądaliśmy je co rano. - Przymknęła oczy, pogrążając się we wspomnieniach. - Jak łatwo się domyślić, uwielbiał dział sportowy, poza tym czytał wszystko na temat szkolnictwa. Niepokoiło go, czego dzieci będą się uczyć w przyszłości. Zakładał stowarzyszenia upowszechniające naukę greki i filozofii, zakładał też wyższe szkoły dla kobiet. Zawsze mnie to dziwiło.

- A on cały czas wypatrywał Diany - oświadczyła Emily z pewnością jasnowidza.

- Bardzo możliwe. Spytałam go kiedyś, czemu tak się przejmuje aktualnościami i czego właściwie szuka w tych gazetach. Odpowiedział, że kiedy trafi na właściwą wiadomość, na pewno będzie wiedział, że to właśnie ta. - Uśmiechnęła się smutno. - Uwielbiał tajemnicze zagadki i zawsze powtarzał, że gdyby mógł, zostałby detektywem jak Sherlock Holmes.

- Musimy się wyczulić na te drobne nierówności w strumieniu czasu i wynajdywać je wcześniej od Kongregacji - stwierdziła Sarah.

- Powiem to Marcusowi. - Ysabeau przytaknęła skinieniem głowy.

- Szkoda, że nie powiedziałaś Matthew o tym między-gatunkowym dziecku - mruknęła Sarah z wyrzutem.

- Mój syn kocha Dianę. Gdyby o tym wiedział, pewnie wolałby się od niej odsunąć, niż narazić na niebezpieczeństwo ją albo ich dziecko.

- Rodzina Bishopów to nie pokorne owieczki, Ysabeau. Gdyby Diana pragnęła twojego syna, na pewno znalazłaby jakiś sposób.

- Tym bardziej że rzeczywiście go zapragnęła i są teraz razem - podsumowała Emily. - Trzeba zawiadomić Marcusa, ale moim zdaniem Sophie i Nathaniel też powinni się o tym dowiedzieć.

Sarah i Emily wyszły z biblioteki. Mieszkały w dawnym pokoju Louisy de Clermont, w głębi tego samego korytarza co Ysabeau. Sarah uważała, że to miejsce w pewnych porach dnia emanuje zapachem Diany.

Ysabeau została w bibliotece, żeby poustawiać książki z powrotem na półkach. Gdy przywróciła porządek, znów usiadła na kanapie i znów przejrzała wiadomość od męża. Nie przeczytała czarownicom całości.

Teraz ponownie przebiegła wzrokiem ostatnie linijki.

*Ale starczy już pisanie o sprawach ponurych i mrocznych. Dbaj o siebie, abys i ty mogła w przyszłości radować się ich bliskością. Ledwie dwa dni temu powiadałem ci, że moje serce*

*nałeży do ciebie, a już chciałbym powtarzać ci to co chwilę, abys o tym nie zapomniała, a nadto zawsze w pamięci miała tego, który imię twoje zamknął na wieki w swej duszy.*

*Philipos*

W ostatnich dniach swojego życia Philippe chwilami zapominał własnego imienia, nie wspominając już o niej.

- Dziękuję, Diano, że mi go oddałaś - szepnęła w noc.

Parę godzin później Sarah usłyszała płynące z góry dziwne dźwięki - przypominały muzykę, ale były o wiele bogatsze. Potykając się, wyszła z pokoju. W holu stała Marthe owinięta w mechaty szlafrok z żabą wyszytą kordonkiem na kieszeni. Na jej twarzy zachwyty walczył z żalem.

- Co to takiego? - spytała Sarah, wskazując wzrokiem na sufit. -

Niemożliwe, żeby człowiek wydobywał z siebie tak piękne, przejmujące dźwięki. Chyba jakiś anioł przysiadł w przelocie na dachu.

- Ysabeau znowu śpiewa - odparła Marthe. - Od czasu śmierci Philippe'a zaśpiewała tylko raz: kiedy twoja siostrzenica znalazła się w niebezpieczeństwie i trzeba było ją ściągnąć z powrotem na ten świat.

- Czy nic jej nie jest? - W każdej nucie dźwięczała tak wielka rozpacz i poczucie straty, że Sarah ścisnęło się serce. Nie sposób było opisać tego słowami.

Marthe pokręciła głową.

- Muzyka to dobry znak. Być może jej żałoba zbliża się wreszcie do końca. Dopiero wtedy Ysabeau naprawdę powróci do życia.

Dwie kobiety, wampirzyca i czarownica, słuchały długo w noc, aż ostatnie nuty pieśni Ysabeau rozplynęły się w ciszy.

## CZEŚĆ III

### LONDYN: LACKFRIARS

#### ROZDZIAŁ 15

Wygląda jak zwariowany jeź - stwierdziłam. Panorama Londynu była naszpikowana cienkimi jak igły wieżami, wystającymi z gęstej masy stłoczonych, niskich zabudowań. - Co to takiego? - westchnęłam zdziwiona, wskazując na ogromny kamienny kształt oznaczony wąskimi, strzelistymi oknami. Wysoko nad drewnianym dachem wznosił się osmolony, krępy kikut, zakłócający proporcje budowli.

- Katedra Świętego Pawła - wyjaśnił Matthew. Ale to nie było znane mi eleganckie arcydzieło Christophera Wre-na, z białą kopułą, która ukazywała się dopiero w ostatnim momencie, ukryta za nowoczesnymi biurowcami. Stara katedra, przycupnięta na najwyższym wzgórzu Londynu, była cały czas na widoku. - W wieżę trafił piorun i podpalił drewniany dach. Zdaniem Anglików to cud, że budynek nie spłonął do szczętu.

- Natomiast Francuzi, jak łatwo się domyślić, uważają, że ręka Pana zadziałała nieco wcześniej - stwierdził Gallow-glass. Spotkał się z nami w Dover, wynajął łódź w Southwark i teraz wiosłował, wioząc nas w górę rzeki. - Niezależnie od tego, kiedy Pan ujawnił, po czyjej stronie tak naprawdę stoi, nie zesłał pieniędzy na naprawę.

- Królowa też nic nie dała. - Matthew uważnie przyglądał się rzeczonym nabrzeżom. W prawej dłoni trzymał rękojeść miecza.

Nie miałam pojęcia, że stara katedra jest aż tak ogromna.

Uszczypnęłam się po raz kolejny. Robiłam to od chwili, gdy spostrzegłam twierdzę Tower - też wydała mi się olbrzymia bez otaczających ją wieżowców - a potem most Londyński, który, jak się okazało, pełnił funkcję zwodzonej galerii handlowej. Od kiedy znaleźliśmy się w przeszłości, zachwycało mnie wiele widoków i dźwięków, ale dopiero Londyn zapał mi dech w piersiach.

- Naprawdę nie chcecie najpierw zacumować w mieście? - Od momentu, gdy wsiedliśmy

do łodzi, Gallowglass sugerował, że nasz plan działania nie należy do najmądrzejszych.

- Płyniemy do Blackfriars - odparł twardo Matthew. -Wszystko inne może poczekać.

Gallowglass zrobił minę, która świadczyła o tym, że w to wątpi, ale wiosłował dalej, aż dotarliśmy do zachodnich granic starego miasta otoczonego solidnymi murami. Przybiliśmy do stromych, kamiennych schodów. Dolne stopnie były pod wodą. Sądząc z wyglądu murów, miała się podnosić, aż całe schody znikną w falach rzeki. Gallowglass rzucił cumę potężnemu mężczyźnie, który rozpływał się w podziękowaniach za to, że jego własność wróciła nieuszkodzona.

- Gallowglass, znowu wzięłeś cudzą krypę. Może Matthew powinien ci sprezentować łódkę na Gwiazdkę, żebyś w końcu miał własną - stwierdziłam sucho.

Powrót do Anglii - i starego kalendarza - oznaczał, że w tym roku mieliśmy obchodzić święta dwa razy.

- I odebrać jedną z moich niewielu przyjemności? -W gęstwinie brody Gallowglassa błysnęły zęby. Kuzyn Matthew podziękował właścicielowi i rzucił mu monetę, której wielkość i ciężar zmieniły niepokój mężczyzny w życzliwość i zadowolenie.

Przeszliśmy pod łukiem bramy na Water Lane wąską, krętą uliczkę, przy której tłoczyły się budynki mieszkalne i sklepy. Każde kolejne piętro wystawało nad poprzednie, przypominając otwarte szuflady gigantycznej komody. Wrażenie potęgowały dywany, pościel i ubrania powywieszane z okien. Wszyscy korzystali z wyjątkowo pięknej pogody, żeby je wywietrzyć.

Matthew mocno ścisnął moją rękę, Gallowglass kroczył z prawej strony. Zewsząd napierały na nas dźwięki i obrazy. Czerwone, zielone, brązowe i szare tkaniny mieniły się na biodrach i ramionach przechodniów, którzy podkasywali suknie i płaszcze, by nie dostały się pod koła wozów; fałdy odzieży zaczepiały się przy tym o broń u pasa i paczki w rękach. Dźwięk młotów, rżenie koni, odległe muczenie krowy i hałas metalowych kół na bruku przyciągały naszą uwagę. Dziesiątki tablic z aniołami, czaszkami, narzędziami, różnobarwnymi kształtami i mitycznymi postaciami kołysały się i skrzypiały w podmuchach wiatru od rzeki. Nad moją głową zaskrzypiał drewniany szylt na metalowym pręcie. Przedstawiał białego jelenia o delikatnych rogach ozdobionych złocistą przepaską.

- Jesteśmy na miejscu - stwierdził Matthew. - Pod Łanią i Koroną.

Gospoda była częściowo z drewna, jak większość budynków przy tej ulicy. Łukowate przejście dzieliło dwa rzędy okien. Po jednej stronie siedział zapracowany szewc, po przeciwnej gospodyni; czujnie obserwowała liczne dzieci i klientów i miała oko na grubą księgę rachunkową. Powitała Matthew krótkim skinieniem głowy.

- Żona Roberta Hawleya twardą ręką rządzi terminatorami i klientami.

Nic, co dzieje się Pod Łanią i Koroną, nie umknie jej uwagi - wyjaśnił Matthew.

Zanotowałam w pamięci, że przy najbliższej okazji należy się z nią zaprzyjaźnić.

Przejsście prowadziło na wewnętrzny dziedziniec - prawdziwy luksus w tak zatłoczonym mieście jak ówczesny Londyn. Pyszniła się tam następna rzadkość: studnia z czystą wodą dla mieszkańców budynku.

Ktoś wykorzystał nawet południowe światło padające na dziedziniec, skuł bruk i urządził ogródek. Puste, starannie uporządkowane grządki cierpliwie czekały wiosny. Kilka praczek pracowało w starej szopie nieopodal wspólnego wychodka.

Po lewej stronie wznosiły się kręcone schody do naszych pokoi na piętrze. Na szerokim podejściu czekała Françoise, by nas powitać.

Otworzyła solidne drzwi do mieszkania, zasłaniając kredens o dziurkowanych ściankach. Na jednej z gałek wisiała oskubana gęś ze złamaną szyją.

- Nareszcie - uradował się rozpromieniony Henry Percy. - Czekaemy na was od kilku godzin. Pani matka przysłała wam gęś. Słyszała, że w mieście nie wolno trzymać drobiu, i przestraszyła się, że zgłodniejecie.

- Miło cię widzieć, Hal. - Matthew zaśmiał się i pokręcił głową, patrząc na gęś. - Jak się matka miewa?

- W święta robi się z niej prawdziwa jędra, ot co. Większość domowników wymyśliła jakiś pretekst, żeby sobie pójść, ale ja musiałem pozostać, na wyraźne życzenie królowej. Jej Królewska Wysokość raczyła krzyknąć przez całą salę audiencyjną, że nie wolno mi ufać i puszczać nawet do P-P-Petworth. - Henry, zmieszany zająknął się na to wspomnienie.

- Z chęcią spędzimy z tobą święta, Henry - odpowiedziałam. Zdjęłam płaszcz i weszłam do pokoju wypełnionego korzennym aromatem i zapachem świeżo ściętego świerka.

- Dzięki za zaproszenie, Diano, ale moja siostra Eleanor i brat George też zostali w Londynie i nie powinienem ich opuszczać w potrzebie.

- To przynajmniej zostań z nami na wieczór - poprosił Matthew i poprowadził go ku zapraszająco migoczącemu ciepłemu kominkowi. -

Opowiesz nam, co się działo podczas naszej nieobecności.

- Był święty spokój - stwierdził pogodnie Henry.

- Spokój? - Gallowglass ruszył w górę schodów, mierząc go chłodnym spojrzeniem. - Marlowe urznął się w trupa Pod Kardynalskim Kapeluszem i wymieniał się na poezje z tym chudopachołkiem, skrybą ze Stratfordu, który przyczepił się do niego w nadziei, że zostanie dramaturgiem. Z tym że jak na razie Szekspirowi wystarcza, że nauczył się podrabiać twój podpis, Matthew. Oberżysta mówi, że w zeszłym tygodniu obiecałeś zapłacić za pokój i posiłki Kita.

- Wyszedłem od nich przed kilkoma godzinami - zaprotestował



Henry. - Kit wiedział, że Diana i Matthew mają przyjechać dziś wieczorem. Obaj z Willem obiecali, że będą się przyzwoicie zachowywać.

- To wiele wyjaśnia - zauważył sarkastycznie Gallowglass.

- Czy to twoje dzieło, Henry? - Zajrzałam do dziennego pokoju. Ktoś udekorował kominek, framugi okien i stół gałązkami ostrokrzewu, bluszczu i świerka. Na wypełnionym drwami kominku płonął wesoły ogień, strzelając iskrami.

- Chcieliśmy z Françoise, żeby wasze pierwsze wspólne Boże Narodzenie było prawdziwym świętem - odparł, czerwieniąc się po uszy.

Pokoje Pod Łanią i Koroną były na najwyższym poziomie, jak na XVI-wieczne miejskie warunki. Salon był spory, ale przytulny i wygodny. Okna z licznymi szybkami na zachodniej ścianie wychodziły na Water Lane. W ścianę wbudowano tapicerowaną ławę, która zapraszała: usiądź i przyglądaj się ulicy. Ściany ocieplała boazeria rzeźbiona w splecione ze sobą kwiaty i pędy winorośli.

Meble były nieliczne, lecz solidne. Przy kominku czekało szerokie siedzisko i dwa krzesła. Wyjątkowo piękny dębowy stół na środku pokoju miał nieco mniej niż trzy stopy, za to był dość długi; jego nogi zdobiły delikatne twarze kariatyd i herm. Z belki nad nim zwieszał się żyrandol ze świecami. Łatwo się go podciągało i opuszczało linką przerzuconą przez bloczek. Rzeźbione lwie głowy szczyrzyły kły z przedniej ścianki kredensu, na którym ustawiono kolekcję dzbanów, kanek i kielichów.

Talerzy było niewiele, jak przystało na wampirze domostwo.

Zanim zasiedliśmy do pieczonej gęsi, którą podano na kolację, Matthew pokazał mi naszą sypialnię i swój gabinet. Oba pokoje znajdowały się po przeciwnej stronie korytarza niż salon. Wychodzące na dziedziniec okna wpuszczały mnóstwo światła i zaskakująco dużo świeżego powietrza. W sypialni stały tylko trzy meble: łoże z baldachimem, rzeźbionym zagłówkiem i górną płytą z litego drewna, wysoka komoda z płaskorzeźbami po bokach i długa, niska skrzynia pod oknami, zamknięta na klucz. Matthew powiedział mi, że trzyma w niej zbroję i zapasową broń. Henry i Françoise zajrzeli także i tu: słupki łoża owinięto pędami bluszczu, a zagłówek zdobiły gałązki ostrokrzewu.

W sypialni chyba rzadko ktoś gościł, w odróżnieniu od gabinetu Matthew, który wyraźnie był sercem tego domostwa. Wszędzie stały kosze z papierem, torby i metalowe kufle wypełnione piórami, kałamarze, zauważyłam też wosk w ilościach, które wystarczyłyby na kilka tuzinów świec, kłębki sznurka i tyle nieotwartych listów, że struchlałam na samą myśl o nich.

Przy stole o rozkładanych bokach czekał wygodny fotel o ukośnym oparciu i wygiętych podłokietnikach. Z wyjątkiem stołu o ciężkich, obłych, toczonych nogach meble były proste i praktyczne. Ilość korespondencji mnie przytłoczyła, ale Matthew w ogóle się nią nie przejął.

- To wszystko może poczekać. W Wigilię nawet szpiedzy zapominają o pracy - powiedział.

Przy kolacji dalej rozmawialiśmy o najnowszych wyczynach Waltera i o okropnie zapchanym Londynie, unikając poważniejszych tematów, takich jak niedawny ciąg alkoholowy Kita i nadmiernie przedsiębiorczy William Szekspir. Gdy zabrano talerze, Matthew wystawił na środek niewielki stolik do gry. Wyciągnął talię kart ze skrytki pod blatem i zaczął mnie uczyć hazardu w stylu elżbietańskim. Później Henry'emu udało się namówić Matthew i Gallowglassa do gry w smoczą paszczę, więc wyłożyli na płaski talerz rodzynki, zalali je brandy i podpalili. Właśnie zaczęli się zakładać, kto zje ich najwięcej, gdy z ulicy dobiegł śpiew kolędników. Niezbyt przejmowali się tonacją, a ci, którzy nie znali słów, uzupełniali tekst pikantnymi szczegółami osobistego życia Józefa i Maryi.

- Proszę, milordzie - powiedział Pierre do Matthew i podał mu mieszek z monetami.

- Mamy jakieś ciastka? - zapytał Matthew, zwracając się do Françoise.

Popatrzyła na niego jak na wariata.

- Oczywiście, że tak. Są w nowym kredensie na półpiętrze, żeby zapach nikogo nie drażnił - odparła, wskazując schody. - W zeszłym roku dostali wino, ale dziś chyba nie będzie im potrzebne.

- Pójdę z tobą, Matt - dołączył się Henry. - Nie ma to jak dobra kolęda w Wigilię.

Na widok Matthew i Henry'ego chór z dołu wyraźnie zdwoił wysiłki.

Kiedy kolędnikom jakoś udało się dobrać do końca, Matthew podziękował i wręczył im monety. Henry poczęstował ich ciastkami. Gdy rozniosła się wieść, że to sam hrabia Northumberland, rozległy się przyciszone podziękowania wśród mnóstwa ukłonów i całe towarzystwo przeniosło się pod następną kamienicę, zgodnie z tajemnym planem, który miał mu zapewnić najlepsze kąski i zapłatę.

W końcu nie potrafiłam już ukryć ziewania, więc Henry i Gallowglass zaczęli wkładać rękawiczki i płaszcze. Kierując się ku drzwiom, obaj uśmiechali się jak swaci, zadowoleni z wypełnionego zadania. Matthew położył się obok mnie w łóżku i obejmował mnie, aż zasnęłam; nucił kolędy i wymieniał nazwy miejskich dzwonów, które odzywały się po kolei, wybijając godzinę.

- Ten jest od Świętej Mary-le-Bow - powiedział, nasłuchując odgłosów miasta. - A ten od Katherine Cree.

- Czy to u Świętego Pawła? - spytałam, gdy rozległ się długi, jasny kurant.

- Nie. Piorun zniszczył nie tylko wieżę, ale i dzwony. To od Świętego Zbawiciela. Mijaliśmy ten kościół po drodze.

Pozostałe londyńskie dzwony dołączyły do katedry z Southwark. Na koniec odezwał się jakiś maruder i ten dysonans był ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszałam, zanim zapadłam w sen.

W środku nocy obudziły mnie głosy - dochodziły z gabinetu Matthew.

Pomacałam łóżko; jego miejsce było puste. Skórzane pasy pod materacami zaskrzypiały i rozciągnęły się, gdy zeskoczyłam na zimną podłogę. Zadygotałam i wychodząc, otuliłam się szalem.

Sądząc po kałużach wosku wokół płytkich lichtarzy, Matthew pracował od kilku godzin. Towarzyszył mu Pierre -stał obok półek wbudowanych we wnękę przy kominku. Wyglądał, jakby ktoś przeciągnął go przez muliste dno Tamizy podczas odpływu.

- Obszedłem całe miasto z Gallowglassem i jego irlandzkimi kumplami - mruknął. - Nawet jeśli Szkoci wiedzą coś więcej o dyrektorze tej szkoły, nie podzielą się tym z nami, milordzie.

- O jakim dyrektorze? - spytałam i dołączyłam do nich. Dopiero teraz dostrzegłam wąskie drzwi ukryte w drewnianej boazerii.

- Wybacz, madame. Nie chciałem cię obudzić. - Choć Pierre miał brudną twarz, dostrzegłam na niej zakłopotanie. Cuchnął tak, że łzy stanęły mi w oczach.

- Nic nie szkodzi, Pierre. Idź już. Później cię znajdę. -Matthew odczekał, aż służący szybko umknie z gabinetu, w butach mlaszczących od wilgoci. Wzrok mojego męża powędrował ku ceniom tańczącym wokół kominka.

- Pomieszczenia za tymi drzwiami nie było w programie zwiedzania - stwierdziłam, stając u jego boku. - Co się dzieje?

- Nowe wieści ze Szkocji. Sąd skazał na śmierć Johna Fiana, czarownika i dyrektora szkoły w Prestonpans. Kiedy mnie nie było, Gallowglass próbował dowiedzieć się, ile jest prawdy w obłądnych oskarżeniach, które padły na procesie: oddawanie czci szatanowi, ćwiartowanie zwłok na cmentarzu, zamiana krecich łapek w sztuki srebra, dzięki czemu zawsze miał przy sobie pieniądze, wyprawa na morze w towarzystwie diabła i Agnes Sampson, żeby zniweczyć plany króla. -

Matthew rzucił na stół kartkę papieru. - O ile się orientuję, Fian należy do istot zwanych niegdyś *tempestarii*, i nic poza tym.

- Wietrzny albo wodny czarownik - przetłumaczyłam to słowo.

- Właśnie. - Matthew skinął głową. - Fian dorabiał sobie do nauczycielskiej pensji, wywołując burze w czasie suszy i sprowadzając odwilż, kiedy szkocka zima nie miała ochoty odejść. Z tego, co wiemy, jego ziomkowie go uwielbiali. Nawet uczniowie wychwalali go pod niebiosa. Być może miał odrobinę daru jasnowidzenia: podobno przepowiedział śmierć kilku osób, ale to może być wymysł Kita, który ubarwił swoją opowieść na użytek angielskiej publiki. Jak pewnie pamiętasz, ma obsesję na punkcie magicznego trzeciego oka.

- Czarownicy często padają ofiarą zmiennych nastrojów w sąsiedztwie, Matthew. Ci, co chwilę temu byli przyjaciółmi, potrafią nas wygnać z miasta, albo i gorzej.

- Fiana spotkał zdecydowanie gorszy los - przytaknął ponuro Matthew.

- Wyobrażam sobie. - Przeszył mnie dreszcz. Jeśli torturowano go tak jak Agnes Sampson, zapewne wyczekiwał śmierci jak zbawienia. - Co jest w tym pokoju?

Matthew miał ochotę odpowiedzieć, że to tajemnica, ale zrezygnował, dając tym dowód rozsądku. Wstał.

- Lepiej będzie, jeśli sam ci pokażę. Tylko trzymaj się blisko mnie.

Jeszcze nie świta, więc nie możemy pójść tam ze świecą, bo ktoś z zewnątrz może dostrzec światło. Uważaj, nie potknij się.

Bez słowa skinęłam głową i chwyciłam go za rękę.

Przeszliśmy przez próg do długiej komnaty. Pod belkami ciągnął się szereg okienek wąskich jak otwory strzelnicze. Po kilku chwilach oczy przyzwyczyły mi się do ciemności i zaczęły się z niej wyłaniać szare kontury. Dwa stare ogrodowe krzesła z wikliny stały naprzeciwko, obrócone do siebie wygiętymi oparciami. Na środku umieszczono dwa rzędy zniszczonych, niskich ław. Na każdej z nich ktoś rozłożył kolekcję dziwnych przedmiotów: książek, dokumentów, kapeluszy i odzieży. Z prawej strony załśnił metal: miecze wbite w coś rękojeścią do góry, a głownią w dół. Tuż obok na podłodze piętrzył się stos sztyletów.

Rozległo się drapanie i szybki tupot małych łapek.

- Szczury. - Głos Matthew zabrzmiał obojętnie, ale ja instynktownie otuliłam nogi szlafrokiem. - I ja, i Pierre staramy się je przeganiać, ale nie da się ich pozbyć na dobre. Te wszystkie papiery są dla nich pokusą nie do odparcia.

Uniósł rękę, a ja dopiero wtedy dostrzegłam dziwne girlandy na ścianach. Podeszłam bliżej i zaczęłam się im przyglądać. To były dokumenty; wisały na cienkich, poskręconych sznurkach przybitych do ścian gwoździami o kwadratowych łebkach. Końcówkę każdego sznurka przywiązano do gwoździa mocującego go na górze, tworząc papierowe wianki.

- Jeden z pierwszych na świecie systemów porządkowania akt.

Twierdzisz, że skrywam wiele sekretów - powiedział cicho i zakołysał jedną z girland. - Masz teraz o jeden argument więcej.

- Nie jeden, ale tysiące.

Niemożliwe, żeby nawet tysiącpięćsetletni wampir zgromadził tyle dokumentów.

- To prawda - przytaknął Matthew. Obserwował, jak rozglądam się po komnacie, pochłaniając wzrokiem archiwum, o które bardzo dbał. -

Pamiętamy to, o czym inne istoty chcą zapomnieć. Dzięki temu Rycerze Łazarza mogą chronić swoich podopiecznych. Niektóre z tych tajemnic sięgają czasów panowania dziadka królowej. Większość najstarszych akt przenieśliśmy już w bezpieczne miejsce, do Sept-Tours.

- Tyle papierowych tropów - mruknęłam. - I wszystkie w końcu prowadzą do ciebie i de

Clermontów.

Pokój wyblakł, widziałam tylko pętle i zakrętasy słów, które rozwijały się w długie, posplatane ze sobą włókna. Powstała z nich mapa powiązań między tematami, autorami, datami... w tych krzyżujących się ze sobą liniach było coś, co powinnam zrozumieć.

- Przeglądałem te papiery, kiedy zasnął, szukałem informacji o Fianie. Myślałem, że będzie tu o nim jakaś wzmianka. - Matthew poprowadził mnie z powrotem do gabinetu. - Coś, co powie nam, dlaczego sąsiedzi zwrócili się przeciw niemu. Przecież musi istnieć jakiś wzorzec wyjaśniający zachowania ludzi.

- Jeśli go odkryjesz, moi przyjaciele historycy chętnie go poznają.

Tylko że zrozumienie tego, co się stało z Fianem, nie gwarantuje, że ochronisz mnie przed czymś podobnym.

Mięsień drgnął w szczęce Matthew, a więc trafiłam w sedno.

- Przedtem ta sprawa na pewno nie obeszła cię aż tak bardzo.

- Jestem już inny; nie potrafię obojętnie patrzeć na te wszystkie cierpienia i nie chcę powrotu do dawnego siebie. - Matthew odsunął swój fotel i ciężko nań opadł. - Musi być coś, co mógłbym zrobić w tej sprawie.

Objęłam go. Był tak wysoki, że nawet gdy siedział, jego głowa sięgała mojej klatki piersiowej. Wtulił się we mnie. Znieruchomiał, a potem odsunął się powoli, nie spuszczając wzroku z mojego brzucha.

- Diano. Ty jesteś... - umilkł.

- W ciąży. Tak mi się właśnie zdawało - odparłam rzeczowo. -

Miesiączki mam nieregularne od czasu Juliette, więc nie byłam pewna. W drodze z Calais do Dover dostałam mdłości, ale morze mocno się wzburzyło, a poza tym ryba, którą jadłam przed wyjściem z portu, wyglądała mocno podejrzanie.

Wciąż wpatrywał się we mnie.

- Moja nauczycielka ze szkoły średniej miała rację: naprawdę można zajść w ciążę po pierwszym razie z chłopakiem - wyrzuciłam z siebie nerwowo.

Policzyłam dni i byłam prawie pewna, że dziecko zostało poczęte w czasie naszego ślubnego weekendu. Nadal milczał.

- Powiedz coś, Matthew.

- To niemożliwe - bąknął oszołomiony.

- Wszystko, co do tej pory zdarzyło się między nami, było niemożliwe. - Położyłam na

brzuchu drżącą dłoń.

Matthew splótł palce z moimi i w końcu spojrzał mi prosto w oczy.

Zdziwiłam się, bo zobaczyłam w nich podziw, dumę i cień paniki.

Uśmiechnął się. Cieszył się niesamowicie.

- Co będzie, jeśli okażę się niedobrą matką? - spytałam niepewnie. -

Ty już byłeś ojcem, więc wiesz, co robić.

- Będiesz doskonałą matką - odpowiedział natychmiast. - Dzieci przede wszystkim potrzebują miłości, dorosłego, który weźmie za nie odpowiedzialność, i miękkiego lądowania. - Pieszczotliwie przesunął naszymi splecionymi dłońmi po brzuchu. - Pierwszą i drugą potrzebą zajmiemy się oboje. Trzecia to twoja sprawa. Jak się czujesz?

- Fizycznie trochę zmęczona i nieswoja. Emocjonalnie... nie mam pojęcia, od czego zacząć - odparłam drżącym szeptem. - Czy to normalne, żeby naraz odczuwać strach, złość i czułość?

- Tak, a do tego jeszcze radosne napięcie i obłądne przerażenie - uzupełnił łagodnie.

- Wiem, że to śmieszne, ale boję się, że moja magia może skrzywdzić dziecko, choć przecież tysiące czarownic co rok rodzą dzieci.

Tylko że nie są żonami wampirów.

- To nie jest zwykłe poczęcie - powiedział, czytając mi w myślach. - Pomimo wszystko uważam, że nie powinnaś się tym przejmować.

W jego oczach pojawił się cień. Dosłownie widziałam, jak dopisuje jeszcze jedno zmartwienie do swojej listy.

- Nie chcę nikomu o tym mówić. Jeszcze nie. - Pomyślałam o pokoju za ścianą. - Czy w twoim życiu znajdzie się miejsce na jeszcze jeden sekret? Przynajmniej na krótki czas?

- Oczywiście - odparł bez wahania. - Cięża nie będzie widoczna jeszcze przez kilka miesięcy. Tylko że Françoise i Pierre natychmiast się zorientują po twoim zapachu, jeśli już jej nie wyczuli. Hancock i Gallowglass też. Na szczęście wampiry zwykle nie zadają osobistych pytań.

Zaśmiałam się cicho.

- A więc to chyba ja ujawnię naszą tajemnicę. Ty jesteś taki skryty, że nikt się tego nie domyśli po twoim zachowaniu.

- Nie bądź tego taka pewna. - Uśmiechnął się szeroko i przykrył moje palce swoimi. Trudno o bardziej opiekuńczy gest.

- Jeśli będziesz mnie w ten sposób dotykał, wszyscy od razu się zorientują - mruknęłam z przekąsem i pogładziłam go po ramieniu.

Zadygotał. - Ciepły dotyk nie powinien przyprawiać o drżenie.

- Słusznie, powód był całkiem inny. - Wstał, zasłaniając sobą światło świec.

Na ten widok serce zabiło mi mocniej. Uśmiechnął się i pociągnął mnie w stronę łóżka. Zrzuciliśmy ubrania na podłogę, gdzie wyglądały jak dwie białe kałuże, odbijając srebrzysty blask, który sączył się przez okna.

Matthew lekkim jak piórko dotykiem muskał miejsca, gdzie moje ciało zaczęło się już nieco zmieniać. Pieścił każdy cal delikatnej skóry, ale jego chłodna koncentracja raczej wzmagala ból, niż go koiła. Każdy pocałunek był niełatwy, skomplikowany - jak nasze wspólne, rodziciel-skie emocje - natomiast słowa, które szeptał w ciemności, kazały mi się skupić wyłącznie na nim. Gdy nie mogłam już znieść oczekiwania, znalazł się we mnie, spokojny i czuły, taki jak jego pocałunki. Wygięłam się w łuk, by być bliżej niego. Znieruchomiał. W tej pozycji znalazł się przy samej szyjce macicy. Przez ten krótki moment, który zamknął w sobie wieczność, ojciec, matka i dziecko dzielili wspólnie największą bliskość, jaka może być dana trzem istotom.

- Oddaję ci całe moje serce, całe moje życie - szepnął, poruszając się we mnie.

Krzyknęłam, a Matthew przytulił mnie i trzymał, aż przestałam dygotać. Potem obsypał pocałunkami moje ciało, poczynając od trzeciego oka czarownicy, muskając wargi, szyję, mostek, splot słoneczny, aż dotarł do brzucha. Spojrzał na mnie, pokręcił głową i uśmiechnął się jak młody chłopak.

- Zrobiliśmy dziecko - powiedział oszołomiony.

- No tak - odparłam z uśmiechem.

Wsunął ręce między moje uda i rozłożył je szeroko. Jedną objął kolano, a drugą biodro. Z zadowolonym westchnieniem ułożył się na moim brzuchu jak na poduszce. W kompletnej ciszy czekał na cichy szum krwi, która teraz odżywiała także nasze dziecko. Kiedy go usłyszał, przechylił głowę i spojrzał mi w oczy. Uśmiechnął się szczerym, pro-miennym uśmiechem, a potem znów czuwał.

W blasku świec w ten świąteczny poranek czułam spokojną moc, która płynie z dzielenia się miłością z inną istotą. Przestałam być samotnym meteorem mknącym przez przestrzeń i czas, a stałam się częścią skomplikowanego układu planetarnego. Musiałam się nauczyć, jak zachowywać własny środek ciężkości, gdy pociągały mnie ku sobie ciała o wiele większe i potężniejsze ode mnie. W przeciwnym razie Matthew, de Clermontowie i nasze dziecko - a także Kongregacja - mogliby stracić mnie z orbity.

Zbyt mało czasu spędziłam z matką, ale przez tych siedem lat dużo mnie nauczyła. Pamiętałam jej bezwarunkową miłość, objęcia, w których tonęłam całymi dniami - jak mi się wtedy wydawało - i to, że zawsze była przy mnie, kiedy jej potrzebowałam. Matthew miał rację:

dzieci potrzebują miłości, kogoś, na kim mogłyby polegać, i dorosłych, którzy wezmą za nie odpowiedzialność. Nadszedł czas, by wykorzystać nasz pobyt tutaj jako ostatnią szansę odkrycia samej siebie, zamiast traktować go jako zaawansowane seminarium na temat szekspirowskiej Anglii.

Tylko w ten sposób będę mogła pomóc naszemu dziecku w znalezieniu własnego miejsca w świecie.

Ale najpierw musiałam znaleźć czarownicę.



## ROZDZIAŁ 16

Weekend spędziliśmy w domowym zaciszu, radując się naszą tajemnicą i snując domysły typowe dla wszystkich przyszłych rodziców.

Czy najmłodszy członek klanu de Clermontów będzie miał szare oczy ojca albo moje niebieskie? Czy ulubi sobie nauki ścisłe, czy historię? Czy będzie miał zręczne ręce jak Matthew, czy dwie lewe jak ja? Co do płci, mieliśmy odmienne zdania. Ja byłam przekonana, że to chłopiec, a Matthew - że dziewczynka.

Zmęczeni i uszczęśliwieni zrobiliśmy sobie przerwę i nie myśląc więcej o przyszłości i nie ruszając się z ciepłego domu, zajęliśmy się podziwianiem przez okna panoramy XVI-wiecznego Londynu.

Najpierw wyjrzelśmy na Water Lane; wypatrzyłam nad domami odległe wieże westminsterskiej katedry; zwiedzanie zakończyliśmy, siadając na krzesłach przyciągniętych pod okno sypialni i spoglądając na Tamizę.

Ani zimno, ani świąteczny dzień nie przeszkodziły rzeczonym pracownikom: jak co dnia przewozili towary i pasażerów na oba brzegi rzeki. Na końcu naszej uliczki grupka wioślarzy do wynajęcia skupiła się przy schodach prowadzących nad wodę. Ich puste łodzie kołysały się na falach.

Wieczorem, gdy patrzyliśmy na wzbierające i opadające pływy, Matthew podzielił się ze mną swoimi wspomnieniami o mieście.

Opowiedział o wielkich mrozach w XV wieku, kiedy Tamiza zamarzła na ponad trzy miesiące - tak długo, że na łodzie postawiono tymczasowe stragany, by obsługiwać pieszych. Wspominał też swoje jałowe lata w Thavies Inn, gdy po raz czwarty i ostatni podjął studia na wydziale prawa.

- Cieszę się, że zobaczysz to wszystko, zanim wyjedziemy - powiedział, ściskając moją dłoń.

Jedna po drugiej zapalały się lampy na dziobach łodzi, w oknach domów i zajazdów.

- Może nawet znajdziemy trochę czasu, żeby wpaść na zakupy do Royal Exchange.

- Wracamy do Woodstock? - spytałam, zdziwiona.

- Może na chwilę. Ale potem do naszej terażniejszości. Wpatrywałam się w niego bez

słowa, zbyt zaskoczona, by mówić.

- Nie wiemy, czego się spodziewać w okresie ciąży, więc dla twojego bezpieczeństwa... i dla dobra dziecka, musimy ją obserwować. Trzeba zrobić badania, należałoby też obejrzeć USG. Poza tym pewnie chciałabyś być teraz z Sarah i Emily.

- Matthew, przecież na razie nie możemy wrócić do domu - zaprotestowałam. - Jeszcze nie wiem, jak to zrobić.

Odwrócił się do mnie.

- Em jasno nam to wytłumaczyła przed odjazdem. Do podróży wstecz potrzeba trzech przedmiotów, które przenoszą w żądany czas. Żeby przenieść się w przyszłość, potrzeba czarów, ale ja ich nie znam. Po to tu przybyliśmy.

- W żadnym razie nie możesz donosić tu dziecka - zerwał się z krzesła.

- Przecież w XVI wieku kobiety też rodziły - odparłam spokojnie. -

Poza tym czuję się dobrze. To dopiero początek ciąży.

- Ale czy potem wystarczy ci mocy, żeby przenieść w przyszłość i ją, i mnie? Nie, musimy zabrać się stąd jak najprędzej, na długo przed porodem. - Matthew nagle umilkł. - A jeśli podróże w czasie są szkodliwe dla płodu? Co wtedy? Magia to jedno, ale to... - usiadł gwałtownie.

- Na razie nic się nie zmieniło - starałam się go uspokoić. - Dziecko jest nie większe niż ziarenko ryżu. Teraz, gdy dotarliśmy do Londynu, bez trudu znajdziemy kogoś, kto pomoże mi w magii... nie wspominając o kimś, kto zna się na podróżach w czasie lepiej niż Sarah i Em.

- Jest wielkości fasolki - poprawił mnie Matthew. Zamilkł, zamyślił się i po długiej chwili podjął decyzję. -Wszystkie najważniejsze momenty rozwoju płodu zachodzą w ciągu pierwszych sześciu tygodni. Masz sporo czasu.

Mówił jak lekarz, a nie ojciec. Chyba wolałam jego archaiczną furię od nowoczesnego obiektywizmu.

- To zaledwie kilka tygodni. A jeśli będę potrzebowała więcej? Na przykład siedmiu?

Gdyby była z nami Sarah, na pewno by go ostrzegła, że kiedy mówię tak rozsądnie, należy się spodziewać najgorszego.

- Siedem tygodni to nie problem - odparł, zatopiony we własnych myślach.

- Och, to świetnie. Nie chciałabym, żeby ktoś mnie popędzał, kiedy próbuję się dowiedzieć, kim naprawdę jestem - oświadczyłam i ruszyłam ku niemu.

- Diano, to nie jest... Stanęłam z nim twarzą w twarz.

- Na pewno nie zostanę dobrą matką, jeśli nie dowiem się więcej o mocy, którą mam we krwi.

- To nie jest dobre...

- Nie waż mi się klarować, że to nie jest dobre dla dziecka. Nie jestem jakąś tam nosicielką czegoś, tylko matką. - Kipiałam ze złości. - Najpierw potrzebowałeś mojej krwi do naukowych eksperymentów, a teraz chcesz dziecka.

Matthew, niech go szlag trafi, stał spokojnie. Skrzyżował ramiona na piersi i patrzył na mnie twardo szarymi oczami.

- No i? - rzuciłam.

- Jakie „no i”? Wygląda na to, że mój udział w tej rozmowie jest zbędny. Kończysz za mnie zdania, więc równie dobrze możesz je także zaczynać.

- To nie ma nic wspólnego z hormonami - zdenerwowałam się.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że właśnie dostarczyłam kolejnego dowodu przeciwko sobie.

- Nie wpadłbym na to, gdybyś sama nie wspomniała.

- Akurat. Uniósł brew.

- Jestem taka sama, jak trzy dni temu. Cięża to nie choroba.

Przybyliśmy tu z konkretnych powodów, które się nie zmieniły. Nawet nie zaczęliśmy na dobre szukać *Ashmole 782*.

- *Ashmole 782*? - Matthew prychnął z irytacją. - Wszystko się zmieniło i nie jesteś tą samą osobą, co wcześniej. Nie możemy ukrywać tej ciąży w nieskończoność. Za kilka dni każdy wampir bez trudu wyczuje zmianę w twoim ciele. Kit zorientuje się równie szybko i zacznie pytać, kto jest ojcem... bo przecież nie ja, prawda? Czarownica w ciąży żyjąca w związku z odmieńcem wzbudzi nienawiść wszystkich istot w tym mieście, nawet tych, które niezbyt przejmują się umową. W końcu ktoś poskarży się Kongregacji. Mój ojciec zażąda, żebyśmy dla twojego bezpieczeństwa wrócili do Sept-Tours. Nie wytrzymam, jeśli będę musiał pożegnać się z nim raz jeszcze. - Jego głos wznosił się coraz wyżej z każdym kolejnym problemem.

- Nie pomyślałam...

- Wiem - przerwał. - Nie pomyślałaś. Nic dziwnego. Chryste, Diano.

Przedtem tylko zawarliśmy zakazane małżeństwo. To nic wyjątkowego.

Teraz nosisz moje dziecko. A to jest nie tylko wyjątkowe, ale niemożliwe, przynajmniej według większości nadprzyrodzonych istot. Trzy tygodnie, Diano. Ani chwili dłużej. - Był nieugięty.

- Może do tej pory nie uda się znaleźć czarownicy, która chciałaby nam pomóc - nalegałam. - Szczególnie ze względu na wydarzenia w Szkocji.

- A kto tu mówi o chęciach? - Uśmiech Matthew mnie zmroził.

- Pójdę do salonu poczytać.

Odwróciłam się i ruszyłam do drzwi; chciałam znaleźć się jak najdalej od niego. Dосkoczył do mnie i zablokował wyjście ramieniem.

- Nie zamierzam cię utracić, Diano - oznajmił spokojnie, ale z naciskiem. - Nie z powodu poszukiwań alchemicznego manuskryptu i nie ze względu na nienarodzone dziecko.

- A ja nie zamierzam utracić samej siebie - odparowałam. - Nie będę pobłażać twojej potrzebie sprawowania władzy. Najpierw muszę odkryć, kim naprawdę jestem.

W poniedziałek znowu siedziałam w salonie, kartkowałam *Królową Wróżek* i nudziłam się jak mops, kiedy ktoś otworzył drzwi.

Goście. Z radością zamknęłam książkę.

- Chyba nigdy nie odtajam. - W progu stanął ociekający wodą Walter, a wraz z nim George i Henry, równie przemoczeni i zziębnięci.

- Dzień dobry, Diano. - Henry kichnął, po czym powitał mnie oficjalnym ukłonem. Potem ruszył do kominka i z jękiem rozprostował palce nad ogniem.

- Gdzie jest Matthew? - spytałam, gestem zapraszając George'a, by usiadł.

- Z Kitem. Zostawiliśmy ich u księgarza. - Walter machnął ręką w stronę Świętego Pawła. - Umieram z głodu. Gulasz, który Kit zamówił na obiad, okazał się niejadalny. Matt prosił, żeby Françoise zrobiła nam coś do jedzenia. - Psozny uśmiech Raleigha zdradzał, że łże.

Właśnie kończyli dokładkę i trzecią kolejkę wina, kiedy pojawił się Matthew z Kitem i naręczem książek. Jego nowe uczesanie było widowym dowodem talentu jednego z tych golibrodów czarodziejów, o których tyle słyszałam. Zgrabnie przystrzyżone wąsy podkreślały pełne usta, a niewielka bródka została starannie uformowana według najnowszej mody. Za nim szedł Pierre, taszcząc płócienny worek pełen prostokątnych i kwadratowych foliałów.

- Dzięki Bogu - Walter z aprobatą kiwnął głową. - Teraz jesteś bardziej podobny do siebie.

- Witaj, kochanie - Matthew pocałował mnie w policzek. - Poznajesz mnie?

- Tak, chociaż wyglądasz jak pirat - zaśmiałam się w odpowiedzi.

- Święta prawda, Diano. Są do siebie podobni z Walterem jak bracia - przyznał Henry.

- Dlaczego stale nazywasz żonę Matthew po imieniu, Henry? Czy pani Roydon to teraz

twoja podopieczna? A może siostra? Jeśli nie, to da się to wyjaśnić tylko w jeden sposób: zamierzasz ją uwieść - mruknął Marlowe, zapadając się w fotel.

- Kit, zostaw gniazdo szerszeni w spokoju - skarcił go Walter.

- Mam parę spóźnionych świątecznych prezentów - powiedział

Matthew, podsuwając mi stos woluminów.

- Książki.

A jakże, i to całkiem nowe. Poczułam się niesamowicie, gdy sztywne jeszcze okładki protestowały skrzypieniem przy otwieraniu, a papier pachniał nowością i ostrym aromatem inkaustu. Zwykle widywałam takie tomy w czytelniach, w mocno sfatygowanym stanie, a nie nowe i na własnym stole w jadalni. Na wierzchu leżała niezapisana księga, w zamian za tę, która została w Oksfordzie. Pod nią znalazłam pięknie oprawiony modlitewnik. Na ozdobnej stronie tytułowej widniała pochylona postać biblijnego patriarchy Jessego. Z jego brzucha wyrastało rozłożyste drzewo. Zmarszczyłam czoło. Po co Matthew kupił mi modlitewnik?

- Przewróć stronę - zachęcił.

Poczułam w dole pleców ciężki, spokojny dotyk jego dłoni.

Na odwrocie był drzeworyt klęczącej, rozmodlonej królowej Elżbiety.

Każdą stronę zdobiły szkielety, biblijne postaci i klasyczne personifikacje cnót. Książka była połączeniem tekstu i obrazów, tak samo jak alchemiczne traktaty, które niegdyś studiowałam.

- Szanująca się męzatka powinna mieć właśnie takie książki - powiedział Matthew z uśmiechem, a potem konspiracyjnie ściszył głos: - To powinno zaspokoić twoją potrzebę zachowania pozorów. Nie martw się. Kolejny tom nie jest już taki nobliwy.

Odłożyłam modlitewnik i wzięłam gruby wolumin, który mi podał.

Strony zszyto i wsunięto w ochronną okładkę z grubego welinu. Wstęp obiecywał, że czytelnik pozna wszystkie objawy wszelkich chorób trapiących ludzkość, wraz z lekami i kuracjami.

- Religijne książki są chętnie kupowane na prezent i łatwo się sprzedają. Księgi medyczne mają mniejszy krąg czytelników i są bardzo drogie, więc oprawia się je tylko na zamówienie - wyjaśnił Matthew, widząc, że gładzę cienką okładkę. Podał mi jeszcze jeden tom. - Na szczęście, w tym przypadku zamówiłem oprawę. Książka dopiero ukazała się w druku i na pewno stanie się bestsellerem.

Tom był oprawny w gładką czarną skórę, ozdobioną kilkoma wyciskanymi, srebrnymi wzorkami. Wewnątrz kryło się pierwsze wydanie *Arkadii* Philipa Sidneya.

*Arkadia*. Zaśmiałam się, wspominając, z jaką niechęcią czytałam ją w szkole.

- Czarownicy trzeba do życia czegoś więcej niż modlitwa i ciało. - Oczy Matthew zabłysły psotnie, wąsy załaskotały, kiedy mnie pocałował.

- Będę się musiała przyzwyczaić do twojej nowej twarzy - zaśmiałam się. Potarłam dłonią usta, zaskoczona szorstkim dotykiem.

Hrabia Northumberland spojrział na mnie jak na konia, który potrzebuje treningu.

- Tych kilka tytułów nie zajmie Diany na długo. Przyzwyczała się do bardziej urozmaiconego trybu życia.

- Racja. Ale raczej nie powinna włóczyć się po mieście i nauczać pospólstwa alchemii. - Wargi Matthew rozciągnęły się w grymasie rozbawienia. Z godziny na godzinę jego akcent i słownictwo coraz bardziej pasowały do epoki. Pochylił się nade mną, powąchał wino w dzbanie i skrzywił się: - Czy jest tu jakiś napitek niedoprawiony goździkami i pieprzem? Co za okropny zapach.

- Może Diana ucieszyłaby się z towarzystwa Mary - powiedział Henry, który nie dosłyszał ostatniej uwagi.

Matthew spojrział na niego.

- Mary?

- Zdaje mi się, że są rówieśniczkami i mają podobne charaktery, a nadto obie są niezwykle wykształcone.

- Hrabina jest nie tylko wykształcona; ma też niezwykle talent do wywoływania pożarów - stwierdził Kit i szczerze dolał wina do swojego pucharka. Potem wetknął do niego nos i zaciągnął się głęboko.

Rzeczywiście pachniało przyprawami. - Trzymaj się z dala od jej kominków i palenisk, miła pani Roydon, chyba że chcesz mieć modnie wystrzępioną grzywkę.

- Od palenisk? - Zainteresowała mnie ta kobieta.

- Ach, tak. Hrabina Pembroke - stwierdził George i oczy mu zabłysły na myśl o patronacie.

- Nic z tego. - Poznałam już Raleigha, Chapmana i Marlowe'a i czułam, że sław literackich wystarczy mi na całe życie. Hrabina była najbardziej znaną literatką w kraju i siostrą sir Philipa Sidneya. - Nie jestem gotowa na spotkanie z Mary Sidney.

- Mary Sidney też nie jest gotowa na spotkanie z tobą, mistress Roydon, mimo to uważam, że Henry ma rację. Wkrótce znużą cię znajomi Matthew i będziesz musiała poszukać sobie własnych. Jeśli tego nie zrobisz, czeka cię niechybnie beczyność i melancholia.

Walter skinął głową w stronę Matthew.

- Powinieneś zaprosić Mary na kolację.

- Cafe Blackfriars by stało, gdyby na Water Lane zjawiała się hrabina Pembroke. Lepiej niech pani Roydon sama zawita do zamku Baynard. To przecież tuż za murami -poradził Marlowe w nadziei, że się mnie w końcu pozbędzie.

- Diana musiałaby wyjść do miasta - odparł z naciskiem Matthew.

Marlowe prychnął lekceważąco.

- Mamy przerwę między świętami a Nowym Rokiem. Nikt nie zwróci uwagi na dwie męzkatki plotkujące nad pucharem wina.

- Chętnie ją zaprowadzę - zaproponował Walter. - Może Mary zechce poznać więcej szczegółów mojej wyprawy do Nowego Świata.

- Poszukaj sobie innej okazji, żeby namówić hrabinę na inwestycje w Wirginii. Jeśli Diana tam pójdzie, to tylko w moim towarzystwie. -

Matthew spojrzał na nich ostro. -Nie wiecie, czy Mary zna jakieś czarownice?

- Jest kobietą, prawda? To oczywiste, że zna - odparł Marlowe.

- Mam do niej napisać, Matt? - spytał Henry.

- Dzięki, Hal. - Matthew wyraźnie nie był przekonany co do tego planu. Po chwili westchnął. - Dawno jej nie widziałem. Napisz, że wybierzemy się tam jutro.

Moja początkowa niechęć do spotkania z Mary Sidney rozwiewała się, w miarę gdy zbliżała się pora spotkania. Im więcej przypominałam sobie wzmianek o hrabinie i dowiadywałam się nowych rzeczy, tym większy ogarniał mnie entuzjazm.

Françoise była niezwykle podniecona wizytą i prawie godzinę dobierała mi suknię. Wybrała szczególnie bogaty koronkowy kołnierz i umocowała go wokół dekoltu czarnego aksamitnego kabata, który Marie uszyła mi we Francji. Uprała też i uprasowała moją bardzo twarzową suknię w kolorze jesiennych liści, z czarnymi aksamitnymi wstęgami. Suknia i kabat świetnie ze sobą harmonizowały, tworząc barwną kompozycję. Françoise pomogła mi się ubrać i stwierdziła, że jest nieźle, choć wyglądam nieco zbyt surowo i germańsko jak na jej gust.

Pochłonęłam w południe parę łyżek gulaszu z królika z kaszą jęczmienną, żeby nie opóźniać naszego wyjścia. Matthew wolno popijał wino i odpytywał mnie po łacinie z tego, co robiłam rano. Minę miał iść szatańską.

- Jeśli chcesz mnie tym doprowadzić do szału, to właśnie ci się udało! - burknęłam, kiedy poczęstował mnie szczególnie zawikłanym pytaniem

- *Refem mihi in latine, quaeso* - odparł profesorskim tonem. - Proszę, odpowiadaj mi po łacinie.

Rzuciłam w niego kawałkiem chleba, ale uchylił się ze śmiechem.

W tym momencie wszedł Henry Percy i sprawnie złapał chleb jedną ręką. Bez słowa odłożył go na stół, uśmiechnął się mile, a potem spytał, czy jesteśmy gotowi do wyjścia.

W cieniu przy drzwiach do szewskiego warsztatu zmaterializował się bezszelestnie Pierre i ruszył ulicą z buńczucznią miną, trzymając dłoń na rękojeści sztyletu. Kiedy Matthew skręcił w stronę centrum, przed nami wyrosła katedra Świętego Pawła.

- Nie ma szans, żebym się zgubiła, jak długo mieszkamy tuż obok niej - mruknęłam.

W miarę gdy zbliżaliśmy się do katedry, moje zmysły przyzwyczajały się do zamętu i po pewnym czasie mogłam już wychwycić poszczególne dźwięki, zapachy i obrazy. Piekący się chleb. Płonący węgiel. Drzewny dym. Fermentacja. Śmieci splukane wodą, dzięki wczorajszym deszczom. Mokra wełna. Odetchnęłam głęboko i zanotowałam w pamięci, żeby nigdy więcej nie mówić studentom o odrażających zapachach, które by ich powaliły, gdyby przenieśli się w czasie w średniowiecze. Przekonałam się, że to wierutna bzdura, przynajmniej pod koniec grudnia.

Gdy tak szliśmy, mężczyźni i kobiety podnosili wzrok i wyglądali z okien, nie kryjąc ciekawości, a potem z szacunkiem pochylali głowy, rozpoznając Matthew i Henry'ego. Minęliśmy drukarnię, potem balwierza, który akurat strzygł komuś włosy, i przeszliśmy obok warsztatu, w którym wrzała praca. Sądząc po dźwięku młotów i powiewach gorącego powietrza, należał do jakiegoś kowala.

Coraz bardziej oswajałam się z otoczeniem i wkrótce mogłam skupić się na tym, co mówili przechodnie, na fakturze ich ubrań i wyrazie twarzy. Matthew wspominał, że w okolicy mieszka paru cudzoziemców, ale ten gwar brzmiał jak jedna wielka wieża Babel. Odwróciłam głowę.

- Po jakimu ona mówi? - zapytałam, rzucając okiem na pulchną kobietę w ciemnoszafirowym kabacie obramowanym futrem, skrojonym podobnie jak mój.

- Jakimś niemieckim dialektem - odparł, pochylając się do mnie, żebym go dosłyszała w tym ulicznym hałasie.

Minęliśmy łukowaty otwór starej rogatki. Zaułek zmienił się w ulicę, na której jakimś cudem zachował się prawie cały bruk. Po prawej stronie tętnił życiem ogromny, wielopiętrowy budynek.

- Klasztor dominikanów - wyjaśnił Matthew. - Kiedy król Henryk wygnał mnichów, budynek popadł w ruinę, a potem zamieniono go na mieszkania. Trudno powiedzieć, ilu ludzi tam się teraz gnieździ. - Rzucił okiem w głąb dziedzińca, gdzie wysoki, kamiennie-ceglany mur oddzielał przestrzeń między domami. Smętna imitacja drzwi wisiała na jednym zawiasie.

Matthew spojrział na katedrę, a potem na mnie. Twarz mu złagodniała.

- Do diabła z ostrożnością. Idziemy.



Poprowadził mnie przez wąskie przejście między staromiejskim murem a kamienicą, której trzecie piętro wyglądało, jakby za chwilę miało zawalić się na przechodniów. Można się było tamtędy przedostać tylko dlatego, że wszyscy szli w tym samym kierunku: pod górę, na północ i na zewnątrz. Ludzka fala wyniosła nas na kolejną ulicę, o wiele szerszą od Water Lane. Hałas wciąż narastał, tłok też.

- Mówiłeś, że w mieście jest pusto w święta - zauważyłam.

- Bo jest - odpowiedział.

Po kilku krokach wpadliśmy w jeszcze większy wir ludzi.

Przystanęłam. Okna u Świętego Pawła lśniły w bladym popołudniowym świetle. Na placu przed kościołem kłębił się zbity tłum mężczyzn, kobiet, dzieci, terminatorów, służących, duchownych i żołnierzy. Ci, którzy akurat nic nie wykrzykiwali, słuchali innych. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, widać było papier. Jego karty kołysały się na sznurkach nad straganami, wisiały, poprzybijane wszędzie, gdzie tylko się dało, tworzyły strony ksiąg, machano nimi przed twarzami gapiów. Grupka młodych ludzi zgromadziła się pod słupem obwieszonym trzepocącymi świstkami - słuchali, jak ktoś sylabizuje ogłoszenia o pracy. Od czasu do czasu któryś z nich wkładał czapkę i odchodził, a pozostali klepali go po ramieniu, gdy ruszał na poszukiwanie roboty.

- Och, Matthew. - Tyle tylko zdołałam wykrztusić. Ludzie tłoczyli się wokół nas, przeczornie odsuwając się od ostrych końców broni, którą moja eskorta miała za pasem.

Powiew wiatru poruszył moim kapturem. Poczułam łaskotanie, a potem ledwie wyczuwalny nacisk - czarownica i demon wychwycili zmysłami naszą obecność. Grupy złożonej z trzech nadprzyrodzonych istot i szlachcica nie dało się nie dostrzec.

- Ktoś nas zauważył - powiedziałam.

Matthew niezbyt się tym przejął, ale rozejrzał się po twarzach wokoło.

- Ktoś podobny do mnie. Ktoś podobny do Kita. Nikt podobny do ciebie.

- Jeszcze nie - szepnął. - Ani mi się waży przychodzić tu sama, Diano.

Nigdy. Trzymaj się Blackfriars i Françoise. Tym zaułkiem - skinieniem głowy wskazał przejście za nami - wolno ci iść tylko ze mną albo z Pierre'em.

Kiedy uznał, że poważnie potraktowałam to ostrzeżenie, pociągnął mnie za sobą.

- Chodźmy do Mary.

Znowu ruszyliśmy na południe, w stronę rzeki. Wiatr oblepiał mi nogi fałdami sukni. Choć schodziliśmy w dół, każdy krok był walką. Kiedy mijaliśmy jeden z licznych tutejszych kościołów, rozległ się cichy gwizd; Pierre natychmiast zniknął w jakimś zaułku. Pojawił się w drugim, akurat gdy dostrzegłam za murem znajomo wyglądający dom.

- To nasz!

Matthew skinął głową i wskazał budynek na końcu ulicy.

- A to zamek Baynard.

Była to największa budowla, jaką do tej pory widziałam, z wyjątkiem Tower, Świętego Pawła i odległej panoramy Westminsteru. Nad rzeką wznosiły się trzy zwieńczone blankami wieże, otoczone murami dwakroć wyższymi niż wszystkie sąsiednie domy.

- Zamek Baynard zbudowano frontem do rzeki i stamtąd powinno się doń wchodzić, Diano - wyjaśnił przepaszając Henry, gdy zagłębiliśmy się w kolejny kręty zaułek. - To jest tylne wejście, nie dla gości, ale w taki zimny dzień jak dziś, o wiele tu cieplej.

Weszliśmy w cień imponującej bramy. Dwaj wartownicy odziani w grafitowe uniformy z brązowymi, czarnymi i złotymi naszywkami podeszli żołnierskim krokiem, by skontrolować przybyszów. Jeden z nich rozpoznał Henry'ego i złapał za rękaw swojego towarzysza, zanim tamten zdążył nas przepytac.

- Lord Northumberland!

- Jesteśmy zaproszeni do hrabiny. - Henry rzucił swój płaszcz strażnikowi. - Może uda ci się go wysuszyć. Daj też człowiekowi mistrza Roydona coś ciepłego do picia, dobrze? - Zaplótł palce w skórzanych rękawicach, aż strzeliły stawy, i skrzywił się lekko.

- Służę, milordzie - odparł wartownik, podejrzliwie spoglądając na Pierre'a.

Zamek wznosił się wokół dwóch olbrzymich kwadratowych dziedzińców, na których rosły bezlistne teraz drzewa, otoczone zarzysami kwiatowych grządek. Wspięliśmy się po szerokich schodach, witani przez licznych służących w liberiach; jeden z nich poprowadził nas do zimowego pokoju hrabiny: przyjemnej komnaty o wielkich oknach, wychodzących na południe, na rzekę. Roztaczał się z nich widok na ten sam odcinek Tamizy, który było widać od nas, z Blackfriars.

Pomimo podobnego pejzażu w oknach nikt by nie pomylił tej jasnej, eleganckiej komnaty z naszym pokojem. Choć mieliśmy duże, wygodne mieszkanie, zamek Baynard był siedzibą arystokratki i to od razu rzucało się w oczy.

Kominek otaczały szerokie, zarzucone poduszkami sofy i fotele tak głębokie, że w każdym z nich można by się swobodnie usadowić z podwiniętymi nogami, rozkładając fałdy obszernej sukni.

Kamienne ściany ożywiały barwne plamy gobelinów przedstawiających mitologiczne sceny - widomy znak starannego wykształcenia. Na stołach tłoczyły się książki, fragmenty starożytnych rzeźb, okazy przyrodnicze, ryciny, mapy i inne równie interesujące przedmioty.

- Mistrz Roydon? - Z fotela wstał mężczyzna o ciemnych włosach przyprószonych siwizną, z przyciętą w szpic brodą. W jednej dłoni trzymał niewielką deseczkę, w drugiej

maleńki pędzel.

- Hilliard! - krzyknął Matthew z widoczną sympatią. - Co cię tu sprowadza?

- Zlecenie lady Pembroke - odparł mężczyzna i machnął paletą. -

Muszę wykończyć tę miniaturę. Chce ją komuś sprezentować na Nowy Rok. - Jego brązowe oczy przyglądały mi się uważnie.

- Zapomniałem zapoznać cię z moją żoną. Diano, to jest Nicholas Hilliard, portrecista.

- Wielki to dla mnie zaszczyt - powiedziałam, dygając. Londyn ma przecież ponad sto tysięcy mieszkańców. Dlaczego Matthew musi znać wszystkich, których historycy pewnego dnia uznają za ważne osobistości? - Widziałam twoje prace i podziwiam je szczerze.

- Widziała portret sir Waltera, który namalowałeś dla mnie w zeszłym roku - wyjaśnił gładko Matthew, tuszując to przesadnie wylewne powitanie.

- Zgadzam się, to jedno z jego najlepszych dzieł. - Henry zajrzał artyście przez ramię. - Ale to będzie chyba równie dobre. Doskonały wizerunek Mary, Hilliardzie. Udało ci się uchwycić głębię jej spojrzenia.

Komplement wyraźnie pochlebił malarzowi.

Służący przyniósł wino; Henry i Matthew pograżyli się w cichej rozmowie z Hilliardem, a ja zaczęłam przyglądać się zdobionemu złotem strusiemu jaju i pucharowi z natilusa na srebrnej podstawie, stojącym na stole wśród bezcennych matematycznych przyrządów, których nie śmiałam dotykać.

- Matt! - W progu ukazała się hrabina Pembroke; wycierała zabrudzone atramentem palce w chusteczkę, którą pośpiesznie podała jej służąca. Zdziwiłam się, że zawracała sobie tym głowę, bo perłowa suknia jej pani była pokryta gęsto plamami, a miejscami nawet poprzypalana.

Hrabina zdjęła prostą szatę, pod którą miała o wiele wspanialszą kreację z aksamitu i tafty w intensywnym śliwkowym kolorze. Gdy oddawała służącej swój elżbietański odpowiednik laboratoryjnego fartucha, poczułam wyraźny zapach prochu strzelniczego. Hrabina odrzuciła mocno skręcony lok jasnych włosów, który wysunął się zza prawego ucha. Była wysoka i wiotka, o kremowej cerze i głęboko osadzonych, brązowych oczach. Wyciągnęła ręce w geście powitania: - Mój drogi przyjacielu, całe lata cię nie widziałam, od pogrzebu mojego brata Philipa!

- Mary - Matthew pochylił się nad jej dłonią. - Świetnie wyglądasz.

- Jak wiesz, Londyn mi nie służy, ale zgodnie z naszym zwyczajem przyjechaliśmy na rocznicowe obchody królowej i postanowiłam jeszcze trochę tu zostać. Pracuję nad psalmami Philipa i paroma innymi błahostkami, więc miasto zbyt mi nie przeszkadza. Na pociechę spotykam się ze starymi przyjaciółmi. - Jej głos, choć beztroski, zdradzał błyskotliwą inteligencję.

- Naprawdę kwitniesz - odezwał się Henry na powitanie, patrząc na nią z aprobatą.

Mary wbiła we mnie spojrzenie brązowych oczu.

- A to kto?

- Tak ucieszyłem się z naszego spotkania, że zapomniałem o manierach. Lady Pembroke, oto moja żona Diana. Niedawno wzięliśmy ślub.

- Milady - powiedziałam i złożyłam przed nią głęboki ukłon. Pantofle Mary były wyszywane złotem i srebrem w niesamowity wzór, wariację na temat rajskiego ogrodu pełnego węży, jabłek i owadów. Musiały kosztować fortunę.

- Pani Roydon - odparła, a w oczach zatańczyły jej iskierki rozbawienia. - Mamy to już za sobą, teraz będziemy po prostu Mary i Dianą. Henry wspominał mi, że studiujesz alchemię.

- Raczej czytuję książki, milady - poprawiłam. - I to wszystko. Lord Northumberland przesadził z pochwałami.

Matthew wziął mnie za rękę.

- A ty ze skromnością. Diana ma wielką wiedzę, Mary. A ponieważ jest nowa w Londynie, Hal pomyślał, że mogłabyś ją oprowadzić po mieście.

- Bardzo chętnie - zgodziła się hrabina. - Chodźcie, usiądziemy przy oknie. Mistrz Hilliard wymaga dobrego oświetlenia do pracy. W czasie, kiedy będzie kończył mój portret, podzielicie się ze mną nowinami. W tym królestwie mało co uchodzi uwagi i spostrzegawczości Matthew, Diano, a ja od długich miesięcy nie byłam w domu w Wiltshire.

Kiedy usiedliśmy, pojawił się służący z talerzem kandyzowanych owoców.

- Och - westchnął radośnie Henry, przebierając w żółtych, zielonych i pomarańczowych słodyczach. - Konfekty. Umiesz je robić jak nikt inny.

- Ale podzielę się moim sekretem z Dianą - odparła zadowolona. -

Ryzykując naturalnie, że wtedy Henry przestanie mnie odwiedzać.

- Przesadzasz, Mary - zaprotestował z ustami pełnymi skórki pomarańczowej w cukrze.

- Czy twój mąż też tu jest, Mary, czy interesy królowej zatrzymały go w Walii? - spytał Matthew.

- Hrabia Pembroke kilka dni temu wyjechał z Mil-ford Haven, ale raczej ruszy na królewski dwór niż tutaj. Mam do towarzystwa Williama i Philipa. Zresztą i tak nie zamierzamy pozostać zbyt długo w mieście; jedziemy do Ramsbury. Tam jest zdrowsze powietrze. - Na jej twarzy pojawił się smutek.

Jej słowa przywiodły mi na myśl rzeźbę Williama Herberta na dziedzińcu Biblioteki

Bodlejańskiej. Postać, którą codziennie mijałam po drodze do czytelni księcia Humfrefya; jeden z najszczerzejszych fundatorów biblioteki był starszym synem tej kobiety.

- W jakim wieku są twoje dzieci? - spytałam z nadzieją, że pytanie nie okaże się zbyt osobiste.

Twarz hrabiny poweselała.

- William ma dziesięć lat, a Philip dopiero sześć. Moja córka Anne ma siedem, ale w ubiegłym miesiącu chorowała, więc mąż uznał, że powinna zostać w Wilton.

- Nic poważnego? - Matthew zmarszczył brwi. Twarz hrabiny znów spochmurniała.

- Wszystkie choroby moich dzieci są dla mnie poważne - odparła cicho.

- Wybacz, Mary. Nie pomyślałem. Chciałem tylko powiedzieć, że chętnie ci pomogę, zrobię wszystko, co w mojej mocy. - W głosie mojego męża zabrzmiał żal. Rozmowa zesłała na tory jakiegoś ich wspólnego przeżycia, o którym nie wiedziałam.

- Nieraz już ochroniłeś moich bliskich. Nie zapomniałam o tym, Matthew, i na pewno wezwę cię znowu na pomoc, jeśli zajdzie taka potrzeba. To tylko jakieś dziecięce niedomaganie, nic więcej. Medycy zapewniają, że Anne wkrótce dojdzie do siebie. A ty masz dzieci, Diano? - zwróciła się do mnie.

- Jeszcze nie - pokręciłam głową.

Spojrzenie szarych oczu Matthew spoczęło na mnie przelotnie. Nerwowo skubnęłam brzeg kabata.

- Diana wyszła pierwszy raz za mąż - wyjaśnił.

- Naprawdę? - Ta nowina wyraźnie zafascynowała hrabinę, otworzyła usta, żeby zadać mi następne pytania, ale zanim zdążyła to zrobić, Matthew dodał:

- Rodzice odumarli ją w dzieciństwie. Nie miała nikogo, kto by zaaranżował małżeństwo.

Współczucie Mary wzrosło.

- To smutne, jak bardzo życie młodej dziewczyny zależy od kaprysu jej opiekunów.

- W rzeczy samej. - Matthew spojrział na mnie, unosząc brew. Bez trudu odgadłam jego myśli: moja niezależność aż biła w oczy, a do tego trudno sobie było wyobrazić mniej kapryśnej istoty niż Sarah i Em.

Rozmowa zesłała na tematy polityczne i aktualne wydarzenia. Przez chwilę przysłuchiwałam się jej uważnie, starając się pogodzić mętne wspomnienia tematów omawianych dawno temu na lekcjach historii z zawikłanymi plotkami, jakimi wymieniała się ta trójka. Mówiono o wojnie, o możliwej inwazji Hiszpanów, o sympatykach katolików i religijnych napięciach we Francji, ale nazwiska i miejsca były mi przeważnie nieznanymi. Odprężyłam się więc

w ciepłym zimowym salonie i pozwoliłam umysłowi dryfować do wtóru nieprzerwanej gadaniny.

- Skończyłem, lady Pembroke. Mój służący Isaac wkrótce przyniesie pani miniaturę - oświadczył Hilliard i zaczął pakować swoje rzeczy.

- Dzięki, mistrzu Hilliardzie. - Hrabina wyciągnęła rękę, lśniąca od szlachetnych kamieni osadzonych w licznych pierścionkach. Ucałował ją, pożegnał skinieniem głowy Henry'ego i Matthew, a potem wyszedł. -

Wielki talent - stwierdziła Mary, poprawiając się w fotelu. - Ostatnio stał się bardzo popularny. Mam szczęście, że udało mi się go tu ściągnąć.

Jej stopy w blasku płomieni rzucały ogniki; srebrzyste hafty na barwnych pantofelkach odbijały czerwień, pomarańcz i złoto.

Zastanawiałam się leniwie, kto mógł zaprojektować taki skomplikowany wzór. Gdybym siedziała bliżej, poprosiłabym, żeby pozwoliła mi go dotknąć. Cham-pier potrafił odczytać palcami informacje z mojego ciała.

Ciekawe, czy przedmioty nieożywione też bywają źródłem takich informacji?

Choć moje palce były z dala od pantofelków hrabiny, zobaczyłam twarz młodej kobiety, wpatrzonej w kartkę papieru z projektem. Małeńkie otworki wzdłuż linii rysunku stanowiły wytłumaczenie zagadki, w jaki sposób przeniesiono haft na skórę. Oko mojego umysłu, skupione na rysunku, cofnęło się w czasie. Ujrzałam Mary siedzącą obok surowego mężczyzny o szczęce znamionującej twardy charakter. Pochylali się nad stołem z okazami owadów i roślin.

Rozmawiali z wielkim ożywieniem o koniku polnym. W pewnym momencie mężczyzna zaczął go szczegółowo opisywać, a Mary wzięła pióro i naszkicowała owada.

A więc Mary interesuje się też roślinami i owadami, nie tylko alchemią, pomyślałam, szukając wzrokiem konika polnego na hafcie.

Znalazłam go przy obcasie. Wyglądał jak żywy. A pszczoła na czubku prawego palca sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz odlecieć.

W uszach zabrzmiało mi ciche bzyczenie, gdy srebrno-czarny owad oderwał się od pantofelka hrabiny i wzbił w powietrze.

- O, nie - jęknęłam.

- Jaka dziwna pszczoła - stwierdził Henry i trzepnął ją ręką, gdy przelatywała obok.

Ale ja patrzyłam właśnie na węża, który zsunął się ze stopy Mary i szybko odpełzał.

- Matthew!

Przyskoczył do węża i złapał go za ogon. Gad wysunął rozdwojony język i zasyczał, urażony tak bezceremonialnym traktowaniem. Matthew błyskawicznie rzucił go w ogień; wąż

skwierczał chwilę, a potem zajął się płomieniem.

- Nie chciałam... - zaczęłam.

- Nic się nie stało, *mon coeur*. Nic na to nie poradzisz. - Matthew dotknął mojego policzka, a potem spojrzął na hrabinę wpatrzoną w pantofle, które nagle przestały do siebie pasować. - Musimy znaleźć czarownicę, Mary. Sprawa jest pilna.

- Nie znam żadnych czarownic - padła natychmiastowa odpowiedź.

Matthew uniósł brwi.

- W każdym razie nie takie, którym mogłabym przedstawić twoją żonę. Wiesz przecież, że nie lubię rozmawiać na takie tematy. Kiedy Philip wrócił cały i zdrowy z Paryża, powiedział mi, kim jesteś. Byłam wtedy dzieckiem i myślałam, że to bajka. Chcę, żeby tak pozostało.

- A mimo to zajmujesz się alchemią - odparował. - Czy to też traktujesz jak bajkę?

- Zajmuję się alchemią, żeby pojąć boży cud stworzenia! - krzyknęła. -

W alchemii nie ma... czarów!

- Chciałaś powiedzieć: zła. - Oczy wampira pociemniały, wargi zacisnęły się w dezaprobie. Hrabina instynktownie cofnęła się o krok. -

Taka jesteś pewna siebie i twojego Boga? Zdaje ci się, że wiesz, co dzieje się w Jego umyśle?

Mary odczuła naganę, ale nie zamierzała się poddać.

- Mój Bóg i twój Bóg to nie to samo, Matthew. Przymrużył oczy, a Henry zaczął nerwowo drapać się po nosie. Hrabina uniosła podbródek.

- Philip wspominał mi także i o tym. Nadal popierasz papieża i mszę.

On potrafił przeniknąć błędy twojej wiary i ujrzeć pod nimi człowieka, a ja uczyniłam to samo w nadziei, że pewnego dnia dostrzeżesz prawdę i pójdziesz jej śladem.

- A niby dlaczego, skoro ty co dnia dostrzegasz prawdę o istotach takich jak ja i Diana i bezustannie ją odrzucasz? -W głosie Matthew brzmiało znużenie. Wstał. - Nie będziemy cię już więcej kłopotać, Mary.

Diana znajdzie czarownicę w jakiś inny sposób.

- Dlaczego nie możemy zapomnieć o tym temacie, jak zwykle? -

Hrabina spojrziała na mnie niepewnie i przygryzła wargę.

- Bo kocham moją żonę i chcę, żeby była bezpieczna. Mary wpatrywała się w niego przez

chwilę, sprawdzając szczerłość jego słów. Ocena wypadła zadowolająco.

- Diana nie musi się mnie obawiać, Matt. Ale nie mów o niej nikomu innemu w tym mieście. Ludzie przestraszyli się wydarzeń w Szkocji i szybko poszukają sobie kozła ofiarnego.

- Bardzo przepraszam za te pantofelki - wybąkałam. Wiedziałam, że nic im już nie pomoże.

- Nie mówmy o tym - ucięła Mary i wstała, by nas pożegnać.

Opuściliśmy zamek bez słowa. Pierre bezgłośnie wyszedł z wartowni i ruszył za nami, wciskając czapkę na uszy.

- Według mnie, bardzo dobrze nam poszło - przerwał milczenie Henry.

Spojrzeliliśmy na niego z niedowierzaniem.

- Było parę trudnych momentów, to prawda - dodał pośpiesznie. - Ale Mary autentycznie zainteresowała się Dianą, a poza tym wciąż jest ci oddana, Matthew. Daj jej szansę. Nie nauczono jej ufać ludziom. Dlatego tak ważne są dla niej sprawy wiary. - Ciśniej owinął się płaszczem.

Wiatr nie ustawał i powoli robiło się ciemno. - Niestety, muszę was opuścić. Moja matka jest w Aldersgate i spodziewa się mnie na kolacji.

- Doszła już do siebie? - zapytał Matthew. Hrabina wdowa narzekała w święta na zadyszkę i Matthew niepokoił się, że przyczyną może być serce.

- Moja matka pochodzi z Neville'ów, co oznacza, że będzie żyć wiecznie i dręczyć ludzi przy każdej nadarzającej się okazji! - Henry ucałował mnie w policzek. - Nie przejmuj się Mary ani tą... ekhm... drugą sprawą. - Znacząco poruszył brwiami i odszedł.

Przez chwilę odprowadzaliśmy go wzrokiem, a potem odwróciliśmy się w stronę Blackfriars.

- Co się stało? - spytał cicho Matthew.

- Przedtem magię wyzwalały moje emocje. Teraz wystarczy przypadkowe pytanie i od razu zaczynam zagłębiać w głąb rzeczy. Ale nie mam pojęcia, w jaki sposób ożywiłam tę pszczołę.

- Dziękujemy Bogu, że myślałaś o pantoflach Mary. Gdybyś popatrzyła na gobeliny, znaleźlibyśmy się w samym środku wojny bogów na Olimpie - stwierdził sucho.

Szybko przeszliśmy przez dziedziniec katedry i zagłębiliśmy się we względnie spokojne uliczki Blackfriars. Obłądana aktywność mieszkańców osłabła pod koniec dnia i nabrała spokojniejszego tempa.

Rzemieślnicy stawali na progach i wymieniali się uwagami, podczas gdy czeladnicy



kończyli pracę.

- Weźmiemy coś na wynos? - Matthew wskazał piekarnię. - Niestety to nie pizza, ale Kit i Walter uwielbiają paszteciki Priora.

Zapach unoszący się z wnętrza sprawił, że ślina napłynęła mi do ust, więc skinęłam głową.

Mistrz Prior przeżył szok, gdy Matthew zaszczycił jego sklep; kompletnie ogłupiały odpowiadał na moje szczegółowe pytania o pochodzenie i jakość mięsa. W końcu zdecydowałam się na pikantną babeczkę z nadzieniem z kaczki. Postanowiłam stronić od dziczyzny, nawet niedawno upolowanej. Matthew zapłacił Priorowi, a pomocnicy piekarza zapakowali jedzenie. Co chwilę popatrywali na nas ukradkiem, a to mi przypomniało, że wampir i czarownica przyciągają podejrzenia jak płomień świecy ómy.

Kolacja upłynęła w miłym, przyjaznym nastroju, choć Matthew chyba czymś się martwił. Właśnie kończyłam babeczkę, gdy na drewnianych schodach rozległy się kroki. Byle tylko nie Kit. Błagam, nie dzisiaj, pomyślałam, krzyżując palce.

Françoise otworzyła drzwi, za którymi stali dwaj służący w znajomej, grafitowej liberii. Matthew nachmurzył się i wstał.

- Czy hrabina źle się poczuła? A może coś się stało chłopcom?

- Wszyscy mają się dobrze, sir. - Jeden z posłańców podał mu starannie złożoną kartkę; widniał na niej nieregularny odcisk z czerwonego wosku i pieczęć z wizerunkiem grotu strzały.

- Od hrabiny Pembroke dla pani Roydon - wyjaśnił z ukłonem.

Dziwnie się poczułam na widok oficjalnego adresu: „Pani Diana Roydon, stacjonująca Pod Łanią i Koroną w Blackfriars”. Przesunęłam po nim palcami, bez trudu przywołując obraz inteligentnej twarzy Mary Sidney. Zniosłam list przed kominek, podważyłam pieczęć paznokciem i usiadłam, żeby go przeczytać. Gruby papier szeleścił, gdy go rozkładałam. Na kolana sfrunęła mi niewielka kartka.

- Co pisze Mary? - spytał Matthew, kiedy odprawił posłańców. Stanął za mną i położył mi ręce na ramionach.

- Zaprasza mnie w czwartek do zamku Baynard. Uważa, że zainteresuje mnie eksperyment alchemiczny, który właśnie prowadzi.

Nawet nie próbowałam ukryć niedowierzania w głosie.

- To cała Mary. Ostrożna, a jednak lojalna. - Pocałował mnie w czubek głowy. - Jak zwykle, bardzo szybko odzyskała panowanie nad sobą. A co jest na tej drugiej kartce?

Podniosłam ją i przeczytałam pierwsze linijki wiersza.

*Ciebie zawsze mój głos brzmi; niech mię palcem sobie, Jako chcą, ukazują, ufność moja*

w Tobie.

- No, no, no - przerwał Matthew z uśmiechem. - Moja żona przybywa.

Spojrzałam na niego zmieszana.

- Projekt najbliższy sercu Mary to nie eksperyment alchemiczny, ale nowe tłumaczenie psalmów dla angielskich protestantów. Jej brat Philip zaczął nad nim pracę, lecz zmarł, zanim ją ukończył. Mary jest o wiele lepszą poetką niż on. Chyba to wie, ale nigdy się nie przyzna. Ten tekst to początek Psalmu 71. Przesłała ci go, bo chce pokazać światu, że należysz do jej kręgu jako zaufana przyjaciółka -i dodał przekornym szeptem: - mimo że zniszczyłaś jej pantofle.

Zaśmiał się jeszcze raz i wycofał w zacisze swojego gabinetu. Wierny Pierre podążył za nim.

Zajęłam jeden koniec ciężkiego stołu w salonie, traktując go jako biurko. Szybko zapanował na nim bałagan, jaki królował we wszystkich moich miejscach pracy: całą wolną powierzchnię zajmowały śmieci na równi ze skarbami. Pogrzebałam w papierach, wydobyłam kilka ostatnich nie-zapisanych kartek, wybrałam czyste pióro i przygotowałam sobie trochę miejsca na blacie.

W pięć minut nakreśliłam krótką odpowiedź na list hrabiny. Zrobiłam wprawdzie dwa żenujące kleksy, ale moja kursywa była całkiem niezła i pamiętałam, by zapisać kilka słów fonetycznie, nadając im wygląd z epoki. Gdy miałam wątpliwości, podwajałam spółgłoski albo dodawałam „e” na końcu. Potem posypałam tekst piaskiem; poczekałam, aż wchłonie nadmiar atramentu, i go zdmuchnęłam. Złożyłam list i uświadomiłam sobie nagle, że nie mam wosku ani sygnetu do pieczętowania. Tak być nie mogło. Zrobiłam notatkę dla Pierre'a, odłożyłam ją na bok i wróciłam do listu Mary. Przesłała mi wszystkie trzy zwrotki psalmu. Wzięłam nową, niezapisaną księgę od Matthew i otworzyłam ją na pierwszej stronie.

Zanurzyłam pióro w kałamarzu i uważnie poprowadziłam jego ostry koniec po papierze:

*Nieprzyjaciele moi o mnie radę mają, Na mię wszystkie fortele swoje obracają Serce sobie tym czyniąc: „Już go i Bóg - Opuścił; gońcie, więźcie, nikt go nie wybawi!”*

Gdy atrament wysechł, zamknęłam księgę i wsunęłam ją pod *Arkadię* Philipa Sidneya.

Wiedziałam, że prezent Mary był czymś więcej niż zwykłą propozycją zawarcia przyjaźni. Linijki, które przeczytałam Matthew na głos, rzeczywiście podkreślały jego zasługi dla jej rodziny i potwierdzały, że Mary się od niego nie odwróci, ale w ostatnim wersie kryło się dla mnie ostrzeżenie. Ktoś nas obserwuje. Ktoś podejrzewa, że to, co się dzieje na Water Lane, ma swoje drugie dno, a wrogowie Matthew idą o zakład, że nawet stronnicy odwrócą się od niego, gdy prawda wyjdzie na jaw.

Matthew, wampir, a zarazem sługa królowej i członek Kongregacji, nie powinien angażować się w poszukiwanie czarownicy, która mogłaby nauczyć mnie magii. Teraz, kiedy dziecko było w drodze, pojawił się jeszcze jeden powód, by jak najszybciej znaleźć taką nauczycielkę.

Przysunęłam sobie kartkę papieru i zaczęłam spisywać listę: Wosk do pieczęci, sygnet.

Londyn to duże miasto. Czas wybrać się po zakupy.

## ROZDZIAŁ 17

Wychodzę.

Françoise podniosła wzrok znad robótki. W pół minuty później na schodach pojawił się Pierre. Gdyby Matthew był w domu, na pewno też by się tam znalazł, ale wyszedł do miasta w jakichś tajemniczych sprawach. Gdy się obudziłam, spostrzegłam tylko mokry surdut suszący się przy kominku. Wezwano go gdzieś w środku nocy, potem wrócił i wyszedł jeszcze raz.

- Naprawdę? - zmrużyła oczy.

Od chwili, gdy przyszła mnie ubrać, podejrzewała, że coś knuję.

Zamiast narzekać na ilość halek, które wkładała mi przez głowę, poprosiłam, żeby dołożyła jeszcze jedną, z ciepłej szarej flaneli. Potem posprzeczałyśmy się o suknię. Wolałam wygodne rzeczy, które przywiozłam z Francji, od eleganckich sukni Louisy de Clermont. Siostra Matthew, ze swoimi ciemnymi włosami i alabastrową cerą, mogła sobie pozwolić na aksamitną kreację w intensywnym turkusowym odcieniu (*vert-gris*, poprawiła mnie Françoise) albo na białoszarą taftę (który to odcień słusznie nazywano „Hiszpan na marach”), ale moje piegi i rudawe kręcone włosy sprawiały, że wyglądałam w nich po prostu koszmarnie.

Poza tym obie były zbyt eleganckie, żeby w nich chodzić po mieście.

- Dobrze byłoby, gdyby madame poczekała na powrót mistrza Roydona - zasugerował Pierre, nerwowo przestę-pując z nogi na nogę.

- Nie tym razem. Zrobiłam sobie listę potrzebnych mi rzeczy i sama pójdę po zakupy. - Pokazałam mu skórzany mieszek z monetami, który dał mi Philippe. - Mogę go nieść w ręku czy powinienam wsunąć pieniądze za stanik i wyławić je w razie potrzeby? - Zawsze, gdy czytałam powieści historyczne, fascynowały mnie sceny, w których kobiety chowały różne przedmioty za dekolt. Z chęcią sprawdziłabym w praktyce, czy autorzy mieli rację i rzeczywiście można je było niepostrzeżenie wydobyć w towarzystwie. Zdążyłam się już przekonać, że na przykład swoboda seksualna była w XVI wieku znacznie mniejsza, niż to przedstawiano w niektórych romansach. Choćby dlatego, że wszyscy mieli na sobie strasznie dużo odzieży.

- Madame w ogóle nie może nosić pieniędzy! - Françoise wskazała na Pierre'a, który poluzował tasemki kabzy przy pasie. Wydawała się bez dna i zawierała duże ilości ostrych przedmiotów: szpilek, igieł, czegoś, co przypominało zestaw wytrychów, i do tego jeszcze sztylet. Z moją sakiewką na dodatek wszystko zaczęło pobrzękiwać przy każdym jego ruchu.

Kiedy wyszliśmy na Water Lane, ruszyłam w stronę Świętego Pawła z największym zdecydowaniem, na jakie pozwalały mi patynki, czyli drewniane podeszwy, które wkładało się na obuwie, żeby go nie zabłocić.

Podbity futrem płaszcz z grubej tkaniny falował w rytmie kroków, chroniąc mnie przed mokrą mgłą. Akurat mieliśmy chwilową przerwę między ulewnymi deszczami, ale to wcale nie znaczyło, że jest sucho.

Najpierw zajrzeliśmy do piekarni mistrza Priora po bułeczki z porzeczkami i kandyzowanymi owocami na wierzchu. Po południu zawsze byłam głodna i miałam ochotę na coś słodkiego. Potem zatrzymaliśmy się w sklepie przy uliczce łączącej Blackfriars z resztą Londynu. Nad dużą drukarnią wisiał szyld przedstawiający kotwicę.

- Dzień dobry, pani Roydon. - Właściciel powitał mnie od razu, gdy przekroczyłam próg.

Zdaje się, że wszyscy sąsiedzi wiedzieli, kim jestem.

- Przyszła pani po książkę męża?

Skinęłam głową z pewną siebie miną, choć nie wiedziałam, o jaką książkę chodzi. Wyciągnął cienki tomik z górnej półki. Przejrzałam go pobieżnie. Traktował o wojnie i balistyce.

- Przepraszam, że nie miałem oprawnego egzemplarza tej medycznej księgi dla pani - tłumaczył się, pakując tomik. - Kiedy nie będzie pani przez chwilę potrzebna, mogę ją oprawić wedle gustu.

A więc stąd przybyło moje kompendium chorób i remediów.

- Dziękuję, mistrzu... - Nie dokończyłam, czekając, aż się przedstawi.

- Field.

- Mistrzu Fieldzie - powtórzyłam.

Z zaplecza sklepu wyszła młoda kobieta o bystrym spojrzeniu, z dzieckiem na biodrze. Nieco starszy malec uczeplił się jej spódnicy. Palce miała szorstkie i poplamione tuszem.

- Mistress Roydon, to moja żona Jacqueline.

- Ach, madame Roydon. - Kobieta mówiła z miękkim francuskim akcentem, którzy przypomniał mi Ysabeau. - Pani mąż mówił, że dużo pani czyta, a Margaret Hawley, że studiuje pani alchemię.

Jacqueline i jej mąż dużo o mnie wiedzieli. Pewnie znali też mój numer butów i ulubiony rodzaj pasztecików. To naprawdę dziwne, że nikt w Blackfriars nie rozpoznał we mnie czarownicy.

- Tak - potwierdziłam, wygładzając szwy rękawiczek. - Czy sprzedajesz też nieoprawny papier, mistrzu Fieldzie?

- Oczywiście. - Field zmarszczył czoło, zbity z tropu pytaniem. - Czy zapisałaś już pani całą księgę?

Aha. To znaczy, że mój notes również stąd pochodzi.

- Potrzebny mi papier listowy - wyjaśniłam. - I воск. A do tego sygnet. Mogę je tu kupić?

W księgarni w Yale był pełen wybór materiałów piśmiennych, piór i zupełnie niepotrzebnych barwnych lasek wosku oraz tanich mosiężnych pieczęci z literami. Field wymienił spojrzenia z żoną.

- Przyślę po południu więcej papieru - obiecał. - Ale do sygnetu będzie potrzebny złotnik, żeby go wprawił w pierścień. Ja mam tylko stare litery z prasy drukarskiej, należałoby je przetopić i ponowne odlać.

- Możesz też pójść do Nicholasa Vallina, pani - zaproponowała Jacqueline. - Świetnie zna się na metalu, mistress Roydon, a nadto robi piękne zegary.

- Tam, w głębi uliczki? - upewniłam się, wskazując kierunek przez ramię.

- Ale on nie jest złotnikiem - zaprotestował Field. - Nie chcemy go wpędzić w kłopoty.

Jacqueline była niewzruszona.

- Takie są korzyści mieszkania w Blackfriars, Richardzie. Można na przykład omijać cechowe przepisy. Poza tym cech złotników nie będzie się przejmował takim drobiazgiem jak pierścionek. Jeśli pani chce kupić воск, mistress Roydon, to trzeba pójść do apteki.

Na mojej liście znalazło się też mydło. No i wiedziałam, że w aptece będzie aparatura do destylacji. Choć z konieczności skupiłam się na magii, nie na alchemii, nie chciałam rezygnować z okazji nauczenia się czegoś bardziej pożytecznego.

- Gdzie jest najbliższa apteka? Pierre odkasznął.

- Może powinnaś pani porozumieć się z mistrzem Roydonem.

Matthew na pewno miałby w tej sprawie swoje zdanie - po prostu wysłałby po zakupy Françoise albo Pierre'a. Fieldowie z zainteresowaniem czekali na moją odpowiedź.

- Pewnie tak - odparłam, spoglądając z urazą na Pierre'a. - Mimo to chętnie usłyszę sugestie pani Field.

- John Hester cieszy się tu bardzo dobrą opinią - odpowiedziała Jacqueline z cieniem przekory w głosie i odsunęła dziecko, które czepiało się sukni. - Wyleczył swoją tynkturą ucho mojego synka.

O ile dobrze pamiętałam, John Hester interesował się także alchemią.

Może znał jakąś czarownicę. Albo i lepiej, może sam był czarownikiem, co by mi idealnie

pasowało. Nie wybrałam się tak po prostu po zakupy.

Chciałam się pokazać. Czarownice są ciekawskie. Jeśli wystawię się na przynętę, na pewno ktoś się skusi.

- Powiadają, że sama hrabina Pembroke korzysta z jego rad w leczeniu migreny młodego lorda - dodał jej mąż.

A więc wszyscy sąsiedzi wiedzieli też o moich odwiedzinach w zamku. Mary miała rację. Jesteśmy pod obserwacją.

- Warsztat mistrza Hestera mieści się przy nabrzeżu Paul's Wharf, na szyldzie ma alembik.

- Dziękuję, pani Field.

Paul's Wharf musi być blisko placu Świętego Pawła, więc mogę tam zajrzeć jeszcze dziś po południu. Zmieniłam w myślach trasę wyprawy.

Kiedy się pożegnaliśmy, Françoise i Pierre skręcili w stronę domu.

- Wybieram się do katedry - powiedziałam, kierując się w przeciwną stronę.

Pierre nieoczekiwanie znalazł się przede mną.

- Milord nie będzie zadowolony.

- Milorda tu nie ma. Wydał ścisłe polecenie, że nie wolno mi się ruszać bez was, ale nie mówił, że jestem więźniem we własnym domu.

Wcisnęłam Françoise książkę i bułeczki.

- Jeśli Matthew wróci przede mną, powiedz mu, gdzie poszliśmy i że niedługo wrócimy.

Françoise wzięła paczki, wymieniła długie spojrzenie z Pierre'em i ruszyła przed siebie.

- *Prenez garde, madame* - mruknął Pierre, gdy przechodziłam obok niego. Proszę mieć się na baczności.

- Zawsze mam się na baczności - odparłam spokojnie... i weszłam w sam środek kałuży.

Na ulicy prowadzącej do katedry zderzyły się dwa dyliżansy i zatamowały ruch. Wyglądały jak zabudowane od góry wozy i absolutnie nie przypominały eleganckich powozów z filmów na motywach powieści Jane Austen. Pierre dosłownie deptał mi po piętach, gdy je omijałam, uskakując przed zdenerwowanymi końmi i wcale nie mniej zirytowanymi pasażerami, którzy stali na środku ulicy i głośno krzyczeli, kto spowodował wypadek. Tylko woźnice byli niewzruszeni, siedzieli na kozłach wysoko nad tym zbiegowiskiem i sobie gawędzili.

- To się często zdarza? - spytałam Pierre'a, zsuwając kaptur na tył głowy, żeby go lepiej

widzieć.

- Te nowomodne wynalazki to tylko kłopot - odparł kwaśno. - Było lepiej, kiedy ludzie chodzili pieszo albo jeździli konno. Nie ma o co kruszyć kopii, to się nigdy nie przyjmie.

Swego czasu wszyscy powtarzali to Henry'emu Fordowi, pomyślałam.

- Jak daleko jest Paul's Wharf?

- Milord nie lubi Johna Hestera.

- Nie o to pytałam, Pierre.

- A co madame życzy sobie nabyć pod katedrą? - Jako długoletni wykładowca doskonale znałam ten sposób odwracania uwagi. Tyle że nie zamierzałam nikomu zdradzać prawdziwego powodu mojego spaceru po Londynie.

- Książki - odparłam krótko.

Weszliśmy na dziedziniec przed katedrą, gdzie każdy cal miejsca wolnego od papierów był zajęty przez sprzedawców przeróżnych towarów i usług. Jakiś sympatycznie wyglądający mężczyzna w średnim wieku siedział na stołku w przybudówce do większego budynku, który z kolei przylegał do murów katedry. Nie było to bynajmniej najdziwniejsze miejsce pracy w okolicy. Wokół straganu zgromadził się tłumek. Może dopisze mi szczęście i spotkam czarownicę. Zaczęłam się przepychać przez ciżbę. Wyglądało na to, że byli tam sami ludzie. Co za rozczarowanie.

Zaskoczony mężczyzna podniósł wzrok znad dokumentu, który spisywał dla jakiegoś klienta. Skryba. Błagam, byle tylko nie William Szekspir.

- W czym mogę pani pomóc, mistress Roydon? - zapytał z francuskim akcentem.

To nie Szekspir. Ale skąd mnie zna?

- Macie może wosk do pieczęci? I czerwony atrament?

- Nie jestem aptekarzem, mistress Roydon, tylko ubogim nauczycielem.

Otoczający nas klienci zaczęli rzucać niepoehlebne uwagi na temat skandalicznych sum pieniędzy, jakie zbijają sprzedawcy żywności, aptekarze i inni wykorzystywacze.

- Pani Field powiedziała mi, że John Hester robi doskonały wosk.

Wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę.

- Ale bardzo drogi. Tak jak jego atrament z kwiatów irysa. Tłum zamruczał potakująco.

- Czy możesz mi wskazać drogę do jego sklepu? Pierre złapał mnie za łokieć.

- *Non* - syknął mi do ucha.

Gest zwrócił na nas jeszcze większą uwagę, więc Pierre natychmiast puścił moją rękę. Skryba wskazał na wschód.

- Znajdziesz go pani przy Paul's Wharf. Musisz dojść do Bishop's Head, a potem skręcić na południe. Ale przecież monsieur Cornu zna drogę.

Popatrzyłam na Pierre'a, który wpatrywał się intensywnie w jakiś punkt nad moją głową.

- Naprawdę? Dziękuję.

- To jest żona Matthew Roydona? - zaśmiał się ktoś w tłumie, kiedy wyszliśmy z największego tłoku.

- *Mon Dieu*. Nic dziwnego, że jest ostatnio taki wyczerpany.

Nie od razu skierowałam się w stronę apteki. Najpierw, nie odrywając wzroku od katedry, zaczęłam powoli obchodzić olbrzymi budynek. Choć tak wielki, zadziwiał wdziękiem; niestety na nieszczęście błyskawica naznaczyła go na zawsze.

- To nie jest najkrótsza droga do Bishop's Head. - Pierre podążał zaledwie o krok za mną, nie o trzy, jak zazwyczaj, więc wpadł na mnie, gdy zatrzymałam się, by spojrzeć w górę.

- Jak wysoka była ta wieża?

- Prawie na długość budynku. Milorda niezmiennie fascynuje, w jaki sposób udało się zbudować coś aż tak wysokiego.

Wieża musiała kiedyś sprawiać wrażenie, że cały budynek unosi się ku górze: jej wąski obrys powielał delikatne linie przypór i wysokie gotyckie okna.

Poczułam przyływ energii, jak w świątyni bogini w pobliżu Sept-Tours. Coś, coś ukrywało się głęboko pod katedrą, wyczuło moją obecność. Odpowiedziało mi szeptem, lekkim dygotaniem pod stopami, westchnieniem akceptacji... i zniknęło. W tym miejscu tkwiła moc - i to taka, której nie oprze się żadna czarownica.

Zsunęłam kaptur z twarzy i powoli rozejrzałam się wśród klientów i sprzedawców, którzy tłoczyli się na dziedzińcu. Demony, czarownice i wampiry wysyłały w moją stronę iskry zainteresowania, ale nie chciałam się wyróżniać w tym tłumie. Potrzebowałam bardziej intymnego kontaktu.

Szłam dalej, wzdłuż północnej ściany katedry. Potem minęłam wschodnią. Tutaj wszyscy koncentrowali się na mężczyźnie, który stał na wysokiej mównicy pod skośnym daszkiem. Z braku elektrycznego systemu nagłośnienia przyciągał uwagę publiczności krzykiem, dramatycznymi gestami i wyczarowywaniem obrazów pełnych ognia i siarki.

Zwykła czarownica nie miała szans konkurować z tymi wszystkimi wizjami piekła i potępienia. Musiałabym zrobić coś naprawdę niebezpiecznego; w przeciwnym razie uznano by



mnie za zwykłą nadprzyrodzoną istotę, co to wybrała się po zakupy. Westchnęłam, rozczarowana. Wydawało mi się, że mój plan jest bezbłędny w swojej prostocie. W Blackfriars czarownic nie było. Ale tu, u Świętego Pawła, znalazłam ich aż nazbyt wiele. W dodatku w obecności Pierre'a żadna zaintrygowana mną istota nie śmiała się do mnie zbliżyć.

- Zostań tutaj i nie ruszaj się ani na krok - poleciłam, rzucając mu surowe spojrzenie.

Wiedziałam, że moje szanse na spotkanie jakiejś sympatycznej czarownicy znacznie wzrosną, jeśli oddalę się od służącego, który emanował intensywną, wampirzą dezaprobatą. Pierre oparł się o słupek jakiegoś straganu i bez komentarza wbił we mnie wzrok. Zanurkowałam w tłum pod krzyżem Świętego Pawła i rozejrzałam się, jakbym szukała zagubionego w tłoku znajomego. Czekałam na dreszcz zdradzający obecność czarownic. Były w tej ciszy. Wyczuwałam je przecież.

- Mistress Roydon? - zawołał znajomy głos. - Co panią tu sprowadza?

Zarumieniona twarz George'a Chapmana wychynęła spomiędzy ramion dwóch dżentelmenów o surowych obliczach, wsłuchanych w słowa kaznodziei, który za całe zło tego świata winił przeklętą kabałę katolików, kupców i łowców przygód.

Czarownic ani śladu, ale adepci Szkoły Nocy kręcili się wszędzie, jak zwykle.

- Szukam atramentu. I wosku do pieczętowania. - Im częściej to powtarzałam, tym bardziej absurdalne wydawało mi się to wyjaśnienie.

- W takim razie trzeba zajść do apteki. Chodźmy, zaprowadzę cię, pani, do mojego aptekarza. - George podał mi ramię. - Jest całkiem rozsądny i zna się na robocie.

- Późno już, mistrzu Chapmanie. - Nie wiadomo skąd wyrósł przed nami Pierre.

- Mistress Roydon powinna wychodzić na powietrze, póki można.

Wioślarze twierdzą, że niedługo powrócą deszcze, a oni rzadko się mylą.

Poza tym sklep Johna Chandlera jest dosłownie za murami, na Red Cross Street. To niecałe pół mili stąd.

Pomimo mojej początkowej niechęci spotkanie z Georgem okazało się jednak szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Po drodze na pewno trafimy na jakąś czarownicę.

- Matthew nie będzie miał nic przeciwko spacerowi w towarzystwie mistrza Chapmana, tym bardziej że i ty będziesz mi towarzyszył - uspokoiłam Pierre'a i ujęłam George'a pod rękę. - Czy twój aptekarz ma sklep przy Paul's Wharf?

- Nie, dokładnie po przeciwnej stronie - odparł. - Nie masz się po co zapuszczać na Paul's Wharf, pani. Jedyne tamtejsze aptekarz to John Hester, a jego ceny przekraczają granice zdrowego rozsądku. Mistrz Chandler lepiej cię obsłuży, i w dodatku za pół ceny.

Wpisałam wizytę u Johna Hestera na listę spraw do załatwienia i zacisnęłam palce na

ramieniu mojego towarzysza. Ruszyliśmy z dziedzińca na północ, mijając piękne domy i ogrody.

- Tu mieszka matka Henry'ego. - George wskazał szczególnie imponujący rząd budynków po lewej stronie. - On sam serdecznie nie znosi tego miejsca. Mieszkał tuż za rogiem uliczki Matta, ale Mary przekonała go, że to niegodne hrabiego. Przeprowadził się więc do domu przy Strandzie. Mary jest zadowolona, ale Henry twierdzi, że to ponure miejsce i że wilgoć wchodzi mu w kości.

Mury miejskie ciągnęły się tuż za domem Percych. Zbudowali je Rzymianie, by broniły *Londinium* przed napastnikami, i do dziś wyznaczały oficjalne granice miasta. Gdy przeszliśmy przez bramę Aldersgate i znaleźliśmy się na niskim moście, przed nami roztoczyła się panorama rozległych pól i domostw skupionych wokół kościołów. Ręka odruchowo powędrowała mi do nosa, podrażnionego zapachem, który towarzyszył owemu sielskiemu pejzażowi.

- Miejskie ścieki - George przeproszał, wskazując na rzekę obrzydliwości pod naszymi stopami. - Niestety, to najkrótsza droga.

Zaraz będzie przyjemniej.

Otarłam załzawione oczy ze szczerą nadzieją, że on się nie myli.

George poprowadził mnie ulicą tak szeroką, że mogły się na niej mijać bryczki, furgony z żywnością, a nawet wóz zaprzężony w parę wołów, i opowiadał mi o spotkaniu ze swoim wydawcą, Williamem Ponsonbym.

Był wstrząśnięty, że nie znam tego nazwiska. Niewiele wiedziałam o niuansach handlu książkami w czasach elżbietańskich, więc zaczęłam go z ciekawością wypytywać.

George chętnie skorzystał z okazji, żeby poplotkować o licznych dramatopisarzach, których Ponsonby odrzucił, włącznie z Kitem.

Ponsonby wolał pracować z poważnymi literatami, a zespół jego autorów rzeczywiście prezentował się imponująco: Edmund Spenser, hrabina Pembroke, Philip Sidney.

- Ponsonby chciał też opublikować wiersze Matta, ale ten się nie zgodził. - George pokręcił głową, nie rozumiejąc tej decyzji.

- Jego wiersze? - Zatrzymałam się nagle. Wiedziałam, że Matthew wielbi poezję, ale że sam pisze?

- Tak. Matt upiera się, że jego poezje nadają się do czytania wyłącznie w kręgu przyjaciół. Wszyscy lubimy jego elegię dla Philipa Sidneya, zmarłego brata Mary:

*Zaś jego cnota, z wszech miar doskonała,*

*Słuch, wzrok i myśl każdego zawždy przyciągała...*

George się uśmiechnął.

- To wspaniały poemat. Niestety Matthew nie lubi druku. Wciąż narzeka, że odkąd go wynaleziono, na świecie jest więcej sporów i nierozważnych wypowiedzi.

Choć miał nowoczesne laboratorium, Matthew był staromodnym dziwakiem, rozmiłowanym w antycznych zegarkach i starych samochodach. Zaciśnięłam usta, by nie uśmiechnąć się na ten kolejny dowód jego tradycjonalizmu.

- O czym mówią jego wiersze?

- Przeważnie o miłości i przyjaźni, ostatnio jednak wymienia się z Walterem poematami na... mroczniejsze tematy. W wielu sprawach mają chyba takie samo zdanie.

- Co to znaczy „mroczniejsze”? - spytałam, marszcząc brwi.

- Obaj z Walterem nie zawsze aprobuja to, co się wokół dzieje - odparł

George szeptem, uważnie przyglądając się twarzom przechodniów. - Są niecierpliwi, szczególnie Walter, i często zadają kłam ludziom przy władzy. To niebezpieczny zwyczaj.

- Zadają kłam - powtórzyłam zamyślona. Pewien słynny wiersz zatytułowano właśnie *Kłamstwo*. Uznano go za anonimowy, ale czasem przypisywano Walterowi Raleighowi.

*Rzeknij je jeno dworakom, a błysnie jak próchno.*

- Więc Matt zapoznał cię ze swoimi poezjami. - George znowu westchnął. - Ma rzadką umiejętność przekazania w paru słowach całego bogactwa uczuć i znaczeń. Zazdroszczę mu tego.

Choć znałam ten wiersz, nie miałam pojęcia, że jego autorem jest Matthew. Stwierdziłam jednak, że wolę głębiej zapoznawać się z literackimi próbami mojego męża w jego własnym towarzystwie, najlepiej wieczorami, więc nie pociągnęłam tematu i zamiast tego słuchałam opinii George'a o tym, że ostatnio pisarze muszą wydawać bardzo dużo tekstów, by zarobić na utrzymanie, i że powinno być więcej dobrych korektorów, bo w wydrukowanych książkach roi się od błędów.

- Tu jest sklep Chandlera - oznajmił w końcu, wskazując na skrzyżowanie, przy którym stał na podwyższeniu lekko przekrzywiony krzyż.

Grupka chłopców pracowicie wydłubywała obluzowany brukowiec u jego podstawy. Nie trzeba było talentu czarownicy, aby przewidzieć, że ten kamień wkrótce stłucze szybę jakiegoś domu. Im bliżej byliśmy apteki, tym robiło się zimniej.

Podobnie jak pod katedrą poczułam przyływ energii, choć w całej okolicy panowała ciężka atmosfera biedy i rozpacz. Po północnej stronie uliczki chyliła się zrujnowana, wiekowa wieża, a budynki naokoło wyglądały, jakby byle podmuch wiatru mógł je obrócić w perzynę.

Dwóch chłopaków podeszło leniwie i spojrzało na nas z zainteresowaniem, ale ciche syknięcie Pierre'a zatrzymało ich w pół kroku.

Apteka Johna Chandlera idealnie wpasowywała się w gotycki klimat tej okolicy. Była

mroczna, niepokojąca i pełna ostrych zapachów. Z sufitu zwieszała się wypchana sowa, a szczęki jakiegoś nieszczęsnego stworzenia wisiały nad szkicem ciała o połamanych kończynach przeszytych różnymi rodzajami broni. W oku biedaka tkwił pod ostrym kątem stolarski przebijak.

Zza zasłony wyszedł zgarbiony mężczyzna, wycierając dłonie w rękawy wyblakłej szaty z czarnej bombazyny. Szata przypominała akademickie togi licencjatów z Oksfordu i Cambridge i była równie pognieciona. Orzechowe oczy spojrzały wprost na mnie bez chwili wahania. Poczułam na skórze znajome łaskotanie. Chandler był czarownikiem. Przemierzyłam pół Londynu, ale w końcu znalazłam swojego.

- Ta okolica z każdym tygodniem robi się coraz bardziej niebezpieczna, mistrzu Chandlerze. - George wyjrzał przez okno, obserwując bandę młodzików, którzy kręcili się w pobliżu.

- Ci chłopcy kompletnie zdiczelili - odparł Chandler. - W czym mogę dziś pomóc, mistrzu Chapmanie? Potrzebujesz więcej toniku? Bóle głowy powróciły?

George zagłębił się w szczegółowy opis swoich licznych dolegliwości. Chandler od czasu do czasu pomrukiwał ze współczuciem, a potem przyciągnął jakąś książkę leżącą na ladzie. Pochylili się nad nią, a ja mogłam dzięki temu uważniej przyjrzeć się wnętrzu pomieszczenia.

Elżbietańskie apteki ewidentnie pełniły w tej epoce funkcję wielobranżowych sklepów. Niewielką przestrzeń zapełniono aż po belki sufitu przeróżnymi towarami. Tu i ówdzie leżały stosy barwnych plakatów podobnych do tego, który wisiał na ścianie, a wśród nich stały słoje z kandyzowanymi owocami. Na jednym ze stołów piętrzyły się używane książki, a wśród nich kilka nowych. W mroku lśniły słoje opisane nazwami przypraw i ziół. Królestwo zwierząt reprezentowało kilka wymizerowanych wypchanych gryzoni powieszonych za ogony, nie licząc wypchanej sowy i szczęki. Udało mi się też wypatrzyć kałamarze z atramentem, pióra i kilka szpilek sznurka.

Towary posegregowano mniej więcej według działów. Atrament znalazł się w pobliżu piór i używanych książek, a nad tym wszystkim unosiła się wiekowa, mądra sowa.

Myszy zawieszono nad słojem z napisem „Szczurza śmierć”, obok leżała książka, która nie tylko obiecywała nauczyć łowienia ryb, ale i budowy „wszelakich machin i pułapek na tchórze, drapieżne ptactwo, szczury, myszy i inne szkodniki i bestie”. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie znalazłabym w niej sposobu na pozbycie się nieproszonych gości na strychu Matthew. Szczegółowe plany zawarte w książce przekraczały moje zdolności manualne, ale może udałoby się wynajść kogoś, kto by się uporał z gryzoniami. Sądząc po pęku upolowanych myszy pod sufitem, pułapki były bardzo skuteczne.

- Przepraszam, pani - mruknął, sięgając w górę. Zafascynowana patrzyłam, jak kładzie myszy na swoim roboczym stole i starannie, precyzyjnie obcina im uszy i ogonki.

- Do czego to posłuży? - spytałam George'a.

- Proszek z mysich uszu pomaga na pryszcze - wyjaśnił szczerze, obserwując, jak Chandler uciera je w moździerz.

Bardzo zadowolona, że nie uskarżam się akurat na tę dolegliwość, powędrowałam ku sobie strzegącej działu papierniczego. Znalazłam kałamarz pełen intensywnie czerwonego atramentu.

*Wampirz, który ci towarzyszy, nie będzie zadowolony, jeśli każesz mu nieść ten inkaust do domu, moja pani. Zrobiono go z krwi jastrzębia i służy do pisania zaklęć miłosnych.*

Aha. A więc Chandler posiadał dar myślowy. Odstawiłam kałamarz na miejsce i wzięłam do ręki broszurkę z pozaginanymi rogami. Ilustracja na pierwszej stronie przedstawiała wilka rzucającego się na dziecko i mężczyznę poddanego straszliwym torturom, a potem egzekucji.

Przypomniały mi się tablety przy kasie w nowoczesnych supermarketach. Kiedy przewróciłam stronę, ze zdziwieniem przeczytałam opowieść o jakimś Peterze Stubbe, który mordował mężczyzn, kobiety i dzieci, wpierv wypijając ich krew. A więc opinia publiczna zwróciła uwagę nie tylko na szkockie czarownice, ale i na wampiry. Przebiegłam wzrokiem cały tekst. Zauważyłam z ulgą, że Stubbe mieszka daleko, aż w Niemczech, lecz niepokój powrócił, kiedy okazało się, że wuj jednej z ofiar prowadzi browar między naszym domem a zamkiem Baynard. Z przerażeniem czytałam odrażające szczegóły zbrodni; to straszne, jakich środków mają się ludzie, by poradzić sobie z nadprzyrodzonymi istotami żyjącymi wśród nich.

Wprawdzie Stubbe został przedstawiony jako czarownik, a jego dziwne zachowanie przypisywano paktowi z diabłem, który pozwolił mu zmieniać postać i zaspokajać swoją nienaturalną żądzę krwi, ale najprawdopodobniej był wampirem. Wsunęłam broszurkę pod książkę i ruszyłam do lady.

- Mistress Roydon przyszła po zakupy - zwrócił się George do aptekarza.

Na dźwięk mojego nazwiska Chandler przezornie osłonił swój umysł.

- Tak - przytaknęłam powoli. - Poproszę czerwony atrament, jeśli jest. I jakieś perfumowane mydło do prania.

- Służę. - Czarownik zajrzał do kilku niewielkich cynowych pojemników. Znalazł właściwy i postawił go na ladzie. - Czy potrzebujesz też, pani, wosku do pieczętowania w kolorze pasującym do atramentu?

- Cokolwiek znajdziesz na składzie, mistrzu Chandlerze.

- Widzę, że masz jedną z ksiąg mistrza Hestera. - George wziął do ręki jeden z tomów. - Powiedziałem pani Roydon, że twój inkaust jest równie dobry, jak jego, a kosztuje o połowę taniej.

Aptekarz uśmiechnął się lekko na ten komplement i położył obok pojemnika z atramentem kilka lasek wosku w kolorze czerwonych goździków i dwa kawałki słodko pachnącego mydła.

Dołożyłam do nich podręcznik o zwalczaniu szkodników i broszurkę o niemieckim

wampirze. Oczy Chandlera poszukały mojego spojrzenia.

Była w nich ostrożność.

- Tak - odparł. - Drukarz z przeciwka zostawił u mnie kilka egzemplarzy, bo tom traktuje o medycynie.

- A więc pewnie zainteresuje panią Roydon - oświadczył George i dorzucił księgę do moich zakupów. Nie po raz pierwszy zdziwiło mnie, jak mało uwagi istoty ludzkie zwracają na to, co się dzieje wokół nich.

- Nie jestem pewny, czy ten traktat nadaje się dla damy. - Chandler znacząco popatrzył na moją obrączkę.

Natychmiastowa odpowiedź George'a zagłuszyła moją myślową reakcję.

- Och, jej mąż nie będzie miał nic przeciwko temu. Ona studiuje alchemię.

- Wezmę ją - dodałam zdecydowanie.

Gdy Chandler pakował zakupy, George spytał go, czy może polecić kogoś, kto umiałby robić okulary.

- Mój wydawca, mistrz Ponsonby, boi się, że oczy mnie zawiodą, zanim skończę przekład Homera - wyjaśnił z dumą. - Dostałem przepis na lek od służącej mojej matki, ale chyba nie działa.

Aptekarz wzruszył ramionami.

- Domowe kobiece sposoby bywają skuteczne, mój jednak jest lepszy.

Prześle ci, panie, kataplazm z białek i wody różanej. Namocz w nim lniane gałganki i przykładaj do oczu.

George i Chandler jeszcze przez chwilę targowali się o cenę leku i umawiali na jego dostarczenie, tymczasem Pierre zebrał zakupy i czekał na nas przy drzwiach.

- Do widzenia, mistress Roydon. - Chandler skłonił się uprzejmie.

- Dziękuję, mistrzu Chandlerze - odpowiedziałam. *Niedawno przybyłam do miasta i szukam czarownicy.*

*Potrzebuję pomocy.*

- Nie ma za co - odparł gładko - w Blackfriars też są doskonali aptekarze.

*Londyn to niebezpieczne miejsce. Bądź ostrożna, prosząc o pomoc.*

Zanim zdążyłam go spytać, skąd wie, gdzie mieszkam, George wesoło się pożegnał i

wyprowadził mnie na ulicę. Pierre szedł za nami tak blisko, że od czasu do czasu czułam jego zimny oddech.

Dotyk oczu był aż nazbyt wyraźny przez całą drogę powrotną do miasta. Kiedy my byliśmy u Chandlera, ktoś wysłał ostrzeżenie i całe sąsiedztwo wiedziało już, że w okolicy jest obca czarownica.

A więc udało mi się osiągnąć cel wyprawy. Na progu jakiegoś domostwa stanęły dwie czarownice; trzymając się pod rękę, obrzuciły mnie piękącym, wrogim spojrzeniem. Były do siebie bliźniaczko podobne z twarzy i sylwetki.

- Wampierz - mruknęła jedna z nich, splunęła w stronę Pierre'a i ułożyła palce w znak wideł, odżegnując się od złego ducha.

- Chodźmy, pani. Robi się późno. - Pierre chwycił mnie za rękę.

Zależało mi, by jak najszybciej wyprowadzić mnie z St. Giles, a George równie mocno pragnął znaleźć się w Blackfriars i napić wina. W rezultacie droga powrotna zajęła nam o wiele mniej czasu niż spacer do apteki. Gdy znaleźliśmy się bezpiecznie Pod Łanią i Koroną, okazało się, że Matthew jeszcze nie wrócił, więc Pierre poszedł go szukać. Wkrótce potem Françoise zauważyła z naciskiem, że już późno i pora na odpoczynek. Chapman zrozumiał aluzję i zaczął się żegnać.

Françoise usiadła z robótką przy kominku i wpatrzyła się w drzwi. Ja wypróbowałam nowy atrament, skreślając rzeczy z listy zakupów, po czym dopisałam do niej pułapkę na myszy. Po chwili otworzyłam książkę Johna Hestera. Obłożono ją czystym arkuszem, który dyskretnie zasłaniał nieprzyzwoitą okładkę. Dziełko traktowało o remediach na choroby weneryczne. Prawie każdy z leków zawierał sporą ilość toksycznej rtęci.

Nic dziwnego, że Chandler nie chciał sprzedać czegoś takiego zamężnej kobiecie. Właśnie zaczęłam drugi, fascynujący rozdział, kiedy z gabinetu Matthew dobiegły nas jakieś pomruki. Françoise karcąco zacisnęła wargi i pokręciła głową.

- Trzeba iść po wino, bo tego, które mamy, pewnie mu nie wystarczy - stwierdziła i ruszyła ku schodom, biorąc po drodze jeden z pustych dzbanów ustawionych pod drzwiami.

Podążyłam tam, skąd dobiegał głos mojego męża. Matthew był jeszcze w gabinecie. Rozbierał się i po kolei wrzucał do ognia wszystkie sztuki ubrania.

- To zły człowiek, milordzie - mówił ponuro Pierre, odpinając miecz od jego pasa.

- „Zły” to zbyt łagodne określenie na tego szatana. Nie ma takiego słowa, które by do niego pasowało. Po dzisiejszym dniu przysięgnę przed sądem, że to sam diabeł wcielony.

Długie palce Matthew rozluźniły tasiemki obcisłych bryczesów.

Spodnie opadły na podłogę, schylił się, żeby je podnieść. Poszybowały prosto do ognia, ale nie dość szybko, żeby nie zauważyła plam krwi.

Zapach starego, mokrego kamienia, pleśni i brudu obudził we mnie nagłe wspomnienie więzienia w La Pierre. Zrobiło mi się niedobrze. Matthew błyskawicznie się odwrócił.

- Diana. - Wziął głęboki oddech, wyczuwając mój niepokój. Ściągnął koszulę przez głowę, ominął leżące na podłodze buty i znalazł się tuż obok mnie, tylko w płóciennych kalesonach. Blask ognia igrał na jego ramionach, a jedna z wielu znaczących je blizn - długa i głęboka, tuż nad stawem barkowym - pojawiała się i znikła.

- Jesteś ranny? - Z trudem wydobyłam słowa ze ściśniętej krtani. Nie mogłam oderwać wzroku od ubrań płonących w kominku. Matthew powiódł za nim spojrzeniem i zaklął cicho.

- To nie moja krew. - Niezbyt mnie pocieszało, że Matthew splamiła cudza. - Królowa kazała mi uczestniczyć w... przesłuchaniu więźnia.

Jego wahanie powiedziało mi, że w rzeczywistości chodziło o tortury.

- Wykąpię się i zjemy razem kolację.

Mówił ciepłym tonem, ale widziałam, że jest zmęczony i wściekły. Bardzo uważał, żeby mnie nie dotykać.

- Byłeś pod ziemią. - Nie mogłam nie rozpoznać zapachu.

- Byłem w Tower.

- A ten więzień... już nie żyje?

- Nie żyje. - Przesunął dłonią po twarzy. - Miałem nadzieję, że zdążę ich tym razem powstrzymać, ale źle obliczyłem przyływ i się spóźniłem.

Mogłem tylko skrócić jego cierpienia.

Matthew już raz był przy takiej śmierci. Mógł dziś spokojnie zostać w domu i nie przejmować się nieszczęsną potępioną duszą w Tower. Ktoś słabszy pewnie by tak zrobił.

Wyciągnęłam do niego rękę, ale się odsunął.

- Królowa obedrze mnie ze skóry, kiedy się dowie, że zmarł, zanim zdradził swoją tajemnicę, nic mnie to jednak nie obchodzi. Podobnie jak większość ludzi Elżbieta potrafi przymknąć oko na różne sprawy, kiedy jej tak pasuje - wyjaśnił.

- Kto to był?

- Czarownik - odpowiedział głucho. - Sąsiedzi donieśli, że ma rudowłosą lalkę. Obawiali się, że to wizerunek królowej. A królowa z kolei obawiała się, że szkoccy czarownicy Agnes Sampson i John Fian dadzą przykład swoim angielskim pobratymcom i tamci zwrócą się przeciwko niej. Nie, Diana - zatrzymał mnie gestem, kiedy chciałam podejść i go pocieszyć. - Nie dopuszczę cię jeszcze bliżej Tower i tego, co tam się dzieje. Idź do salonu. Zaraz do ciebie dołączę.



Niechętnie zostawiałam go samego, lecz tylko jedno mogłam dla niego zrobić: spełnić tę prośbę. Nie miałam ochoty na wino, chleb ani ser.

Oderwałam kawałek bułki kupionej rano u Piora i powoli go skubałam.

- Straciłaś apetyt. - Matthew wśliznął się do pokoju niepostrzeżenie jak kot i nalał sobie wina. Wypił je jednym haustem i znów napełnił kubek.

- Ty też - odparłam. - Odżywasz się nieregularnie. Gallowglass i Hancock stale zapraszali go na nocne łowy, ale on zawsze odmawiał.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Lepiej opowiedz mi, co robiłaś przez cały dzień.

Pomóż mi zapomnieć. Te niewypowiedziane słowa Matthew rozbrzmiały w całym pokoju.

- Poszliśmy po zakupy. Odebrałam książkę, którą zamówiłeś u Richarda Fielda, i poznałam jego żonę Jacqueline.

- Aha. - Matthew uśmiechnął się. Napięte wargi rozluźniły się nieco. -

Nowo poślubioną panią Field. Przeżyła pierwszego męża i teraz porwała do tańca drugiego. Pewnie za parę dni zostaniecie serdecznymi przyjaciółkami. Widziałaś się z Szekspirem?

Mieszka u Fieldów.

- Nie. - Rzuciłam kilka okruchów do coraz większego stosiku na stole.

- Potem poszłam do katedry.

Matthew pochylił się do przodu.

- Był ze mną Pierre - dodałam szybko, odkładając bułkę. - I spotkałam George'a.

- Pewnie kręcił się koło Bishop's Head, w nadziei że William Ponsonby rzuci mu jakieś dobre słowo. - Matthew zaśmiał się, coraz bardziej odprężony.

- Nie dotarłam do Bishop's Head - wyznałam. - George był pod krzyżem Świętego Pawła i słuchał kazania.

- Tłum zgromadzony wokół kaznodziejów może okazać się nieprzewidywalny - powiedział cicho. - Pierre nie powinien ci pozwolić na takie ekscesy.

Służący pojawił się w pokoju jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Byliśmy tam tylko chwilę. George zaprowadził mnie do swojego aptekarza. Kupiłam kilka książek i drobiazgów. Mydło. Wosk do pieczętowania. Czerwony atrament. - Zacisnęłam wargi.

- Aptekarz George'a mieszka w Cripplegate - zauważył Matthew ponuro. Spojrzał na Pierre'a. - Gdy londyńczycy zaczynają narzekać na przestępczość, szeryf rusza do tej dzielnicy i zgarnia wszystkich bezrobotnych, a także tych, którzy wydadzą mu się trochę dziwni. Zresztą łatwo mu to przychodzi.

- Jeśli szeryf zawsze wybiera to miejsce, to dlaczego w okolicach krzyża pod Barbakanem gnieździ się aż tyle nadprzyrodzonych istot, a tu w Blackfriars nie ma prawie żadnej?

- Dawno temu Blackfriars było świętym miejscem chrześcijan - odparł

Matthew, wyraźnie zaskoczony pytaniem. - Demony, czarownicy i wampiry trzymali się od niego z dala i jeszcze nie wrócili. Natomiast krzyż pod Barbakanem postawiono w miejscu, gdzie setki lat temu znajdował się żydowski cmentarz. Po wygnaniu Żydów z Anglii władze miejskie zaczęły osadzać na tej niepoświęconej ziemi kryminalistów, zdrajców i ekskomunikowanych. Ludzie uważają, że to miejsce jest nawiedzone, i bardzo go unikają.

- To znaczy, że wyczułam tam nieszczęście umarłych, a nie żywych - rzuciłam bez zastanowienia. Matthew zmrużył oczy. Temat rozmowy absolutnie nie działał kojąco na jego rozdrażnione nerwy, więc mój niepokój rósł z każdą chwilą. - Jacqueline poleciła mi Johna Hestera, kiedy pytałam ją o aptekarza, ale George powiedział, że jego jest równie dobry, a dużo tańszy. Nie wiedziałam, gdzie pracuje.

- John Chandler, w odróżnieniu od Hestera, nie uzależnia swoich klientów od opium, co ma dla mnie o wiele większe znaczenie niż jego rozsądne ceny. Mimo to wolałbym, żebyś nie chodziła do Cripplegate.

Kiedy znowu skończą ci się materiały piśmienne, poślij po nie Pierre'a lub Françoise. Albo jeszcze lepiej, zajrzyj do aptekarza tu na Water Lane, trzy domy od nas.

- Pani Field nie powiedziała madame, że w Blackfriars też mamy aptekarza. Parę miesięcy temu monsieur de Laune się z nią pokłócił, chodziło o sposób leczenia gardła jej najstarszego syna - wyjaśnił półgłosem Pierre.

- Jak dla mnie, mogą się nawet bić na miecze w nawie Świętego Pawła w samo południe. Tylko niech nie wysyłają Diany do miasta.

- Nie tylko w Cripplegate jest niebezpiecznie - stwierdziłam, podsuwając mu broszurkę o niemieckim wampirze. - Kupiłam u Chandlera traktat Hestera o leczeniu syfilisu i książkę o robieniu pułapek.

To też miał na sprzedaż.

- Że co proszę? - Matthew zakrztusił się winem i wbił wzrok w traktat.

- Co tam Hester. Zobacz, ta broszurka opowiada o mężczyźnie, który zawarł pakt z diabłem i zmienił się w wilka, żeby żywić się krwią. Jest tam też wzmianka o jednym z naszych sąsiadów, piwowarze spod zamku Baynard, który pomógł w jej wydaniu. - Postukałam w papier dla podkreślenia swoich słów.

Kiedy dotarł do najważniejszej części, z wrażenia zaparło mu dech.

Podał broszurkę Pierre'owi, który ją pobieżnie przejrzał.

- Stubbe jest wampirem, prawda?

- Tak. Nie miałem pojęcia, że wieść o jego śmierci dotarła aż tutaj.

Kitowi nakazałem powtarzać mi wszystkie uliczne plotki i historie z prasy, żebyśmy w razie czego mogli je tuszować. Czemu tę akurat przegapił? - Matthew rzucił Pierre'owi ponure spojrzenie. - Daj tę robotę komuś innemu, ale tak, żeby Kit się o tym nie dowiedział.

Pierre skwitował polecenie pochyleniem głowy.

- Rozumiem, że legendy o wilkołakach to kolejna żalosna próba ludzi, żeby istnienia wampirów nie dopuszczać do świadomości. - Pokręciłam głową.

- Nie bądź dla nich zbyt surowa, Diano. Teraz zajmują się czarownikami, a za sto lat przerzucą się na demony, wskutek reform domów wariatów. Potem znowu zaczną tępić wampira czarownicy staną się postaciami z bajek, postrachem dla niegrzecznych dzieci. - Matthew był wyraźnie zmartwiony.

- Nasz sąsiad boi się wilkołaków, a nie czarowników. Drzę na myśl o tym, że mógłby cię pomylić z kimś takim. Przestań się troszczyć o mnie i zadbaj wreszcie o siebie. Poza tym, pewnie niedługo do naszych drzwi zapuka jakaś czarownica.

Uważałam, że mój mąż nie powinien szukać moich pobratymców, bo znajdzie się w niebezpieczeństwie. Spojrzał na mnie groźnie, nie odezwał się jednak ani słowem, dopóki nie powściągnął gniewu.

- Wiem, że koniecznie chciałabyś być niezależna, ale przyrzeknij mi, proszę, że następnym razem, kiedy zechcesz wziąć sprawy we własne ręce, uprzedzisz mnie o tym. - Zareagował o wiele łagodniej, niż się spodziewałam.

- Pod warunkiem że zechcesz mnie słuchać. Znalazłeś się pod obserwacją, Matthew. Jestem tego pewna, podobnie jak Mary Sidney.

Zajmij się sprawami królowej i sytuacją w Szkocji, a ten problem zostaw mnie.

Już otwiera! usta, żeby dalej się spierać, ale pokręciłam głową.

- Posłuchaj mnie! Czarownica wkrótce się pojawi. Obiecuję ci to.

## ROZDZIAŁ 18

Następnego dnia po południu Matthew czekał na mnie w słonecznym pokoju zimowym Mary w zamku Baynard. Stał przy oknie z wesołą miną i patrzył na Tamizę. Odwrócił się, gdy weszłam, i uśmiechnął szeroko na widok elżbietańskiej wersji laboratoryjnego fartucha, który osłaniał mój złotobrazowy gorset i suknię. Wkładki w rękawach białej spodniej szaty przesadnie podkreślały linię ramion, ale korona wokół szyi była na szczęście skromna i niewielka. Ten strój należał do moich najwygodniejszych kreacji.

- Mary nie może przerwać eksperymentu. Zaprasza nas na kolację w poniedziałek.

Zarzuciłam mu ramiona na szyję i mocno ucałowałam w policzek.

Cofnął się.

- Dlaczego pachniesz octem?

- Mary się nim myje. Jest skuteczniejszy od mydła.

- Wyszłaś z domu, pachnąc słodkim aromatem chleba z miodem, a teraz hrabina Pembroke oddaje mi kobietę zalatującą konserwowym ogórkiem.

Matthew dotknął nosem skóry za moimi uszami. Westchnął zadowolony.

- Wiedziałem, że w końcu znajdę jakieś miejsce bez octu.

- Matthew - mruknęłam.

Tuż za nami stała Joan, pokojówka hrabiny.

- Zachowujesz się jak sztywna wiktoriańska dama, a nie jak rubaszna kokietka z czasów królowej Elżbiety - stwierdził ze śmiechem. Ostatni raz musnął moją szyję i odsunął się. - Jak ci minęło popołudnie?

- Byłeś kiedyś w jej laboratorium? - Zamieniłam bezkształtny szary fartuch na pelerynkę, a potem odesłałam Joan do innych obowiązków. -

Zajęła w całości jedną z zamkowych wież i kazała wymalować na wszystkich ścianach symbole kamienia filozoficznego. Czułam się, jakbym pracowała w zwoju Ripleya!<sup>1</sup> Widziałam w Yale kopię Beineckiego, ale mierzyła tylko dwadzieścia stóp. Freski Mary mają co najmniej drugie tyle. Z trudem mogłam się skupić na pracy.

---

<sup>1</sup> Zwój Ripleya - ważne, wspaniale ilustrowane XV-wieczne dzieło symbolizmu emblematycznego, traktujące o syntezie kamienia filozoficznego. Zachowało się około dwudziestu kopii tego zwoju (przyp. tłum.).

- Co to był za eksperyment?

- Polowanie na zielonego smoka - odparłam z dumą. Była to nazwa procesu alchemicznego, podczas którego łączyło się dwa roztwory kwasu, wywołując wspaniałą burzę kolorów. - Mało brakowało, a byśmy go złapały. Tylko że coś poszło nie tak i flaszka wybuchła. Fantastyczne doświadczenie!

- Jak to dobrze, że nie pracujesz w moim laboratorium. Mówiąc krótko, przy pracy z kwasem azotowym należy unikać wybuchów.

Następnym razem zajmijcie się lepiej czymś mniej lotnym, na przykład destylacją wody różanej. - Nagle zmrużył oczy. - Nie używałyście chyba rtęci?

- Spokojnie, nie zrobię nic, co mogłoby zaszkodzić dziecku - broniłam się.

- Zawsze, kiedy się o ciebie troszczę, zakładasz, że chodzi mi o kogoś innego. - Ściągnął brwi w groźnym grymasie. Broda i wąsy - do których wciąż nie mogłam się przyzwyczaić - sprawiały, że wydawał się jeszcze bardziej stanowczy. Nie miałam jednak ochoty na kłótnię.

- Przepraszam - rzuciłam i szybko zmieniałam temat. -W przyszłym tygodniu będziemy mieszać pierwszą partię *primae materia*<sup>2</sup>. Zawiera wprawdzie rtęć, ale obiecuję, że nie będę jej dotykać. Mary chce sprawdzić, czy do końca stycznia zgnije i powstanie z niej alchemiczna ropucha.

- Fantastyczne plany na początek roku - skomentował, otulając mnie pelerynką.

- Co tam zobaczyłeś? - Ja także wyjrzałam przez okno.

- Ktoś za rzeką przygotowuje ognisko na powitanie Nowego Roku. Za każdym razem, kiedy odjeżdżają wozem po świeże drewno, miejscowi rozkradają wszystko, co już zgromadzono na miejscu. Stos robi się coraz mniejszy. Zupełnie jak robótka Penelopy, ta, której ubywało nocami.

- Mary mówiła mi, że jutro nikt nie będzie pracował. Och, trzeba koniecznie powiedzieć Françoise, żeby kupiła jeden więcej *manchet*, nasz ulubiony chlebek, i namoczyła go w mleku i miodzie, żeby zmiękł na sobotnie śniadanie.

W ten sposób robiło się elżbietański odpowiednik tostów.

- Mary chyba się boi, że umrę z głodu w domu rządzonym przez wampiry.

- Lady Pembroke zwykle unika tematu nadprzyrodzonych istot i ich zwyczajów - stwierdził Matthew.

- To prawda, nie pisnęła słowa o swoich pantoflach -odparłam zamyślona.

---

<sup>2</sup> Prima materia (łac.) - materia pierwotna. Według alchemików jest to prymitywna, pozbawiona formy substancja bazowa wszelkich rzeczy materialnych, które manifestują się dzięki formom (przyj. tłum.).

- Mary Sidney jest taka sama jak jej matka. Ignoruje wszelkie niewygodne tematy. Wszystkie kobiety z rodziny Dudleyów musiały tak sobie radzić.

- Z Dudleyów? - Spochmurniałam. Byli znani jako wieczni awanturnicy; dokładne przeciwieństwo opanowanej, kulturalnej Mary.

- Matką lady Pembroke była Mary Dudley, przyjaciółka Jej Wysokości i siostra Roberta, królewskiego faworyta. -Matthew ironicznie wydał wargi. - Błyskotliwa kobieta, taka jak jej córka. Mary Dudley nabijała sobie głowę różnymi teoriami, byleby tylko nie przyjmować do wiadomości, że jej ojciec dopuścił się zdrady, a brat wyrządził wiele zła.

Nawet kiedy zaraziła się ospą od naszej uwielbianej suwerenki, wołała nie mieć świadomości, że królowa i jej mąż wolą cieszyć się nawzajem swoim towarzystwem, a nie patrzeć na jej oszpeconą twarz.

Ze zdziwienia zatrzymałam się w pół kroku.

- Co się z nią stało?

- Zmarła w samotności, zupełnie zgorzkniała, jak większość kobiet z tej rodziny. Za swój największy sukces uważała wydanie swojej piętnastoletniej imienniczki za czterdziestoletniego hrabiego Pembroke.

- Mary Sidney wyszła za mąż w wieku piętnastu lat?

Ta mądra, wesoła kobieta bez widocznego wysiłku zarządzała ogromną posiadłością, wychowywała rozbrykane dzieci i prowadziła poważne eksperymenty alchemiczne. Dopiero teraz zrozumiałam, jakim cudem jej się to udawało. Była o kilka lat młodsza ode mnie, ale przez pół życia musiała podolać tym wszystkim powinnościom.

- Tak. Ale matka zapewniła jej wszystkie narzędzia niezbędne do przetrwania: żelazną dyscyplinę, głębokie poczucie obowiązku, najlepsze wykształcenie, umiłowanie poezji i fascynację alchemią.

Dotknęłam gorsetu i pomyślałam o dziecku w moim łonie. Jakich narzędzi będzie potrzebować, by przetrwać w tym świecie?

Wracając do domu, rozmawialiśmy o chemii. Matthew tłumaczył mi, że kryształy, nad którymi Mary tak się trzęsła, to utleniona ruda żelaza, które później przedestyluje w alembiku, uzyskując kwas siarkowy.

Zawsze bardziej interesował mnie symbolizm niż praktyczne aspekty alchemii, ale popołudnie spędzone z hrabiną Pembroke pokazało mi, jak fascynujący może być związek teorii z praktyką.

Wkrótce znaleźliśmy się bezpiecznie Pod Łanią i Koroną. Powoli sączyłam ciepły napar z mięty i cytryny. Okazało się, że w czasach elżbietańskich pijano herbaty, ale wyłącznie ziołowe. Beztróska opowiadałam o Mary, a Matthew uśmiechał się coraz szerzej.

- Co cię tak bawi? - spytałam w końcu.

- Nigdy cię takiej nie widziałem - odparł.

- Niby jakiej?

- Tak pełnej życia: pytań, opowieści o tym, co robiłaś, i planów na przyszły tydzień.

- Znowu poczułam się jak studentka i dobrze mi z tym -wyznałam. - Z początku dziwnie się czułam, bo nie znałam odpowiedzi. Przez te wszystkie lata zapomniałam, jak fajnie jest mieć same pytania i nic poza tym.

- Czujesz się tu wolna, nie tak jak w Oksfordzie. Tajemnice oznaczają samotność. - Spojrzał na mnie współczująco i pogładził po policzku.

- Nigdy nie byłam samotna.

- Oczywiście, że byłaś. Wciąż jesteś - odparł cicho. Zanim wymyśliłam odpowiedź, podniósł mnie z fotela i oparł o ścianę. W progu pojawił się Pierre, którego jeszcze przed chwilą nigdzie nie było widać.

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Mięśnie Matthew błyskawicznie się napięły, przy udzie błysnęła sztylet. Kiedy skinął głową, Pierre znalazł się na podeście i szeroko otworzył drzwi.

- Przynieśliśmy wiadomość od ojca Hubbarda. -W drzwiach stanęły dwa wampiry odziane w stroje zbyt kosztowne jak na posłańców. Żaden z nich nie miał więcej niż piętnaście lat. Nigdy w życiu nie widziałam nastoletnich wampirów, ale pewnie mogły być nimi dzieci.

- Mistrzu Roydonie. - Wyższy z nich dotknął swojego nosa i wbił w Matthew spojrzenie oczu koloru in-dygo. Potem przeniósł je na mnie.

Przeszył mnie dreszcz. - Pani.

Matthew mocniej ścisnął sztylet, a Pierre przesunął się, stał teraz między nami a drzwiami.

- Ojciec Hubbard pragnie cię widzieć - powiedział niższy wampir, patrząc z pogardą na sztylet. - Przyjdź, gdy zegar wybije siódmą.

- Powiedz Hubbardowi, że przyjdę, kiedy zechcę -syknął Matthew.

- Ale nie sam - dodał wyższy z chłopców.

- Nigdzie nie widziałem Kita. - W głosie Matthew zabrzmiało zniecierpliwienie. - Jeśli wpakował się w kłopoty, wasz pan będzie lepiej ode mnie wiedział, gdzie go znaleźć, Corner.

To miano doskonale pasowało do chłopca. Jego nastoletnie ciało wyglądało jak stworzone z samych ostrych kątów i narożników.

- Marlowe był cały dzień u ojca Hubbarda - odparł wyniośle.
- Naprawdę? - Matthew przyjrzał mu się uważnie.
- Tak. Ojciec Hubbard chce się widzieć z czarownicą - powiedział towarzysz Cornera.
- Rozumiem - odparł sucho mój mąż.

W powietrzu błysnęła czerń i srebro; nagle jego wypolerowany sztylet utkwił, wibrując, we framudze, tuż przy oku chłopca. Matthew leniwie ruszył w tę stronę. Oba wampiry instynktownie cofnęły się o krok.

- Dzięki za wiadomość, Leonardzie - powiedział i ruchem stopy zamknął drzwi.

Pierre i Matthew bez słowa wymienili długie spojrzenie. Na schodach dudniły kroki młodocianych wampirów.

- Hancock i Gallowglass - polecił Matthew.
- Już lecę. - Pierre odwrócił się szybko i wybiegł, omal nie zderzając się z Françoise.

Wyciągnęła sztylet z framugi.

- Mieliśmy gości - wyjaśnił Matthew, zanim zdążyła poskarżyć się na niszczenie drewna.
- O co tu chodzi, Matthew? - spytałam.

- Pójdziemy zobaczyć się z moim starym przyjacielem - odparł złowróbnym, lecz opanowanym głosem.

Spojrzałam na leżący na stole sztylet.

- Czy ten stary przyjaciel jest wampirem?

- Wina, Françoise. - Matthew wziął kilka kartek papieru ze starannie poukładanych stosów.

Stłumiłam pomruk protestu, kiedy złapał jedno z moich piór i w szaleńczym tempie zaczął coś pisać. Od chwili gdy chłopcy zastukali do drzwi, nie zaszczycił mnie ani jednym spojrzeniem.

- Mamy świeżą krew od rzeźnika. Może powinien pan... Podniósł wzrok i mocno zacisnął wargi. Françoise bez słowa naląła mu pełen kielich wina. Wtedy podał jej dwa listy.

- Zanieś to do hrabiego Northumberland w Russell House. Ten drugi jest do Raleigha. Znajdziesz go w Whitehall.

Françoise natychmiast wybiegła, a Matthew podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Włosy wplątały mu się w płócienny kołnierz. Z trudem powstrzymałam się, żeby ich z niego nie



wyciągnąć. Matthew był tak napięty, że na pewno niemile przyjąłby taki gest.

- Ojciec Hubbard? - przypomniałam.

Ale on wyraźnie błędził myślami gdzie indziej.

- W końcu cię zabiją - burknął szorstko, wciąż odwrócony do mnie plecami. - Ysabeau ostrzegła mnie, że nie masz instynktu samozachowawczego. Ile razy musi się to powtórzyć, zanim go w sobie wyrobisz?

- Co znów zbroiłam?

- Chciałaś, żeby cię zauważono, Diano - odparł ostro. - I udało ci się.

- Odwróć się od tego okna. Nie zamierzam rozmawiać z tyłem twojej głowy - odpowiedziałam spokojnie, choć miałam ochotę go udusić. - Ojciec Hubbard, kto to taki?

- Andrew Hubbard jest wampirem. Władą całym Londynem.

- Co przez to rozumiesz? Wszystkie tutejsze wampiry uznają jego władzę?

W XXI wieku londyńskie wampiry były znane ze swojej lojalności, nocnego trybu życia i silnych więzi w grupie - tak przynajmniej twierdziły czarownice. Nie były tak ekstrawaganckie jak mieszkańcy Paryża, Wenecji czy Sztambułu ani tak krwiożercze jak te z Moskwy, Nowego Jorku i Pekinu. Londyńskie wampiry słynęły z dobrej organizacji.

- Nie tylko wampiry. Czarownice i demony też. - Matthew odwrócił się do mnie i posłał mi lodowate spojrzenie. - Andrew Hubbard był księdzem, kiepsko wykształconym, ale znającym teologię na tyle, żeby narobić kłopotów. Stał się wampirem, kiedy do Londynu dotarła pierwsza fala zarazy. Do 1349 roku wytrzebiła niemal pół miasta. Hubbard przetrwał początek epidemii, opiekował się chorymi i grzebał zmarłych. W końcu i on się rozchorował.

- I ktoś uratował mu życie, zmieniając go w wampira.

- Tak, ale nigdy nie udało mi się odkryć kto. Krąży o nim wiele legend, przypisujących mu zmartwychwstanie i boskość. Podobno gdy był bliski śmierci, wykopał sobie grób pod kościołem, położył się w nim i czekał na Pana. Kilka godzin potem powstał i chodził między żywymi - Matthew umilkł, po czym dodał: - Moim zdaniem, od tego czasu zmaćcił mu się umysł.

Po chwili podjął opowieść:

- Hubbard gromadzi wokół siebie zbląkane dusze. W owych czasach było ich aż nazbyt wiele. Wszystkich przyjmował: sieroty, wdowy, mężczyzn, którzy w tydzień utracili całą swoją rodzinę. Chorych zmieniał w wampiry, chrzczył ich ponownie i zapewniał im dach nad głową, jedzenie, pracę. Uważa ich za swoje dzieci.

- Nawet czarownice i demony?

- Tak - potwierdził niechętnie Matthew. - Przeprowadza je przez rytuał adopcji, ale zupełnie odmienny od tego, który stosował Philippe.

Hubbard próbuje ich krwi. Mówi, że w ten sposób poznaje głębię ich dusz i uzyskuje dowód, że Bóg powierzył je jego opiece.

- A zwłaszcza poznaje ich tajemnice - dodałam. Matthew skinął głową. Nic dziwnego, że chciał mnie trzymać z daleka od owego Hubbarda. Gdyby wampir posmakował mojej krwi, dowiedziałby się o dziecku... i o tym, kim jest jego ojciec.

- Philippe i Hubbard zawarli umowę zwalniającą de Clermontów z rodzinnych rytuałów i zobowiązań. Szkoda że przed naszym przybyciem do miasta nie uprzedziłem go, że jesteś moją żoną.

- Bo uznałeś, że nie warto - zaryzykowałem, zaciskając pięści.

Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego Gallowglass tak bardzo chciał przybić do brzegu w centrum miasta, a nie przy Water Lane. Philippe miał rację. Matthew czasami zachowywał się tak, że nie wiadomo było, czy jest kompletnym idiotą, czy największym arogantem na tym świecie.

- Hubbard nie wchodzi mi w drogę, a ja trzymam się z dala od niego.

Tobie też da spokój, gdy dowie się, że należysz do rodu de Clermontów. - Matthew dostrzegł kogoś na ulicy. - Dzięki Bogu.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki i minutę później w salonie zjawili się Gallowglass z Hancockiem.

- Niezbyt się śpieszyliście.

- Też się cieszę, że cię widzę, Matthew - odgryzł się Gallowglass. - A więc Hubbard w końcu zażądał audiencji. Wiem, co chcesz powiedzieć, i ostrzegam: nawet nie próbuj zagrać mu na nosie i zostawić cioteczki w domu. Idzie z nami, koniec, kropka.

Nietypowym dla siebie ruchem Matthew przeczesał dłonią włosy od tyłu do przodu.

- Cholera - mruknął Hancock, kiedy to zobaczył. Wyraźnie był to kolejny gest zdradzający myśli Matthew. Aha, gdy stawiał sobie włosy na sztorc, na podobieństwo koguciego grzebienia, mówiło to, że skarbnica jego twórczych półprawd i uników właśnie się wyczerpała. - To znaczy, że twój jedyny plan polegał na unikaniu Hubbarda. Nie masz nic w zanadrzu. Zawsze się zastanawialiśmy, czy jesteś odważny, czy tylko głupi, de Clermont. To zdarzenie chyba przeważało szalę, niestety nie na twoją korzyść.

- Zamierzałem przedstawić mu Dianę w poniedziałek.

- Po dziesięciu dniach pobytu w mieście - wytknął mu Gallowglass.

- Po co się śpieszyć, Diana należy do de Clermontów. Poza tym wcale nie jesteśmy w

mieście - ripostował Matthew. Spojrzałam na niego zdziwiona, więc wyjaśnił: - Blackfriars właściwie nie jest częścią Londynu.

- Nie chcę zapuszczać się do jaskini Hubbarda i wdawać z nim w kolejną dyskusję na temat geografii tego miasta - oświadczył Gallowglass i trzepnął rękawicami o udo. - Nie przyjął tego argumentu poprzednio, w 1485 roku, kiedy postanowiłeś rozlokować bractwo w Tower, po tym, jak przybyliśmy na pomoc stronnictwu Lancasteru. Teraz też go nie przyjmie.

- Nie każmy mu czekać - przerwał im Hancock.

- Mamy mnóstwo czasu - stwierdził lekceważąco mój mąż.

- Nadal nie znasz się na pływach, Matthew. Zakładam, że popłyniemy łodzią, bo twoim zdaniem Tamiza też nie jest częścią miasta. Jeśli tak, to możliwe, że już jesteśmy spóźnieni. Ruszajmy w drogę. - Gallowglass wskazał kciukiem drzwi.

Pierre już na nas czekał, naciągając czarne skórzane rękawice.

Zamiast codziennego brązowego płaszcza miał czarny - zbyt długi jak na obecną modę. Na prawym ramieniu widniał srebrny herb: wąż owinięty wokół krzyża z półksiężycem u góry. To był herb Philippe'a, różniący się od herbu Matthew tylko brakiem gwiazdy i lilii.

Gallowglass włożył taki sam płaszcz jak Pierre, a potem Françoise zarzuciła podobne okrycie na ramiona Matthew. Ciężkie fałdy tkaniny zamiatały podłogę; wydawał się wyższy i bardziej wyniosły. Gdy stanęli w czwórkę obok siebie, wyglądali przerażająco. W pełni odzwierciedlali ludzkie wyobrażenia o mrocznych, czarno odzianych wampirach.

Gdy dotarliśmy nad wodę, Gallowglass rozejrzał się wśród zakotwiczonych tam łodzi.

- W tej zmieścimy się wszyscy - stwierdził, wskazując długą wiosłową krypę, i przenikliwie zagwizdał.

Gdy wiosłarz stojący w pobliżu spytał, dokąd się wybieramy, wampir udzielił mu skomplikowanych wskazówek co do trasy, a potem wytłumaczył, w którym z licznych doków zamierzamy zakotwiczyć i kto będzie wiosłował. Później warknął władczo, na co nieszczęsny właściciel łodzi przycupnął obok lampy na dziobie i od czasu do czasu nerwowo oglądał się przez ramię.

- Przestańcie zastraszać tutejszych wiosłarzy, bo do reszty popsujecie nasze stosunki z sąsiadami - ostrzegłam, gdy Matthew wsiadał do łódki, i znacząco spojrzałam na pobliski browar. Hancock złapał mnie bezceremonialnie w pól i przekazał mężowi. Matthew otoczył mnie ramieniem, gdy łódka pomknęła po falach. Nawet jej właściciel sapnął, zdziwiony szybkością.

- Nie ściągajmy na siebie uwagi, Gallowglass - skarcił go Matthew.

- To może siadaj do wiosła, a ja ogrzeję twoją żonę? Kiedy Matthew nie odezwał się ani słowem, Gallowglass pokręcił głową.

- Tak myślałem.

Łagodny blask lamp na moście Londyńskim rozproszył otaczające nas ciemności. Huk wartkiej wody stawał się głośniejszy z każdym pociągnięciem wiosła. Matthew uważnie zlustrował brzeg.

- Zacumuj przy schodach Old Swan. Zamierzam wrócić do łodzi i ruszyć w górę rzeki, zanim nastąpi odpływ.

- Cicho bądź - napomniał go szeptem Hancock. - Podobno mieliśmy podejść Hubbarda. A tak hałasujesz, że równie dobrze moglibyśmy maszerować wzdłuż Cheapside z fanfarami i chorągwiami.

Gallowglass stanął twarzą do rufy i obrócił nas dwoma potężnymi pociągnięciami lewym wiosłem. Po chwili znaleźliśmy się przy pomoście, a właściwie przy kilku chwiejnych schodkach umocowanych na palach. Czekala tam grupka mężczyzn, ale właściciel łódki rzucił im parę ostrych słów, więc się oddalili. On sam najszybciej jak się dało wyskoczył na ląd.

Wyszliśmy po schodach na ulicę i powędrowaliśmy w milczeniu krętymi zaułkami między domami i niewielkimi ogródkami. Wampiry poruszały się cicho i miękko jak koty. Moje kroki były mniej pewne.

Potykałam się o kamienie i wpadałam w błotniste dziury. W końcu dotarliśmy do głównego traktu.

Z dala dobiegał śmiech, a na bruk padało jasne światło z szerokich okien. Potarłam dłonie, czując, jak przyciąga mnie bijące stamtąd ciepło. Może właśnie tam zmierzałyśmy. Może wszystko okaże się łatwe i proste, porozmawiamy z Andrew Hubbardem, pokażemy mu moją obrączkę i wrócimy do domu.

Niestety, Matthew przeszedł na drugą stronę ulicy i poprowadził nas przez opuszczony kościelny cmentarz, gdzie nagrobki pochylały się ku sobie, jakby zmarli chcieli się nawzajem pocieszyć. Pierre wyciągnął solidne metalowe kółko z mnóstwem kluczy. Gallowglass dopasował jeden z nich do zamka drzwi w ścianie kościoła, tuż obok dzwonnicy.

Przeszliśmy przez zrujnowaną nawę i drewniane drzwi po lewej stronie ołtarza. Wąskie kamienne schody tonęły w mroku. Mając ograniczony wzrok ciepłokrwistej istoty, nie potrafiłam zorientować się w licznych zakrętach i przejściach przez wąskie korytarze i szerokie przestrzenie zalatujące winem, pleśnią i rozkładem ludzkich ciał. Wszystko to było żywcem wyjęte z opowieści, które ludzie snują, by zniechęcić do włóczenia się po kościelnych piwnicach i cmentarzach.

Coraz bardziej zagłębialiśmy się w labirynt podziemnych korytarzy i sal, aż dotarliśmy do słabo oświetlonej krypty. W niewielkim ossuarium spojrzwały na nas puste oczodoły stosu czaszek.

Stłumiony dźwięk dzwonów powiedział nam, że gdzieś daleko zegary wybijają siódmą. Matthew szybko poprowadził nas kolejnym tunelem, na jego końcu migotało łagodne światło.

I tak znaleźliśmy się w dawnym magazynie win transportowanych Tamizą. Pod ścianami wciąż stało kilka baryłek, a świeży zapach trocin mieszał się z aromatem starego wina. Wypatrzyłam źródło tej świeżej woni: starannie ustawiony stos trumien, od najdłuższych, w których swobodnie zmieściłby się Gallowglass, aż po maleńkie, dla niemowląt.

Cienie poruszały się i połyskiwały w zakamarkach piwnicy, na środku odbywał się jakiś rytuał, a wokół tłoczyły się nadprzyrodzone istoty.

- Moja krew jest twoją, ojczy Hubbardzie - odezwał się przestraszony głos. - Oddaję ją z własnej woli, abys mógł poznać moje serce i przyjąć mnie do rodziny.

Po krótkiej chwili ciszy rozległ się okrzyk bólu. W powietrzu wyczuwało się napięcie i oczekiwanie.

- Przyjmuję twój dar, Jamesie, i obiecuję chronić cię jak własne dziecko - odpowiedział szorstki głos. - W zamian uszanujesz we mnie swojego ojca. Powitaj braci i siostry.

Mimo radosnego rozgardiaszu poczułam lodowaty powiew na skórze.

- Spóźniliście się. - Donośny głos przeciął ten wesoły rozgwar, przygotowując mnie o gęsią skórę na szyi. - Widzę, że przybyliście z całą świtą.

- Spóźnienie? Nie może być. Przecież się nie umawialiśmy.

Matthew ujął mój łokieć, bo dziesiątki spojrzeń dziobały, łaskotały i mroziły mi skórę. Miękkie kroki zbliżyły się i nas okrążyły. Wysoki, chudy mężczyzna pojawił się tuż przede mną. Twardo spojrzałam mu w oczy; wiedziałam, że przed wampirem nie wolno okazywać strachu. Oczy Hubbarda, jedyny barwny akcent wampira, były głęboko osadzone pod ciężkimi łukami brwiowymi, a w szarych tęczęwkach lśniły nitki błękitu, zieleni i brązu. Miał bladą cerę, jak przystało na jego gatunek; białe włosy przyciął na jeża, a rzęsy były niemal niewidoczne. W gładko ogolonej twarzy rysowała się cienka kreska ust. Długa czarna szata, coś pomiędzy togą akademika a sutanną, podkreślała jego kościstą sylwetkę; szerokie, lekko pochylone ramiona emanowały siłą, ale poza tym był właściwie szkieletem.

Nagle powietrze zawirowało, gdy jego pulchne, mocne paluchy błyskawicznie ujęły mnie pod brodę, przechylając głowę na bok. W tym samym momencie dłoń Matthew zacisnęła się na przegubie ręki wampira.

Zimne spojrzenie Hubbarda musnęło moją szyję, zatrzymując się na bliźnie. Ten jeden jedyny raz pożałowałam, że Françoise nie wybrała dziś dla mnie największego z koronkowych kołnierzy, jaki miałam w skrzyni.

Lodowaty oddech wampira pachniał cynobrem i świerkiem. Szerokie usta zacisnęły się, a ich kąciki z bladobrzoskwiniowych stały się zupełnie białe.

- Mamy pewien problem, mistrzu Roydonie - powiedział.

- I to niejeden, ojczy Hubbardzie. Przede wszystkim położyłeś łapy na czymś, co należy

do mnie. Jeśli ich nie zabierzesz, zanim słońce wzejdzie, z twojej kryjówki zostanie ruina. To na początek. Potem zacznę taki taniec, że wszystkie istoty w tym mieście: demony, ludzie, wampierze i czarownice, uwierzą, że właśnie nadchodzi koniec naszych dni. - Głos Matthew drżał furia.

Z mroku wyłoniły się znajome postaci. John Chandler, aptekarz z Cripplegate, bezczelnie spojrzał mi w oczy. Kit też tu był. Stał obok jakiegoś innego demona. Gdy ten wziął go pod ramię, Kit się odsunął.

- Witaj, Kit - powiedział Matthew zimno. - Myślałem, że zdążyłeś już uciec i gdzieś się zaszyć.

Hubbard jeszcze przez chwilę zaciskał palce na mojej brodzie, po czym odchylił moją głowę tak, żebym spojrzała mu w oczy. Pewnie dostrzegł w tym spojrzeniu gniew na Kita i czarownika, który nas zdradził, bo zrobił ostrzegawczy gest.

- Nie będziesz w sercu skrywać nienawiści do swoich braci - mruknął, zwalnijąc chwyt. Omiótł wzrokiem zgromadzony tłum. - Zostawcie nas samych.

Dłonie Matthew ujęły moją twarz, a palce pogładziły podbródek, ścierając zapach Hubbarda.

- Możesz iść z Gallowglassem. Wkrótce się zobaczymy.

- Ona zostaje - oświadczył Hubbard.

Mięśnie Matthew zadrgały. Nie przywykł, żeby ktoś mu się sprzeciwiał. Po krótkiej chwili polecił naszym towarzyszom, by poczekali na zewnątrz. Tylko Hancock nie usłuchał od razu.

- Twój ojciec zawsze mówił, że mądry człowiek więcej zobaczy z dna studni niż głupi ze szczytu góry. Oby miał rację - mruknął - bo dziś wpakowałeś nas w cholernie głęboką dziurę.

Rzucając nam pożegnalne spojrzenie, podążył za Gallowglassem i Pierre'em, którzy wyszli korytarzem po przeciwnej stronie sali. Gdzieś głucho trzasnęły ciężkie drzwi, potem zapanowała cisza.

Staliśmy tak blisko siebie, że słyszałam cichy szum powietrza w płucach Matthew. Zastanawiałam się, czy zaraza nie naznaczyła Hubbarda czymś gorszym niż obłęd. Jego skóra była woskowa zamiast alabastrowej, jakby organizm wciąż walczył z chorobą.

- Pozwolę sobie panu przypomnieć, monsieur de Clermont, że zdany jesteś na moją łaskę.  
- Hubbard zasiadł na wspaniale rzeźbionym fotelu, jedynym w tym pomieszczeniu. - Choć reprezentujesz Kongregację, zgodziłem się na twój pobyt w Londynie, gdyż twój ojciec tego zażądał.

Ale ty pogwałciłeś nasze obyczaje i wprowadziłeś do miasta swoją żonę, nie przedstawiając jej ani mnie, ani mojej gromadce. No i jeszcze kwestia twoich rycerzy.

- Większość z tych, którzy tu ze mną przybyli, mieszka w tym mieście dłużej od ciebie, Andrew. Kiedy zaczęłaś nalegać, żeby przyłączyli się do twojej „gromadki” lub opuścili Londyn, wynieśli się za jego mury.

Ustaliłeś z ojcem, że de Clermontowie nie wprowadzą do miasta nikogo więcej z naszego bractwa, i ja tego nie zrobiłem.

- Naprawdę myślisz, że moje dzieci rozumieją się na tych subtelnościach? Widziałem pierścienie i herby na płaszczach twoich ludzi. - Hubbard pochylił się do przodu i spojrzał na nas groźnie. - Z moich informacji wynika, że jesteś w połowie drogi do Szkocji. Dlaczego zostałeś w mieście?

- Może za mało płacisz swoim informatorom - rzucił Matthew. - Kitowi ostatnio bardzo brakuje pieniędzy.

- Nie kupuję miłości i lojalności, nie uciekam się też do zastraszania i tortur, żeby przeprowadzić moje zamysły. Christopher służy mi z własnej woli, tak jak wszystkie dobre, kochające swojego ojca dzieci.

- Kit ma zbyt wielu panów, żeby być lojalny wobec nich wszystkich.

- A jeśli to samo można powiedzieć o tobie? - odgryźł się Hubbard; zwrócił się ku mnie i demonstracyjnie zaciągnął moim zapachem. Wydał cichy, smutny jęk. - Porozmawiajmy o waszym małżeństwie. Niektóre z moich dzieci uważają związek czarownicy z wampierzem za odrażający.

Ale Kongregacja i jej przymierze są równie niemile widziane w moim mieście, jak mściwi rycerze twojego ojca. I ona, i on sprzeciwiają się boskiemu życzeniu, abyśmy stali się jedną rodziną. Poza tym twoja żona umie przenosić się w czasie - stwierdził. - Ja nie akceptuję takich istot, bo kuszą nas czymś, na co nie ma tu miejsca.

- Na przykład możliwością wyboru i swobodą myślenia? - przerwałam. - Czego ty się boisz...

- Co więcej - Hubbard zlekceważył moje słowa i zwrócił się do Matthew, jakbym była niewidzialna - odżywasz się jej krwią. - Jego wzrok znów spoczął na bliźnie, którą Matthew zostawił mi na szyi. -

Kiedy czarownice się o tym dowiedzą, zaczną śledztwo. Jeśli twoja żona będzie uznana za winną tego, że z własnej woli daje krew wampirowi, zostanie sama i będzie wygnana z Londynu. Jeśli się okaże, że pożywiałaś się bez jej zgody, skazają cię na śmierć.

- Tyle w kwestii uczuć rodzinnych - mruknęłam.

- Diano - ostrzegł mnie Matthew.

Hubbard złączył palce i znowu na niego popatrzył.

- Nie koniec na tym. Ona jest w ciąży. Czy ojciec dziecka będzie jej tu szukał?

Zamarłam. Hubbard nie odkrył naszej największej tajemnicy: że to dziecko Matthew. Wysiłkiem woli opanowałam panikę. Myśl, a ochronisz swoje życie. Może rada Philippe'a wyciągnie nas z tej kabały.

- Nie - odparł krótko Matthew.

- Więc ojciec zmarł, z przyczyn naturalnych albo z twojej ręki. - Hubbard przeciągle spojrział na Matthew. - W takim razie dziecko czarownicy dołączy po urodzeniu do mojej gromadki, a jego matka natychmiast zostanie moją córką.

- Wykluczone.

- Jak sądzisz, długo przetrwacie poza Londynem, gdy reszta Kongregacji dowie się o tych występkach? - Hubbard pokręcił głową. - Twoja żona będzie tu bezpieczna jako członek mojej rodziny. Od tej pory nie wolno wam się dzielić krwią.

- Diana nie przystąpi do twojego zdeprawowanego rytuału. Jeśli to konieczne, możesz powiedzieć swoim „dzieciom”, że do was należy, ale nie tkniesz ani jej krwi, ani tego maleństwa.

- Nie będę kłamał tym, którzy oddali mi się w opiekę. Czemu, mój synu, gdy Bóg stawia przed tobą wyzwania, odpowiadasz wyłącznie tajemnicami i wojną? One prowadzą prosto ku zagładzie. - Szyja Hubbarda drżała z przejęcia. - Bóg zbawi tylko tych, którzy wierzą, że istnieje coś potężniejszego od nich.

Matthew nie zdążył się odgryźć, bo uspokajająco położyłam mu rękę na ramieniu.

- Za pozwoleniem, ojczy Hubbardzie - powiedziałam. - Czy dobrze rozumiem, że rodzina de Clermontów nie podlega twojej władzy?

- Tak, mistress Roydon. Ale ty nie należysz do rodu, pani. Ty tylko poślubiłaś jednego z nich.

- Nieprawda - odparłam, mocno trzymając męża za rękaw. - Jestem zaprzysiężoną córką krwi Philippe'a de Clermont, nie tylko żoną Matthew. To czyni mnie dwakroć de Clermont, więc ani ja, ani moje dziecko nie nazwiemy cię ojcem.

Andrew Hubbard oniemiał, kompletnie zaskoczony. A ja zalałam Philippe'a potokiem milczących błogosławieństw za to, że zawsze wyprzedzał nas o trzy kroki. Matthew wreszcie się odprężył. Choć jego ojciec był daleko we Francji, jeszcze raz zapewnił nam bezpieczeństwo.

- Możesz to sprawdzić, jeśli chcesz. Philippe zostawił znak na moim czole - dodałam, dotykając miejsca, gdzie znajdowało się trzecie oko czarownicy. Drzemało, bo wampiry go nie interesowały.

- Wierzę ci, mistress Roydon - powiedział w końcu Hubbard. - Nikt nie odważyłby się skłamać w domu Boga.



- W takim razie może zechcesz mi pomóc. Przybyłam do Londynu, szukając pomocy w pewnych skomplikowanych czarach i magii. Kogo spośród twoich dzieci mógłbyś mi polecić?

Słyszając to, Matthew spochmurniał.

- Diano - warknął.

- Mój ojciec będzie zadowolony, jeśli mi pomożesz - dodałam spokojnie, ignorując męża.

- A w jaki sposób okaże to zadowolenie? - Andrew Hubbard zachowywał się teraz jak prawdziwy renesansowy książę, który zawsze pragnie uzyskać wszelkie możliwe strategiczne korzyści.

- Zaczniemy od tego, że mój ojciec z przyjemnością dowie się o miłym, domowym popołudniu w przeddzień Nowego Roku - odparłam, patrząc mu w oczy. - To, co napiszę dalej w liście do niego, będzie zależało od czarownicy, którą przyslesz Pod Łanię i Koronę.

Hubbard zastanowił się chwilę.

- Porozmawiam o tym z moimi dziećmi i zdecydujemy, kto najbardziej ci się przyda.

- Na pewno przyśle szpiega - ostrzegł mnie Matthew.

- Ty też jesteś szpiegiem - odparowałam. - Zmęczyłam się. Chodźmy do domu.

- Nasza wizyta dobiegła końca, Hubbardze. Rozumiem, że zgadzasz się na pobyt Diany w Londynie, podobnie jak pozostałych de Clermontów. - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Nawet de Clermontowie powinni zachować czujność w tym mieście - zawołał za nami Hubbard. - Nie zapominaj o tym, mistress Roydon.

Wiosłując do domu, Gallowglass cicho rozmawiał z Matthew, ja milczałam. Odmówiłam pomocy przy wysiadaniu z łódki i podążyłam uliczką, nie czekając na moich towarzyszy. Pierre znalazł się jednak przede mną, zanim dotarłam Pod Łanię i Koronę, a Matthew dotknął mojego łokcia. Walter i Henry czekali na nas w środku.

- Dzięki Bogu - ucieszył się Walter.

- Przybyliśmy, gdy tylko dotarła do nas wieść, że znaleźliście się w potrzebie. George leży chory, a Kit i Tom gdzieś przepadli - wyjaśnił

Henry, z niepokojem spoglądając to na mnie, to na Matthew.

- Przepraszam, że was wezwałem. Niepokoilem się na zapas. - Płaszcz Matthew zawirował, gdy zdejmował go z ramion.

- Jeśli to dotyczy Zakonu... - zaczął Walter, spoglądając znacząco na herb.

- Nie tym razem - uspokoił go Matthew.

- To dotyczy mnie - wtrąciłam się. - Zanim wyskoczycie z kolejnym obłądnym planem, zrozumcie, proszę, jedno: czarownice to moja sprawa.

Ktoś obserwuje Matthew, i to nie tylko Andrew Hubbard.

- Zdążył się już przyzwyczaić - mruknął ponuro Gallowglass. - Nie zwracaj sobie głowy gapiami, cioteczko.

- Naprawdę muszę znaleźć nauczycielkę, Matthew - powiedziałam, kładąc dłoń na brzuchu. - A żadna czarownica nie powierzy mi swoich sekretów, jeśli zorientuje się, że któryś z was macza w tym wszystkim palce. Każdy, kto pojawia się na progu tego domu, jest albo wampierzem, albo filozofem, albo szpiegiem. Co według moich pobratymców oznacza, że może ich wydać władzom. Berwick pewnie i jest daleko, ale panika zatacza coraz szersze kręgi.

Matthew spoglądał na mnie lodowato, ale przynajmniej zaczął słuchać tego, co mówię.

- Jeśli rozkażesz, aby zjawiła się tu czarownica, to się zjawi. Matthew Roydon zawsze zdobywa to, czego chce. Ale zamiast pomocy ujrzę kolejne przedstawienie w stylu wdowy Beaton. A nie o to mi chodzi.

- W takim razie nie potrzebujesz pomocy Hubbarda - podsumował kwaśno Hancock.

- Nie zostało nam wiele czasu - przypomniałam Matthew.

Hubbard nie wiedział, że Matthew jest ojcem naszego dziecka, a Hancock i Gallowglass nie wyczuli zmian w moim zapachu, przynajmniej na razie. Ale wydarzenia tego popołudnia wyraźnie świadczyły o tym, że nasza sytuacja staje się coraz trudniejsza.

- Dobrze, Diano. Sprawę czarownicy zostawiamy tobie. Ale już nie kłam - powiedział Matthew. -1 nic nie ukrywaj. Jedno z nas, tak jak tutaj siedzimy, musi zawsze wiedzieć, gdzie jesteś.

- Matthew, nie możesz przecież... - sprzeciwił się Walter.

- Ufam mojej żonie - odparł twardo Matthew.

- Philippe zawsze mówi to samo o babci - mruknął Gallowglass pod nosem. - A potem rozpętuje się piekło.

## ROZDZIAŁ 19

Jeśli to ma być piekło - mruknął Matthew w tydzień po naszej wizycie u Hubbarda - to Gallowglassa czeka wielkie rozczarowanie.

Rzeczywiście, czternastoletnia czarownica, która stała przed nami w salonie, nijak nie kojarzyła się z ogniem i siarką.

- Cicho bądź - burknęłam, pamiętając, jak wrażliwe bywają dzieci w tym wieku. - Czy ojciec Hubbard mówił, po co cię tu przysłał, Annie?

- Tak, proszę pani - odparła Annie cicho. Trudno powiedzieć, czy jej bladość była naturalna, czy spowodowały ją strach i niedożywienie. -

Mam służyć pani i chodzić z panią po mieście.

- Nie tak się umawialiśmy - zdenerwował się Matthew, z łomotem opuszczając na podłogę nogi w ciężkich butach. Annie przestraszyła się i cofnęła. - Masz jakąś moc albo wiedzę godną czarownicy czy Hubbard robi sobie żarty?

- Umiem co nieco - wykrztusiła Annie. Jej jasnoblękitne oczy kontrastowały z bladością skóry. - Potrzebowałam pracy, a ojciec Hubbard powiadał...

- Och, nietrudno sobie wyobrazić, co mówił. - Matthew prychnął pogardliwie.

Rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie, tak twarde, że zamrugał i zamilkł.

- Pozwól jej to wyjaśnić - skarciłam go i uśmiechnęłam się do dziewczynki zachęcająco. - Mów dalej, Annie.

- Ojciec Hubbard powiedział, że mam ci, pani, usługiwać, a do tego, kiedy moja ciotka wróci do Londynu, panią do niej zaprowadzić.

Opiekuje się jedną kobietą, co nie może wstawać w ciąży, i powiedziała, że nie ruszy się z miejsca, jak długo będzie jej potrzebna.

- Twoja ciotka jest czarownicą i położną? - spytałam łagodnie.

- Tak, proszę pani. Dobrą położną i zdolną czarownicą - odparła dziewczynka, prostując się dumnie. Zbyt krótka sukienka uniosła się, wystawiając chude kostki na powiew zimnego powietrza. Andrew Hubbard dbał o to, by jego synowie nosili ciepłe, dopasowane ubrania, ale córki traktował po macoszemu. Udało mi się ukryć irytację. Françoise będzie musiała trochę poszyć.

- Jak weszłaś do rodziny ojca Hubbarda?

- Moja matka nie była cnotliwą kobietą ~ mruknęła Annie, wyłamując sobie palce pod cieniotkim płaszczem. - Ojciec Hubbard znalazł mnie w piwnicy kościoła Świętej Anny w pobliżu Aldersgate, obok ciała matki.

Ciotka wtedy właśnie wyszła za mąż, a zaraz potem urodziła dzieci. Ja miałam sześć lat. Jej mąż powiedział, że wara mi od jego synów, bo moja grzeszna natura ich zepsuje.

Oznaczało to, że nastoletnia Annie spędziła ponad połowę życia u Hubbarda. Ta myśl mnie zmroziła. Sześćoletnie dziecko może kogoś zdemoralizować? Niepojęte. To wszystko wyjaśniało zaniedbany wygląd dziewczynki i jej dziwne nazwisko: Annie Undercroft, czyli Annie Piwniczka.

- Françoise zrobi coś do jedzenia, a ja w tym czasie pokażę ci, gdzie będziesz spała.

Rano poszłam na trzecie piętro i obejrzałam sobie wąskie łóżko, stołek na trzech nogach i zniszczoną skrzynię, w której czarownica mogła trzymać rzeczy osobiste.

- Pomogę ci zanieść twoje drobiazgi.

- Pani? - zdziwiła się Annie.

- Nic ze sobą nie przyniosła - wyjaśniła Françoise, spoglądając z dezaprobatą na naszą nową domowniczkę.

- Mniejsza o to. Wkrótce będzie miała trochę własnego dobytku - odparłam i uśmiechnęłam się do Annie; odpowiedziała niepewnym spojrzeniem.

Przez weekend obie z Françoise zadbałyśmy o Annie. Była teraz czysta jak łza, dobrze odziana i obuta. Okazało się, że zna rachunki na tyle, aby mogła robić dla mnie drobne sprawunki. Dla sprawdzenia jej umiejętności posłałam ją do aptekarza obok nas, żeby kupiła piór za pensa i pół funta wosku do pieczętowania.

Philippe miał rację: Matthew zużywał materiały piśmienne w niesamowitym tempie.

Annie szybko wróciła i przyniosła resztę pieniędzy.

- Chciał całego szylinga! - wydziwiła. - Przecież ten wosk nie nadaje się nawet na świece, prawda?

Pierre polubił dziewczynkę i kiedy tylko mógł, starał się wywołać na jej twarzy miły, rzadko pojawiający się uśmiech. Nauczył ją gry w kocią kołyskę i zabrał na spacer w niedzielę, gdy Matthew wyraźnie dał do zrozumienia, że chcielibyśmy na kilka godzin zostać zupełnie sami.

- Chyba jej nie... nie wykorzysta? - spytałam Matthew, gdy rozpinał mój ulubiony strój: chłopięcy kaftan bez rękawów, udziergany z cienkiej czarnej wełny. Nosiłam go po domu, do spódnic i bluzki.

- Pierre? Mój Boże... Na pewno nie. - Matthew zrobił rozbawioną minę.

- Pytam szczerze.

Przecież Mary Sidney wydano za mąż za najbogatszego z kandydatów, gdy była niewiele starsza od Annie.

- A ja szczerze odpowiadam. Pierre nie sypia z dziewczynkami. -

Odpiął ostatni guzik i znieruchomiał na moment. - Co za miła niespodzianka. Nie masz na sobie gorsetu.

- Jest niewygodny, więc zwałam winę na dziecko. Z pomrukiem zadowolenia zdjął ze mnie kaftan.

- I będzie trzymać innych mężczyzn z dala od niej?

- Nie możemy odłożyć tej rozmowy na później? - zirytował się Matthew. - W taki mróz długo nie wytrzymają na dworze.

- W sypialni robisz się strasznie niecierpliwy - stwierdziłam, wsuwając mu dłonie pod koszulę.

- Naprawdę? - Uniósł brwi z udawanym niedowierzaniem. - A ja myślałem, że jak mało kto nad sobą panuję.

Przez kilka następnych godzin udawał mi, że jego cierpliwość jest naprawdę bezgraniczna, szczególnie w pustym domu w niedzielne popołudnie. Zanim domownicy wrócili, zdążyliśmy się sobą nasycić; byliśmy mile zmęczeni, ale w o wiele lepszych nastrojach.

Niestety w poniedziałek zaczęło się to samo. Matthew stał się znów rozkojarzony i podenerwowany, gdy o świcie przyniesiono pierwszą pocztę. Wkrótce okazało się, że obowiązki nie pozwolą, aby towarzyszył mi w obiedzie u hrabiny Pembroke, więc wysłał do niej liścik z przeprosinami.

Mary bez zdziwienia wysłuchała moich tłumaczeń, zamrugła, obrzucając Annie spojrzeniem zaciekawionej sowy, a potem odesłała ją do kuchni, pod opiekę Joan. Zjadłyśmy doskonały obiad, podczas którego Mary ze szczegółami wprowadziła mnie w życie prywatne wszystkich sąsiadów mieszkających w promieniu głośnego okrzyku od Blackfriars.

Potem wzięłyśmy Joan i Annie do pomocy i przeniosłyśmy się do laboratorium.

- Jak się ma twój mąż, Dianie? - spytała hrabina, podwijając rękawy.

Nie spuszczała oczu z leżącej przed nią otwartej książki.

- Jest zdrow - odparłam. Już dawno się przekonałam, że ten zwrot jest najlepszym odpowiednikiem naszego „dziękuję, dobrze”.

- To świetnie. - Mary odwróciła się i zamieszała jakąś breję, która wyglądała obrzydliwie, a pachniała jeszcze gorzej. - Obawiam się, że wiele od tego zależy. Królowa polega na nim

bardziej niż na jakimkolwiek innym mężczyźnie w całym królestwie, może z wyjątkiem lorda Burghleya.

- Szkoda, że jego dobry humor nie jest równie trwały, jak zdrowie.

Ostatnio Matthew miewa zmienne nastroje. Czasem bywa zaborczy, a kiedy indziej w ogóle mnie nie zauważa, jakbym była meblem.

- Bo mężczyźni tak traktują swoją własność. - Mary sięgnęła po dzban z wodą.

- Nie jestem jego własnością - odparłam sucho.

- Nasze zdanie, wymiar prawny i uczucia Matthew to trzy zupełnie różne rzeczy.

- A to błąd - oświadczyłam zdecydowanie, gotowa się spierać.

Mary uciszyła mnie łagodnym, pełnym rezygnacji uśmiechem.

- Nam i tak jest dużo lepiej z naszymi mężami niż większości kobiet, Dianu. Dzięki Bogu, mamy książki i swobodę, by oddawać się naszym pasjom. Większość może o tym tylko pomarzyć. - Mary ostatni raz zamieszała zawartość zlewki i przelała ją do innego szklanego naczynia.

Pomyślałam o Annie, której matka zmarła samotnie w kościelnej piwnicy, a ciotka nie mogła zatrzymać dziewczynki u siebie z powodu uprzedzeń męża. Ta mała właściwie nie mogła oczekiwać dobrego życia.

- Uczysz swoje służące czytać?

- Oczywiście - odparła bez wahania Mary. - Uczą się też pisać i liczyć.

Dzięki temu będą miały większe szanse na znalezienie dobrego męża, takiego, co oprócz wydawania pieniędzy umie je też zarabiać.

Przywołała gestem Joan, żeby pomogła jej umieścić nad płomieniem kruchą szklaną bańkę z chemikaliami.

- W takim razie Annie też się tego nauczy - oświadczyłam i kiwnęłam głową dziewczynce.

Mała kryła się w cieniu jak duch. Wrażenie to potęgowała jej blada twarz i srebrzyste włosy. Wykształcenie doda jej pewności siebie. Już teraz, od kiedy wytargowała niższą cenę wosku u monsieur de Laune'a, stała się bardziej zdecydowana.

- Podziękuj ci za to w przyszłości - stwierdziła Mary z powagą. - My, kobiety, nie mamy nic swojego, może tylko oprócz rozumu. Nasza cnota należy wprawdzie do ojca, a potem do męża. Całe życie poświęcamy rodzinie. Nawet jeśli podzielimy się z kimś myślami, zapiszemy kartkę papieru albo nawlecemy nitkę, owoc naszej pracy dostanie się komu innemu. Jeśli dasz Annie wiedzę, stworzy coś własnego, co będzie mogła zatrzymać wyłącznie dla siebie.

- Szkoda, że nie jesteś mężczyzną, Mary - pokręciłam głową. Hrabina Pembroke o niebo przewyższała wszystkie żywe istoty, niezależnie od ich płci.

- Gdybym była mężczyzną, objędziałabym moje majątki i bawiła na dworze Jej Wysokości jak Henry albo zajmowała się sprawami państwa jak Matthew. Zamiast tego mogę siedzieć z tobą w laboratorium. Biorąc to wszystko pod uwagę, chyba mamy lepiej... nawet jeśli czasem wynoszą nas na piedestał, a zaraz potem myślą z kuchennym stołkiem. - Mary zamrugła.

Roześmiałam się.

- Może i masz rację.

- Gdybyś choć raz znalazła się na dworze, na pewno byś się ze mną zgodziła. Popatrz - dodała, skupiając się na powadżonym przez nas doświadczeniu. - Teraz trzeba przez pewien czas podgrzewać *primae materiae*. Jeśli wszystko poszło dobrze, powstanie z niej kamień filozoficzny. Zbadajmy lepiej następne etapy tego procesu, to może nam się powiedzie.

Przeglądając alchemiczne manuskrypty, jak zwykle straciłam poczucie czasu i ze zdziwieniem podniosłam głowę, gdy w laboratorium pojawili się Matthew i Henry. Właśnie prowadziłyśmy z Mary poważną rozmowę na temat ilustracji w zbiorze alchemicznych tekstów znanych jako *Pretiosa Margarita Novella*, „Nowa perła niezmiernej wartości”.

Czyżby zrobiło się już późne popołudnie?

- Nie idźmy jeszcze - zaprotestowałam. - Zostańmy trochę. Mary ma ten manuskrypt...

- Matthew zna tę księgę, bo dostałam ją od jego brata. Matthew, chyba niedługo pożałujesz, że poślubiłeś uczoną kobietę - zaśmiała się Mary. -

W zimowym pokoju czekają przekąski. Miałam nadzieję, że dziś pojawicie się u nas oboje.

Na te słowa Henry konspiracyjnie puścił do niej oczko.

- To miło z twojej strony, Mary - odparł Matthew, całując mnie na powitanie w policzek. - Widzę, że nie zdążyłyście jeszcze użyć octu.

Pachniesz tylko witriolem i magnezją.

Niechętnie odłożyłam książkę i zaczęłam się myć, Mary tymczasem kończyła robić notatki z całodziennej pracy. Kiedy znaleźliśmy się w salonie, Henry zaczął się nagle niecierpliwić.

- Teraz, Mary? - spytał hrabinę, nie mogąc usiedzieć na miejscu.

- Dawanie prezentów sprawia ci równą przyjemność, jak małemu Williamowi - roześmiała się. - Mamy dla was pewien drobiazg, by uczcić Nowy Rok i wasze małżeństwo.

A my nie mamy nic w zamian. Spojrzałam na Matthew, zakłopotana tą jednostronną

szczodrością.

- Życzę szczęścia, Dianio, jeśli chcesz dorównać Mary i Henry'emu talentem do obdarowywania przyjaciół - powiedział smętnie.

- Bzdura - oburzyła się Mary. - Matthew uratował życie mojemu bratu Philipowi i ocalił majątki Henry'ego. Żaden dar tego nie wynagrodzi. Nie psujcie naszej radości takimi słowami. Tradycja każe obdarowywać nowożeńców, a poza tym mamy Nowy Rok. Co sprezentowałaś królowej, Matthew?

- Po tym jak posłała nieszczęsnemu królowi Jakubowi zegar, by mu uświadomić, że czas się już żegnać z tym światem, chciałem jej dać kryształową klepsydre. Pomyślałem, że powinna od czasu do czasu przypomnieć sobie, że mimo wszystko jest śmiertelna - odparł sucho.

Henry spojrzał na niego, przerażony.

- Niemożliwe. Chyba żartujesz.

- Owszem, to był tylko głupi pomysł zirytowanego człowieka - uspokoił go Matthew. - Naturalnie, dałem jej kubek z przykrywką, jak wszyscy.

- Nie zapominaj o naszym prezencie, Henry. - Mary też się niecierpliwiła.

Henry podał mi aksamitny worek. Rozplątałam rzemyki i wyjęłam ciężki złoty medalion na równie ciężkim łańcuchu. Na wieczku zdobił go złoty filigranowy wzór wysadzany rubinami i diamentami. Księżyc Matthew z gwiazdą na środku. Otworzyłam wieczko i aż westchnęłam na widok cudownego emaliowanego wnętrza z motywem z kwiatów i wijących się winorośli. Ostrożnie otworzyłam zamek na dole. Spojrzała na mnie miniaturowa twarz Matthew.

- Mistrz Hilliard zrobił szkice podczas swojej ostatniej wizyty. Był tak zapracowany przed świętami, że trochę pomagał mu jego pomocnik Isaac - wyjaśniła Mary.

Ułożyłam miniaturę na dłoni, przyglądając się jej pod różnymi kątami.

Matthew sportretowano w domowym odzieniu, jakby właśnie spędzał wieczór przy pracy w gabinecie obok sypialni. Miał rozpiętą pod szyją koszulę z koronkowym kołnierzem i spoglądał w oczy tego, kto na niego patrzył, unosząc prawą brew, ze znajomą miną, poważną, a jednocześnie ironiczną i swawolną. Czarne, odgarnięte z czoła włosy były niesforne jak zwykle. Długie palce lewej dłoni zaciskały się na medalionie.

Zdumiewająco szczery i erotyczny wizerunek jak na tę epokę.

- Podoba ci się? - spytał Henry.

- Cudowny - odparłam, nie odrywając wzroku od mojego nowego skarbu.

- Isaac jest bardziej... śmiały w kompozycjach niż jego mistrz. Kiedy powiedziałem mu, że to prezent ślubny, przekonał mnie, że to będzie specjalny, sekretny medalion tylko dla żony, a zatem może ukazywać prywatny, a nie publiczny wizerunek jej męża. - Mary zajrzała mi przez



ramię. - Dobrze uchwycił podobieństwo. Szkoda tylko, że mistrz Hilliard nie nauczył się jeszcze, jak należy malować podbródki swoich modeli.

- Doskonały medalion, nigdy się z nim nie rozstanę.

- A ten dla ciebie. - Henry podał Matthew identyczny mieszek. -

Hilliard uznał, że być może zechcesz go pokazywać innym i nosić na dworze, więc jest trochę mniej... odważny.

- Czy Matthew na portrecie trzyma medalion z moją miniaturą? - spytałam, wskazując na oryginalny kamień księżycowy w prostej złotej oprawie.

- Chyba tak - odpowiedział cicho Matthew. - Henry, czy to kamień księżycowy?

- Starożytny okaz - potwierdził z dumą jego przyjaciel. - Należał do mojej kolekcji, ale doszedłem do wniosku, że powinienem przekazać go tobie. Widzisz, to intaglio<sup>3</sup> wyobraża boginię Dianę.

Miniatura wewnątrz była bardziej formalna, ale i tak zaskakiwała swobodą. Przedstawiała mnie w złotobrazowej sukni obszytej czarnym aksamitem. Delikatna koronka otaczała moją twarz, nie zasłaniając naszyjnika z pereł. Tylko uczesanie zdradzało, że to intymny podarunek odpowiedni dla nowożeńca. Włosy swobodnie spływały mi na ramiona i plecy w powodzi niesfornych, czerwonozłotych loków.

- To błękitne tło wspaniale podkreśla oczy Diany. A usta są oddane idealnie, jak żywe. - Matthew także zachwycił się prezentem.

- Kazałam zrobić ramkę, żebyście mogli je powiesić na ścianie, kiedy nie będziecie ich nosić - powiedziała Mary, wydając gestem polecenie Joan.

Ramka bardziej przypominała płytkie pudełko z dwoma owalnymi zagłębieniami wyścielonymi czarnym aksamitem. Miniatury idealnie do nich pasowały i sprawiały wrażenie bliźniaczych portretów.

- Mary i Henry naprawdę zrobili nam wspaniały prezent - stwierdził

Matthew później, gdy wróciliśmy Pod Łanię i Koronę. Objął mnie z tyłu i splótł palce na moim brzuchu. - Nie miałem ani chwili, żeby zamówić twój portret. Nawet nie przyszło mi na myśl, że twój pierwszy wizerunek wyjdzie spod pędzla Nicholasa Hilliarda.

- Tak, miniatury są przepiękne - westchnęłam, zakrywając jego dłonie moimi.

- Ale?... - Odsunął się i przechylił głowę.

- Miniatury Nicholasa Hilliarda to łakomy kąsek, Matthew. Nie znikną tak łatwo, w

---

<sup>3</sup> Intaglio - rodzaj gemmy, szlachetny lub półszlachetny kamień ozdobiony wklęsłym reliefem, odznaczający się niebywałą precyzją wykonania i niesłychaną dbałością o szczegóły (przyp. tłum.).

odróżnieniu od nas. A są tak cudowne, że nie potrafię ich zniszczyć przed naszymi przenosinami.  
- Czas był jak moje koronki: na początku przypominał gładką, równą, mocno skręconą nitkę. Potem wił się, zasupływał, przeplatał i nakładał na siebie. - Wciąż dotykamy przeszłości w sposób, który odcisnie się na teraźniejszości.

- Może tak właśnie powinno być - odparł.

- Może od tego zależy nasza przyszłość.

- Nie rozumiem.

- Teraz jeszcze nic się nie dzieje. Ale jeśli pewnego dnia obejrzymy się za siebie, zorientujemy się, że wszystkiemu winne są te miniatury.

Uśmiechnął się.

- W takim razie pomyśl tylko, ile zamieszania zrobiłoby odnalezienie *Ashmole 782* - odparł.

Spojrzałam mu w oczy. Cudownie iluminowane tomy, które oglądałam u Mary, przypomniały mi boleśnie tajemniczy wolumin i nasze daremne poszukiwania.

- George'owi nie udało się odnaleźć go w Oksfordzie, ale przecież musi być gdzieś w Anglii. *Ashmole* na pewno od kogoś go odkupił.

Zamiast szukać samego manuskryptu, rozejrzyjmy się lepiej za tym, kto mu go sprzedał.

- W tych czasach manuskrypty często przechodzą z rąk do rąk.

*Ashmole 782* może być wszędzie.

- Nawet tutaj - upierałam się.

- Może i masz rację - przytaknął. Widziałam jednak, że bardziej przejmuje się naszymi codziennymi sprawami niż nieuchwytnym woluminem. - Wyślę George'a do miasta, niech popyta księgarzy.

Następnego dnia rano zapomnieliśmy jednak o *Ashmole 782*, bo dostaliśmy wiadomość od ciotki Annie, tej „wziętej” położnej. Wróciła już do Londynu.

- Nasza czarownica nie zamierza odwiedzać domu powszechnie znanego wampierza i szpiega - oznajmił Matthew, kiedy przeczytał liścik.

- Mąż powiada, że mogłoby to zaszkodzić jej reputacji. Mamy przyjść do niej. Mieszka przy kościele Świętego Jakuba, na Garlic Hill.

Kiedy nie zareagowałam, skrzywił się:

- To po drugiej stronie miasta, o krok od nory Andrew Hubbarda - wyjaśnił.

- Jesteś wampirem - przypomniałam. - A ona czarownicą. Podobno wampir i czarownica nie powinni się ze sobą zadawać. Jej mąż słusznie postępuje, zachowując ostrożność.

Matthew uparł się, żeby towarzyszyć mnie i Annie w drodze przez miasto. Okolice Świętego Jakuba były zamożniejsze od Blackfriars, z szerokimi, dobrze utrzymanymi ulicami, tłoczonymi sklepami i zadbanym przykościelnym dziedzińcem. Annie poprowadziła nas w głąb uliczki naprzeciw kościoła. Była dość mroczna, ale wysprzątana do czysta.

- Tutaj, mistrzu Roydonie - powiedziała, wskazując szyld z wiatrakiem, a potem odbiegła, żeby wraz z Pierre'em uprzedzić mieszkańców o nadejściu gości.

- Nie musisz ze mną zostawać - burknęłam. Potężnie zdenerwowana tym spotkaniem, nie chciałam, żeby nade mną sterczał i piorunował wszystkich wzrokiem.

- Nigdzie nie pójde - odparł ponuro.

Drzwi otworzyła nam kobieta o okrągłej twarzy, zadartym nosie, łagodnym podbródku i ciemnobrązowych włosach i żrenicach. Na jej twarzy malował się spokój, choć w oczach błyszczała irytacja.

Zatrzymała Pierre'a w pół kroku, wpuściła tylko Annie. Dziewczynka stanęła obok niej, wyraźnie zaniepokojona.

Ja także się zatrzymałam i otworzyłam usta ze zdziwienia. Ciotka Annie była kubek w kubek podobna do Sophie Norman, młodej demonicy, z którą pożegnaliśmy się w domu Bishopów w Madison.

- *Mon Dieu* - mruknął Matthew i spojrzał na mnie zdumiony.

- To moja ciocia, Susanna Norman - szepnęła spłoszona Annie. - Mówi, że...

- Susanna Norman? - spytałam, nie mogąc oderwać wzroku od jej twarzy. Nazwisko i podobieństwo do Sophie? Nie, to nie zbieg okoliczności.

- Tak. Wygląda pani dziwnie, mistress Roydon - odezwała się pani Norman. - A ty nie jesteś tu mile widziany, wampierzu.

- Mistress Norman. - Matthew się uklonił.

- Nie dostałeś mojego listu? Mój mąż nie chce cię tu widzieć.

Zza drzwi wybiegło dwóch chłopców.

- Jeffrey! John!

- To on? - spytał starszy. Przyjrzał się Matthew z zainteresowaniem, a potem skupił się na mnie. Ten dzieciak miał moc. Choć jeszcze nie wszedł w okres dojrzewania, jego zdolności wyczuwało się na odległość. Strzelał iskrami magii, jeszcze nieujętej w karby.

- Skorzystaj z talentu, którym cię Bóg obdarzył, Jeffrey, i nie zadawaj głupich pytań.

Czarownica spojrzała na mnie z aprobatą.

- Widzę, że ojciec Hubbard nie bez powodu się tobą tak przejął. Proszę do środka.

Kiedy ruszyliśmy ku drzwiom, podniosła rękę.

- Ty nie, wampierzu. Tylko twoja żona. W Złotym Kaczątku dają niezłe wino, jeśli już koniecznie musisz kręcić się w pobliżu. Ale dla wszystkich zainteresowanych byłoby lepiej, gdybyś sobie poszedł i pozwolił żonie wrócić do domu w towarzystwie służącego.

- Dzięki za radę, miła pani. W gospodzie na pewno znajdę coś, co mnie zadowoli. Pierre poczeka na podwórku. Zimno mu nie przeszkadza.

- Matthew uśmiechnął się drapieźnie.

Susanna zrobiła kwaśną minę i odwróciła się energicznie.

- Idziemy, Jeffrey - rzuciła przez ramię.

Jeffrey wydał podobne polecenie swojemu młodszemu bratu, jeszcze raz zerknął z ciekawością na Matthew i podążył za nią.

- Czekam w środku, mistress Roydon.

- Niewiarygodne - szepnęłam, gdy tylko straciłam z oczu całą rodzinę.

- To musi być praprababka Sophie.

- Sophie pochodzi albo od Jeffrey'a, albo od Johna. -Matthew z namysłem skubał podbródek. - Jeden z tych chłopców jest brakującym ogniwem łańcucha wydarzeń prowadzącego od Kita i srebrnej szachowej figury do rodziny Normanów i dalej, do Karoliny Północnej.

- Przyszłość naprawdę troszczy się sama o siebie -zauważyłam.

- Tak właśnie myślałem. Co do terażniejszości, zostawię tu Pierre'a, a sam pokręcę się w pobliżu.

Delikatne zmarszczki wokół jego oczu lekko się pogłębiły. Ostatnimi czasy w ogóle by mnie nie odstępował, gdyby tylko mógł.

- Nie wiem, ile to potrwa - ostrzegłam, ściskając jego ramię.

- Nieważne. - Musnął moje wargi swoimi. - Zostań tak długo, jak będzie trzeba.

Gdy weszłam tam, Annie szybko zdjęła mi płaszcz, wróciła do kominka i znów pochyliła się nad czymś, co tam stało.

- Tylko uważaj, Annie - upomniała ją Susanna. - Córka wdowy Hackett nie zaśnie bez tego eliksiru, a składniki kosztują.

- Nie mogę jej odczytać, mamó - powiedział Jeffrey, wpatrując się we mnie. W jego dziecięcej twarzy lśniły niepokojąco mądre oczy.

- Ja też nie, Jeffrey, ja też nie. Pewnie dlatego tu przyszła. Zabierz brata do drugiego pokoju. I bądźcie cicho. Ojciec śpi i lepiej, żeby się teraz nie zbudził.

- Dobrze, mamó. - Jeffrey zgarnął ze stołu dwa drewniane żołnierzyki i statek. - Tym razem pozwolę ci być Walterem Raleighem, żebyś mógł wygrać bitwę - obiecał bratu.

Zapadła cisza. Susanna i Annie przyglądały mi się uważnie.

Przyzwyczaiałam się już do wątlęgo pulsowania mocy dziewczynki, ale nie byłam gotowa na mocny strumień pytań, który napłynął do mnie od Susanny. Moje trzecie oko czarownicy otworzyło się, wreszcie czymś zaciekawione.

- Czuję się nieswojo - powiedziałam, odwracając głowę, żeby uniknąć intensywnego spojrzenia Susanny.

- Tak ma być - odparła spokojnie. - Dlaczego potrzebujesz mojej pomocy, pani?

- Rzucono na mnie urok. Nie taki, o jakim myślisz - wyjaśniłam, widząc, że Annie szybko się ode mnie odsunęła. - Moi rodzice byli czarownikami, ale żadne z nich nie rozumiało natury moich talentów. Nie chcieli, żeby coś mi się stało, więc związali mnie urokiem. Z czasem pętające mnie zaklęcie osłabło i zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

- Na przykład? - spytała Susanna, wskazując Annie krzesło.

- Kilka razy, choć nie ostatnio, wezwałam magiczne wody. Czasami widzę aurę wokół ludzi, ale nie zawsze. Kiedyś dotknęłam pigwy i natychmiast wyschła.

Staralam się nie wspominać o bardziej spektakularnych eksplozjach magii. Nie wspominałam też o dziwnych błękitnych i bursztynowych włóknach, jakie widywałam w kątach, ani o tym, że z ksiąg Matthew zaczęło wypływać odręczne pismo, a z pantofli Mary Sidney uciekły gady i owady.

- Czy jedno z twoich rodziców było wodnym czarownikiem? - spytała Susanna, szukając sensu w mojej opowieści.

- Nie mam pojęcia - odparłam szczerze. - Zmarli, gdy byłam dzieckiem.

- Może rzeczywiście nadasz się do tej roboty. Wielu chciałoby posiadać surową magię wody i ognia, ale nie jest o nią łatwo - powiedziała z nutą żalu.

Moja ciotka Sarah uważała czarownice odwołujące się do magii żywiołów za dyletantki. Susanna przeciwnie, twierdziła, że zaklęcia należą do wąskiej dziedziny magicznej wiedzy. Stłumiłam westchnienie na myśl o tych bzdurnych uprzedzeniach. Przecież wszyscy jesteśmy

takimi samymi czarownikami, więc o co chodzi?

- Ciotka nie potrafiła nauczyć mnie zaklęć. Czasami udaje mi się zapalić świecę albo przyzywać przedmioty.

- Przecież jesteś dorosła! - krzyknęła Susanna, opierając dłonie na biodrach. - Nawet Annie więcej umie, choć dopiero skończyła czternaście lat. Potrafisz destylować roślinne esencje?

- Nie.

Sarah chciała nauczyć mnie przygotowywania eliksirów, ale odmówiłam.

- Może jesteś uzdrowicielką?

- Też nie. - Zaczynałam rozumieć rezygnację na twarzy Annie.

Susanna westchnęła.

- W takim razie po co Andrew Hubbard zawracał mi głowę prośbami o pomoc?! Mam pełne ręce roboty z pacjentami, chorym mężem i dwójką dorastających synów.

Wzięła z półki wyszczerbioną miskę i jajko z okiennego parapetu.

Położyła jajko przede mną na stole i odsunęła krzesło.

- Siadaj i wsuń ręce pod uda. Zdziwiło mnie to, ale usłuchałam.

- Pójdę teraz z Annie odwiedzić wdowę Hackett. Ty masz przez ten czas wbić jajko do miski bez użycia rąk. Potrzeba do tego dwóch zaklęć: poruszającego i bardzo prostego otwierającego. Mój syn John ma zaledwie osiem lat, a już swobodnie się nimi posługuje.

- Ale...

- Jeśli do mojego powrotu nie wbijesz tego jajka, nikt nie zdoła ci pomóc, mistress Roydon. Być może rodzice słusznie spętali twoją moc, jeśli jest tak słaba, że nie poradzisz sobie ze zwykłą skorupką.

Annie rzuciła mi przepraszające spojrzenie i przyniosła miskę.

Susanna przykryła ją pokrywką.

- Idziemy, Annie.

Siedziałam samotnie w dziennym pokoju Normanów i wpatrywałam się w jajko i miskę.

- Co za koszmar - szepnęłam, z nadzieją że chłopcy są gdzieś daleko i mnie nie usłyszą. Wzięłam głęboki oddech i skupiłam energię. Znałam oba zaklęcia i bardzo pragnęłam, żeby jajko się w końcu poruszyło. Naprawdę bardzo. Magia to tylko pragnienie, które staje się

rzeczywistością, powtórzyłam w myśli.

Skoncentrowałam moje pragnienie na jajku. Podskoczyło i znieruchomiało. Wypowiedziałam zaklęcie. Powtórzyłam je raz. I drugi.

Jedynym efektem moich starań był pot, który pokrył mi czoło po paru minutach wysiłku. Przecież musiałam tylko podnieść jajko i wbić je do miski. Nawet to mi się nie udało.

- Przepraszam - mruknęłam do mojego płaskiego jeszcze brzucha. - Miejmy nadzieję, że odziedziczysz talenty po ojcu.

Zaburczało mi w żołądku. Nerwy i szybkie zmiany hormonalne koszmarnie zaburzają trawienie.

Czy kurczaki miewają poranne mdłości? Przechyliłam głowę i spojrzałam na jajko. Ktoś odebrał jakiejś nieszczęsnej kurze niewyklute dziecko, żeby Normanowie mieli co jeść. Zaczęło mi się zbierać na wymioty. Chyba powinnam przejść na wegetarianizm, przynajmniej na czas ciąży.

Zresztą, może tam nie ma żadnego kurczaka, pocieszyłam się w myśli.

Przecież nie w każdym jajku jest zalążek. Moje trzecie oko zerknęło pod skorupkę i przyjrzało się żółtku przez gęstniejące warstwy białka. Po jego powierzchni biegły czerwone żyłki - oznaki rodzącego się życia.

- Zalążek - westchnęłam.

Em i Sarah przez jakiś czas hodowały kury. Wysiadywanie jaj trwało tylko trzy tygodnie. Trzy tygodnie ciepła i troski, a potem wykluwały się kurczęta. To niesprawiedliwe, że ja muszę czekać tyle długich miesięcy, zanim nasze dziecko ujrzy światło dnia.

Ciepło i troska. To takie proste, a od tego zależy życie. Co powiedział

Matthew? Dzieci potrzebują tylko miłości, dorosłego, który weźmie za nie odpowiedzialność, i miękkiego lądowania. Kurczęta też. Zaczęłam sobie wyobrazać, jak to jest wtulić się w ciepło opierzonej kury i znaleźć bezpieczne schronienie w twardym, trudnym świecie. Czy nasze dziecko czuje się podobnie w głębinach macicy? A jeśli nie, czy istnieje jakieś zaklęcie, które by mu to dało? Czar utkany z poczucia odpowiedzialności, otulający dziecko troską, ciepłem i opieką, lecz na tyle łagodny, by zapewnić poczucie bezpieczeństwa, a nie odebrać wolności?

- Właśnie tego pragnę - szepnęłam. Pii.

Rozejrzałam się. W wielu domach trzymano przy kominku kurczaki, które swobodnie sobie chodziły, wydziobując resztki z podłogi.

Pii.

Pisk dochodził ze skorupki na stole. Pękła i pojawił się dziobek.

Zdziwione czarne ślepka zamruwały, wpatrując się we mnie z upierzonej główki, jeszcze wilgotnej od białka.

Ktoś za moimi plecami sapnął ze zdziwienia. Odwróciłam się. Annie zasłaniała dłonią usta, wpatrzona w kurczaka na stole.

- Ciociu Susanno - powiedziała, opuszczając dłoń. -Czy to... - zamilkła i wskazała na mnie bez słowa.

- Tak. To efekt nowego zaklęcia pani Roydon. Leć i przyprowadź tu Mateczkę Alsop. - Susanna popchnęła siostrzenicę w stronę drzwi.

- Nie udało mi się rozbić jajka do miski, mistress Norman - przeprosiłam. - Zaklęcia nie podziałały.

Kurczak, wciąż jeszcze mokry, zaczął protestować piskami urazy.

- Nie podziałały? Ty chyba w ogóle nie masz pojęcia, co to znaczy być czarownicą - stwierdziła Susanna z niedowierzaniem.

Powoli zaczęło do mnie docierać, że trafiła w sedno.



## ROZDZIAŁ 20

W biurze Sotheby's przy Bond Street pełniła dyżur Phoebe. W ten wtorkowy wieczór czuła się coraz bardziej nieswojo. Wprawdzie pracowała w słynnym londyńskim domu aukcyjnym już od dwóch tygodni, ale jeszcze nie zdążyła się przyzwycząić do odgłosów budynku.

Każdy dźwięk - brzęczenie świetlówek nad głową, kroki ochroniarza sprawdzającego, czy drzwi są zamknięte na klucz, nagrany śmiech publiczności jakiegoś programu dochodzący z odległego telewizora - sprawiał, że podskakiwała na krześle.

Była najmłodsza z całego działu, wypadło więc na nią i musiała czekać w zamkniętym biurze na doktora Whitmore'a. Jej przełożona Sylvia uparła się, żeby ktoś z personelu obsłużył go po godzinach. Phoebe podejrzewała w tym jakieś kumoterstwo, ale jeszcze nowa, mogła tylko słabo protestować.

- Bez dyskusji, musisz zostać. Będzie tu o siódmej -zbyła ją gładko Sylvia, gładząc sznur pereł. Wzięła z biurka bilety na balet. - Poza tym ty chyba nigdzie nie wychodzisz, prawda?

Racja. Phoebe absolutnie nigdzie nie wychodziła.

- Kto to właściwie jest? - Pytanie wydawało się zupełnie normalne, ale Sylvia zrobiła urażoną minę.

- Ważny klient naszej firmy. Wykłada na Oksfordzie. Więcej nie musisz wiedzieć - burknęła. - Sotheby's nade wszystko ceni dyskrecję.

Chyba nie przespałaś tej części szkolenia?

No więc Phoebe siedziała za biurkiem i czekała, choć siódma już dawno minęła. Dla zabicia czasu przejrzała akta, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym kliencie. Przed spotkaniem zawsze starała się zdobyć jak najwięcej informacji o kontrahencie. Może Sylvii wydawało się, że wystarczy tylko jego nazwisko i mętne rekomendacje, ale Phoebe wiedziała swoje. Matka nauczyła ją, że takie poufne informacje są najskuteczniejszą bronią na koktajlach i oficjalnych kolacjach. O dziwo, w archiwum nie znalazła ani jednej wzmianki o Whitmore'ach, natomiast w aktach pod numerem tego klienta tylko pojedynczą kartę z informacją:

„Rodzina de Clermont - pytania kierować do prezesa”.

Za pięć dziesiątą usłyszała pod drzwiami czyjś głos -szorstki, ale zaskakująco melodyjny.

- To trzecia gonitwa za wiatrem, na którą mnie wysyłasz w ciągu tych paru dni, Ysabeau. Bądź uprzejma zauważyć, że ja też pracuję.

Następnym razem wyślij Alaina.

Krótką przerwą.

- Twoim zdaniem objam się? Porozmawiamy po tym spotkaniu. -

Ktoś cicho przeklął. - Na litość boską, powiedz swojej intuicji, żeby zrobiła sobie wakacje.

Miał dziwny akcent, ni to brytyjski, ni amerykański, z miękkimi kadencjami, które sugerowały, że zna wiele języków. Ojciec Phoebe pracował w brytyjskiej dyplomacji i miał podobny akcent: nie sposób było określić jego narodowości, jakby pochodził znikąd lub zewsząd.

Rozległ się dzwonek, kolejny ostry dźwięk, który sprawił, że podskoczyła, mimo że na niego czekała. Poderwała się od biurka i ruszyła ku drzwiom. Miała na nogach czarne szpilki, kosztowały wprawdzie fortunę, ale ją podwyższały i przydawały autorytetu - przynajmniej tak sobie wmawiała. Nauczyła się tej sztuczki od Sylvii podczas rozmowy kwalifikacyjnej, na którą przysłała w pantoflach na płaskim obcasie.

Przysięgła wtedy, że nikt jej już więcej nie nazwie „uroczą kruszynką”.

Przez judasza widać było gładkie czoło, zwichrzone blond włosy i przenikliwe, błękitne oczy. Na pewno nie doktor Whitmore.

Donośne stukanie przyprawiło ją o dreszcz. Co za gbur bez manier.

Zirytowana, nacisnęła interkom.

- Słucham? - spytała zniecierpliwiona.

- Marcus Whitmore, jestem umówiony z panią Thorpe. Jeszcze raz spojrzę przez judasza. To niemożliwe. Nikt tak młody nie zyskałby względów Sylvii.

- Poproszę dowód tożsamości - rzuciła sucho.

- Gdzie jest Sylvia? - Gość zmrużył oczy.

- Poszła na przedstawienie baletowe. Chyba na *Coppelię*. Kupiła najlepsze miejsca i wliczyła tę ekstrawagancję w koszt reprezentacyjny. Mężczyzna po drugiej stronie drzwi przycisnął do judasza swój identyfikator. Phoebe cofnęła się o krok.

- Czy może pan uprzejmie pokazać go z odległości? Z bliska nic nie widać.

Karta odsunęła się o kilka centymetrów.

- Proszę posłuchać, panno...

- Taylor.

- Panno Taylor, śpieszy mi się.

Karta zniknęła i ukazały się błękitne ślepie.

Phoebe drgnęła zaskoczona, ale zdążyła odczytać nazwisko i akredytację przy naukowym projekcie badawczym w Oksfordzie.

To naprawdę doktor Whitmore. Tylko co taki naukowiec może mieć wspólnego z Sotheby's? Odciągnęła zasuwkę.

Gdy tylko kliknął zamek, Whitmore wparował do środka. Był ubrany, jakby właśnie szedł do klubu w Soho: czarne džinsy, wiekowa szara koszulka U2 i żałosne markowe trampki Conversey, też szare. Na szyi dyndał mu rzemyk z jakimiś bezwartościowymi ozdóbkami wątpliwego pochodzenia.

Phoebe obciągnęła nieskazitelnie białą bluzkę i spojrzała na niego z irytacją.

- Dziękuję - powiedział, stając znacznie bliżej, niż nakazywałyby dobre obyczaje w kulturalnym towarzystwie. - Sylvia zostawiła tu dla mnie paczkę.

- Proszę usiąść, doktorze Whitmore. - Phoebe wskazała krzesło przy swoim biurku.

Whitmore spojrzał na mebel, a potem na nią.

- Po co? Przecież to zajmie chwilę. Chcę się tylko upewnić, że moja babcia znowu zobaczyła zebry tam, gdzie pasą się zwykle konie.

- Słucham? - Phoebe nieznacznie przesunęła się w stronę biurka. Pod jego blatem, obok szuflady, był guzik alarmu. Jeśli ten człowiek nie przestanie gadać od rzeczy, trzeba będzie z niego skorzystać.

- Poproszę paczkę. - Whitmore nie spuszczał z niej oczu. Błysnęła w nich iskra zainteresowania. Phoebe spostrzegła ją i obronnym gestem skrzyżowała ramiona. Nie odwracając od niej wzroku, Whitmore wskazał aksamitne pudełko na biurku. - To pewnie ona.

- Proszę usiąść, doktorze Whitmore. Dawno już po godzinach pracy, jestem zmęczona, a muszę wypełnić formularz, zanim pozwolę panu obejrzeć te rzeczy, które Sylvia odłożyła dla pana.

Phoebe rozmasowała sobie tył szyi, napięty od ciągłego podnoszenia głowy, żeby spojrzeć w twarz tego faceta. Whitmore rozdał nozdrza i spuścił oczy. Jego rzęsy były ciemniejsze od blond włosów, dłuższe i gęściejsze od jej własnych. Za takie rzęsy każda kobieta by zabiła.

- Proszę w końcu dać mi tę paczkę i przestać marnować mój czas, panno Taylor. - Gardłowy głos Whitmore'a zabrzmiał ostrzegawczo.

Phoebe nie miała pojęcia, o co chodzi. Czy on myśli, że uda mu się ukraść to pudełko? Znowu omal nie uruchomiła alarmu, ale uznała, że lepiej się jeszcze wstrzymać. Sylvia będzie wściekła, jeśli Phoebe obrazi klienta wezwaniem ochrony. Zamiast tego podeszła do biurka,

wzięła kartkę papieru i długopis, a potem podała je gościowi.

- Nie ma problemu, zrobimy to na stojąco, doktorze Whitmore, choć będzie nam znacznie mniej wygodnie.

- Od dawna nie dostałem tak atrakcyjnej propozycji -usta Whitmore'a zadrgały. - Dobrze, jeśli mamy postępować wedle Hoyle'a<sup>4</sup>, to przejdźmy na ty. Jestem Marcus.

- Hoyle'a? - Phoebe zaczerwieniła się i wyprostowała. Whitmore sobie z niej żartował. - Nikt taki tu nie pracuje.

- Ma się rozumieć. - Niedbale podpisał formularz. -Edmond Hoyle zmarł w 1769 roku.

- Stosunkowo krótko pracuję w Sotheby's. Proszę mi wybaczyć, że o tym nie wiedziałam.

Phoebe pociągnęła nosem. Znowu niebezpiecznie oddaliła się od guzika alarmu. Whitmore raczej nie był złodziejem, ale być może to wariat.

- Proszę, tu jest twoje pióro - powiedział uprzejmie Marcus. - A tu formularz. Widzisz? Zrobiłem dokładnie to, co chciałaś. Jestem bardzo dobrze wychowany. Ojciec się o to postarał.

Biorąc pióro i dokument, przypadkiem musnęła wierzch jego dłoni - tak zimnej, że Phoebe zadygotała. Zauważyła ciężki złoty sygnet na małym palcu. Wyglądał jak średniowieczny, lecz przecież nikt nie chodziłby po Londynie z tak rzadką i cenną biżuterią. Na pewno podróbka, ale przynajmniej niezła.

Wracając na swoje miejsce, przejrzała formularz. Wszystko było w porządku, więc jeśli ten człowiek okaże się jednak kryminalistą - co wcale by jej nie zdziwiło - nikt nie będzie mógł jej oskarżyć o złamanie regulaminu. Podniosła wieko pudełka, żeby obejrzał eksponat. Miała nadzieję, że potem będzie wreszcie mogła pójść do domu.

- Och - wykrztusiła zdziwiona. Spodziewała się fantastycznego diamentowego naszyjnika albo szmaragdów oprawnych w wiktoriański, wyrafinowany filigran, coś w guście jej babki.

Zamiast tego zobaczyła dwie owalne miniatury umieszczone w idealnie dopasowanych zagłębieniach, które chroniły je przed zniszczeniem. Pierwsza przedstawiała kobietę o długich, złotorudych włosach, w rozpiętym koronkowym kołnierzu wokół twarzy o konturze serca. Jasne oczy spoglądały ze spokojem i pewnością siebie, a na ustach igrał lekki uśmiech. Błękitne tło było typowe dla elżbietańskiego portrecisty Nicholasa Hilliarda. Na drugiej namalowano mężczyznę o gęstych, czarnych włosach odgarniętych z czoła. Przyszyżona broda i wąsy nadawały mu młodzieńczy wygląd, choć oczy spoglądały dojrzałe.

Rozpięta biała koszula ukazywała ciało bledsze od płótna, z którego ją uszyto. Długie palce zaciskały się na klejnocie zawieszonym na łańcuszku. Z tyłu migotały splecione złote płomienie, symbol namiętności.

---

<sup>4</sup> Edmond Hoyle (1672-1769) - pisarz, najbardziej znany z prac o zasadach gier karcianych. Zwrot „wedle Hoyle'a” wszedł do angielszczyzny w uznaniu jego powszechnie szanowanej wiedzy w tym zakresie. Z czasem zaczął być używany w bardziej ogólnym kontekście, oznaczając odwołanie się do akceptowanych zasad (przyp. tłum.).

Lekki oddech połaskotał ją w ucho.

- Chryste Panie. - Whitmore wyglądał, jakby zobaczył ducha.

- Piękne, prawda? To muszą być te miniatury, które niedawno do nas trafiły. Małżeństwo emerytów ze Shropshire znalazło je ukryte na dnie skrzyni ze srebrem, kiedy robiło w niej miejsce na nowe nabytki. Sylvia spodziewa się, że osiągną niezłą cenę.

- Bez wątplenia. - Marcus dotknął przycisku telefonu.

- *Oui?* - rozległ się władczy głos po francusku.

Zawsze ten sam problem z komórkami, pomyślała Phoebe. Ludzie krzyczą do słuchawki, a potem dziwią się, że wszyscy wokół słyszeli ich prywatne rozmowy.

- *Grand-mère*, miałaś rację co do tych miniatur. Z telefonu dobiegło westchnienie satysfakcji.

- Czy teraz wreszcie poświęcisz mi całą swoją uwagę, Marcus?

- Nie. I lepiej podziękuj za to Bogu. Kiedy poświęcam komuś całą uwagę, zwykle źle się to kończy.

Whitmore popatrzył na Phoebe z uśmiechem. Ma wiele uroku, niechętnie przyznała w duchu.

- Daj mi kilka dni oddechu, zanim wyznaczysz mi następne zadanie.

Ile jesteś gotowa za nie zapłacić? A może nie powinienem pytać?

- *N'importe quel prix.*

Cena nie gra roli. Ulubione słowa personelu domów aukcyjnych.

Phoebe spojrzała na miniatury. Rzeczywiście były niesamowite.

Whitmore skończył rozmowę z babką, ale już chwilę później jego palce tańczyły po klawiaturze, wystukując jakąś wiadomość.

- Hilliard uważał, że jego miniatury powinno się oglądać w zaciszu domowym. - Phoebe się zamyśliła. - Jego zdaniem portrecista wyjawiał zbyt wiele tajemnic swoich modeli.

Teraz dokładnie widać dlaczego. Ta para na pewno ukrywała niejednego sekret.

- Masz absolutną rację - zamruczał Marcus. Jego twarz znalazła się tak blisko, że Phoebe mogła lepiej przyjrzeć się tym niesamowitym oczom.

Ich błękit był głębszy, niż jej się to wcześniej wydawało, głębszy nawet od lazurowych i ultramarynowych pigmentów Hilliarda.

Zadzwoił telefon. Kiedy Phoebe wyciągnęła rękę, by go odebrać, miała wrażenie, że dłoń Marcusa na ułamek sekundy powędrowała ku jej talii.

- Wydadź mu te miniatury, Phoebe. - To była Sylvia.

- Nie rozumiem - powiedziała zaskoczona. - Bez uprawnień...

- Kupił je na pniu. Mamy obowiązek uzyskać najwyższą możliwą cenę za eksponaty. Właśnie nam się to udało. Tavernerowie będą mogli spędzić jesień życia w Monte Carlo, jeśli przyjdzie im na to ochota. I powiedz Marcu-sowi, że jeśli przez niego przegapiłam *danse de fete*, przez cały następny sezon zamierzam korzystać z jego rodzinnej łoży. - I się rozłączyła.

W pokoju zapadła cisza. Marcus Whitmore delikatnie położył palec na złotym medalionie z miniaturą mężczyzny, jakby, stęskniony, chciał porozumieć się z kimś od dawna martwym i anonimowym.

- Mam wrażenie, że usłyszałby mnie, gdybym się do niego odezwał - powiedział z żalem.

Działo się coś niesamowitego. Nie potrafiła odgadnąć co, ale na pewno chodziło o coś więcej niż o zakup dwóch XVI-wiecznych miniatur.

- Pańska babka musi być bardzo bogata, doktorze Whitmore, skoro tyle zapłaciła za dwa elżbietańskie portrety mało znanego autora.

Ponieważ pan także jest klientem

Sotheby's, muszę powiedzieć, że na pewno pan znacznie przepłacił.

Sześciocyfrową cenę mógłby uzyskać portret królowej Elżbiety z tego okresu, gdyby w sali znalazły się odpowiednie osoby, ale to raczej nie. – Przy wycenie najbardziej liczyła się tożsamość modelu. - Nigdy nie dowiemy się, kim oni byli. Zwłaszcza po tylu stuleciach zapomnienia. A nazwiska to ważna rzecz.

- Babcia też ciągle mi to powtarza.

- Zatem wie, że bez identyfikacji nazwisk cena tych miniatur prawdopodobnie nigdy nie wzrośnie.

- Szczerze mówiąc, zwrot z tej inwestycji nie ma dla babki znaczenia. Poza tym Ysabeau wołałaby, żeby nikt poza nami nie dowiedział się, kim oni są.

Phoebe zmarszczyła brwi. Co to znaczy? Czyżby jego babka zakładała, że ona to wie?

- Miło się z tobą załatwia sprawy, Phoebe, nawet jeśli robimy to na stojąco... przynajmniej tym razem. - Marcus umilkł i uśmiechnął się uroczo. - Nie masz nic przeciwko, że zwracam się do ciebie po imieniu?

Owszem, miała. Zdenerwowana, potarła szyję, odgarniając na bok czarne, długie do ramion włosy. Marcus przemknął wzrokiem po łuku jej ramion.

Gdy nie doczekał się odpowiedzi, zamknął pudełeczko, włożył je pod pachę i odsunął się od biurka.

- Zapraszam cię na kolację - powiedział spokojnie, nie zwracając uwagi na jej brak zainteresowania. - Uczymy sukces Tavernerów i sporą prowizję, którą podzielicie się z Sylwią.

Prowizja do podziału? Z Sylwią? Phoebe, nie dowierając, otworzyła usta. Szanse na coś takiego były mniejsze niż zero. Marcus spochmurniał.

- Takie były warunki umowy. Babcia nie zgodziłaby się na inne - oświadczył szorstko. - Co z tą kolacją?

- Nie umawiam się z obcymi po zmroku.

- W takim razie zaproszę cię na kolację jutro, podczas lunchu. Po dwóch godzinach spędzonych w moim towarzystwie przestanę być dla ciebie „obcy”.

- Och, i tak będziesz obcy - mruknęła. - Poza tym nie wychodzę na lunch. Jadam przy biurku. - Zmieszana, odwróciła wzrok. Czyżby wypowiedziała to zdanie na głos?

- Wpadnę po ciebie o pierwszej - oznajmił, uśmiechając się szeroko.

Phoebe speszzyła się. A więc jednak powiedziała to na głos.

- Nie bój się, nie pójdziemy nigdzie daleko.

- Dlaczego? - Czyżby myślał, że się go boi albo że nie nadaży za jego długimi krokami? A to pech być tak niską.

- Chciałem tylko powiedzieć, że możesz włożyć te same buty co dzisiaj i nie bać się, że skręcisz w nich kark - odparł niewinnie. Powoli przeniósł wzrok z jej dużych palców na czarne skórzane paski, na moment zatrzymał go na kostkach, a potem obrzucił spojrzeniem krągłe łydki. - Podobają mi się.

Co on sobie właściwie wyobraża? Zachowuje się jak XVIII-wieczny zbereźnik. Phoebe zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi. Obcasy zastukały ostro, całkiem dla niej satysfakcjonująco. Przycisnęła guzik zwalniający zasuwę i otworzyła drzwi. Marcus mruknął coś z aprobatą i ruszył ku niej.

- Nie powinienem być tak obcesowy. Babcia tego nie pochwała, prawie tak samo jak wykluczania niektórych osób z prowizji. Ale zrozum jedno, Phoebe. - Pochylił się nad nią tak nisko, że jego usta niemal muskały jej ucho, i zniżył głos do szeptu. - W odróżnieniu od mężczyzn, którzy do tej pory zapraszali cię na kolację i może nawet odprowadzali do domu w nadziei, że uzyskają coś jeszcze, twoje przyzwoite zachowanie i dobre maniery wcale mnie nie odstrasza. Wręcz przeciwnie.

Wyobrażam sobie, jaka będziesz, kiedy stopnieje ta twoja lodowata samokontrola.

Phoebe zakrztusiła się, zszokowana.

Marcus ujął jej dłoń, musnął ją wargami i spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

- Zatem do jutra. Nie zapomnij zamknąć za mną drzwi. I tak wpakowałaś się już w kłopoty.

Wyszedł z pokoju tyłem, posłał jej kolejny uroczy uśmiech, odwrócił się i pogwizdując, zniknął.

Phoebe trzęsły się ręce. Ten człowiek - obcy facet, nie-wychowany, ale za to o niesamowicie błękitnych oczach -właśnie ją pocałował. W pracy. I bez pozwolenia.

A ona go nie spoliczkowała, choć nauczono ją, że dobrze wychowana córka dyplomatów powinna się do tego w ostateczności uciec, kiedy ktoś potraktuje ją z niestosowną poufałością, w kraju lub za granicą.

Chyba rzeczywiście wpakowała się w kłopoty.



W STYCZNIU 2013

KSIEGA  
WSZYSTKICH DUSZ

Tom 4

# POWRÓT

*DEBORAH HARKNESS*

[przeczytaj fragment](#)

## ROZDZIAŁ 1

**Czy** dobrze zrobiłam, wzywając panią, Mateczko Alsop? -Susanna zaczęła bawić się fartuchem i spojrzała na mnie z niepokojem. - Prawie odesłałam ją do domu - dodała cicho. - Gdybym...

- Ale tego nie zrobiłaś, Susanno. - Mateczka Alsop była tak stara i chuda, że jej ręce i nadgarstki opinała skóra. Natomiast głos czarownicy był zaskakująco krzepki jak na kogoś tak kruchego, a w oczach błyszczała jej inteligencja. Może i była po osiemdziesiątce, ale nikt nie śmiałyby nazwać ją zniedołężniałą.

Wraz z przybyciem Mateczki Alsop w głównym pokoju Normanów zrobiło się tłoczno. Susanna zgodziła się z pewnym ociąganiem, by Matthew i Pierre weszli do środka i stanęli przy drzwiach, o ile tylko nie będą niczego dotykali. Jeffrey i John dzielili uwagę pomiędzy wampiry i kurczaka, bezpiecznie otulonego leżącą przy kominku czapką Johna.

Piórka zaczynały mu się puszyć w ciepłym powietrzu i na szczęście przestał popiskiwać. Usiadłam na stołku przy ogniu, obok Mateczki Alsop, która zajmowała jedyne krzesło.

- Niech no na ciebie spojrzę, Diano. - Gdy Mateczka Alsop wyciągnęła palce w stronę mojej twarzy, dokładnie tak, jak wdowa Beaton i Champier, cofnęłam się gwałtownie.

Czarownica spojrzała na mnie, marszcząc brwi. - O co chodzi, dziecko?

- Czarownik we Francji próbował czytać z mojej skóry. Czułam się tak, jakby przeszywał mnie ostrzami noży - wyjaśniłam szeptem.

- To nie będzie bardzo przyjemne, bo jakie badanie jest przyjemne. Ale nie powinno boleć. - Jej palce przesunęły się po mojej twarzy.

Miała chłodne, suche dłonie, o nabrzmiątych żyłach i opiętych suchą skórą powykęcanych stawach. Wydawało mi się, że coś się we mnie zagłębia, ale nie przypominało to w niczym bólu, jaki zadały mi ręce Champiera.

- Ach - jęknęła cicho, gdy dotknęła gładkiej skóry na moim czole.

Moje trzecie oko, które jak zwykle zamknęło się złośliwie, gdy tylko Susanna i Annie ujrzały kurczaka, otworzyło się teraz szeroko. Mateczka Alsop była czarownicą, którą warto było znać.

Spoglądając w trzecie oko Mateczki Alsop, zagłębiłam się w świat kolorów. Mimo starań nie potrafiłam rozplątać gęstego splotu kolorowych nici, by coś rozpoznać, choć znów miałam wrażenie, że te wątki mogą się do czegoś nadać. Dotyk Mateczki Alsop łaskotał, gdy badała moje ciało i umysł wewnętrznym wzrokiem, a energia wokół niej pulsowała pomarańczowo, z nutkami fioletu. Nigdy dotąd nie widziałam nikogo w takich kolorach. Zacmokała kilka razy z niezadowolaniem, lecz od czasu do czasu mruknęła z aprobatą.

- Ona jest dziwna, prawda? - wyszeptał Jeffrey, zaglądając przez ramię Mateczki Alsop.

- Jeffrey! - zawołała zawstydzona zachowaniem syna Susanna. - Dla ciebie to pani Roydon.

- No dobrze. Pani Roydon jest dziwna - odparł niewzruszony Jeffrey.

Oparł się rękami o kolana i nachylił bliżej.

- Co widzisz, młody Jeffreyu? - zapytała Mateczka Alsop.

- Ona... Pani Roydon... jest ze wszystkich kolorów tęczy, jak bogini.

Jej trzecie oko jest niebieskie, a reszta zielona i srebrna. A czemu tutaj ma obwódkę z czerwonego i czarnego? - Jeffrey wskazał swoje czoło.

- To znak wampierza - odpowiedziała Mateczka Alsop, głaszcząc to miejsce palcem. - Mówi, że ona należy do rodziny pana Roydona.

Gdziekolwiek to zobaczysz, Jeffrey, a rzadki to widok, musisz to traktować jak ostrzeżenie. Wampierz, który to zrobił, nie będzie zadowolony, jeśli będziesz coś kombinował z ciepłokrwistą, do której rości sobie prawa.

- Czy to boli? - zapytał chłopiec.

- Jeffrey! - znów wykrzyknęła Susanna. - Powinieneś wiedzieć, że nie wolno zamęczać Mateczki Alsop pytaniami.

- Susanno, jeśli dzieci przestaną zadawać pytania, to czeka nas ponura przyszłość - odparła Mateczka Alsop.

- Krew wampierza może uzdrawiać, ale nie krzywdzi - powiedziałam chłopcu, nim zdążyła się odezwać Mateczka Alsop.

Po co kolejne pokolenie czarownic miało wzrastać w strachu przed tym, czego nie znają. Spojrzałam na Matthew, którego prawa do mnie sięgały znacznie głębiej niż przysięga krwi jego ojca. Matthew zgadzał

się, by Mateczka Alsop dalej mnie badała, na razie, ale nie spuszczał z niej oka. Zmusiłam się do uśmiechu, a w odpowiedzi jego usta drgnęły lekko.

- Och. - Jeffrey zdawał się mało zaniepokojony tą informacją. - A może pani znów rozbłysnąć?

Chłopcy byli bardzo rozczarowani, że nie widzieli świetlistej manifestacji mojej magicznej energii.

Mateczka Alsop położyła sękaty palec we wgłębieniu nad wargami Jeffreya, uciszając go skutecznie.

- Muszę teraz porozmawiać z Annie. Gdy skończymy, służący pana Roydona zabierze całą waszą trójkę nad rzekę. A jak wrócicie, będziecie mogli zadawać mi tyle pytań, ile tylko chcecie.

Matthew skinął głową w stronę drzwi, a Pierre zgarnął swoich dwóch młodych podopiecznych, posłał nieufne spojrzenie w stronę staruszki i zszedł z dziećmi na dół. Podobnie jak Jeffrey, Pierre musiał przezwyciężyć lęk przed innymi stworzeniami.

- Gdzie dziewczynka? - zapytała Mateczka Alsop, odwracając głowę.

Annie podeszła niepewnie.

- Tutaj, Mateczko.

- Powiedz prawdę, Annie - odezwała się stanowczo Mateczka Alsop. -

Co obiecałeś Andrew Hubbardowi?

- N... nic - wyjąkała Annie, zerkając na mnie.

- Nie kłam, Annie. To grzech - zbesztła ją Mateczka Alsop. - Mów.

- Mam mu powiedzieć, jeśli pan Roydon postanowi znów opuścić Londyn. A ojciec Hubbard przysłał jednego ze swoich ludzi, gdy państwo są jeszcze w alkowie, by zapytać, co się dzieje w domu. -

Wyjąkała dziewczynka, po czym zacisnęła ręce na ustach, jakby zszokowana tym, że tyle powiedziała.

- Annie nie może złamać umowy z Hubbardem, ale może ją wypełniać trochę inaczej, niżby on się spodziewał. - Mateczka Alsop zamyśliła się. -

Jeśli pani Roydon z jakichś przyczyn będzie opuszczać miasto, Annie najpierw powiadomi mnie. Zaczekasz godzinę i dopiero wtedy poinformujesz Hubbarda, Annie. A jeśli pisniesz choć słówko na temat tego, co się dzieje tutaj, to rzucę na twój język taki urok wiążący, że nawet trzysta czarownic nie zdoła go złamać. - Annie wyglądała na skutecznie przerażoną tą wizją. - Idź do chłopców, ale zanim wyjdiesz, otwórz wszystkie drzwi i okna. W swoim czasie, poślę po was.

Twarz Annie, gdy otwierała okiennice i drzwi, wyrażała skruchę i lęk, więc skinęłam jej łaskawie głową. Biedne dziecko nie mogło przeciwstawić się Hubbardowi i robiło to, co musiało, by przetrwać.

Dziewczynka posłała jeszcze jedno przerażone spojrzenie Matthew, który odnosił się do niej z wyraźną niechęcią, po czym wyszła.

W końcu, gdy w domu zrobiło się cicho i powiało chłodem, Matthew się odezwał. Wciąż opierał się o drzwi, a jego czarne ubrania pochłaniały tę niewielką ilość światła, jaka była w pokoju.

- Czy może nam pani pomóc, Mateczko Alsop? - Jego uprzejmy ton nijak nie przypominał aroganckiego zachowania wobec wdowy Beaton.

- Tak sądzę, panie Roydon - odpowiedziała Mateczka Alsop.

- Proszę spocząć - odezwała się Susanna, wskazując Matthew stołek.

Trudno było oczekiwać, by mężczyzna wzrostu Matthew mógł się wygodnie rozsiąść na małym taboreciku, mimo to bez słowa na nim przysiadł. - Mój mąż śpi w pokoju obok. Nie powinien usłyszeć wampierza ani naszej rozmowy.

Mateczka Alsop wsunęła palce w szarą wełnę i perłowe płótno, które okalały jej szyję, i wyciągnęła z nich coś niematerialnego. Rozczapierzyła palce i machnęła nimi, wypuszczając do pokoju jakąś niewyraźną postać.

Idealna replika Mateczki powędrowała do sypialni Susanny.

- Co to? - zapytałam, oddychając z trudem.

- Moja pomocnica. Będzie obserwować pana Normana i dopilnuje, by nikt nam nie przeszkadzał... - Usta Mateczki Alsop poruszyły się i zrobiło się cieplej. - Teraz, gdy drzwi i okna są zaplombowane, nie zostaniemy też podsłuchani. Tym możesz się już nie denerwować, Susanno.

Te dwa czary mogły być bardzo przydatne w domu szpiega.

Otworzyłam usta, by spytać o nie Mateczkę Alsop, ale nim zdążyłam wypowiedzieć słowo, uniosła rękę i roześmiała się cicho.

- Jesteś bardzo ciekawska, jak na dorosłą kobietę. Boję się, że poddasz próbie cierpliwość Susanny jeszcze bardziej niż Jeffrey. - Rozsiadła się wygodnie i przyjrzała mi z uśmiechem. - Długo na ciebie czekałam, Dianó.

- Na mnie? - zapytałam niepewnie.

- O tak. Wiele lat upłynęło, od kiedy pierwsi wróżbici zapowiedzieli twoje przybycie, a wraz z upływem czasu niektórzy spośród nas porzucili już nadzieję. Ale gdy nasze siostry powiedziały nam o znakach na północy, wiedziałam, że należy się ciebie spodziewać. - Mateczka Alsop miała na myśli Berwick i dziwne wydarzenia w Szkocji.

Wyprostowałam się na krześle, gotowa zadać kolejne pytanie, ale Matthew pokręcił lekko głową. Wciąż nie był pewien, czy można ufać tej czarownicy. Mateczka Alsop zauważyła niemą prośbę mojego męża i znów zachichotała.

- A więc miałam rację - odezwała się z ulgą Susanna.

- Tak, dziecko. Diana rzeczywiście jest prządką czasu - słowa Mateczki Alsop rozbrzmiały w pokoju, jak jakiś czar.

- Co to? - wyszeptalam.

- Obecna sytuacja w duzej mierze pozostaje dla nas niejasna, Mateczko Alsop. - Matthew wziął mnie za rękę. -Może mogłabyś potraktować nas jak Jeffrey'a i wyjaśnić wszystko jak dziecku?

- Diana jest twórcą czarów - odpowiedziała Mateczka Alsop. - My prądkami jesteśmy rzadkimi stworzeniami. Dlatego właśnie bogini przysłała cię do mnie.

- Nie, Mateczko Alsop. Musisz się mylić. - Pokręciłam głową. -

Czarownica ze mnie żadna. Moja ciotka Sarah ma wielkie umiejętności, ale nawet ona nie potrafiła mnie wyuczyć rzemiosła czarownic.

- Oczywiście, że nie potrafisz rzucać czarów innych czarownic.

Musisz wymyślać własne.

Słowa Mateczki Alsop przeczyły wszystkiemu, co mi wpajano.

Spojrzałam na nią zdziwiona.

- Czarownice uczą się czarów. Nie wymyślają ich.

Czary przekazywano z pokolenia na pokolenie, w rodzinach albo wśród członków bractw. Zazdrośnie strzegłyśmy tej wiedzy, zapisując słowa i sposoby postępowania w gri-muarach, wraz z imionami czarownic, które opanowały tę sztukę. Bardziej doświadczone uczyły młodych, by szli ich śladem, uważając na niuanse każdego czaru i doświadczenia żyjących niedługo czarownic.

- Prądkami owszem - odpowiedziała Mateczka Alsop.

- Nigdy nie słyszałem o prądkach - odezwał się ostrożnie Matthew.

- Mało kto słyszał. Owiane jesteśmy tajemnicą, panie Roydon, o której wie niewiele czarownic, a co dopiero wampierzy. Nieobce są panu sekrety i to, jak ich nie ujawniać, prawda? - Oczy błysnęły jej psotnie.

- Mateczko Alsop, przeżyłem już wiele lat. Trudno mi uwierzyć, by przez tyle czasu czarownice zdołały ukryć przed innymi stworzeniami istnienie prądek. - Zmarszczył brwi. - Czy to kolejna gierka Hubbarda?

- Jestem za stara na takie zabawy, panie de Clermont. O tak, wiem, kim naprawdę jesteś i jaką pozycję zajmujesz w naszym świecie - stwierdziła Mateczka Alsop, widząc zaskoczenie na twarzy Matthew. - Może nie potrafisz skrywać przed czarownicami prawdy tak dobrze, jak ci się wydaje.

- Może i nie - warknął ostrzegawczo Matthew. Jego zachowanie tylko rozbawiło starszą.

- Ta sztuczka może przerazić takie dzieci, jak Jeffrey I John i wybrańców bogini, takich jak twój przyjaciel Christopher, ale nie mnie - stwierdziła poważniej. - Prządki kryją się, gdyż kiedyś wyszukiwano nas i mordowano, tak jak rycerzy twojego ojca. Nie wszyscy pochwalali nasze moce. Jak doskonale wiesz, łatwiej przetrwać, gdy twoi wrogowie myślą, że już nie żyjesz.

- Ale kto zrobiłby coś takiego i czemu? - Miałam nadzieję, że odpowiedź nie będzie się wiązała z odwieczną wrogością między wampirami i czarownicami.

- To nie wampierze ani demony nas ścigały, ale inne czarownice - odpowiedziała spokojnie Mateczka Alsop. - Boją się nas, bo jesteśmy inni. Strach budzi pogardę, a potem nienawiść. Stara śpiewka. Kiedyś czarownice zabijały całe rodziny, w obawie że dzieci też mogłyby wyrosnąć na prządki. Ci, którzy przetrwali, ukrywali swoje potomstwo.

Miłość rodzicielska jest potężna, o czym wkrótce oboje się przekonacie.

- Wiesz o dziecku - stwierdziłam, obejmując opiekuńczo brzuch.

- Tak. - Mateczka Alsop skinęła poważnie głową. - Już teraz tworzysz potężne czary, Diano. Nie uda ci się długo ukrywać tego przed innymi czarownicami.

- Dziecko? - Oczy Susanny zrobiły się wielkie jak spodki. - Poczęte z czarownicy i wampierza?

- Nie byle jakiej czarownicy. Tylko prządki mogą stworzyć taką magię. Jest powód, dla którego bogini wybrała właśnie ciebie, Susanno, tak jak jest powód, dla którego wybrała mnie. Jesteś akuszerką, Susanno, a twoje umiejętności już niedługo będą potrzebne.

- Nie mam doświadczenia, które mogłoby pomóc pani Roydon - zaprotestowała Susanna.

- Od lat pomagasz kobietom w położu - stwierdziła Mateczka Alsop.

- Ciepłokrwistym kobietom, Mateczko, z ciepłokrwistymi dziećmi! - zawołała oburzona Susanna. - Nie stworzeniom jak...

- Wampierze mają ręce i nogi tak samo jak my wszyscy - przerwała jej Mateczka Alsop. - Nie wierzę, by to dziecię czymś się różniło.

- Tylko dlatego, że będzie miało po dziesięć palców u rąk i u nóg, nie znaczy, że będzie miało duszę - odparła Susanna, przyglądając się podejrzliwie Matthew.

- Dziwię ci się, Susanno. Dusza pana Roydona jest dla mnie równie jasna, jak twoja. Czyżbyś znów słuchała swojego męża i jego paplaniny o złych demonach i wampirach?

Susanna zacisnęła usta.

- A jeśli nawet, Mateczko?

- To jesteś głupia. Czarownice wyraźnie widzą prawdę, nawet jeśli ich mężowie opowiadają bzdury.

- To nie takie proste, jak ci się wydaje - wyszeptwała Susanna.

- Nie musi być też takie trudne. Z dawna oczekiwana prządka jest wśród nas i musimy przygotować plan.

- Dziękuję, Mateczko Alsop - odezwał się Matthew. Ulżyło mu, że wreszcie ktoś się z nim zgadza. - Masz rację. Diana musi się szybko nauczyć tego, co trzeba. Nie może tu rodzić.

- To nie zależy wyłącznie od twojej decyzji, panie Roydon. Jeśli dziecko ma się urodzić w Londynie, to tak się stanie.

- Diana nie należy do tego miejsca - odparł Matthew, po czym dodał szybko: - Do Londynu.

- Ależ to jest oczywiste. Ale biorąc pod uwagę, że potrafi przemieszczać się w czasie, przeniesienie jej po prostu do innego miejsca nic nie pomoże. Diana będzie się rzucać w oczy równie wyraźnie w Canterbury, jak w Yorku.

- A więc znasz kolejny nasz sekret. - Matthew zmierzył staruszkę zimnym spojrzeniem. - W takim razie musisz też wiedzieć, że Diana nie wróci do własnego czasu sama. Będzie z nią także dziecko i ja. A ty nauczysz ją tego, czego potrzebuje, by tego dokonać. - Matthew znów zaczął rządzić, co oznaczało, że sprawy tradycyjnie się skomplikują.

- Edukacja pańskiej żony to teraz moja sprawa, panie Roydon. No chyba że uważa pan, iż wie więcej o byciu prządką niż ja - odparła spokojnie Mateczka Alsop.

- Wie, że to sprawa między czarownicami - zwróciłam się do Mateczki Alsop, kładąc rękę na ramieniu męża. - Matthew nie będzie przeszkadzał.

- Wszystko, co dotyczy mojej żony, jest moją sprawą, Mateczko Alsop - powiedział z naciskiem Matthew i odwrócił się do mnie. - I to nie jest sprawa wyłącznie między czarownicami, nie, jeśli czarownice mogą narazić na niebezpieczeństwo moją drugą połowę albo moje dziecko.

- A więc to czarownica, a nie wampierz, cię skrzywdziła - odezwała się cicho Mateczka Alsop. - Czułam ból i wiedziałam, że po części powoduje go czarownica, ale miałam nadzieję, że ona leczy, a nie zadaje rany. Co też stało się z tym światem, że czarownica wyrządza innej taką krzywdę?

Matthew skupił się na Mateczce Alsop.

- Może ta czarownica także wiedziała, że Diana jest prządką.

Nie przyszło mi do głowy, że Satu mogła o tym wiedzieć. Biorąc pod uwagę, co Mateczka Alsop powiedziała o stosunku innych czarownic do prządek, pomyślałam, że Peter Knox i jego kumple z Kongregacji mogą mnie podejrzewać o skrywanie takiej tajemnicy, przyprawili moją o mocniejsze bicie serca. Matthew złapał mnie za rękę i ujął w obie dłonie.



- To możliwe, ale nie mam pewności - odezwała się z żalem Mateczka.

- Tak czy inaczej musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, w czasie, jaki da nam bogini, by przygotować Dianę na jej przyszłość.

- Chwileczkę! - Uderzyłam ręką w stół a wtedy pierścień Ysabeau zadźwięczał o twarde drewno. - Wszyscy mówicie o tym tak, jakby to całe tkactwo miało jakiś sens. Ale ja nie potrafię nawet zapalić świeczki. Moje talenty są magiczne. Mam we krwi wiatr, wodę, nawet ogień.

- Jeśli potrafię dostrzec duszę twego męża, Diano, to nadal nie jesteś czarownicą ognia ani wody, bez względu na to, w co wierzysz. Nie potrafisz władać tymi żywiołami. Gdybyś była na tyle szalona, by tego spróbować, zniszczyłyby cię.

- Omal nie utonęłam we własnych łzach - upierałam się. - Aby uratować Matthew, zabiłam wampierza strzałą czarodziejskiego ognia.

Moja ciotka rozpoznała ten zapach.

- Czarownica ognia nie potrzebuje strzał. Ogień opuszcza ją i dociera do celu w jednej chwili. - Mateczka Alsop pokręciła głową. - To było tylko proste tkactwo, zrodzone z bólu i miłości. Bogini pobłogosławiła cię możliwością pożyczania mocy, których potrzebujesz, ale nie władania nimi w pełni.

- Pożyczania... - Pomyślałam o frustrujących wydarzeniach kilku ostatnich miesięcy i nieprzewidywalnych przeblyskach magii. - To dlatego moje zdolności pojawiają się i znikają. Tak naprawdę nigdy nie należały do mnie.

***Ciąg dalszy nastąpi.***